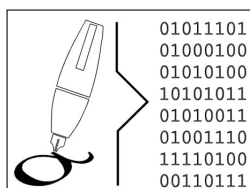


Joe Alex

**Gdzie przykazań brak
dziesięciu**



Przed pagodą starą w Moulmein, tam gdzie morza senny brzeg,
Birmańska siedzi dziewczyna i wiem, że wspomina mnie;
Bo świątynny dzwon przyzywa, gdy wiatr w palm korony dmie:
„Wróć tu, wróć, żołnierzu z Anglii, wróć tu, wróć do Mandalay!”
Wróć tu, wróć do Mandalay,
Gdzie flotylli dawnej cień:
czy nie słyszysz szmeru wiosł od Rangoon po Mandalay?
Na szlaku do Mandalay
latająca ryba mknie,
a świt wybucha jak burza sponad Chin i niebo tnie!

Jej spódnica była żółta i zielony czepek jej,
Imię miała Supi-jo-lat jak królowa Tihibei.
Pierwszy raz ją zobaczyłem, gdy kurzyła faję białą.
Chrześcijańskie pocałunki marnując na bożka ciało:
Plugawe, gliniane cudo,
Zwane wielkim bogiem Buddą.
Dużo dbała o te bogi, gdy całowałem jej nogi!
Na szlaku do Mandalay...

Gdy mgła wstała z pól ryżowych, a słońce schodziło wolno,
wyjmowała swoje banjo i śpiewała „Kulla-lo-lo!”
Z policzkiem na mym policzku i ręką na mym ramieniu
Spoglądała na parowce i hathis z pniami w strumieniu.
Słonie ciągną pnie na złoże
W śliskim, szlamistym bajorze,
Gdzie cisza wisi tak ciężko, że człowiek mówić nie może.
Na szlaku do Mandalay...

Ale to już odpłynęło, dawno minął już ten dzień;
Nie kursują autobusy z banku aż do Mandalay.
Tu w Londynie wiem, co znaczy tam przesłużyć dziesięć lat:
„Kiedy raz cię Wschód zawoła, na nic później cały świat”.
Na nic później cały świat:
Czosnek pachnie tam jak kwiat,
Jest słońce, palmy, a w górze głos świątynnych dzwonów gra
Na szlaku do Mandalay...

*Chory jestem od zdzierania zelówek o twardy bruk,
A przeklęta słota Anglii budzi febrę, zwala z nóg.
Choć od Chelsea, aż do Strandu, kucht tuziny za mną gnają
I gadają o miłości, ale o czym to gadają?
Sine, krowie pyski mają.
Boże, o czym to gadają?
Mam smuklejszą, słodsza pannę
W piękniejszym, zieleńszym kraju:
Na szlaku do Mandalay...*

*Płynąć chcę na wschód, za Suez, gdzie jest dobrem każde zło,
Gdzie przykazań brak dziesięciu i pić można, aż po dno.
Bo świątynny dzwon przyzywa i tam tylko być już chcę -
Przed pagodą starą w Moulmein, tam gdzie morza senny brzeg,*

*Na szlaku do Mandalay,
Gdzie flotylli dawnej cień;
Nasi chorzy tam leżeli, gdyśmy szli na Mandalay!
Na szlaku do Mandalay
latająca ryba mknie,
A świt wybucha jak burza sponad Chin i niebo tnie!*

Rudyard Kipling

(Wiersz, którego Joe Alex nauczył się na pamięć, będąc bardzo młodym człowiekiem. Po wielu latach usłyszał go ponownie z ust emerytowanego generała_majora Johna Somerville'a, Komandora Orderu Łaźni i Komandora Orderu Cesarstwa Indii. Nie wiedział jeszcze wówczas, że niewiele godzin minie, a będzie powtarzał ten utwór do znużenia, strofa po strofie, przeczuwając, że stąd właśnie może wytrysnąć ów promyk światła, który rozjaśni krętą i najeżoną zasadzkami ścieżkę prowadzącą do zdemaskowania jednego z najprzebieglejszych morderców w dziejach Wielkiej Brytanii.)

Rozdział 1

Biada tym, którzy piszą księgę...

Joe Alex siedział przy stole i zmęczonymi, zrozpaczonymi oczyma wpatrywał się w kartkę papieru nawiniętą na wałek małej, płaskiej maszyny Olivetti, która służyła mu wiernie od tylu już lat. Przeciągnął powoli palcem po napisie Lettera 22 pośrodku grzbietu maszyny. Ani pyłku. Higgins zadbał nawet o to. Poczciwy, szczęśliwy Higgins, znał swoje obowiązki i przywileje, poruszał się równomiernie w ściśle uregulowanym świecie swej pracy i wypoczynku, mógł każdego wieczora powiedzieć sobie usypiając: Oto minął jeszcze jeden doskonale przepracowany dzień mojego życia!

Alex westchnął, wstał, wykręcił kartkę z maszyny i przyjrzał się jej marszcząc brwi z tak skupioną uwagą, jak gdyby poza cyferką „2” stojącą pośrodku u góry znajdowały się na niej słowa, do których przykładał ogromne znaczenie.

Ale na kartce nie było ani jednego słowa. Wkręcił ją na powrót i usiadł. To musiało przecież minąć. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta. Wstał dziś o piątej rano. O pół do szóstej usiadł do maszyny. Cztery i pół godziny...

Zerknął na leżącą obok maszyny kartkę oznaczoną cyfrą „1”. I ona była niemal pusta. U góry — pośrodku — znajdowały się dwa napisane rozstrzelonym drukiem wyrazy:

Joe Alex

Nieco niżej cztery następne, ujęte cudzysłowem:

„GDZIE PRZYKAZAŃ BRAK DZIESIĘCIU”

Tytuł książki nie był zły. Pochodził z jakiegoś wiersza. Z jakiego wiersza? Joe potrząsnął głową. Był przekonany, że zna ten wiersz, ale wszystko dzisiaj zawodziło: łatwość pisania, kompozycja, nawet pamięć. Pozostał tylko ten fragment. Gdzie przykazań brak dziesięciu...

— A może, po prostu, nie chce mi się pisać? — powiedział półgłosem. — Może za wiele napisałem już tych książek, w których wyławiam moich jakże zdolnych morderców z łatwością, z jaką moi rozsądni znajomi łowią pstrągi w Szkocji o tej porze roku? Może to już koniec? Jeżeli ten przeklęty talencik porzucił mnie nagle, będę musiał zająć się czymś prawdziwym. Ale czym? Nic innego nie umiem. Kiedyś umiałem przeprowadzać bombowce przez ogień artylerii przeciwlotniczej. Ale to było bardzo dawno, tak dawno, że sam już w to przestałem wierzyć. Mógłbym ewentualnie wstąpić do Scotland Yardu. Przyjęliby mnie przecież. Zostałbym policjantem. Jestem już przecież czymś w rodzaju detektywa honoris causa. Byłbym podkomendnym Bena Parkera i przychodziłbym punktualnie o ósmej do pracy. Nie, nie mógłbym przychodzić punktualnie do pracy. Nie umiem budzić się na żądanie. Wszystko, tylko nie to.

Umilkł. Przymknął oczy i przeciągnął się. Nie napisał dziś nic, a był tak zmęczony, jak po dwudziestoczterogodzinnym pisaniu non stop. A przecież jeszcze wczoraj wszystko miał doskonale ułożone w głowie. Pomysł tej powieści przyszedł nagle i skryształizował się w ciągu pół godziny. Joe był pewien, że będzie to jedna z jego najlepszych książek. Chociaż czytelnik otrzyma od autora wszystkie fakty nie osłonięte i wyraźne, nie odgadnie. Nie odgadnie, póki Joe Alex, twórca i bohater własnych powieści, nie powie mu, kto zabił.

Później nagle wszystko się zamazało, zbladło, zniknęło. Pozostał tylko nagi, banalny szkielek konstrukcji, który nie dawał się oblec w słowa. Nie mógł wykrzesać z siebie nawet pierwszego zdania.

Mimowolnie zerknął w stronę aparatu telefonicznego. Gdyby Ben zadzwonił. Boże, jak by to było dobrze, gdyby nagle Ben zadzwonił. „Czy to ty, Joe? Słuchaj, nie chciałbym ci przerywać pracy, ale jestem w tej chwili w Carltonie. Zabito maharadżę Aszampur! Pokój zamknięty od wewnątrz, okna też, straż przyboczna stała całą noc przed drzwiami apartamentu... a jednak został zabity! Czy mógłbyś zajrzeć tu na chwilę?”

Czy mógłby? Zerwałby się z krzesła i zjechał po poręczy w dół, a potem pognąłby samochodem przez zatłoczone poranne ulice Londynu i zahamowałby gwałtownie przed wspaniałym wejściem do hotelu. Agenci w cywilu rozpoznaliby go od razu. „Tak, proszę pana. Pan Parker oczekuje pana. Jest na miejscu wypadku. Apartamenty drugiego piętra”.

Niestety, telefon milczał i nie było najmniejszej szansy, że zadzwoni właśnie w tej chwili. Nikt nie zabijał maharadżów na zamówienie. Choć Joe wierzył w nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, nie wierzył w cuda.

Powoli zwrócił oczy ku maszynie. Położył palce na klawiaturze. Muszę spróbować — pomyślał. — Jedno, dwa, trzy zdania i wszystko popłynie jak zwykle. Wiem przecież, co chcę napisać. Czy tak łatwa rzecz była kiedyś tak trudna dla kogokolwiek?

Uderzył palcem w literę „J”. Potem „o”, później „e”.

„Joe... Alex...”

Był przesądny i zawsze umieszczał w pierwszym zdaniu każdej ze swych książek własne nazwisko...

Ale tym razem nie napisał ani jednego słowa więcej i choć nie wiedział o tym jeszcze w tej chwili, wiele czasu miało upłynąć przed napisaniem następnego słowa. Zawahał się.

— Lecz oto wchodzi kobieta i na jej widok usycha delikatny krzew boskiego natchnienia... — powiedział świeży, dziewczęcy głos w progu. — Zdaje się, że bardzo przeszkadzam, prawda?

Nie odwracając się od stołu, aby nie dostrzegła jego radosnego uśmiechu, Joe powiedział ponuro:

— „Biada tym, którzy piszą księgę dłońmi swymi, a później powiadają: rzecz tę zesłał Allah! — aby mogli uzyskać za nią zapłatę niewielką. Biada im za to, co dłonie ich wypisały, i biada ich zapłacie”.

— Co to takiego?

— Koran, moja najlepsza Karolino. Sura pierwsza, czyli Krowa. Werset ósmy: „Rosną w zatwardziałości serca swego”.

Odwrócił się nagle wraz z krzesłem, wstał i przytulił ją do siebie.

— Przestań, na miłość boską! — powiedziała półgłosem. — Cesałam się przez pół godziny, a za sekundę będę rozczochrana tak, że nawet twój dyskretny Higgins zacznie znacząco spoglądać w kąt pokoju i chrząkać, kiedy wejdzie. A mam przecucie, że wejdzie za chwilę, żeby mi zaproponować filiżankę herbaty.

Wyswobodziła się łagodnie i położyła rękawiczki na stole, ale natychmiast uniosła je i pochyliła się nad kartką oznaczoną cyfrą „1”.

— Gdzie przykazań brak dziesięciu! Zaczynasz nową powieść?

— Jak widzisz, moja kochana... — Joe westchnął. — Ale błagam cię, nie mówmy o tym. Mówmy o tym, co cię tu sprowadziło. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek przestąpiła próg tego mieszkania o dziesiątej rano.

— Ponieważ o dziesiątej rano wszyscy albo prawie wszyscy dorośli ludzie w Londynie pracują. Jeżeli nie ma mnie o tej porze w Instytucie, pracuję w domu. Zresztą, czy słyszałeś kiedyś, żeby młode damy składały wizyty u samotnych mężczyzn przed południem?

— Subtelności chronologiczne nie są moją najsilniejszą stroną — powiedział Joe rozkładając bezradnie ręce. — Szczerze mówiąc, nie widzę powodu, dla którego popołudnie albo wieczór miałyby...

Nie dokończył. Na progu rozległo się ciche chrząknięcie.

— Czy podać filiżankę herbaty, miss Beacon — zapytał Higgins i zwrócił pytające spojrzenie nie ku niej, lecz ku Alexowi.

— Tak! — odpowiedział Joe niemal z entuzjazmem. — Panna Beacon wypije herbatę razem ze mną. Czy zjesz coś? — zwrócił się do Karoliny.

— Jestem po śniadaniu. Tylko herbatę, jeżeli nie sprawi ci to kłopotu.

— Tak jest, proszę panienki.

Drzwi zamknęły się cicho.

— Czy nie poprosisz mnie, żebym usiadła? — Karolina rozejrzała się. Oczy jej przesunęły się po obu wspaniałych fotelach, które Robert Adam zaprojektował ongi dla skromnego, choć nieśmiertelnego stolarza Tomasza Chippendale.

— To świętokradztwo siadać na tym — powiedziała potrząsając jasną główką. — Przecież one ciągle jeszcze mają oryginalne obicia! Powinny być w muzeum.

— Hm... — Joe posadził ją w jednym z foteli i usiadł naprzeciw, przysunąwszy bliżej stolik intarsjowany maleńkimi postaciami skrzydlatych sfinksów. — Zawsze wydaje mi się, że meble w muzeum są smutne. Te cudowne gabineciki o legionach szufladek, w których nikt już nigdy niczego nie ukryje, te puste gotyckie skrzynie posagowe, pozbawione posagu i macierzanki, te stoły dębowe, na które żaden pijany szlachcic nie rozleje już wina, stojące za przegrodą z pluszowych sznurków, są prawie tak rozpaczliwe, jak monety wystawiane na widok publiczny w szklanych, wybitych pluszem gablotkach. Moneta nie powinna być nieruchoma! Powinna dzwonić w sakiewce, padać na ladę, przechodzić z rąk do rąk, ewentualnie lądować wraz z innymi monetami na dnie skrzyni jakiegoś staruszka, aby po jego śmierci spadkobierca mógł przewrócić ów kufer i zachłysnąć się widokiem migotliwego, rozbiegającego się po podłodze skarbu. Ale ta mumifikacja przedmiotów, które były w ciągłym użytku, i przeniesienie ich do ponurych sal pod straż ponurych woźnych, którzy sami ich nie tkną i innym na to nie pozwolą, jest paskudztwem. Powiadam ci szczerze, ile razy jestem w jakimkolwiek muzeum, gdzie abstrakcyjna istota, zwana społeczeństwem, nagromadziła to, co należało do poszczególnych ludzi, odczuwam niemal konieczność przesunięcia czegoś albo po prostu wsunięcia któregoś z drobniejszych eksponatów do kieszeni!

— Prześliczne poranne rozmyślenia wroga przestępców numer jeden! — powiedziała Karolina poważnie. — Mogłabym zarobić co najmniej sto funtów, gdybym sprzedała ten twój monolog któremuś z nieocenionych reporterów naszych pism codziennych: JOE ALEX MÓWI: „SAM MAM OCHOTĘ KRAŚĆ!” — na pierwszej stronie, oczywiście. Ale mam nadzieję, że nie robisz tego?

— Niestety! — Joe znowu rozłożył ręce. — Społeczeństwo złamało mi kręgosłup, kiedy byłem jeszcze niemowlęciem. Jestem istotą bardzo odległą usposobieniem od naszych renesansowych przodków. Powściągam z łatwością każde pragnienie. Zauważyłaś przecież, że nie pocałowałem cię dzisiaj ani razu.

— Na miłość boską... — Karolina zerknęła na drzwi. — On zaraz wejdzie.

— Wiem. I to właśnie różni mnie od naszych praocjów, którzy nie krępując się obecnością paziów, giermków, adiutantów, spowiedników, pachółków i dziewczek służebnych brali ukochane kobiety w ramiona i...

— Słuchaj — przerwała Karolina pospiesznie, nie odrywając oczu od drzwi. — Zanim przystąpisz do kompromitowania mnie w oczach służby, może będziesz na tyle uprzejmy, że zechcesz zapytać o powód mojej wizyty tutaj.

— Nie muszę... — Joe uśmiechnął się pogodnie. — Najbardziej zdyscyplinowana inteligencja epoki nie musi nikogo o nic pytać. Czy chcesz, żebym ci powiedział, co cię sprowadza? Dziś rano otrzymałaś pierwszą pocztą list ekspres, w którym nadawca prosił cię o natychmiastowe skomunikowanie się ze mną w bardzo ważnej dla niego sprawie. Dlatego nie poszłaś do Instytutu i przyjechałaś tutaj. W liście nadawca nie doniósł ci o żadnym straszliwym wydarzeniu, nic się nie stało, ale osoba nadawcy wzbudza twoje zaufanie albo szacunek i dlatego postanowiłaś od razu wypełnić jego życzenie.

Karolina spojrzała na niego niemal z przerażeniem.

— Joe, jak to?... Jak mogłeś wiedzieć?... Przecież...

— Mógłbym otoczyć się gęstym mrokiem tajemnicy i zachować twój jakże stosowny podziw jeszcze przez kilka minut, ale sprawa jest zbyt prosta dzięki przesłicznemu kostiumowi, który włożyłaś na tę okazję. Jest on wykonany z cieniutkiej wełny i żakiet jego ma dwie kieszonki. W jednej jest list. Ale kieszeń jest płytka i list wystaje nieco. Nawet z tej odległości widzę słowo: „Express”, podkreślone dwa razy czerwonym ołówkiem. Ponieważ masz na kolanach torebkę, więc wydawałoby się, że list powinien znajdować się w torebce. Ale przecież jesteś tylko kobietą i jadąc tutaj chciałaś go jeszcze raz przeczytać, żeby przygotować się do rozmowy ze mną. Czytałaś w taksówce i wsunęłaś list do kieszeni wysiadając z auta. Jeżeli chodzi o pozostałe moje uwagi, to wiem, że nic złego nikomu się jeszcze nie stało, bo jesteś w doskonałym humorze. Gdybyś otrzymała list z tragiczną wiadomością, weszłabyś tu z dyskretnym dostojeństwem i mówiłabyś poważnie i lekko przyciszonym głosem już od progu. Znam cię przecież, moja panienczko. Wbrew pozorom jesteś osobom poważną. Nadawca tego listu jest kimś szanownym i wzbudzającym twój szacunek, bo przyjechałaś od razu. Gdyby to była jakaś dawna znajoma, powiedzmy, koleżanka szkolna, która wie, że... no, że łączy cię przyjaźń z Joe Alexem, zaczęłaś do godziny trzeciej po południu, to jest do chwili, kiedy mieliśmy się spotkać w Carltonie. To wszystko.

— Rzeczywiście wygląda to bardzo prosto, chociaż jeden szczegół jest niezupełnie dokładny — powiedziała Karolina nieco zawiedzionym głosem. — Okazuje się, że nie jesteś jasnowidzem.

— Ależ jestem! Na tym właśnie polega moja przewaga nad ludźmi, którzy nie biorą pod uwagę wszystkiego... — Joe wypiął pierś i uderzył palcem w miejsce, gdzie powinno być znajdować się serce. — Co prawda, naród mój, który wieszał girlandy or-

derów na Beatlesach, nie zaszczylił mnie po wojnie żadnym odznaczeniem, ale jeśli Jej Królewska Mość zechce ustanowić kiedyś medal za spostrzegawczość, mogę ci powiedzieć w sekrecie, że wiem, na czyjej piersi zawisnie.

— Jesteś urzekająco skromny.

— Oczywiście, że jestem. Czy spotkałaś kiedykolwiek człowieka, który nie popełnił ani jednej omyłki podczas całej swojej kariery?

— Nie... — Karolina potrząsnęła głową, śmiejąc się. — Nie spotkałam i nie sądzę, że-bym go kiedykolwiek...

— Mylisz się! — przerwał jej. Wstał. — Masz go przed sobą! Niestety, osoby będące obiektami moich jakże precyzyjnych wniosków przeważnie nie żyją albo odsiadują kary więzienia tak gigantyczne, że trudno przypuszczać, abyśmy mogli się z nimi porozumieć przed upływem dwudziestego wieku. Dlatego, z braku świadków, musisz mi wierzyć na słowo. A jeśli nie wierzysz, zapytaj Bena. Bardzo niechętnie, z dużym wahaniem, ale powie ci on dokładnie to samo co ja: nie było do tej pory ani jednej zagadki, której nie rozwiązałbym do końca. Ani jednej, Karolino!

Zakręcił się na pięcie i usiadł.

— Czy wiesz, dlaczego wygłosiłem ten mały panegiryk na własną cześć?

— Prawdopodobnie sprawia ci to po prostu przyjemność — powiedziała z niewinnym wyrazem twarzy. — Istnieją ludzie, którzy nade wszystko lubią chwalać siebie i swoje zalety. Oczywiście nie wspominają przy tym nigdy o wadach. To mogłoby im trochę popsuć tę niewinną przyjemność.

— Właśnie! — Joe wskazał dłonią stół. — Czy wiesz, że wstałem dzisiaj niemal przed świtem i nie napisałem dotąd ani jednego słowa? Nie, przepraszam, napisałem, zdaje się, dwa słowa.

— Widocznie dobry Bóg zadbał o to, żebyś nie był wszechstronnie bezbłędny. Nie przejmuj się, Joe. Ja, na przykład, nie umiem gotować. Ile razy próbowałam sobie w życiu coś ugotować, zawsze okazywało się, że ktoś musi zrobić to po raz drugi, bo rzecz nie nadaje się do jedzenia. Widocznie u ciebie tak jest z pisaniem — dodała pogodnie. — Ale może pozwolisz mi powiedzieć, dlaczego przeszkodziłam ci teraz w tym najmilszym z zajęć.

— Przepraszam, zupełnie zapomniałem, że może cię w życiu interesować coś prócz mnie.

Wszedł Higgins, niosąc herbatę. Kiedy zniknął, Karolina ostrożnie pogłaskała dzbanuszek, nad którym unosił się małeńki obłoczek parującego mleka.

— Niestety, jestem ofiarą mojego zawodu. Czy Higgins nigdy nie stłukł żadnego z tych cudów? Przecież to Sévres, jeden z najwcześniejszych, jeżeli znam się na tym chociaż trochę.

— O ile wiem, Higgins nie tłucze porcelany. Dlaczego miałby ją tłuc?

— Och, po prostu dlatego, że jest bezcenna. Mnie drżałyby palce przy myciu tego. Na świecie istnieje jeszcze w tej chwili pięć albo sześć podobnych dzbanuszków tej klasy z tego okresu. On naprawdę powinien być w muzeum, a przynajmniej nie powinien używać go na co dzień. Spójrz na te ptaki! To chyba najdelikatniejszy wzór, jaki widziałam w życiu.

— Jesteś odrobinę egzaltowana i chociaż wszystko we mnie cofa się przed tą myślą, to jednak uczciwość każe przyznać, że jest w tobie coś ze starej panny! — Joe uniósł dzbanuszek. — Ile mleka?

— Troszeczkę. O, tyle. Stare panny też muszą dbać o linię. Dziękuję.

Sięgnęła do kieszeni, wyjęła z niej list i bez słowa podała mu ponad stolikiem. Później wysypała cukier do filiżanki i zaczęła mieszać powoli, w milczeniu, przyglądając się spod długich rzęs czytającemu mężczyźnie.

„Droga Karolino — zaczął czytać Joe półgłosem — chociaż wiem, że listy pochodzące od ludzi tak starych, jak ja, mogą się wydawać nużące osobom tak młodym i pełnym życia, jak Ty, pozwalam sobie jednak skorzystać z tego, że jestem bratem Twojego zmarłego dziadka, i chcę poprosić Cię o pewną przysługę. Choć od kilku już lat nie opuszczam mojej samotni, odwiedza mnie jednak wiele ludzi... (przy okazji pragnę raz jeszcze podziękować Ci za Twoje ostatnie odwiedziny, które wniosły powiew młodości do mojego domu, pleśniejącego już powoli równocześnie ze swym właścicielem) — i niektórzy z nich powtarzają mi londyńskie plotki. Kilkakrotnie obito mi się o uszy nazwisko Joe Alex, które bywa łączone z Twoim, choć w sposób jak najbardziej dyskretny. Nie myśl, że list ten ma na celu zwrócenie Ci uwagi na te plotki. Od dni mojej młodości wiele się zmieniło w świecie i nie chciałbym zabierać głosu w sprawach, których już najprawdopodobniej nie rozumiem. Zresztą, jestem nie tylko emerytowanym generałem, ale i emerytowanym liberałem, i wydaje mi się, że kobiety współczesne są szczęśliwsze niż ich babki. Wywalczyłyście sobie wolność, a stary, odchodzący od życia człowiek nie powinien zabierać głosu w tych sprawach.”

— Bardzo rozsądne... — mruknął Joe — chociaż miałem cichą nadzieję, że twój dziadek będzie cię nakłaniał do małżeństwa. Ostatnio wiele myślałem o tym i muszę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że...

— Czytaj dalej! — powiedziała Karolina pospiesznie.

Alex niechętnie przeniósł wzrok na papier zapisany drobnym, wyraźnym, nieco drżącym charakterem pisma.

„Jeśli wspominałem Mr. Alexa już na początku tego listu i jeśli pozwoliłem sobie ujawnić, że wiem o łączącej was przyjaźni, to uczyniłem tak tylko dlatego, gdyż doszedłem do wniosku, że jest to człowiek, z którym chciałbym się spotkać w najbliższym czasie. Niestety ani wiek, ani stan zdrowia nie pozwalają mi na podróż do Londynu. Dlatego proszę Cię,

Karolino, abys, o ile to mozliwe, naklonila Mr. Alexa do odwiedzenia mnie. Oczywiście, nie muszę chyba dodawać, że także Twoja obecność będzie dla mnie jak zawsze prawdziwą radością. Gdybyś zdecydowała się pomówić z Mr. Alexem o moim zaproszeniu, bądź tak dobra i powiedz mu, że jestem gorącym wielbicielem jego książek i mam je wszystkie u siebie na podręcznej półeczce w sypialni. Dalej także, że znam z gazet historię jego niezwykłych sukcesów na polu kryminologii...”

— Czy mam powtórzyć powoli i dobitnie to ostatnie zdanie? — powiedział Joe spuszczając skromnie oczy.

— Nie trzeba. Dziadek John jest, jak już wiesz z tego listu, emerytowanym generałem. Wiemy przecież, co czytają najchętniej zawodowi wojskowi wszystkich krajów. Ale czytaj dalej.

„Sprawa, którą chciałbym poruszyć w rozmowie z Mr. Alexem, jest natury ściśle poufnej i nie nadaje się do powierzenia korespondencji. Zresztą przekonany jestem, że dla wyjaśnienia jej konieczny byłby przyjazd Mr. Alexa do Mandalay House. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że Twój znajomy jest zapewne bardzo zajęтым człowiekiem, a jeśli nie interesuje go rzeźba indyjska, nie znajdzie tu zbyt wiele atrakcji prócz pływania w zatoce i łowienia ryb z pokładu mojej motorówki, co także może wydawać mu się niezbyt ciekawe, jeśli nie jest rybakiem. Ale wierz mi, moja mała Karolino, że bardzo mi zależy na jego przyjeździe tutaj i dlatego właśnie zwracam się do Ciebie, a nie do Mr. Alexa bezpośrednio. Nazwisko moje zapewne nic by mu nie powiedziało. Natomiast, znając Ciebie od czasów, gdy nosiłem Cię na plecach na brzeg morza (czy pamiętasz te różowe muszelki i naszyjnik, który Ci zrobił z nich Chanda?), wiem, że będę mógł polegać na Twoim takcie i uporze...”

— Pan generał ma słuszność... — mruknął Alex — przynajmniej jeśli chodzi o to drugie.

— Dokończ, błagam! — Karolina wstała i obesła stół — a później porozmawiamy. Mam zamiar wykazać tu jak najwięcej taktu, a jak najmniej uporu. Kiedy skończysz, powiem ci, co myślę o tym liście i jego nadawcy.

— Zgoda. Zaraz będzie koniec. Gdzie to ja przerwałem? Tutaj.

„...na Twoim takcie i uporze. Jakakolwiek byłaby decyzja Mr. Alexa, proszę Cię bardzo o jak najszybszą odpowiedź. Może dodaj tylko, że problem, który miałby tu do rozstrzygnięcia, mógłby go zainteresować. Mnie interesuje on tak bardzo, że pozwoliłem sobie zanudzić Cię tym przydługim listem. Pozdrawiam Cię jak najserdeczniej i proszę o przekazanie moich pozdrowień Twojej drogiej Matce.

*Kochający Cię zawsze tak samo, Twój dziadek
John Somerville.”*

Alex uniósł głowę.

— John Somerville? — powiedział oddając list dziewczynie. — Wydaje mi się, że znam to nazwisko. Nie mogę go sobie tylko umiejscowić w pamięci. Zaraz, chwileczkę... Pisz o rzeźbie w Indiach. Czy może to ten sam człowiek, który napisał „Południowoindyjskie brązy”, „Pomniki w Sanchi” i... Czekał... jakże się ta książka nazywa?... Już wiem! „Lew w dawnej rzeźbie indyjskiej”?

— Napisał około dwudziestu książek dotyczących wszystkich niemal szkół i okresów rzeźby indyjskiej, nie licząc artykułów w prasie specjalistycznej. Między innymi jest autorem rozpraw, które wymieniłeś. Ale naprawdę nie mogę pojąć, skąd ty...

Obszedł stolik i pocałował ją delikatnie w czoło.

— Bo jest mi to w tej chwili potrzebne. Gdybym chciał napisać o nas książkę, zacząłbym ją od słów: „Karolinie, która była osobą zrównoważoną i hołdującą ustalonym, żeby nie użyć słowa utartym, poglądom na świat i ludzi, Joe Alex zawsze wydawał się istotą tak pełną uroczych choć czasem niesamowitych niespodzianek, że przywiązanie jej do tego genialnego i jakże skromnego człowieka rosło z każdym rokiem, aż wreszcie pojęła w sposób ostateczny, że życie bez niego, choćby przez krótki okres czasu, byłoby dla niej niewysłowionym cierpieniem, przeplecionym dramatycznymi błyskawicami bólu. A gdy upewniła się, że uczucie jej dla tej najbardziej zdumiewającej osobowości i najdoskonalej zdyscyplinowanej inteligencji naszej epoki nie może ulec zachwianiu, otoczyła ciepłymi ramionami szyję umiłowanego i łzy radości trysnęły wezbranym potokiem z jej rozkochanych oczu...” — Jak ci się to podoba? Może trochę za wiele ekspresji w opisie działań, ale doskonale ukazuje myśli i uczucia bohaterki, prawda?

— Jestem wstrząśnięta. Jeszcze jedno takie zdanie, a możesz być pewien, że wezbrane potoki łez trysną z moich oczu i będą płynęły dłużej, niż przypuszczasz. Nie jestem tylko pewna, czy będą to łzy radości. Błagam, przestań na chwilę błaznować, Joe, i powiedz mi w paru prostych zdaniach, co mam odpowiedzieć generałowi Somerville?

Joe, który od chwili wygłoszenia swej przerażającej tyrady śmiał się cicho, spoważniał nagle.

— Zanim odpowiem, muszę cię o coś zapytać.

— Oczywiście. Na pewno masz masę pytań. Przecież nie wiesz nic o...

— Chwileczkę. Wspomniałaś, że jeden szczegół z tych, które wymieniłem, mówiąc o nadawcy listu, nie jest zupełnie dokładny. Co miałaś na myśli?

— Och... — Karolina zawahała się. — Powiedziałaś, że osoba nadawcy wzbudza moje zaufanie i szacunek...

— A czy tak nie jest? Mam wrażenie, że generał Somerville nie jest chyba młodym człowiekiem.

— No, ale nie jest to przecież równoznaczne z zaufaniem i szacunkiem.

— Czy chcesz powiedzieć, że nie uważasz stryja swojej matki za człowieka uczciwego?

— W innych okolicznościach starałabym się zmienić temat rozmowy, ale jeśli dziadek John sam chce, żebyś go odwiedził, nie mogę być nieszczerą. Powinieneś wiedzieć jak najwięcej o tej sytuacji, a ochrona czci rodzinnej też ma swoje granice, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że...

— ...że mówisz do człowieka, który niemal... dla którego... to znaczy... wiesz, co chcę powiedzieć: że jesteś dla mnie może nawet więcej niż członkiem rodziny.

— Wiem — Karolina uniosła oczy ku niebu. Roześmiała się. Ale i ona spoważniała nagle. — Właśnie dlatego, Joe, że jesteś jedną z najbliższych mi w świecie osób, nie chciałabym... — urwała. Potem niemal niedostrzegalnie wzruszyła ramionami. — Ale jeżeli dziadek John sam o to prosi, jestem ci winna kilka zdań wyjaśnienia. Otóż, bardzo go zawsze lubiłam, lubię go nadal. Był dla mnie bardzo dobry, kiedy byłam mała. Ale... — Znowu zawahała się. — Możesz pomyśleć, że sąd mój jest zanadto subiektywny. Bo, widzisz, dziadek John nie jest w moim przekonaniu człowiekiem przyzwoitym... przynajmniej, jeśli chodzi o nas... o moją mamę i ojca.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i Joe dostrzegł, że zaczerwieniła się. Udając, że szuka zapalek, odwrócił się, podszedł do biurka i zaczął poruszać na nim cicho i bezsensownie papierami. Karolina mówiła dalej.

— Nigdy nie byliśmy zamożni, ale kiedy mój ojciec został ciężko ranny na wojnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, a potem już nie mógł naprawdę dojść do siebie, i został, praktycznie biorąc, zupełnym inwalidą z niewielką rentą, sytuacja nasza pogorszyła się znacznie i byłaby zupełnie krytyczna, gdyby nie moja mama i jej ogromna energia. Wyobraź sobie, że ta kobieta, która nie miała żadnego zawodu, wyuczyła się błyskawicznie tajników kosmetyki i założyła mały salonik piękności na prowincji, dzięki któremu potrafiła później wykształcić mnie i zapewnić istnienie na jakim takim poziomie sobie i ojcu. Ale nie o mojej mamie chcę mówić, chociaż cała ta sprawa jest z nią związana. Otóż w ciągu najbardziej krytycznego okresu, kiedy wyczerpały się już pieniądze otrzymane od rządu jako rekompensata za trwałe inwalidztwo ojca, matka z trudem zdobywała środki na najbardziej konieczne wydatki i sytuacja wyglądała beznadziejnie. Wtedy, stojąc w obliczu absolutnej ostateczności i nie mając innego wyjścia, napisała do dziadka Johna, który jest przecież jej rodzonym stryjem. Muszę dodać od razu, że dziadek John jest człowiekiem bardzo bogatym. Jak zdobył swoją fortunę, o tym za chwilę, ale najpierw dokończę to, co mam do powiedzenia o tamtej sprawie. Otóż, mama nie chciała oczywiście żadnej darowizny. Prosiła go tylko, czy nie mógłby nam pożyczyć pewnej ilości pieniędzy. Nie pamiętam już dokładnie, ile jej było potrzeba, ale wiem, że nie wchodziła w grę wielka suma. Chciała pożyczyć te pieniądze na pewien stosunkowo krótki okres czasu i obrócić je na urządzenie tego właśnie zakładu kosmetycznego, o którym ci już wspominałam. W budżecie dziadka Johna pozycja ta byłaby niemal niedostrzegalna, a dla nas stanowiła kwestię życia i śmierci. Nadal w proś-

bie tej nie widzę niczego niestosownego, zważywszy czas wojny, tak bliskie pokrewieństwo, naszą biedę i ogromny majątek Somerville'a. Opisała mu zresztą dokładnie całą sytuację...

— I jak można przypuszczać z tego, co powiedziałaś na wstępie, staruszek odmówił, tak?

— Nie tylko odmówił, ale dość dobitnie odpisał, że nie on wypowiedział wojnę, więc nie do niego należy ponoszenie jej finansowych skutków. Dołączył jeszcze do tego stwierdzenia kilka rad i uwag, zamykających się mniej więcej w tym, że tylko samodzielność w życiu jest coś warta, że nie należy liczyć na niczyją pomoc i prosić o nią, bo ładowanie pieniędzy w słabeuszy, którzy sami sobie nie mogą dać rady w życiu, jest nonsensem, a silni potrafią zdobyć konieczne środki bez niczyjej pomocy i dopną swego celu.

— Krótko mówiąc, twardy wiktoriański charakter twórcy imperium i żołnierza niezłomnego także w sprawach finansowych.

— Krótko mówiąc, paskudnie z mamą postąpił. Nie pamiętam tych czasów, ale mama opowiadała mi, że przez tydzień płakała w ukryciu, prosząc Boga, żeby ojciec, którego nerwy były wtedy w fatalnym stanie, tego nie zauważył. A później... Później jakoś sobie poradziła bez pomocy generała Somerville'a.

Joe uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie.

— To znaczy, że dziadek John, jeżeli wolno mi go tak nazywać, miał trochę słuszności w ocenie swojej bratanicy, chociaż trudno twierdzić na podstawie jego uczynku, że jest on wzorem cnót chrześcijańskich.

— Na pewno nie jest! — Karolina także mimowolnie uśmiechnęła się. — Mama wyszła zwycięsko z tej próby i nie ma powodu, żeby rozpamiętywać wady jej krewnych. Ale dziadek John nie jest człowiekiem tak jednoznacznym jak by się wydawało. Otóż w postscriptum do tego listu, w którym odmówił mamie wszelkiej pomocy finansowej, zaprosił mnie do siebie na nie określony przeciąg czasu!

— Nie rozumiem. Byłaś jeszcze wtedy malutką dziewczynką.

— No właśnie. Napisał, że chociaż nie sądzi, aby finansowanie amatorskich salonów kosmetycznych było jego głównym posłannictwem, rozumie trudności, z jakimi mama się boryka. Sytuacja taka musi, jego zdaniem, wpłynąć negatywnie na jej opiekę nad mną i na moją edukację. Dlatego zaproponował, żebym przeniosła się chwilowo do niego, i obiecał, że ze swej strony otoczy mnie jak najlepszą opieką i zrobi wszystko, żebym wyrosła na „dzielnego człowieka”.

— A twoja mama?...

— Mama zgodziła się. Nie miała zresztą innego wyjścia. Życie w Anglii, tuż po wojnie nie było łatwe. Chociaż rozstanie ze mną przeżyli bardzo oboje, ona i ojciec, pojechałam. I zostałam u dziadka Johna, przez sześć lat, póki rodzice nie stanęli na mocnym gruncie.

Urwała i uśmiechnęła się.

— Okazało się zapewne, że emerytowany generał nie jest wcale takim złym dziadkiem, jak by można było sobie wyobrazić, sądząc po sposobie, w jaki potraktował prośbę twojej matki?

— Tak. Szczerze mówiąc, były to chyba najradośniejsze lata w moim życiu. Ogromny, stary dom z własną plażą nad ciepłą zatoką. Wielki ogród, oranżeria pełna podzwrotnikowych krzewów i, nade wszystko, dziadek John, który okazał się dla samotnej czteroletniej dziewczynki, odłączonej nagle od rodziców, najciekawszym dziadkiem świata. Był zupełnie zdumiewający. Zabierał mnie wszędzie z sobą, mówił mi o rzeźbach, o technice wytopiania brązu, o obróbce kamienia, o historii Indii i o swoich czterdziestu latach pobytu w tym kraju. Oczywiście, sprowadził dla mnie guwernantkę Francuzkę i w ogóle byłam wychowywana jak księżniczka. Muszę ci powiedzieć, Joe, że ile razy wspominam ten okres, na który przestałam już patrzeć oczyma dziecka, wydaje mi się, że właśnie pobyt u dziadka Johna zrobił ze mnie archeologa. Poszłam stamtąd w świat z ciekawością i szacunkiem dla dawnych artystów i z pragnieniem penetrowania przeszłości. Nie wspominam już o tym, że dziadek John nauczył mnie tej odrobiny sanskrytu, która później tak mi się przydała, a guwernantka zmusiła mnie po dramatycznych bojach do opanowania francuskiego, łaciny i początków greki.

— Krótko mówiąc, dziadek John jest świętym Mikołajem twojego życia.

— Niezupełnie. Kiedy mama zabrała mnie z powrotem do siebie, tęskniłam do dziadka i jego domu. Przypominam sobie, że płakałam po nocach, starając się oczywiście, żeby nikt tego nie dostrzegł, bo z kolei nie chciałam robić przykrości rodzicom. Ale to prędko minęło. Dzieci łatwo zapominają. Pisywałam do dziadka, a on do mnie. Raz do roku odwiedzałam go na dzień lub dwa z mamą, zresztą robię to nadal. Ale nie mogę powiedzieć, żeby zaciekawił go kiedykolwiek mój los od chwili, gdy usunięto mnie z orbity jego wpływów. Nigdy potem nie przejawiał zbytniego zainteresowania moją osobą i grzecznie, ale bez entuzjazmu kwitował wiadomości o moich postępach w nauce, a w końcu o przyjęciu do Instytutu i tych paru małych sukcesach, jakie miałam dotychczas. Z chwilą kiedy opuściłam jego dom, stał się tak samo obcy, jak był przedtem. Nie znaczy to, oczywiście, że jesteśmy w złych stosunkach. Może byłyby one nawet lepsze, gdybym poszła za jedyną radą, którą mi dał, gdy byłam na studiach. Chciał, żebym się zajęła archeologią Indii. Niestety, Indie nie interesowały mnie nigdy w tym stopniu, co kraje basenu Morza śródziemnego.

— Zważywszy fakt, że on sam jest autorytetem w jednej z dziedzin sztuki tego kraju, można go chyba rozgrzeszyć, prawda? — powiedział Joe.

— Tak, na pewno. Ale dziadek John niedwuznacznie sugerował mi, że gotów jest pokrywać kosztą moich studiów i utrzymania, nie mówiąc już o egzotycznych podróżach na Wschód, jeżeli poświęcę się sztuce indyjskiej i dam mu słowo, że nie zdradzę nigdy

tej dziedziny. Chciał we mnie widzieć, jak sądzę, wiernego pomocnika i dziedzica jego idei. Kiedy odmówiłam, nie było już mowy o żadnej pomocy. Może po prostu zapomniał? Jest bardzo stary. Minał już dziewięćdziesiątkę, ściśle mówiąc, ma dziewięćdziesiąt jeden lat.

— Piękny wiek!

— Kiedy go zobaczysz, nie uwierzysz w to. Umysł ma tak bystry, jak miał Bernard Shaw, gdy był jego rówieśnikiem. Porusza się szybko i mówi z niezmaconą logiką. Ma nawet bardzo specyficzne, starcze poczucie humoru. Jak gdyby bawiła go nieuchronność nadchodzącej śmierci. Często przeraża tym nie znających go dobrze rozmówców.

— Wszystko to brzmi bardzo sympatycznie...

— Na pewno. Ale jeżeli dodam, że zbiory jego pochodzą w połowie z rabunku, a w połowie z łapówek, wyłudzonych od tych nieszczęsnych Hindusów i Birmańczyków w czasach, gdy miał coś do powiedzenia na obszarze znajdującym się pod jego komendą wojskową, to sprawa będzie się przedstawiała nie tak zabawnie. Sam zresztą otwarcie o tym mówi. Jest starym kawalerem i te kamienne, brązowe, pozłacane i srebrne figury zastępują mu rodzinę. Twierdzi, że jest to najpiękniejszy z rodzajów miłości, bo ukochane jego istoty nie starzeją się nigdy, nie robią przeciw niemu intryg i nie zaznał od nich nigdy niczego, prócz radości. Tyle, jeśli chodzi o posągi i posążki, natomiast w stosunku do ludzi nie ma żadnych skrupułów. Pojechał do Indii przed laty jako ubogi młody oficer i powrócił bardzo bogatym człowiekiem. Kiedy zapytałam go, będąc dziewczynką, jak to było możliwe, odpowiedział mi: „Pamiętaj, Karolinko, jeżeli człowiek ma w życiu jakąś wielką namiętność, powinien wszystko dla niej zrobić. Kto chce zadowolić równocześnie króla, Boga, rodzinę, własne sumienie i swoją wielką pasję, zawsze przegrywa i ginie w rozpacz. Świat ten wymyślony został dla silnych. Tylko silni mogą być dobrzy... później...” — Znowu urwała i dokończyła z uśmiechem: — Ale obawiam się, że w przypadku dziadka Johna to „później” jeszcze nie nastąpiło. Jest tak samo samotny, oderwany od ludzi i obojętny wobec świata, jakim był zawsze. A szkoda... Wydaje mi się, że mogłabym bardzo kochać tego staruszka.

— A mnie się wydaje, że w pewien sposób kochasz go... — Joe podszedł, ujął jej głowę w dłonie i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy. — Na dnie serca masz żal, Karolino, że twój dziadek John, samotny, stojący nad grobem człowiek, nie uważa cię za oczko w głowie. Wydawałoby się, że to niemal jego obowiązek, prawda? Ma taką śliczną, miłą i promienną, młodą krewną, zna ją od dziecka i... Nic. Ale jeżeli pomyślimy, że nie chciałaś poświęcić się ulubionemu przedmiotowi jego zainteresowań, to...

— W końcu mam prawo postępować tak, jak zechcę!

— Więc nie odmawiaj tego prawa generałowi Somerville.

— Widzę, że albo przedstawiłam go w zbyt różowych barwach, albo siebie mimowolnie w zbyt ciemnych. Ale zrozumiesz wszystko, kiedy go poznasz. Wracając do tematu...

— Myślę, że nie ma potrzeby wracać do tematu twoich odwiedzin tutaj. Ta książka... — wskazał biurko — tylko zyska na tym, jeżeli przez kilka dni nie będę widział maszyny do pisania. Wielki dom, pełen rzeźb, wielokrotnie starszych niż twój stary dziadek, a pomiędzy nimi snuje się zapewne siwy hinduski służący, który od pół wieku nie opuścił swego pana ani na jeden krótki dzień. Zawsze uwielbiałem takie idylliczne obrazki i uczucia. Jest tam, oczywiście, stary hinduski służący, prawda?

— Skąd wiesz?

— O Boże! — Joe westchnął. — Przecież wiem nawet, jak ma na imię Chanda, prawda? No, tak... Bo cóż by innego miał znaczyć ten passus w liście mówiący o naszymjniku z muszelek, który wykonał dla ciebie Chanda.

— Zapomniałam o liście.

— A ja nie, bo Joe Alex nie zapomina o niczym... prócz herbaty. Jest już zupełnie zimna. Czy może być coś gorszego niż zimna herbata, Karolino?

— Może być — odpowiedziała wznosząc oczy ku niebu. — Nadmierna skromność. Ale nie martw się, tobie to nie grozi.

Joe ze wstrętem odstawił filiżankę.

— Czy twój dziadek John ma telefon?

— Oczywiście.

— Jestem pewien, że pamiętasz numer, a jeśli nie, to na pewno jest on zanotowany w tym małym czarnym notesiku, który spoczywa w twojej torebce. Podaj mi ten numer. Wydaje mi się, że powinnaś uprzedzić generała Somerville'a o naszym przyjeździe.

— Kiedy chcesz wyruszyć?

— Gdzie dokładnie leży ta posiadłość?

— W Devonshire, pomiędzy Torquay i Teignmouth.

— Wspaniale Devon! Jedyny ciepły zakątek naszej ponurej, romantycznej ojczyzny. Nic dziwnego, że twój dziadek osiadł tam po czterdziestu latach pobytu w Indiach. W Szkocji, a nawet w Londynie, jego stare kości dawno próchniałyby już chyba w rodzinnym grobowcu. Devon! Znakomicie! Wiesz, jak by się zaczynał drugi rozdział powieści o nas? — „Joe Alex i jego urocza jasnowłosa przyjaciółka wypoczywali na plaży. Stojące w zenicie słońce gładziło miłośnie ich gibkie, opalone ciała, a Prąd Zatokowy, niosący od zamierzchłych tysiącleci ciepłe wody Meksyku ku brzegom tego skrawka zimnego Albionu, lizał miłośnie ich stopy. W górze, wysoko ponad leżącymi, kołysał się nieruchomy albatros. Patrzyli nań spod przymrużonych powiek i śnili na jawie. Radość obojga kochanków była niczym nie zmacona, gdy nagle... — zawiesił głos na ułamek sekundy — powiało chłodem i mroczny cień przesłonił słońce. To stuletni niemal służca generała, który podszedł bezszelestnie, jak gdyby brunatne jego stopy unosiły się w powietrzu ponad piaskiem, pochylił się nad leżącymi i wyszeptał ochryple: — Sahib Generał prosi, abyście zechcieli spożyć z nim miskę ryżu i filiżankę bambusowej zupy”. Pięknie, prawda?

— Czy powiedziałeś „ich gibkie ciała”, Joe?

— Tak.

— Właśnie. Chciałam ci zwrócić uwagę, że zaczynasz trochę tyć. A numer telefonu, o który prosiłeś, jest następujący: Devonshire, Teingmouth 48-88, „Mandalay House”.

Joe podszedł do aparatu.

— Czyżby?... — mruknął. — Więc tyję? No cóż. Mężczyzna w średnim wieku nie może wiecznie wyglądać jak osiemnastoletni chłopiec.

Zawrócił nagle.

— Porozmawiajmy jeszcze chwilę. Trzeba, żeby to nie było nazbyt spontaniczne. Generał nie powinien przypuszczać, że pędzimy do niego bez tchu, prawda?

Rozdział 2

Zasztyletować go jednym z eksponatów

Spojrzał na Karolinę, która nie przestawała się uśmiechać.

— Czy sam chcesz z nim porozmawiać?

— Nie — Joe potrząsnął głową. — Chciałbym, żeby generał Somerville docenił nie tyle moją gotowość usłużenia mu, ile twoją dobrą wolę w tej sprawie. Myślę, że będzie lepiej, jeżeli ty z nim pomówisz. Powiedz, proszę, że chociaż jestem człowiekiem niesłyszanie zapracowanym, dla którego każda godzina posiada lśniąca wagę dukatowego złota, to jednak uległem twoim prośbom i...

— W głosie moim będą tłumione łzy wzruszenia. — Karolina ze zrozumieniem po-kiwała jasną główką. — Będę z trudem formułowała zdania. Ale może ustalmy najpierw termin naszego przyjazdu? Czy mam powiedzieć staruszkowi, że nie wiesz, kiedy znajdziesz czas i ile tych dukatowych godzin możesz mu poświęcić? Czy może określimy, kiedy ma nas oczekiwać?

— Oczywiście. Pomimo pewnej kwiecistości stylu, która maskuje prawdziwą intencję autora, sądzę, że generał Somerville chciałby się ze mną zobaczyć jak najprędzej. Tak to przynajmniej zrozumiałem. Dla człowieka dziewięćdziesięcioletniego czas znaczy chyba więcej niż dla nas. Zresztą, jeśli w grę wchodzi sprawa, która naprawdę mnie interesuje, doświadczenie mówi mi, że z reguły przybywam za późno albo w ostatniej chwili. Zapytaj generała, czy chciałby nas widzieć już jutro... — zawahał się. — Gdybyśmy rano wyruszyli samochodem i pojechali przez Salisbury i Exeter, podróż trwałaby chyba nie więcej niż cztery, pięć godzin, prawda?

Karolina w milczeniu potwierdziła ruchem głowy. Joe ciągnął dalej:

— Powinniśmy tam zjechać na lunch. Dorzuciwszy godzinę na nieprzewidziane wydarzenia, jak burze, mgły, dziury w dętkach i inne radości automobilisty, możemy ustalić górną granicę przyjazdu do Mandalay House na drugą po południu. Ale twój dziadek na pewno lubi zdrzemnąć się po lunchu, tak że pół godziny odchylenia od tej granicy w jedną lub w drugą stronę nie zrobi mu różnicy. Kiedy otworzy sędziwe oczka, Joe Alex, archanioł z mieczem ognistym w dłoni, będzie stał nad jego fotelem rozglądając się z nieporównaną uwagą w poszukiwaniu wrogów imperium. A więc o drugiej, zgoda?

Karolina rozłożyła ręce.

— Jeżeli dziadek John marzy o poznaniu ciebie, a ty marzysz o spotkaniu z nim, moja zgoda nie gra żadnej roli. Mimo że przejażdżka Rolls Royce'em nad morze posiada w sobie coś z marzenia stenotypistki, nie mam żadnych zastrzeżeń. O której wyruszamy?

— O dziewiątej, jeśli nie masz nic przeciwko temu — Joe podszedł do półki i wyjął z niej gruby tom oprawionych w płótno map samochodowych. — Wydawało mi się zawsze, że Rolls Royce jest najprzystojniejszym samochodem na świecie. Czy byłabyś zadowolona, gdybym kupił Jaguara?

— Oczywiście! — Nabrała głęboko powietrza w płuca. — „Czerwony Jaguar połykał przestrzeń świszcząc złowrogo jak pocisk! Nieskończona taśma szosy nawijała się na szpulę kół. Dziewczę przymknęło oczy i oparło głowę na ramieniu ukochanego, który siedział nieruchomo za kierownicą, wpatrzony stalowymi, przymrużonymi oczyma w drogę. Jak purpurowa połyskliwa błyskawica wóz przelatywał przez wsie i miasteczka, a cel podróży zbliżał się nieuchronnie z każdą sekundą. Na końcu drogi czekała ich walka na śmierć i życie. A może tylko śmierć? Ale Karolina nie lękała się. Ramię, na którym oparła swą śliczną dziewczęcą główkę, promieniowało siłą i spokojem. Jaguar mknął nieustraszenie, nie zwalniając na widok owiec, kur, kobiet, dzieci i samotnych policjantów. Wszystko rozbiegało się w popłochu na jego widok, a stworzenia, które nie zdążyły umknąć, wpadały bezgłośnie pod koła lub trwały przez chwilę na masce wozu, rozbite na atomy, zanim nie zdmuchnął ich kosmiczny niemal wicher pędu. Lecz Jaguar prowadzony przez Joe Alexa żelazną dłońią (w zamszowej rękawiczce!) nie znał przeszkód. Nic nie mogło go powstrzymać...”

— Co to jest, na miłość boską?! — zapytał Joe odejmując dłonie od skroni.

— Trzeci rozdział twojej powieści o nas — odpowiedziała skromnie panna Becon. — Jeżeli sobie życzysz, mogę natychmiast zaimprovizować rozdział czwarty, pod tytułem „Bogactwo uderza do głowy”. Powiedz, Joe, co cię skłoniło do kupienia Rolls Royce'a? Przecież to okropne, żeby zwykły, normalny człowiek miał taki samochód!

— Masz słuszość. Ale ja nie jestem zwykłym człowiekiem. Kiedy byłem chłopcem, nie chciałem być ani marynarzem, ani strażakiem, ani lordem. Nie chciałem nawet być lotnikiem. Chciałem mieć Rolls Royce'a, czarnego, wielkiego Rolls Royce'a o nienowoczesnej linii, absolutnie cichego, absolutnie doskonałego, ogromne, wysokie auto, do którego można wsiąść nie zdejmując z głowy cylindra, auto mogące osiągnąć nieograniczoną szybkość bez utraty dostojnego wyglądu. Albowiem, moja najlepsza Karolino, nie lubię rzeczy szybko przemijających i psujących się łatwo. Przykładem niech będzie: a) ten Rolls, b) moja miłość do ciebie, która...

— Rozumiem — Karolina wstała. — Joe, jesteś jednym z nielicznych ludzi na świecie, którzy zawsze działają mi na nerwy. W świetle tego, co powiedziałeś w tej chwili, nie rozumiem zupełnie, dlaczego od lat...

— ...kochasz mnie? Tak? Ba, jesteś na to skazana, tak jak ja jestem skazany na ciebie. Dożywotnio i bez apelacji.

— Każdy więzień może mieć nadzieję... że...

— Nie my, moja najdroższa! Nie my! Bo my się naprawdę kochamy. Ty kochasz mnie, chociaż jesteś przekonana, że moje książeczki to coś absolutnie poniżającego godność inteligentnego człowieka. Natomiast Rolls Royce'a, który od dwóch tygodni stał się jedynym i ulubionym ogierem w mojej mechanicznej stajni, uważasz za dowód mojego niebotycznego snobizmu. A ja tylko spełniłem to, o czym marzyłem od dziecka. I byłbym miał tego Rollsa o wiele wcześniej, gdyby nie obawa ośmieszenia się przed tobą. Ale kiedy doszedłem do wniosku, że i tak nie przestaniesz mnie kochać, otworzyłem drzwi salonu automobilowego, przymknąłem oczy i powiedziałem: „Proszę mi pokazać ostatni model...” — Nie dokończył. Wziął ją na ręce i uniósł w górę, a potem postawił na stole i odszedł o krok, przyglądając się jej uważnie. — Jesteś najpiękniejsza w świecie! — powiedział z przekonaniem. — O której mam jutro zająć się tobą?

— O dziewiątej! Czy możesz mnie zdjąć stąd?

— W takim razie zostań tam jeszcze chwileczkę. — Przeszedł w drugi koniec pokoju. — Cudowna! Najzgrabniejsza, czarująca, inteligentna, miła i zakochana we mnie do szaleństwa od lat!... Zaraz, zaraz, ile to już lat?... — zaczął liczyć na palcach: — rok, dwa, trzy, osiem, dziesięć...

Karolina zeskoczyła lekko na dywan.

— Muszę już iść! Kiedy doliczysz do stu, zobaczysz, że jednak czas trochę ci się dłuży przy mnie. Więc o dziewiątej?

— A Instytut? — zapytał Joe niewinnie, przestawszy liczyć.

— Co Instytut? — zatrzymała się z ręką na klamce.

— Zawsze spóźniasz się na spotkania ze mną, ile razy masz coś ważnego do załatwienia w tej czcigodnej instytucji. Można przypuścić, że jeżeli coś podobnego zdarzy się jutro rano, zadzwonisz do mnie kwadrans przed dziewiątą i powiesz, że właśnie nadzedł nowy transport tabliczek kretańskich, które musisz odwijać do południa i nikomu nie możesz odstąpić tego arcyważnego zajęcia! Tak, jakby brudne skorupki, leżące od paru tysięcy lat w ziemi, nie mogły poleżeć sobie spokojnie jeszcze przez kilka godzin w tych ślicznych skrzyneczkach, w których przewozicie je tylko po to, żeby po miesiącach czyszczenia, sklejanania i sylabizowania dowiedzieć się, że jakiś Johnos Smithos, żyjący przed potopem w Knossos albo w Phaistos, złożył za glinianym pokwitowaniem amforę wina i worek ziarna na ofiarę bogini, co dla niżej podpisanego Joe Alexa, czekającego na ciebie zwykle przy tego rodzaju okazjach samotnie w restauracji i uśmiechającego się przepaszająco do coraz bardziej zdenerwowanych kelnerów, jest tylko jeszcze jednym dowodem, ile wycierpieć musi człowiek zakochany w dziewczynie mającej naukowe hobby.

— Bądź tak dobry i przestań określać moją pracę jako hobby — powiedziała panna Beacon lodowatym głosem. — Poza tym, chociaż zapewne cię to nie zainteresuje, chciałabym ci zwrócić uwagę na różnicę pomiędzy obowiązkami człowieka odpowiedzialnego za własność społeczną, jaką są wykopaliska i obiekty muzealne, a obowiązkami człowieka, który... który nie ma żadnych obowiązków!

— Przepraszam — Joe podszedł do niej i wziął ją za rękę. — Czy wiesz, że twarz twoja posiada, obok stu innych, bardzo ślicznych, jeden wyraz, który lubię najbardziej: wyraz urażonej godności.

— Zatrzymałeś mnie tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

— Nie. Zatrzymałem cię, bo umówiliśmy się, że to ty będziesz rozmawiała z generałem Somerville. A bardzo trudno będzie ci z nim rozmawiać, jeżeli wyjdiesz stąd, zanim połączysz się z Mandalay House.

— Zupełnie zapomniałam... — Karolina ruszyła w stronę aparatu.

— Zrozumiała. Jesteś przepracowana. My, którzy nie miewamy żadnych obowiązków, mamy doskonałą pamięć. O ile mnie ta pamięć nie myli, to...

Karolina nigdy nie dowiedziała się, co tkwiło w niezawodnej pamięci Joe Alexa. Na progu rozległo się ciche, znajome chrząknięcie.

— Pan Benjamin Parker chciałby zobaczyć się z panem.

Karolina odłożyła słuchawkę, podeszła do okna i wyjrzała, odsuwając kotarę. Nad dachami Londynu stało zamglone lipcowe słońce na bezchmurnym niebie.

— Wejdz, Ben! Wejdz! — Joe ruszył ku drzwiom, ale zastępca szefa Wydziału Kryminalnego Scotland Yardu znajdował się najwyraźniej tuż za plecami Higginsa, bo wszedł do pokoju, zanim ów najdoskonalszy z doskonałych mógł się wycofać.

— Dobrze, że cię zastałem — powiedział ściskając dłoń gospodarza. — Bardzo chciałem się z tobą zobaczyć, a raczej, szczerze mówiąc, nie tylko z tobą, ale także i z panną Beacon. Przed godziną dzwoniłem do niej do domu, a później do Instytutu, ale nie ma jej ani tu, ani tam. Może wiesz przypadkiem, gdzie ją można znaleźć?

— Trudno dziwić się, że trzy czwarte przestępców działających na tej nieszczęsnej wyspie spaceruje na swobodzie, jeżeli filar municypalnej policji londyńskiej nie może zauważyć jednej z najpiękniejszych kobiet Londynu, przebywając z nią w jednym pokoju. Czy miałaś na myśli pannę Karolinę Beacon, młodego i jakże już popularnego archeologa brytyjskiego? Jeżeli tak, stoi ona przy oknie i czeka chwili, kiedy z cichym trzaskiem zaciśniesz na jej rasowych przegubach parę bransoletek, które przyniosłeś tu na wszelki wypadek. Powiedz, co takiego przeszkrobała? Zawsze byłem pewien, że pomimo pozorów jest zdolna do najgor...

Parker nie dał mu dokończyć.

— Przepraszam, Miss Beacon! Jego zdegenerowana wyobraźnia gotowa jest szkalować wszystko, co najświętsze, a taki drobiazg, jak dobre imię uczciwej kobiety, jest dla niego absolutnie niczym!

— Proszę, niech pan mówi dalej — Karolina serdecznie uściśnęła dłoń sławnego detektywa. — Joe zawsze mówił mi, że niezwykle ceni sobie pana zdanie. Nie tylko w dziedzinie zbrodni. O czym to mówiliśmy? O szkalowaniu, prawda? Słucham pana...

— Nic miłego niż harmonijne współżycie moich przyjaciół. Siadajcie! — Joe przysunął im fotele. — Whisky czy herbatę, Ben? Boję się, że może ci zaschnąć w gardle, a nie chciałbym, żeby Karolina straciła chociaż słowo z tego, co masz powiedzieć. Whisky?

— Whisky! — Parker usiadł ciężko. — Bez wody i bez lodu!

— I ja... — szepnęła cicho panna Beacon — bez wody. Z odrobiną lodu.

Kiedy zasiedli już, mając przed sobą trzy szklaneczki wypełnione do połowy złotawym płynem, Parker powiedział.

— Pani jest wnuczką generała Somerville'a, prawda? To znaczy, jest on pani wujecznym dziadkiem, o ile się nie mylę?

— Tak... — Karolina wymieniła szybkie spojrzenie z Alexem. Parker dostrzegł to.

— Czy wiecie już coś? — zapytał szybko.

— Mów dalej — Joe uniósł szklankę. — Cóż za koszarne nawyki mają ci policjanci: przerywają sami sobie po to, żeby dowiedzieć się, co może oznaczać wymiana spojrzeń pomiędzy dwiema najbardziej godnymi szacunku osobami. Czy nie mógłbyś powiesić swojej nieufności razem z kapeluszem i parasolem w przedpokoju? Któż to taki, generał Somerville? Do dnia dzisiejszego nie wiedziałem, że Karolina ma tak fatalne koligacje. Zawodowy wojskowy, co za klęska! Mów dalej, Ben, i wybacz, że będę cię słuchał trochę nieuważnie. Muszę się otrząsnąć po tym ciosie. Dziadek generał!

Parker westchnął.

— Co za promienny poranek. I co za promienny gospodarz. Niestety, nie mogę ci dorównać. Nie urodziłem się dowcipnisiem i...

— To prawda... — Alex skinął głową z ponurą miną. — Ale nie przejmuj się tym za nadto. W twoim zawodzie poczucie humoru nie jest konieczne. Czy to naprawdę wszystko, co chciałeś powiedzieć panie Beacon? Bo jeżeli tak, pozwólcie, że zaproszę was na małą przejażdżkę za miasto. Mój nowy wóz...

— To ten karawan z posrebrzaną karoserią? — Parker uniósł brwi. — A więc to twoja własność! Chwała Bogu! Wchodząc tu, pomyślałem, że w okolicy nastąpił jakiś tragiczny wypadek. Rozglądałem się nawet za trumną, która nim odjedzie. Czy będziesz do niego zaprzęgał białe konie z pióropuszcami, czy też, w co wątpię, porusza się on własnym napędem!

— Jeszcze jedno takie zdanie — Karolina obdarzyła go najpiękniejszym z uśmiechów — a jestem gotowa zakochać się w panu. Proszę mówić dalej o tym samochodzie!

— Jeżeli jego motor kiedykolwiek zawiedzie, chociaż nie powinno się to nigdy zdarzyć, bo w Rolls_Royce'ach nigdy się to nie zdarza, będę do niego zaprzęgał osły... — mruknął Alex. — I mogę ci obiecać, że... Ale miałas przecież zadzwonić.

Karolina uniosła się z miejsca, podniosła słuchawkę i powoli, jak gdyby z wahaniem nakręciła numer.

— Hallo! Tak... — czekała przez krótką chwilę. — Czy Mandalay House?... Kto? Chanda?... mówi Karolina Beacon! Dzień dobry, Chanda!... Tak, mam się świetnie, dziękuję bardzo! A jak dziadek?... — przez chwilę stała milcząc ze słuchawką przy uchu. — No, to świetnie! Czy jest gdzieś w pobliżu? A, w pawilonie... Nie, to za daleko. Nie chcę go męczyć niepotrzebnie. Powiedz mu tylko, że pan Joe Alex i ja wyjedziemy jutro wczesnym rankiem z Londynu i przyjedziemy do was mniej więcej w porze lunchu... Co? Tak w porządku. Tylko powiedz o tym jemu samemu, bez świadków... czy słyszysz mnie Chanda?... Tak, bez świadków. Jutro w porze lunchu. Całuję cię! Do widzenia! Do jutra!

Odłożyła słuchawkę na widełki, i nadal uśmiechnięta, zawróciła ku siedzącym mężczyznom.

— Więc jednak! — powiedział Beniamin Parker zacierając ręce. — Szedłem tu wiedziony instynktem, nie podejrzewając niczego i poszukując wyłącznie panny Beacon, której chciałem zadać parę nic nie znaczących pytań, a natrafiłem na ślad spisku!

Karolina usiadła. Uśmiechała się nadal, ale zwróciła zaciekawione spojrzenie ku zastępcy szefa Wydziału Kryminalnego Scotland Yardu.

— A poszukiwał mnie pan tylko dlatego, żeby zapytać, czy jestem krewną generała Somerville'a?

— Tak.

— Jestem jego krewną, jak pan to mógł stwierdzić przed chwilą. Zresztą usłyszał pan także, że jedziemy do niego jutro, Joe i ja.

— Do Mandalay House?

— Tak.

Parker spowaźniał nagle. Zwrócił spojrzenie ku Alexowi.

— Czy to będzie przejażdżka dla przyjemności, Joe? Chcę powiedzieć: tylko dla przyjemności?

— Czy tylko? — Alex wzruszył lekko ramionami. — Nie wiem, mówiąc szczerze. Być może, generał Somerville będzie miał ochotę do zwierzeń? Może zechce zakomunikować mi coś interesującego? W każdym razie prosił Karolinę o skontaktowanie go ze mną w sprawie, której szczegółów nie znam jeszcze. Sądząc z listu, chce mnie poznać, ponieważ moje skromne osiągnięcia obłyły mu się o uszy. Karolina także niewiele wie, więc możesz oszczędzić sobie dręczenia jej pytaniami, bo nie powie ci więcej niż ja. Pokaż mu ten list, Karolino. Myślę, że nasz przyjaciel ma coś w rękawie, co wytrząśnie za chwilę i ukaze nam w całej okazałości, kiedy tylko przekona się, że niczego nie ukrywamy.

Karolina podała Parkerowi list. Przeczytał go szybko i zwrócił jej, a później skinął głową, jak gdyby odpowiadając własnym myśłom.

— Tak, masz słuszość, Joe... — Uniósł wzrok i spojrzał na Alexa. — Jeżeli i ja mam być szczery, cieszę się, że jedziesz tam jutro. Niestety, generał Somerville odmówił policji wstępu na teren posiadłości i jesteśmy bezradni. Nie mam żadnych podstaw prawnych, żeby otoczyć go ochroną. Oczywiście, mam tam od kilku dni zaufanego człowieka, przebywającego w najbliższej okolicy. Człowiek ten interesuje się wydarzeniami w Mandalay House, ale przebywa na zewnątrz. Nie mam natomiast nikogo wewnątrz domu, chociaż zależy mi na tym bardzo, bo wydaje mi się, że niebezpieczeństwo tkwi właśnie wewnątrz.

— Niebezpieczeństwo? — Alex dolał sobie whisky, uniósł szklaneczkę do ust, ale odstawił ją i odruchowo zapalił papierosa. — Powiedz wreszcie, co się tam stało, Ben?

— Nic się nie stało. W tym właśnie cały kłopot. Gdyby się coś stało, mielibyśmy prawo do ingerowania. Ale tak jak sprawy przedstawiają się w tej chwili, jesteśmy bezradni. Jestem tym przygnębiony, Joe. Naprawdę przygnębiony.

— A mówią o nas za granicami tego kraju, że w szkołach angielskich wpajana jest dzieciom od pierwszego roku nauki zwięzłość w wyrażaniu myśli i uczuć. — Joe westchnął: — Ben, czy chcesz spędzić całe popołudnie na intymnych zwierzeniach, dotyczących twoich stanów psychicznych? Oczywiście, jesteś moim gościem i bardzo mi będzie miło, jeżeli obecność nasza może ulżyć ci w jakimkolwiek stopniu, ale...

— Może zrozumiesz mnie lepiej, kiedy wyjaśnię ci, że nie co dzień można spotkać się z facetem, który w regularnych odstępach czasu przesyła policji szczegółowe alternatywne plany zamordowania człowieka, plany zaopatrzone w opis otoczenia ofiary, warunków panujących w domu i tak dalej, i tak dalej...

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że ten facet ma na myśli naszego emerytowanego obrońcę imperium?

— Niestety. Ofiarą wszystkich trzech projektowanych zbrodni jest właśnie generał John Somerville.

— No, nareszcie! — Alex wychylił whisky i ostrożnie odstawił szklaneczkę. Karolina spojrzała na niego ze zdumieniem. Wydawał się niemal zadowolony. — Zaczynamy wy czuwać twarde ląd pod nogami! Mów, Ben.

Zastępca szefa Wydziału Kryminalnego rozłożył ręce.

— Wydaje mi się, że najpierw powinienes przestudiować te trzy anonimy, które do nas nadeszły.

— Czy chcesz, żebym pojechał teraz z tobą do Yardu?

— To nie będzie konieczne — Parker potrząsnął głową. — Mam je tu ze sobą. Nawet gdybym nie zastał u ciebie panny Beacon, chociaż jej gospodyni upewniała mnie, że do ciebie wyjechała, chciałem z tobą porozmawiać o tym. Wszystko razem wygląda bardziej na urojenie chorego mózgu człowieka, który przeczytał zbyt wiele powieści kryminalnych, niż na rzeczywisty plan zbrodni. Któż zresztą informowałby policję o prze-

stępstwie, którego jeszcze nie popełnił, podając przy tym dane umożliwiające władzom udaremnienie zamachu? Ale jest w tych listach coś... coś... — urwał na chwilę. — Tylko nie mów mi, że opowiadam o moich stanach psychicznych, a nie o faktach! Pracuję w moim zawodzie już od tylu lat, że moje stany psychiczne są tylko funkcją przewidywań opartych na zasadzie prawdopodobieństwa! — uspokoił się natychmiast i uśmiechnął przeprasząco. Chcę po prostu powiedzieć, że nie uważam tych listów wyłącznie za żart albo bełkot obłąkanego. A poza tym wszystko wskazuje na to, że pisał je ktoś, kto dobrze zna zarówno generała Somerville'a, jak i dom oraz pozostałych ludzi przebywających w tej chwili w Mandalay House. Zresztą przeczytaj je. Myślę, że wtedy łatwiej nam będzie się porozumieć.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej wąską szarą kopertę, zaopatrzoną drukowanym napisem: DO UŻYTKU SŁUŻBOWEGO.

— Zapewne panna Beacon nie jest formalnie upoważniona do wysłuchania treści tych listów, ale pozwolę sobie na małą nieformalność... — uśmiechnął się ponownie. — Jedźcie tam oboje i myślę, że dobrze będzie, jeżeli pani także zostanie zorientowana w sytuacji.

Alex bez słowa sięgnął po kopertę i wyjął z niej trzy niebieskie złożone kartki papieru z nadrukowanym znaczkiem pocztowym. Były to sekretniki używane zwykle przez ludzi oszczędnych, pragnących wydać kilka pensów mniej na kopertę i papier listowy. Otworzył pierwszy z nich, zerknął najpierw na znaczek. Stempel był londyński: poczta przy Oxford Circus, a więc w najruchliwszym punkcie śródmieścia metropolii, datownik wskazywał, że list nadano przed tygodniem.

„Do Policji,

Generał Somerville, mieszkający w Mandalay House w Devon, umrze! Należy mu się to od dawna, nie tylko dlatego, że jest stary. To zły człowiek i zanadto bogaty. Inni też by chcieli być bogaci, rozumiecie? Umrze wrzucony do pieca, w którym przetapia te idiotyczne brązy. Pomyślcie tylko, suchy, kościany dziadek w temperaturze, w której metal zamienia się w złocisty płyn! A wtedy Chanda, albo Cowley, albo nawet sam pan James Jowett mogą dodawać po szczypcie generała do tych pięknych kopii, które opracowują. Myślę, że przed wiekami także dodawano nieco ludzkich prochów do niektórych posążków w Indiach. Miało to, zdaje się, jakieś znaczenie kultowe. Więc generał powinien być nawet w pewien sposób zadowolony. Kończy przecież książkę o metodach wytopu rzeźb szkoły Gupta i Pala. Śmierć jego będzie praktycznym uwieńczeniem eksperymentu, który przeprowadza z taką cierpliwością, znajomością rzeczy i wprawą. Rzeźby będą jak prawdziwe do ostatniego szczegółu!”

Nie było podpisu. List napisany na maszynie, być może niewprawną ręką, gdyż kilkakrotnie piszący musiał cofać klawiaturę o jedną literę i uderzać po raz drugi.

Otworzył następny list.

„Do Policji,

Ostatecznie, wcale nie musimy go spalić w tym piecu, mam na myśli mój poprzedni list, dotyczący generała Somerville. Na szafach „sali muzealnej”, bo tak nazywa on ten wielki pokój na parterze, gdzie zgromadził większość znajdujących się w domu rzeźb i posągów, stoją liczne, ciężkie figury bóstw. Czaszka dziewięćdziesięcioletniego człowieka jest o wiele, wierzcie mi, o wiele kruchsza niż czaszka młodego mężczyzny. Ale nawet gdyby Somerville był młodym mężczyzną, czy sądzicie, że metalowa figura, ważąca kilkaset funtów i trafiająca dokładnie w środek głowy, nie zamieni tej głowy w bezkształtną, krwawą masę?

To będzie nawet ciekawsze niż spalenie generała, bo pozostanie widok ciała”.

— Co za ohydny żart! — powiedziała Karolina przytłumionym głosem. — Ten człowiek musi być obłąkany!

— Nie musi... Alex obrócił list w palcach i zerknął na pieczęć datownika pocztowego. — Nadany w dwa dni po pierwszym liście. — Spojrzał na Karolinę. — Może być obłąkany, moja kochana, ale nie musi.

— Czy sądzisz, że ktoś przy zdrowych zmysłach mógłby sformułować tego rodzaju list?

— Tak. Bywa, że ludzie dla siebie tylko wiadomych celów udają szaleńców. Jeżeli, na przykład, ktoś chce zabić generała i wymyślił zupełnie inny sposób zabicia go, niż te, które tak malowniczo nam opisał, wtedy listy takie miałyby dwojakie znaczenie: po pierwsze, odwróciłyby uwagę władz od rzeczywistych planów mordercy, a po drugie, naprowadziłyby śledztwo na fałszywy trop. Poszukiwalibyśmy obłąkanego, a tymczasem mordercą okazałaby się osoba o absolutnie zrównoważonym usposobieniu. O ile, oczywiście, mordercę z premedytacją można nazwać osobą o absolutnie zrównoważonym usposobieniu. W moim skromnym przekonaniu każdy morderca jest w pewien sposób obciążony psychicznie. Mówię: morderca, nie zabójca w stanie afektu lub z przypadku.

Parker bez słowa skinął głową i powiedział:

— Pomyślałem już i o tym. Ale na razie nie mamy żadnej zbrodni i żadnego mordercy. Byłem u generała Somerville’a przedwczoraj, kiedy nadszedł trzeci list, ten, którego jeszcze nie odczytałeś. I... — rozłożył ręce — usiłowałem go przekonać, że powinien otoczyć się naszą dyskretną opieką, którą, oczywiście, gotowi byliśmy natychmiast zaoferować. Ale... — znowu rozłożył ręce i powolnym ruchem opuścił je na kolana.

— Generał nie zgodził się?

— Wyrzucił mnie za drzwi. Dosłownie! — Parker roześmiał się niewesoło. — Nie chciał nawet przeczytać tych listów i powiedział, że to wierutna bzdura. A kiedy go zapytałem, kto w tej chwili przebywa w jego domu i czy nie żywi żadnych podejrzeń w stosunku do jakiejś określonej osoby, która może być autorem tych słodkich bilecików, powiedział, że obrażam jego gości i domowników i nie mam czego szukać pod jego dachem. Wskazał mi ręką drzwi, zupełnie jak na filmie. Powiedział: „Proszę opuścić progi tego domostwa”, czy coś podobnego. Brzmiało to bardzo majestatycznie.

— I odszedłeś?

— Oczywiście. Nie chciałbyś chyba, żebym próbował łamać prawo, którego jestem przedstawicielem. Prawo mówi, że policja nie ma wstępu do domu obywatela bez jego zgody, jeśli nie nastąpił tragiczny wypadek, który pozwoliłby nam uzyskać wstęp na teren jego posiadłości bez jego woli lub nawet wbrew niej. A nikt nie wydałby mi takiego zezwolenia. Zresztą, co miałbym zrobić, nawet gdybym je otrzymał? Nie mogę przecież postawić dwóch umundurowanych policjantów po obu stronach krzesła generała i kazać im nie odstępować go ani na krok! Ale przeczytaj jeszcze ten trzeci list. Z wielu względów wydaje mi się najciekawszy.

Joe rozpostarł ostatnią kartkę.

„Do Policji,

Szczerze mówiąc, ta historyjka z figurą, która ma runąć mu na łeb, wydaje mi się coraz bardziej problematyczna. Przede wszystkim, nawet jeżeli przyjmiemy, że posłużę się pomysłem, który pozwoli na ulokowanie jej w celu — jeżeli wolno mi się tak wyrazić — z jaką taką precyzją, zawsze istnieje szansa, że odchyli się ona nieco padając i tylko zmiażdży mu, na przykład, ramię. Najprawdopodobniej w jego wieku byłoby to fatalne i zmarłby w końcu od obrażeń, ale moglibyście wyciągnąć zbyt wiele wniosków, a on sam mógłby wam pomóc, jeśli by nie stracił natychmiast przytomności. Dlatego proponuję, abyśmy porzucili ten efektowny, ale nie dający absolutnej gwarancji zamiar. Zresztą, zbyt wielu ludzi kręci się nieustannie po domu. Jest jeszcze ten przekłety Amerykanin: profesor Reginald Snider i jego zwariowana córeczka Dorothy. Poza tym Meryl Perry, która pisze pracę o tych wstrętnych czwororękich figurkach ludzkich z głowami słoni, przedstawiających syna Sziwy jadącego na szczurze. To bardzo przystojna dziewczyna i nic dziwnego, że zarówno William Cowley, jak i James Jowett kochają się w niej. A im bardziej się w niej kochają, tym bardziej się nie znoszą, chociaż pracują razem przy tym piecu i metalach. Wkrótce poprzegryzają sobie gardła, jeżeli nie stanie się nic, co by mogło odwrócić ich uwagę od tej małej idiotki. Ale coś się musi stać, prawda? Inaczej te listy nie miałyby większego sensu. Wiem już nawet, co się stanie. Generał ma przecież wielką kolekcję broni z brązu i żelaza. Myślę, że najprostszym rozwiązaniem będzie zasztyletować go jednym z eksponatów jego prywatnego muzeum. Należy po prostu podejść do niego i wbić mu w stare, ledwie bijące serduszko sztylet

albo miecz, mniejsza o to, z której epoki, byle odpowiednio ostry. Oczywiście, będę miał rękawiczki na dłoniach, żeby nie pozostawić odcisków palców. A potem rzecz przejdzie w ręce panów i nie zdziwicie się chyba, jeżeli kończąc ten list nie będę wam życzył pełnego powodzenia. Byłoby ono dla mnie niemiłym zaskoczeniem. Jestem jednak przekonany, że nie dojdzie do żadnych niespodzianek. Albowiem mam pewność, że nawet gdybyście rozmyślali sto lat i użyli wszystkich stojących do Waszej dyspozycji środków technicznych, nie odgadniecie, kto napisał do Was te listy. Nie jestem wariatem, o nie. Cel mój jest prosty. Do widzenia, moi Panowie. Więcej listów nie będzie”.

— Datowany trzy dni temu, dzień po drugiej przesyłce.

Alex położył list na stoliku obok dwóch pozostałych. Parker wyciągnął rękę, zebrał wszystkie trzy kartki, wsunął do szarej koperty i schował do kieszeni.

— Co możesz mi powiedzieć o tych facetach, o których wspomina nasz nieznany przyjaciel? — zapytał Joe.

— Wiedziałem, że będziesz chciał mieć o nich jakieś wiadomości. Zresztą to była pierwsza rzecz, o której pomyślałem.

1) profesor Reginald Snider i

2) jego córka Dorothy Snider.

Przybyli oboje do Mandalay House przed paroma tygodniami i mają pozostać jeszcze przez kilka następnych tygodni, o ile wiem. Profesor Snider jest największym amerykańskim znawcą rzeźby dawnych Indii. Jego córka spełnia rolę sekretarki i towarzyszy ojcu w podróży po Europie i krajach Wschodu. Przybyli na zaproszenie generała Somerville’a, który od lat prowadzi systematyczną korespondencję ze Sniderem, wymieniając poglądy i doświadczenia.

— Tak, słyszałam o Sniderze... — powiedziała cicho Karolina. — To bardzo wybitny uczonec, nazwisko jego posiada światowy rozgłos. Szczególnie jego „Próba systematyki rzeźby Nepalu i Tybetu” może być uważana za dzieło niemal już klasyczne.

— Właśnie — Parker potwierdził skinieniem głowy. — Moje informacje są niemal identyczne. Idźmy dalej:

3) Meryl Perry, młoda osoba z Oxfordu, która, jak już nas poinformował nasz anonim, pisze pracę o jakimś czterorękim potworze z trąbą słonia. Sprawdziłem, zgadza się: Angielka, panna, bardzo przystojna, sądząc z jednego spojrzenia, którym zdążyłem ją obrzucić. Była w hallu, kiedy zajechałem do Mandalay House. Wycofała się taktownie, widząc nieznanego.

4) William Cowley — młody inżynier, specjalista od wytopu metali, konstruktor pieca hutniczego, który znajduje się w parku Mandalay House. Piec ten jest wierną kopią dawnych tego rodzaju urządzeń w Indiach. Cowley pracował w przemyśle, a generał po prostu podkupił go, zdaje się, oferując mu o wiele wyższe warunki.

ki pracy. Cowley czuwa nad techniczną stroną wytopu figur i opracowuje dane potrzebne generałowi do wykończenia jego nowej książki, będącej próbą ustalenia metod produkcji rzeźb metalowych szkół Gupta i... i...

— Pala — dodała Karolina.

— Właśnie. Cowley współpracuje blisko ze

5) znanym rzeźbiarzem Jamesem Jowettem, który od kilku miesięcy przebywa na zaproszenie generała w Mandalay House. Jowett sam jest po trosze historykiem sztuki, a w każdym razie wykłada teorię rzeźby w Akademii Królewskiej. Nie wiem tego z całą pewnością, ale sądzę, że to on właśnie robi odlewy posągów dla Somerville'a. Dwa razy w tygodniu dojeżdża do Londynu. Poza tym, o ile wiem, generał oddał do jego dyspozycji pracownię. Jowett opracowuje w niej jakiś pomnik, na który otrzymał zamówienie. Zdaje się, że będzie to pomnik lotników z Manchesteru, poległych w czasie wojny.

— My też mielibyśmy udział w jakimś małym pomniczku, gdybym posiadał mniejszą znajomość sztuki pilotażu... — uśmiechnął się Alex. — Prawda, że byłoby to śliczne, Ben? Nasze nazwiska, pośród setek innych, na tablicy z brązu wmurowanej w marmurowy cokół?

— Ile razy wspominam te czasy, myślę raczej o szczęściu, a nie o twoich umiejętnościach — powiedział Parker — Lepsi niż my nigdy nie powrócili do bazy.

— To prawda, ale muszę ci ze wstydem wyznać, że nigdy nie pomyślałem serio o tym, że i ja mogę zginąć. Nie mieściło mi się to w głowie. Zawsze myślałem o tym, co będę robił po wojnie.

— Lecząc układałeś zapewne te piękne książeczki — Ben uśmiechnął się i zatarł rękę. — Unikać po sto razy ognia artylerii przeciwlotniczej i myśliwców niemieckich po to tylko, żeby... Ale nie chcę ranić twojej pychy w obecności panny Beacon.

— Proszę, niech się pan nie krępuje! — powiedziała promiennie Karolina. — Po prostu uwielbiam, kiedy rozmawia pan z naszym przyjacielem o dawnych czasach. Ale nie powinien pan go zanadto ganić. Zdobył powodzenie u... u czytelników, jest pełen sił, poszukuje ciągle nowych wrażeń. Ostatnio kupił sobie nowy samochód... — niewinnymi, dziecinnymi oczyma spojrzała na Alexa — bardzo piękny samochód. Jestem przekonana, że jest z niego dumny.

— Czytasz w moich myślach, dziecko. Jestem z niego dumny. Ale może przestaniemy zajmować się przez chwilę moją skromną osobą, chociaż rozumiem doskonale, że jest to temat niemal niewyczerpany, a pomyślimy o generale Somerville'u, bo inaczej pośród fajerwerków waszego krzepkiego anglosaskiego humoru nasz anonimowy przyjaciel zdąży rozbić głowę twojego dziadka, wbije mu sztylet w serce i spali zwłoki w piecu do wyrobu tych paskudnych figur. Oczywiście, nie jestem bliskim krewnym generała Somerville'a ani tym bardziej przedstawicielem prawa i nie mam specjalnych powo-

dów do interesowania się tą sprawą. W historii świata, wybrukowanej głowami oficerów, jeszcze jeden zabity generał więcej lub mniej nie odegra decydującej roli. Dlatego mam tylko jedno pytanie: czy chcecie, żebym wsiadł jutro do mojego jakże snobistycznego Rolls Royce'a i pojechał do Mandalay House?

— Chcemy! — odpowiedzieli jednocześnie Karolina i Ben.

— A chcecie tego, bo wierzycie, że w kraju, gdzie policja umie tylko... — urwał zerknąwszy na Parkera, westchnął. — Litość była dominującą cechą mojego charakteru nawet wówczas, kiedy byłem jeszcze o taki malutki... Mógłbym wam opowiedzieć całe tomy o uratowanych kotkach, o pielęgnacji ptaszków z przetrąconymi skrzydełkami, o staruszkach przeprowadzanych przez jezdnę i łzach przelanych nad losem Romea, Julii, Desdemony, Hamleta i wielu innych powszechnie znanych osobistości. Dlatego nie powiem już ani słowa o naszej metropolitalnej policji. Dosyć! Kurtyna! Do dzieła, Ben! Kto jeszcze znajduje się w tym domu?

— Służba, królewiczu. Ogrodnik, pokojówka, kucharka i najciekawsza postać spośród nich: Chanda, stary Birmańczyk, którego generał zatrudnia od czasu, kiedy tamten był chłopcem. Ale może panna Beacon powie nam coś więcej na ten temat, bo moje informacje są dość skąpe i raczej ograniczają się do dat, wysokości pensji i czasu pracy wszystkich tych ludzi u generała.

— Chanda bardzo kocha dziadka! — powiedziała Karolina z przekonaniem. — Był oczywiście małym chłopcem, kiedy zaczął pracować u niego, jeszcze w Indiach. Myślę, że ich stosunek wzajemny musi wydawać się dziwny komuś, kto przybywa po raz pierwszy do Mandalay House. Chanda jest Birmańczykiem, opiekuje się dziadkiem i nie odstępował go na krok, chociaż sam już nie jest młody. Nie lubi Anglików i mówi otwarcie, że zrobiliśmy wiele złego jego rodakom. Myślę, że gdyby dziadek zmarł, nie pozostałby w Anglii ani pół dnia i powróciłby do swojego kraju. Bywa tam zresztą od czasu do czasu, w odstępach paroletnich. Załatwia dla dziadka zakupy rzeźb i inne sprawy związane z materiałami do książek. Nie ma tego, co nazywamy w Europie wykształceniem, ale posiada spory zapas wiadomości, nabytych w ciągu półwiecznego obcowania z kolekcją Somerville'a. Jest samoukiem, zna kilka języków. Wydaje mi się, że w tej chwili można go nazywać zarządcą posiadłości, niańką dziadka, sekretarzem i kierownikiem spraw finansowych w jednej osobie. Dziadek ufa mu bezgranicznie i myślę, że ma słuszość.

— Zupełnie jak w bajce... — Mruknął Alex. — Czy ten Chanda ma rodzinę?

— Dlaczego o to pytasz?

— Och, nic. Pomyślałem sobie tylko o tym zarządzaniu finansami generała. Twój dziadek jest bardzo bogaty. Prawda? Gdyby zginął, pan Chanda mógłby odziedziczyć legalnie lub nielegalnie dużo pieniędzy. O ile od lat obraca wielkimi sumami w imieniu Somerville'a, jeździ po świecie robiąc dla niego zakupy i tak dalej, ma wszelkie szanse przekazania rodzinie dowolnych kwot.

— Chanda nie ma nikogo na świecie! Nikogo poza dziadkiem i... i mną. — Karolina spuściła oczy. — Myślę, że mnie też bardzo kocha. Przynajmniej odnosiłam takie wrażenie jako dziecko. Wiesz, jak to jest z tymi ludźmi, oni nie mówią nigdy o swoich uczuciach, w ogóle mówią tylko tyle, ile tego wymaga konieczność. Ale dzieci zawsze wiedzą, kto je kocha naprawdę, a kto tylko udaje.

— Zupełnie jak w bajce... — Powtórzył Alex. — Stary sługa, oddany na śmierć i życie generałowi i jego maleńkiej wnuczce. Ale nie jesteś już maleńka, a widziałas go przecież wielokrotnie od tamtych lat. Czy zmienił się?

— Chyba nie... — Karolina potrząsnęła głową. — Myślę, że gdybym miała jakiś kłopot... Jakiś prawdziwy, wielki kłopot, pomyślałabym najpierw o nim. Chanda pomógłby mi zawsze i zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby... — urwała. — Oczywiście, mówię o tym tylko po to, żeby przedstawić panom dokładny obraz sytuacji — dodała szybko, tłumiąc niespodziewane wzruszenie, które najbardziej zaskoczyło Alexa, nieprzywykłego u niej do nie kontrolowanych objawów uczucia.

— Tak, tak... — Parker chrząknął. — To zrozumiałe, panno Beacon. Dziękuję pani bardzo. Oczywiście, to cenna informacja. Możemy dzięki niej przyjąć, że jedna osoba niemal na pewno nadaje się do usunięcia z kręgu podejrzanych. To, co pani powiedziała o tym Birmańczyku, wystawia mu jak najlepsze świadectwo.

— To znaczy, ty możesz wystawić to świadectwo... — powiedział Joe pogodnie — bo ja chciałbym najpierw rozejrzeć się trochę na miejscu. Napijecie się?

I nie czekając ich odpowiedzi, nalał ponownie do trzech wypróżnionych i oczekujących szklaneczek. Unikał przy tym spojrzenia Karoliny, przyglądającej mu się z wyraźnym wyrzutem.

Rozdział 3

Wielkie czerwone krople...

Kiedy minęli Exeter, całe w kwiatach i kwitnących krzewach, a szosa wynurzyła się spośród ostatnich domków przedmieścia, Joe zwolnił.

— Widzisz — powiedział odrywając dłoń od kierownicy i wskazując las masztów, które zdawały się wynurzać z ziemi ponad dalekimi dachami — w tym porcie rzeczonym po raz pierwszy odbiłem od brzegu i wypłynąłem na morze. Było to lat temu... — chrząknął. — Mniejsza o to, ile to było lat temu. Nie mogę się przyzwyczaić do tego, że czas biegnie. Ciągle mam wrażenie, że życie zacznie się jutro, prawdziwe życie. Może dlatego, że jestem kawalerem? Człowiek, który nie ma rodziny, żony i dzieci, ciągle jeszcze znajduje się na progu istnienia. W związku z tym chciałbym ci zadać jedno pyta...

— Jesteśmy już niedaleko! — powiedziała szybko Karolina. — Jeszcze nie całe pół godziny i zobaczymy Mandalay House.

Alex westchnął i skierował wzrok na drogę, która zakręciła miękkim łukiem na południe.

— Zaraz zobaczymy morze — znowu uniósł rękę. — Widzisz palmy? Niskie, nie takie jak w Honolulu, ale to jednak palmy, Karolino! Nie dziwię się twojemu dziadkowi, że po półwiecznym pobycie w Indiach wybrał ten kawałek Anglii na miejsce stałego pobytu. Szczerze mówiąc, nie rozumiem absolutnie, dlaczego mając na tej zimnej, wilgotnej, mglistej wyspie tak cudowną okolicę, wszyscy nasi przodkowie nie walczyli dzień i noc o każdy skrawek Devonu. Ale nie walczyli! Woleli zamienić miecze na parasole! Czy nie sądzisz, że ja, który mogę pisać wszędzie, nie powinienem tu zamieszkać, gdy wreszcie... — urwał — to chyba znakomity klimat dla dzieci, prawda? I gdybyśmy...

— Uważaj, zjechałeś na prawą stronę szosy!

— To nic, Rolls Royce sam odnajduje kierunek.

— Ale nie można mu w tym przeszkadzać. Słuchaj, Joe...

— Co? Widzisz? To chyba morze, tam na widnokręgu?

— Nie myślę o morzu. Będziemy mieli po uszy morza w Mandalay House. Myślę o dziadku Johnie.

— Tak? — Alex zdawał się zupełnie nie zainteresowany tym tematem. — Tak, to na pewno morze.

— Słuchaj, czy sądzisz, że mu naprawdę coś grozi? Przecież jest już taki stary. Komu mogłoby zależeć na zamordowaniu go? I to w tak ohydny sposób?

— Mój Boże, zadałaś dwa pytania naraz. Nawet trzy. Czy grozi mu coś? Nie wiem. Nie umiem ci na to odpowiedzieć w tej chwili. Fakt, że jest stary, nie ma tu nic do rzeczy. Zamordowano już całe legiony starych ludzi w naszym spokojnym, cichym kraju. I zapewne całe legiony ich jeszcze odejdą na tamten świat w przyszłości, wyprawione do lepszego jutra ręką niecierpliwych spadkobierców, zwykłych opryszków, sąsiadów, nie wiem zresztą, czyją jeszcze ręką. A jeśli masz na myśli ohydny projekt zamordowania go, to nasz anonim proponuje trzy rozmaite sposoby i zdaje się, że nie wybrał jeszcze właściwego, bo twój dziadek żyje... a przynajmniej żył jeszcze wczoraj, kiedy telefonowałaś do Mandalay House.

— Joe! — wyprostowała się nagle. — Czy myślisz, że...

— Ależ nie. Niczego na razie nie myślę, ale przyznam ci się, że wolałbym już tam być. Nie lubię kierować się instynktem, jak nasz przyjaciel Parker, ale mam wrażenie, że generałowi może rzeczywiście coś grozi.

— Dlaczego tak myślisz?

— Dlatego, że to Parker otrzymał listy anonimowe, ale nie on, a twój dziadek prosi cię o skontaktowanie ze mną. Mogło to być oczywiście spowodowane wizytą Bena w Mandalay House. Ale dlaczego twój dziadek wyrzucił policję za drzwi, jeżeli rzeczywiście się czegoś obawia? A przecież obawia się, jeżeli mnie wzywa. A może w Mandalay House stało się już coś, co generał uznał za tajemnicę, której nie chciałby powierzyć policji? W takim wypadku, nie mogąc sobie dać rady z nazbyt zawiłym problemem, pomyślał o mnie. Czytał moje książki, wie z prasy, że umiem rozwiązywać rozmaite kryminalne krzyżówki, a równocześnie plotka doniosła mu, że... że jestem w przyjaźni z tobą. Wziął więc za pióro i napisał do ciebie.

— A może dziadek także otrzymał jakieś anonimy?

— Może? Ale dziwne, że nie powiedział o nich Parkerowi, nawet jeżeli nie chciał korzystać z pomocy policji. Dowiemy się wkrótce.

Droga przeleciała po moście nad linią kolejową i zakręciła na zachód wzdłuż wybrzeża odległego mniej więcej o dwie mile. Morze było wyraźnie widoczne z dala: olbrzymia zielonkawa płyta odbijająca blask słońca. Bliżej były pola poprzecinane wysokimi, granicznymi żywopłotami, kępy drzew i...

— Teraz w lewo! — zawołała Karolina. — Jesteśmy na miejscu. Widzisz!

Dotknęła palcem przedniej szyby. Joe zjechał z głównej szosy. Wąską asfaltową drogą ogromny Rolls ruszył w kierunku morza. Przed nimi, na krawędzi lądu, widniała zielona, rozległa kępa drzew, tworząca najwyraźniej wielki ogród.

— Widać dom! — Karolina znowu uniosła rękę. Wysokie czerwone kominy i spadzi-
sta linia dachu, pokrytego ciemną dachówką, ukazały się i zniknęły za ogromnymi dę-
bami, kiedy samochód przybliżył się do starego muru okalającego posiadłość. Za mu-
rem rosły potężne, wieloletnie drzewa, których połączone korony odcięły resztę wi-
doku od nadjeżdżających. Kilkaset kroków przed bramą Joe zwolnił gwałtownie i za-
trzymał wóz. Karolina rozejrzała się.

— Co się stało?

Alex nie odpowiedział. Wychylił głowę przez okienko i przyglądał się przez chwilę
łysawemu człowiekowi w ciemnych spodniach i białej koszuli, przeciętej smugami pur-
purowych szelek. Człowiek siedział na krawędzi przydrożnego rowu i gorliwie zdawał
się naprawiać trzymaną w ręce wędkę. Obok na trawie leżała szara tweedowa marynar-
ka. Uniósł głowę słysząc nadjeżdżający samochód, obrzucił spojrzeniem osoby w aucie
i znowu zagłębił się w rozplątywaniu żyłki, która najwyraźniej odwinęła się z bębna.

— Pozdrowienia od Bena Parkera, Hicks! — powiedział Alex półgłosem. Naokół aż
do bramy posiadłości, ciągnęło się zielone puste pastwisko i nikt poza siedzącymi nie
mógł usłyszeć jego słów.

Człowiek uniósł głowę i spojrzał ze zdumieniem.

— Przepraszam pana? Nie zrozumiałem. Jestem na wakacjach tutaj i nie znam do-
brze okolicy. Jeżeli pyta pan o drogę, nie mogę niestety...

— Jeżeli nie możecie poznać mnie Hicks, to nie poznacie także żadnego przestępcy!
— Joe roześmiał się cicho. — Gdzież to się podziały wasze bystre oczy?

— Przepraszam pana... — siedzący mimowolnie rozejrzał się. — Ten Rolls Royce
zmylił mnie. Pomyślałem, że to może jakiś lord, a nie... to znaczy, chciałem powiedzieć,
że miał pan zawsze inne, skromniejsze samochody.

— Proszę się nie przejmować — Karolina uśmiechnęła się. — Dla mnie także było to
zaskoczeniem. Dzień dobry, sierżancie!

— Dzień dobry, panno Beacon! Piękna mamy pogodę, prawda?

— Prześliczną.

— Nic ciekawego? — zapytał Alex.

— Jak dotąd nic, proszę pana. Czy pozostanie pan tam przez pewien czas? — wska-
zał oczyma bramę.

— Tak, jesteśmy zaproszeni przez pana generała Somerville'a.

— Dzięki Bogu... — westchnął sierżant detektyw Hicks. — Mieszkam pod „Lwem
i Koroną” w miasteczku. Dwie mile stąd.

I opuścił głowę, żeby zająć się z jeszcze większą gorliwością rozplątywaniem swojej
żyłki nylonowej. Wóz ruszył.

Dwie potężne, rzeźbione połowy kraty, stanowiącej bramę, były otwarte.

— Czy to jedyny dojazd do Mandalay House? — zapytał Joe, wjeżdżając do parku.

— Tak. Jest jeszcze maleńki port naturalny, gdzie dziadek John trzyma swoją motorówkę, a właściwie jacht motorowy, bo to wielka motorówka z kabiną i wszystkimi wygodami. Ale od strony lądu można się tu dostać tylko tędy. O ile, oczywiście, ktoś nie nadzieje polami i nie przedostanie się przez mur.

Jeden zakręt pośród krzewów, potem drugi. Z dala mignął oświetlony słońcem kort tenisowy i klomb pełen czerwonych kwiatów za drzewami. A potem nagle w całej okazałości wynurzył się ogromny stary dom, okryty dzikim winem wznoszącym się aż po dach i oplatającym komin.

Joe miękko przyhamował i zatrzymał auto pośrodku podjazdu, tuż przed oszklonymi i okratowanymi misternie drzwiami wejściowymi.

Jak gdyby na dany sygnał, drzwi te otworzyły się i wyszedł z nich stary, wyprostowany człowiek, ubrany w długą ciemną szatę, na którą miał narzucony ciemnozłocisty kaftan. Jego okolona białymi włosami twarz była ciemna i lekko pomarszczona.

— Chanda! — zawołała Karolina. Otworzyła drzwi wozu, wyskoczyła lekko i rzuciła się na szyję stojącemu, który objął ją ramionami, przytulił do siebie, a potem wypuścił szybko, odsunął się o krok i złożył jej głęboki ukłon.

— Dzień dobry, malutka Karolino — powiedział doskonałą angielszczyzną, w której był tylko ledwie dostrzegalny cień obcego akcentu. — Czy może powinienem odrzucić nieprzystojną poufałość i nazywać cię: Miss Beacon?

— Jeśli zrobisz tak kiedykolwiek, zostaniemy śmiertelnymi wrogami! — Znowu podeszła i ucałowała go w oba policzki.

Po spokojnej, nieruchomej twarzy stojącego przemknął lekki uśmiech. Potem zwrócił się ku wysiadającemu z auta mężczyźnie.

— Pan Joe Alex, prawda? Generał Somerville prosił mnie, abym powitał pana w tym domu. Chce was widzieć od razu. Powiedział mi: „Proś, niech zaraz po wyjściu z auta przyjdą do pawilonu, będę czekał na nich!”... Jeżeli zechcecie państwo zadość uczynić jego woli, każę wnieść walizki, odstawić samochód do garażu i będę czekał tutaj, żeby wskazać panu pokój, bo panna Karolina... — uśmiechnął się lekko — zawsze zajmuje swój, ten w którym mieszkała, kiedy była nie większa niż ta róża — wskazał dłonią niewielki krzew, zakończony ciemnopurpurowym kwiatem. — Czy zechcesz zaprowadzić pana, Karolinko?

— Oczywiście. Chodźmy, jeżeli dziadek koniecznie sobie tego życzy. Mam nadzieję, że nie będzie nas trzymał długo i zdążę się przebrać przed lunchem. Nie jedliście jeszcze, prawda? Przyjechaliśmy półtorej godziny wcześniej niż przewidywałam. Ten... ten automobil jest jednak bardzo szybki.

— To bardzo piękny samochód — powiedział Chanda uprzejmie. — Nazywają go królewskim pojazdem, o ile dobrze sobie przypominam.

— Dziękuję panu! — Alex pokiwał głową z wyraźną satysfakcją. — Po takiej strasie duchowej mogę swobodnie nawet godzinę czekać na lunch. Karolino, ruszajmy! Generał Somerville czeka.

— Tędy! — powiedziała dziewczyna wskazując wyciągniętą ręką. — Pawilon stoi na skalnym cyplu tuż nad morzem! Wrócimy na pewno z dziadkiem Chando. Nie musisz chodzić do niego.

Stary Birmańczyk bez słowa skinął głową, odwrócił się i wszedł do domu. Odchodząc żwirowaną ścieżką, która obiegała klomb przed zajazdem, usłyszeli go, wołającego coś przyciszonym głosem do jakiejś niewidzialnej osoby, zapewne do kogoś ze służby.

Weszli pomiędzy drzewa i ruszyli w milczeniu ku gęstej ścianie krzewów, spoza których dobiegł odgłos odbijanej piłki tenisowej. Jakiś męski głos zawołał coś wesoło, odpowiedział mu głos kobiecy. Joe pomyślał przelotnie, że głos ten należy do młodej kobiety. Meryl Perry albo Dorothy Snider.

— Czy znasz kogoś z tych ludzi? — powiedział półgłosem do Karoliny. — Mam na myśli gości generała Somerville'a.

— Kiedy byłam tu po raz ostatni, prawie przed rokiem, nie było w Mandalay House nikogo z nich. Dziadek mieszkał wtedy zupełnie sam, był u niego tylko jakiś francuski kustosz muzeum, zdaje się, że z Luwru, ale miał odjechać dzień po mnie. Oczywiście słyszałam o profesorze Sniderze i o Jowecie. To znany rzeźbiarz, jak wiesz. Dziwi mnie nawet, że zajmuje się u dziadka Johna takimi drugorzędnymi dla niego sprawami, jak problemy wytopu dawnych indyjskich rzeźb. Ale może przyciągnęło go tu jeszcze coś. Myślę o Meryl Perry. Ją jedną znam. Byłyśmy razem na studiach. Jest bardzo miła.

Okrążyli z dala kort, nadal nie widząc grających, i oddalili się szybko, gdyż ścieżka biegła teraz prosto ku morzu, które zaczęło przeblyskiwać po chwili spomiędzy drzew. Park był tu niemal dziki i nie znać było na krzewach poszycia żadnej pielęgnacji ani zamiaru zorganizowania zjawisk przyrody w jakąś funkcjonalną kompozycję.

— Pawilon! — powiedziała Karolina dotknąwszy ramienia przyjaciela, i w tej samej chwili Joe dostrzegł maleńki budynek.

Pawilon z szarego kamienia był oszklony. Tkwił jak gniazdo na ostrodze skalnej, małym naturalnym półwyspie o płaskiej powierzchni zawieszony nad skałą, u stóp której z wolna przelewały się i pieniały z cichym sykiem niewielkie fale przyływu, pędzone ciepłym wiatrem nadlatującym znad oceanu.

Ścieżka biegła teraz, jak po moście, po wąskim przesmyku, okolonym dla bezpieczeństwa z obu stron żelazną poręczą, pomalowaną ciemnozieloną farbą. Drzwi pawilonu, przy których kończyła się droga, były otwarte.

Przeszli jeszcze kilka kroków i Joe dostrzegł postać ludzką siedzącą przy stole i zwróconą twarzą ku drzwiom.

— Hej! Hej! Dziadku Johnie! — zawołała Karolina i uniósłszy ramię zaczęła wymachiwać ku siedzącemu.

Byli coraz bliżej.

— Jesteśmy, dziadku! — teraz musiał już usłyszeć, jeśli nie był kompletnie głuchy. Ale najwyraźniej nie usłyszał, bo nie drgnął.

— Dziadku!

Mimowolnie Karolina zatrzymała się. W pawilonie było ciemniej nieco niż na świeżym powietrzu, ale najwyraźniej wszystkie ściany budynekczku były oszklone, bo wnętrze nie stanowiło ciemnej plamy. W głębi było dużo światła.

Joe przyspieszył, słysząc za sobą kroki dziewczyny, która ruszyła za nim.

— Na pewno śpi, biedaczek. Jest już taki stary... — powiedziała niemal szeptem.

Ale generał John Somerville nie spał.

Kiedy Joe Alex stanął w progu pawilonu, zobaczył, że przy stole w głębokim fotelu o wysokim oparciu siedzi, bardzo, bardzo stary człowiek, ubrany w białą koszulę i narzucony na nią ciepły szlafrok. Głowę miał odchyloną ku tyłowi, oczy przymknięte, a w nieruchomej ręce, spoczywającej na stole, trzymał czarne wieczne pióro.

Karolina zatrzymała się i głośno wciągnęła powietrze. Znieruchomiała. W dole szumiały cicho fale przyływu, szmerzącego na głazach u stóp urwiska.

Dziewczyna puściła nagle ramię Alexa, w które wpiła się palcami. Zrobiła krok ku przodowi.

— Dziadku! Dziadku! — zawołała ze łzami w głosie.

— Nie wolno nam tam wejść, dopóki nie zjawi się policja.

Powiedział to niemal mechanicznie, nie myśląc o tym, co mówi.

Od chwili kiedy stanął na progu pawilonu, oczy jego wpatrzone były w jeden punkt. Na białej koszuli siedzącego widniała purpurowa plama, pośrodku której tkwiła głowica złocistego sztyletu. Wybiegały spod niej z wolna ciężkie czerwone krople i opadały w dół, łącząc się w wąski strumyczek, który nikał w fałdach szlafroka.

Rozdział 4

Złota figurka

— On... zabili go... — powiedziała szeptem Karolina. — Dziadku Johnie... Kochany... Zabili go.

Chciała wyrwać się Alexowi, ale Joe nie puścił jej.

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek zabił pana generała — powiedział swobodnie. — Niech pan wyprowadzi Karolinę z błędu, inaczej staniemy się świadkami prawdziwej sceny rozpacz.

— Zdaje się, że ma pan słuszość — siedzący otworzył oczy i roześmiał się cichym, starczym śmiechem. — Ale jak pan to odgadł?

Ciało Karoliny zeszywniało nagle, potem dziewczyna zakryła twarz rękami.

— Czy... czy to był żart? — zapytała łamiącym się głosem. — Dziadek John żyje? Żyjesz dziadku?

— Ależ oczywiście, że pan generał żyje! Gdybyś miała trochę wprawy w oglądaniu tego rodzaju widoków, zauważyłabyś, że rękojeść sztyletu tkwi ukosem w rozcięciu koszuli, że na stole stoi buteleczka z czerwonym atramentem, który od biedy może imitować krew, ale jest trochę bardziej amarantowy, no, a poza tym, pan generał nie mógł zupełnie nie oddychać, prawda, panie generale? Trzeba przyznać, że w pierwszej sekundzie i ja straciłem głowę.

Siedzący wyjął z wolna sztylet zza koszuli i otarł poplamioną atramentem rękę o leżące na stole papiery.

— Zmarnowałem bardzo porządną koszulę! — znowu roześmiał się. Wstał z trudem, wpijając ciemno opalone, chude, pomarszczone dłonie w poręczę fotela. — Chciałem się przekonać, czy jest pan rzeczywiście tak spostrzegawczy, jak głoszą gazety. Wybacz mi ten głupiutki żart, dziecko... — uśmiechnął się do Karoliny rozbawionymi, szarymi oczyma, ledwie widocznymi spod gęstych siwych brwi. — Starzy ludzie także miewają dziecinne pomysły. Gdyby Chanda wiedział, nigdy by do tego nie dopuścił. Jest przesądny jak oni wszyscy. W stronach, z których pochodzi, nie wymawia się słowa: śmierć. Ale wszyscy je znają, nie wiadomo skąd. Pan Joe Alex, prawda?

Wyciągnął poplamioną rękę, którą Joe uściśnął lekko. Karolina otarła oczy.

— Jak mogłeś zrobić coś podobnego, dziadku?!

— Jak? Po prostu. Mówiłem ci już, że chciałem się przekonać, czy twój znajomy jest człowiekiem, za jakiego uchodzi. A po drugie zyskałem jeszcze coś, może nawet ważniejszego. Widziałem twoją twarz, Karolinko. Byłaś nie tylko przerażona. Zmartwiłaś się bardzo, że stary łotr Somerville odszedł do swego Stwórcy.

Karolina opanowała się już.

— Och, sama nie wiem! — powiedziała siląc się na swobodę, chociaż głos załamywał się jej jeszcze niebezpiecznie. — Myślę, że nie bardzo by mnie to przejęło...

I nagle rozplakała się głośno, tuląc głowę do ramienia starego człowieka.

— No, no, no... Daj spokój! — generał znowu roześmiał się i pogłaskał ją po włosach. Alex pomyślał zupełnie irracjonalnie, że śmiech ten byłby miłszy, gdyby Somerville'a ktoś naoliwił. Albowiem dźwięk ów przypominał bardzo odgłos zardzewiałego, puszczzonego niespodziewanie w ruch mechanizmu. — Przygotowałem sobie na wszelki wypadek czystą koszulę tutaj, żeby nikt obcy nie dowiedział się o niczym. Nie chciałbym nikomu nasuwać niepotrzebnych myśli.

Odwrócił się i ruszył ku małej umywalce, obok której wisiał ręcznik.

— Sądzi pan, że ktoś mógłby skorzystać z takiej inspiracji? — powiedział Joe nie ruszając się z miejsca.

Generał podszedł do umywalni, odkręcił kran i nagle zakręcił go znowu.

— Czy sądzę? Nie wiem. Bardzo mi zależało na pana przyjeździe właśnie z tego powodu. Chciałem, żeby mi pan pomógł odpowiedzieć na to pytanie. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo starzy ludzie kochają życie, o wiele bardziej nawet niż młodzi! — znowu roześmiał się. — Karolino, musisz się odwrócić, bo twój stary dziadek będzie próbował zmyć krew z serca, hi, hi, hi...

Mówiąc do siebie półgłosem, zdjął szlafrok i zaczął ściągać rozpiętą, poplamioną koszulę. Ponownie odkręcił kran i prychnąwszy zaczął się myć, szybko i nieco niezadarnie.

Karolina wysunęła się na zewnątrz i stanęła oparta o poręcz, patrząc w dół na płaszczyznę między głazami języki piany. Była bardzo blada.

Joe odwrócił od niej spojrzenie. Stół, a raczej biurko, gdyż pod powierzchnią jego Alex dostrzegł dwie uczone od spodu szuflady, pokryty był papierami. Z boku stała żółta figurka, migotliwa i lśniąca w blasku słonecznego promienia, który padał na nią przez skośne okno, umieszczone w suficie pawilonu.

Generał prychnął głośno i zaczął się wycierać włochatym ręcznikiem.

— Doskonale mi to zrobiło... — powiedział dysząc ciężko i zapinając drżącymi palcami guziki koszuli. — Starzy ludzie powinni nie bać się zimnej wody. Doskonale działa na zbutwiałe, wyschnięte nerwy. Czuję się o dwadzieścia lat młodszy... Tak! Możesz już wejść, malutka!

Alex wyciągnął rękę i chciał unieść lekko ze stołu figurkę, ale okazała się nadspodziewanie ciężka. Mimo to podniósł ją i obejrzał pod światło. Weszła Karolina.

— Piękna, prawda? — ożywił się generał. — Czteroręki Wisznu! Najprawdopodobniej dziewiąty wiek. Cudowna robota! Oczywiście, anonimowa. Iluż wielkich artystów nie przeszło do historii! Dobrze, że chociaż część ich dzieł została zachowana. Podoba się panu?

— Bardzo. To złoto, prawda?

— Tak, oczywiście. Szczere złoto, z pewnymi niewielkimi domieszkami innych metali. Znakomity wytop i forma, później nieco odkuta dłutkiem i wymodelowana na zimno, a jeszcze później wygładzona. Masa pracy! Nie zawsze artyści ich byli tak dokładni w stosunku do swoich zamiarów. Ale ten posążek musiał zdobić kaplicę władcy, a może świątynię, gdzie władca złożył go w podzięce? Zresztą, wiem, gdzie był... — Znowu zaśmiał się. — To symbol boskości, walki z wszystko pożerającym czasem. Uznałem za słuszne postawić tę figurkę w tym miejscu, żeby pilnowała mojej pracy. Najbardziej interesuje mnie teraz właśnie walka z czasem. Opatrzność dała mi go już wiele, bardzo wiele. A potrzeba mi go jeszcze trochę. Jest kilka prac, które chciałbym skończyć. A nikt, poza mną, na tym jakże zainteresowanym sztuką świecie, nie zna się na tych sprawach... Na przykład, ten profesor, jakże mu tam, Snider! Mój Boże, ileż teorii, ile uogólnień, a jak mało wiedzy o tym, co oni robili, jak robili i dlaczego robili właśnie takie posągi, rzeźby i płaskorzeźby, i komponowali je tak, a nie inaczej! Po cóż gromadzić wiedzę, kiedy szuka się tylko systematyki przedmiotów, a nie próbuje myśleć o ich twórcach, nie zna ludu, w którego wyobraźni powstał ci bogowie, i nie wie się, jakimi oczyma lud ten na nich patrzył. Bo chociaż dwóch ludzi spogląda na tę samą rzecz i widzi ją dokładnie tak samo, to jednak mogą, a czasem muszą, widzieć ją zupełnie inaczej. Krawiec patrząc na płaszcz koronacyjny monarchy widzi tylko nitki i miejsca zszycia materiału, kuśnierz dostrzega wyłącznie gronostaje, a następca tronu nie widzi nic, gdyż myśli o tym, że kiedyś płaszcz ten okryje jego ramiona. Wszyscy widzą co innego, a to ciągle jednak ten sam płaszcz. Nasz Cowley tutaj spogląda na posąжки i myśli o metalach, z jakich są sporządzone, bo blask ich mówi mu tylko to. Jowett, który jest rzeźbiarzem, dostrzega ich formę, ta mała Meryl Perry szuka atrybutów boskości w wyobrażeniach zwierząt i cech kultowych w zależności od układu członków. A tylko Chanda i ja widzimy bogów! Ale Chanda widzi ich w sposób naturalny, więc nie posunie dalej swego poznania. Ja staram się zgromadzić wszystko o nich! Rozumie pan, prawda? Wszystko! Nie można być historykiem, historykiem sztuki, rzeźbiarzem, duchownym, wierzącym, archeologiem, każdym z tych ludzi z osobna. Prawdziwy uczony łączy cechy wszystkich tych osób, inaczej nie może uczciwie zabrać się do opisu i systematycznego wykładu o kulturze ludów, które go interesują. Wczuwać się! Prawda, Karolinko? Zawsze ci to wmawiałem, nawet wtedy, kiedy byłaś dzieckiem. Być twórcą, odbiorcą i krytykiem równocześnie!

— Nie zapomniałam o tym, dziadku Johnie...

Karolina zwinęła jego poplamioną koszulę. — Co mam z tym zrobić?

— Schowaj to jakoś... — rozejrzył się. — O, do tej teczki. A potem wyrzucić tak, żeby Chanda tego nie zauważył. Dba o mnie, jak gdybym miał pięć lat, a nie prawie dwadzieścia razy więcej. O czym mówiłem? Ach, mniejsza o to! A więc podoba się panu... — Wyciągnął rękę i z niespodziewaną siłą uniósł lekko figurkę ku oczom. — Piękna, prawda? Chodźmy! Mój żołądek mówi mi, że za chwilę lunch! Czy podasz mi ramię, Karolinko? Chanda zwykle przyprowadza mnie tu i odprowadza z powrotem. Myślałem nawet o fotelu na kółkach, żeby się usamodzielnić. Ale to byłaby kapitulacja, prawda? Zupełna kapitulacja!

— Jeszcze całe lata dzielą cię dziadku od fotela na kółkach! — powiedziała Karolina z przekonaniem. — Chodźmy!

Generał ujął ich oboje pod ręce i ruszyli z wolna grzbietem skalnej ostrogi ku bramie parku. Joe obejrzał się.

— Pozostawia pan tak tę złotą figurkę w pawilonie o otwartych drzwiach, panie generale?

— A któż by ją skradł? Nikt obcy tu nie zachodzi, a po drugie, pawilon jest widoczny z domu... o widzicie... — wskazał im ruchem głowy najwyższe piętro Mandalay House, wynurzające się ponad drzewami. — Zresztą, stoi na pionowej skale, a pod nią jest morze. Nikt tam by nie mógł dobić, nawet przypadkiem. Można się tam tylko rozbić, gdy się nadpłynie z pełnego morza. A tylko jedna ścieżka prowadzi od strony domu. Zresztą, nikt nigdy nie wtargnął na teren posiadłości. Gdybym się mógł czegośkolwiek obawiać, to raczej piątej kolumny, hi, hi, hi, to znaczy wroga wewnętrznego. Bo tylko on wiedziałby o tym, co tu ma wartość, a co nie. Zwyczajnemu opryszkowi nie przyszłoby nawet do głowy, że taki stojący na stole posążek może być szczerzłoty. Pomyślałby, że to jakieś pozłacane paskudztwo i nie tknąłby go!

Był najwyraźniej w doskonałym humorze. Dochodzili już do pierwszych drzew, a szum fal w dole przycichł niemal zupełnie w ich uszach, kiedy na ścieżce ukazał się Chanda.

Zbliżył się i powiedział skłaniając głowę przed generałem:

— Za chwilę podadzą lunch i dlatego pozwoliłem sobie wyjść naprzeciw państwa, żeby się dowiedzieć, kiedy wydać dyspozycje kucharce.

— Znacie się już? — zapytał generał. — Na pewno już się poznaliście! To Chanda, człowiek, którego mózg jest chyba częścią mego umysłu, oderwaną od mego ciała, poruszającą się samodzielnie i strażującą nad moimi uczynkami. Żyjemy tak długo pod jednym dachem i znamy się tak dobrze, że ani on, ani ja nie potrafimy niczego przed sobą ukryć. Teraz, na przykład, Chanda myśli z lekkim niepokojem o tym, że kura pieczona, której biała pierś jest moim ulubionym przysmakiem, może zbyt długo czeka już i będzie nieco suchsza, niż powinna być. Czy tak, Chando?

— Tak, panie — Chanda skłonił głowę i uśmiechnął się lekko. — A gdybyś pozwolił mi zgadnąć, co myślisz w tej chwili, powiedziałbym, że rozbawiło cię i ucieszyło coś, o czym nie wiem, a poza tym, że praca twoja szła ci dzisiaj dobrze, co w sumie wprowadziło cię w doskonały humor. Nie wspomnę przy tym o pojawieniu się panny Beacon, co cieszy najbardziej także i moją nie mającą tu najmniejszego znaczenia osobę, jeśli podkreślając ten fakt nie urażę przy tym innych twoich miłych gości, panie.

Skłonił głowę w kierunku Alexa, który uśmiechnął się, myśląc, że przed przyjazdem wyrobił sobie zupełnie inny obraz Chandy. Zamiast przysłowiowego, ślepo oddanego, milczącego azjatyckiego sługi widział przed sobą człowieka posługującego się nienaganą angielszczyzną i zachowującego tak swobodnie, jak gdyby był członkiem rodziny. Tylko strój opadający niemal do ziemi na ciemne, skórzane sandały, w które obute były bosc nogi starego Birmańczyka, oraz pewna kwiecistość wymowy, choć ujęta jak gdyby w cudzysłów i najwyraźniej traktowana przez samego mówiącego nieco humorystycznie, przypominały ów teoretyczny model.

— Nikogo nie urazisz, mój drogi! — Generał roześmiał się i ruszył z wolna ku domowi. — Wszyscy wiemy, że ta młoda osoba wpadła ci w serce przed laty i nie chce go opuścić! Gdybyś był o czterdzieści lat młodszy, polecałbym Karolinie wzmożoną czujność! Na szczęście, nie jesteś!

— Na szczęście, nie jestem! — Chanda rozłożył ręce, złożył je ponownie na piersi i skłonił głowę idąc za posuwającą się noga za nogą trójką. — Gdybym nim był, ty, panie, także byłbyś młodszy. Mielibyśmy mniej doświadczenia, ale czy bylibyśmy szczęśliwsi?

— Ja byłbym! Gdybym miał o czterdzieści lat mniej... — urwał na chwilę i poruszył głową, jak gdyby myśl uciekła mu nagle. — Byłbym teraz w Mandalay... Ha! W Mandalay, gdzie przykazań brak dziesięciu, jak powiadał ten mały poeta z wąsikiem, który wyglądał jak szczur, a miał serce tygrysa! Kipling.

— Oczywiście! — mruknął Alex do siebie. — Kipling! Jak mogłem zapomnieć?...

— Co mówisz? — Karolina pochyliła się ku niemu. — Nie dosłyszałam.

— Och, nic.

— Niestety — Chanda chrząknął. — Rzadko zdarza się w tym klimacie niebo bez jednej, chociażby niewielkiej, chmurki.

Generał nagle zatrzymał się i bardzo powoli, jak gdyby obawiając się, że zbyt gwałtowny ruch głowy mógłby uszkodzić mu szyję i pochylone plecy, odwrócił się.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Pan Jowett i pan Cowley doszli, jak mi się wydaje, do absolutnego braku porozumienia i myślę, że już wkrótce nabrzmiała chmura ich stosunków zapłonie ogniem błyskawic. Jeżeli mam być szczery, usłyszałem przypadkiem pierwsze grzmoty i dostrzegłem pierwsze błyskawice. Kiedy przechodziłem obok pracowni w parku... — zrobił

ręką nieokreślony ruch w kierunku gęstych zarośli rozciągających się w lewo — doszły mnie przez otwarte drzwi słowa, którymi, o ile wiem, dwaj angielscy gentlemen nie okazują zwykle nadmiernej wzajemnej serdeczności.

Generał wysunął dłoń spod ramienia Alexa, machnął ręką i odwróciwszy się, ponownie ruszył przed siebie, wsparty na ramieniu Karoliny.

— Jeżeli o mnie chodzi, gentlemen ci mogą sobie nawzajem poprzegryzać gardła! — powiedział z przekonaniem. — Ale chciałbym, żeby to się stało w dzień po ukończeniu wszystkich prac. Już niewiele czasu im zostało. Za dwa tygodnie zakończymy nasze eksperymenty, będę miał skompletowane dane do mojej książki i ostatnie dwie kopie posągów opuszczą pracownię. Wtedy rozbierzemy ten przeklęty piec... — zwrócił się ku Karolinie. — Kiedy wieje zachodni wiatr, cały dom jest pełen dymu! Ten piec hutniczy kopci, jakby w ogrodzie usadowił się wulkan! Ohyda! Zawsze nienawidziłem miast, bo nie znoszę zanieczyszczonego powietrza! A teraz sam je sobie tu wymyśliłem! Ale to już tylko dwa tygodnie. A potem zasadzimy na tym miejscu róże, Chanda! A panowie Cowley i Jowett niech idą do wszystkich hutniczych diabłów, razem ze swoją miłością do tej jasnowłosej panienki, która wydaje mi się warta o wiele więcej, niż oni obaj razem wzięci! Ale może niepotrzebnie interesujemy się ich osobistymi sprawami? Jak dotąd, obaj wywiązują się doskonale z zadań, które im powierzyłem — i półgłosem dodał: — Nic dziwnego. Pieniądze są silniejsze niż niechęć.

Zamilkł. Z dala ukazał się dom i klomb płonący purpurowymi różami, na których tle dostrzegli młodego człowieka ubranego w szare flanelowe spodnie i białą rozpiętą koszulę. Szedł on w ich stronę szybkim, zdecydowanym krokiem.

— Nadciąga pierwszy zwiastun burzy — powiedział Chanda pogodnie i zrównał się z idącymi.

Widząc generała w towarzystwie dwojga nieznanym osob, młody człowiek zwolnił.

— Karolino, pozwól, że przedstawię ci inżyniera Cowleya... — w oczach Somerville'a zapłonęły wesołe błyski. — Razem z panem Jowettem, którego jeszcze nie znasz, odgrywają w tym domu rolę diabłów wyciągających widłami z ognia, co prawda nie dusze, ale bezduszne figury bogów! Pan Cowley, pan Joe Alex...

Cowley skłonił się Karolinie i Alexowi. Widać było najwyraźniej, że jest wzburzony i opanowuje się z trudem.

— Bardzo mi miło państwa poznać. Chciałem zamienić kilka słów z panem generałem, ale nie będę teraz przeszkadzał i pozwolę sobie zgłosić się po południu, jeżeli pan generał pozwoli. — Znowu skinął głową i chciał ich wyminąć.

— Dokąd pan idzie, Williamie? — Somerville zatrzymał go ruchem dłoni. — Za chwilę lunch.

— Przejdę się jeszcze przez chwilę po parku... — Cowley spróbował się uśmiechnąć, ale próba ta wypadła dość żałośnie. — Na pewno zdążę.

Jeszcze raz skłonił lekko głowę w kierunku Karoliny i wyminął ich. Po chwili zniknął za zakrętem ścieżki.

— Zdaje się, że burza jeszcze nie minęła... — Somerville roześmiał się. — Karolino, czy zechcesz zabrać pana Alexa po południu na morze? Pogoda jest piękna, a chciałbym, żebyście trochę odpoczęli oboje po podróży...

— Z przyjemnością — dziewczyna spojrzała na Joego. — Jeżeli tylko motorówka nadaje się do użytku a pan Alex zechce?

— Będę szczęśliwy. Pogoda jest jak wymarzona do kąpieli. O ile, oczywiście... — urwał i spojrzał pytająco na Somerville'a.

— Jeżeli o mnie chodzi, nie krępujcie się, moi mili. Po lunchu sypiam dwie godziny. Prawda, Chando? Niestety, stary mechanizm wymaga coraz więcej odpoczynku. Czytałem gdzieś, że starzy ludzie potrzebują mniej snu! Absurd! Kiedy jest ciepło i świeci słońce, oczy same mi się zamykają. Czy wiesz, Karolino — dodał pogodnie — że marzę tylko o jednym, żeby umrzeć w taki upalny, słoneczny dzień we śnie, siedząc na tarasie, z głową opartą wygodnie na poduszce, którą tylko Chanda i ty umiecie wsunąć tak, żeby nie łamała człowiekowi grzbietu. Odejść cicho, spokojnie i bez hałasu. To byłoby najlepsze. W przeciwnym wypadku zatruję życie otoczeniu! Nienawidzę chorób! — znowu roześmiał się.

Alex spojrzał w prawo. Ścieżką, którą szedł poprzednio w stronę pawilonu, nadchodziły trzy osoby: dwie młode dziewczyny i mężczyzna. Wszyscy troje mieli w rękach rakietki tenisowe, a mężczyzna niósł siatkę z piłkami.

— Oto i nasz, jakże systematyczny, wszystkowiedzący profesor Snider z córką i przyczyną sporów w tym domu, panną Meryl Perry! — generał uniósł drżącą szczupłą rękę i pozdrowił nią z daleka nadchodzących. Kruchość jego ciała i niesłychana żywotność umysłu, zaczynały powoli fascynować Alexa. Dziewięćdziesiąt lat była to granica, którą tak niewiele ludzi przekraczało. A jeśli udało się to komuś, sprawa bywała przeważnie żalosna. Tymczasem John Somerville zdawał się nie rezygnować z atrybutów samodzielnego istnienia, wszystko dostrzegał, ze wszystkiego wyciągał wnioski, i Joe zaczął być naprawdę ciekaw, jaka będzie najbliższa książka Somerville'a. Lubił ludzi walecznych, a waleczność tego starego człowieka niewiele miała wspólnego z opryskliwością i zrzędnością starego emerytowanego generała. I znowu odczuł, że rzeczywistość także w tym wypadku daleko odbiegała od modelu, który sobie wytworzył w wyobraźni. Dziadek John był zupełnie innym człowiekiem niż osoba, którą był gotów spotkać i z którą gotów był rozmawiać o... Właśnie, o czym? Somerville nie dał na razie poznać po sobie, że naprawdę chce o czymkolwiek z nim rozmawiać. Może nie chciał mówić w obecności Chandy?

Nadchodząca trójka zrównała się z nimi tuż przed drzwiami wejściowymi domu.

Nastąpiła formalność przedstawienia sobie nawzajem obecnych. Joe z uśmiechem przesuwał oczyma po twarzach stojących, byli jeszcze najwyraźniej rozgrzani walką na korcie. Gra w tak upalny dzień wymagała na pewno wielkiego wysiłku. A więc to był profesor Snider... Reginald Snider, jeden z największych znawców sztuki dawnych Indii. Musiał mieć około pięćdziesiątki, ale wyglądał o wiele młodziej. A to, oczywiście, była jego córka. Zanim wymieniono nazwiska, Alex nie miał żadnych wątpliwości, która z młodych dziewcząt nazywa się Dorothy Snider. Była bardzo podobna do ojca: ta sama pociągła, niezbyt piękna twarz, myślące, szare oczy i wysoki, imponujący u kobiety wzrost. A to Meryl Perry, młoda uczona. Była mniej więcej w wieku Karoliny. Może trochę młodsza? Ile lat właściwie miała Karolina? Znali się już tak dawno...

Wszedł ostatni po stopniach i mijając drzwi zatrzymał się nagle na ułamek sekundy. Oczywiście! Znał jedną z tych twarzy, widział ją już gdzieś przedtem. Ale gotów był dać głowę, że nazwisko było inne. Jakie? Gdzie to było?...

Potrząsnął głową.

— Musiało mi się chyba wydawać — powiedział do siebie w duchu. Ale z przeszłości nadbiegały ostre, gwałtowne sygnały: Znam ją? Znam ją!

A jednak było to przecież niemożliwe. Nazwisko Meryl Perry nie mówiło mu przecież nic poza tym, czego dowiedział się już od Parkera i z kilku zdawkowych słów generała Somerville'a. Meryl Perry? Nie. Na pewno nie. Ale może nazwisko to brzmiało kiedyś inaczej?

Stracił nagle pewność.

Młode kobiety bywają tak podobne jedna do drugiej w naszej epoce... — pomyślał. Może został mi po prostu w pamięci obraz kogoś innego, kogo ona bardzo przypomina.

Pomyślał o anonimowych listach otrzymanych przez Parkera i przygryzł wargi. Chociaż dzień był piękny, nie przybyli tu przecież, Karolina i on, na weekend. Nad Mandalay House krążyło, być może, widmo nieszczęścia. W tej sytuacji każde pytanie, pozostające bez odpowiedzi, mogło okazać się fatalne w skutkach.

— Dawno cię Nie widziałam, Meryl! — powiedziała Karolina zatrzymując się wraz z innymi w hallu. — świetnie wyglądasz!

— W naszym wieku to już komplement! — Meryl Perry roześmiała się. Wyglądały obie tak dziewczęco, że profesor Snider wybuchnął głośnym śmiechem.

— I któż tu mówi o wieku! Wy, moje panienki?

— Pokrzepiona na duchu idę się przebrać! — Karolina skierowała się ku schodom, opierając dłoń na stojącej pod ścianą ogromnej rzeźbie, przedstawiającej Buddę w pozie kontemplacji. — Czy nie jestem ci potrzebna, dziadku Johnie?

— Jesteś! Zawsze! Ale nie w tej chwili. Generał ruszył za nią powoli, wsparty na ramieniu starego Birmańczyka. — Pokaż panu Alexowi jego pokój. Umieściłem go w zielonym, gościnnym. Chanda odprowadzi mnie, jeżeli pozwolicie. Za dziesięć minut prosimy do stołu, czy tak?... — zwrócił się do młodej pokojówki, która pojawiła się w otwartych, prowadzących w głąb domu drzwiach. — Co mówi o tym pani Rowley?

— Kucharka czeka, panie generale — pokojówka dygnęła zgrabnie. — Wszystko już gotowe.

A więc Karolina znała ją. I to od dawna. Joe westchnął.

Musiałem się omylić... — pomyślał. — Tak, na pewno musiałem się omylić.

I ruszył za Karoliną.

Rozdział 5

Jutro, bo dzisiaj nie jestem jeszcze gotów

— O nie! — powiedział z przekonaniem pan James Jowett — motorówka to nie dla mnie! Nigdy nie postawiłem nawet nogi na pokładzie żadnego statku, to znaczy: raz! Płynąłem wtedy z ojcem do Irlandii. Kilka godzin na morzu, taki zwykły, turystyczny spacer. Nigdy tego nie zapomnę! Najwidoczniej nie każdy Anglik ma przodków żeglarzy. Moi musieli chyba żyć tu na lądzie od miliona lat, a jeżeli nawet któryś z nich przybył ongi z Wilhelmem Zdobywcą, to założę się, że nie brał potem udziału w bitwie pod Hastings. Nie mógłby ruszyć mieczem przez całe miesiące, jeśli był choć trochę moim protoplastą! Odchorowałem tę drogę do Irlandii tak, że wróciliśmy samolotem, chociaż samoloty wtedy tłukły się prawie dwie godziny do Londynu. Ale byłem szczęśliwy patrząc z okienka na fale w dole, daleko pod skrzydłem. Zresztą, mam moc pracy przy tym piecu. Kończę dzisiaj wytop pewnego posągu, który potrzebny jest generałowi. A potem muszę go pozłocić dokładnie tak, jak to robiono w Indiach. Idiotyczna praca, ale mam tu trochę czasu dla siebie i mogłem spokojnie obmyślić pewien pomnik, który muszę wykonać do końca roku... Dzisiejsza praca przy wytopie zajmie mi trochę więcej czasu, bo... — zawahał się — inżynier Cowley nie czuje się najlepiej, jak mi się wydaje, i chyba nie pomoże mi jak zwykle — machnął ku nim ręką. — Szczęśliwego rejsu! — Był wysoki, przystojny i miał pociągłą, nerwową twarz o wielkich, ciemnych oczach.

Odwrócił się i ruszył ku niskiemu budynkowi o częściowo oszklonych ścianach, zasłoniętych w tej chwili od wewnątrz płóciennymi storami. Tylna część budynku nie miała okien i skonstruowano ją z czerwonej cegły. Wyrastał nad nią wysoki, wąski komin, także ceglany. Unosiło się nad nim pasemko czarnego dymu i niknęło, pochylone wiatrem, pośród koron rosnących naokół dębów. Otworzył drzwi kluczem, który wyjął z kieszeni. Zniknął wewnątrz.

Karolina i Alex ruszyli dalej ścieżką prowadzącą w kierunku przystani. Kiedy oddalili się, Joe zapytał:

— Jak ci się podoba pan Jowett? Jest młodszy, niż przypuszczałem. Słownik artystów brytyjskich podaje, że ma trzydzieści pięć lat. A wygląda na dwadzieścia pięć.

— Oglądałam jego dwie rzeźby na wystawie sztuki nowoczesnej w tym roku. Nie jest aż tak bardzo nowoczesny, na szczęście, żebym nie mogła go zrozumieć, a wydaje mi się bardzo uzdolniony. To były mądre, niespokojne kompozycje na pograniczu abstrakcji, ale zaopatrzone w „normalne” tytuły. O ile pamiętam, jedna nazywała się „Król po klęsce”, a druga „Kiedy on odszedł”. Pozornie nie oznaczały nic, ale w jednej bryle było coś, co rzeczywiście kazało myśleć o starym, groźnym człowieku, który trawi gorycz porażki, a przywykł do rozkazywania; druga miała miękkość i o ciężałość ciała dziewczęcego, uśpionego, po odejściu mężczyzny. To były idee tych zjawisk, a nie ich obraz, rozumiesz? W dodatku, wykonane w granicie. A ja bardzo cenię granit jako tworzywo rzeźby. Wydaje mi się naturalniejszy niż marmur. I trudniejszy niż marmur.

— W Grecji było więcej marmuru niż granitu... — Joe uśmiechnął się. — Gdyby mieli granit, nie byłby na pewno dla nich przeszkodą. Ale nie o tym chcę mówić. Jak myślisz, co skłoniło go do przyjęcia propozycji twojego dziadka Johna?

— Chyba pieniądze... — Karolina uśmiechnęła się lekko. — Masz tyle pieniędzy, Joe, i zdobywasz je z tak minimalnym wysiłkiem, że trudno ci jest czasem zrozumieć, że inni ludzie, żeby zrobić coś naprawdę dobrego, muszą sprzedać trochę swego czasu i talentu.

— Tak, to jest odpowiedź. Ale...

Joe nie dokończył. Zarośla skończyły się nagle i ścieżka niemal zawisła nad urwiskiem skalnym. Łagodny blask bezchmurnego popołudnia stał się niezmierną, zielonkawą masą wód, nad którą lśniło słońce.

Zrobili jeszcze kilka kroków i na krańcu ścieżki ukazały się szerokie, wygodne, wykute w skale stopnie, odgródzone żelazną barierą od przepaści. Stopnie schodziły ku małej naturalnej zatoczce, zaopatrzonej w pomost na palach, do którego przycumowana była duża łódź motorowa.

— Oto niespodzianka! — Alex uśmiechnął się. — Przypomniało mi to nagle naszą zeszłoroczną przygodę. Ciekaw jestem, czy na Keros mieszka nowy latarnik?

Karolina wzdrygnęła się.

— Boże... — powiedziała cicho. — Jak to dawno. Czy wiesz, że wybudowano tam już hotel i nową przystań dla ciekawych, którzy chcą obejrzeć podziemną świątynię Pani Labiryntu? Ekspozyty są, oczywiście, w Atenach, ale jaskinia pozostała.

Zacząła schodzić w milczeniu, zręcznie stawiając stopy na stromo opadających stopniach.

Po paru minutach znaleźli się na dole.

Weszli na wysoki i solidny pomost. Łódź przycumowana była luźno i tańczyła lekko na wodzie.

Joe wskoczył na pokład, podał rękę dziewczynie, odwiązał linki i odepchnąwszy łódź nogą od pomostu, zapuścił silnik. Z wolna zawrócili i wyszli w morze pomiędzy dwoma spadającymi pionowo w wodę ostrogami skalnymi.

— Czy nie ma tu podwodnych skał? — zapytał pochylając się ku Karolinie, żeby przekrzyczeć dźwięk silnika.

— Nie! Ani skał, ani żadnych wirów. Dno od razu opada bardzo stromo.

— W takim razie możemy płynąć spokojnie.

Brzeg oddalał się. Płynęli teraz w kierunku słońca. Wiatr przestał wiać niemal zupełnie. Pogoda była naprawdę wspaniała. Karolina zeszła do kabinki i ukazała się po chwili w czarnym kostiumie kąpielowym, podkreślającym jasny brąz jej opalonego ciała.

Alex zgasił silnik i ustawił łódź dziobem ku małym, łagodnie wędrującym od brzegu falom.

— Jeżeli chcesz trochę popływać, zostanę w łodzi... — powiedział.

Skinęła głową bez słowa i skoczyła. Ciało jej przeleciało łukiem ponad niską burtą, usłyszał plusk i po chwili głowa Karoliny, okolona czarnym, lśniącym czepkiem gumowym, wynurzyła się na powierzchnię.

— Jaka ciepła woda! — zawołała i zaczęła płynąć czałem ku brzegowi, od którego dzieliło ją więcej niż dwieście jardów.

Joe włączył silnik i bardzo wolno łódź zaczęła posuwać się w ślad za pływaczką.

Patrząc na Karolinę widział duży fragment wybrzeża. Białe, kredowe skały, które dostrzega każdy żeglarz, czy dopływa do Anglii ze wschodu, z zachodu czy od południa, ciągnęły się w lewo aż po granice widnokregu. Z prawej zasłaniał widok występ, na którym stał widoczny z dala pawilon generała Somerville'a. Od strony morza, patrząc z dołu, wydawało się, że budynek stoi w powietrzu. W rzeczywistości znajdował się na szczycie kamiennego słupa, opadającego niemal pionowo pomiędzy fale. Maleńka, ledwie widoczna z dołu balustradka ukazywała miejsce połączenia skalnej ostrogi z lądem. Pomiędzy pawilonem a przystanią ciągnęła się nad krawędzią brzegu linia zieleności, utworzona przez stare drzewa i krzewy poszycia, których gałęzie wybiegały ponad przepaść. W słońcu lśniły gdzieś druty siatki ogrodzenia, którą generał najwyraźniej kazał otoczyć posiadłość z tej strony, tak aby ktoś nie znający dobrze topografii parku nie runął w przepaść, która otwierała się zupełnie niespodziewanie dla idącego od strony domu i zasłonięta była do ostatniej chwili zaroślami. Przynajmniej wtedy nikt nie mógł dostać się do Mandalay House. Oczywiście, pozostawała jeszcze przystań i stopnie w górę, gdyby ktoś chciał rzeczywiście zawitać od strony morza.

— Joe!

Szybko zwrócił spojrzenie ku wodzie. Ale Karolina stała już na pomoście przystani. Znowu skoczyła.

Czekał, póki nie przyplynie, podał jej rękę i wyciągnął ją jednym ruchem na pokład.

— Cudnie! — powiedziała parskając i otrząsając się. — Umiem prowadzić tę łódź. Jeżeli chcesz, zostanę tutaj.

Joe potrząsnął głową.

— Starzeję się najwyraźniej, bo zaczynają mnie zajmować sprawy teoretyczne, a przestaję dbać o najprostsze przyjemności. W tej chwili, na przykład, chciałbym cię zapytać o to, skąd znasz pannę Meryl Perry?

— Meryl? Zaczekaj chwileczkę... — Karolina zeszła pod pokład i natychmiast powróciła z wielkim włochatym ręcznikiem kąpielowym. Zdjęła czepek i uważnie zaczęła wycierać sobie twarz i szyję. — Meryl? A dlaczego, na Boga, o to pytasz. Znam ją od stu lat! Mówiłam ci już, że byliśmy razem na studiach. Tylko, jak chyba zauważyłeś, miałyśmy inne zainteresowania i to później nas rozdzieliło.

— Byłaś z nią na studiach? Na pewno?

— Co się z tobą dzieje, Joe? Chyba nie sądzisz, że jestem w stanie zapomnieć, kim była osoba, z którą razem jadałam co dnia lunch u Brady'ego za niecałego funta, bo obie nie byliśmy bogate, a miałyśmy ogromny apetyt. Brady tym różnił się od innych samoobsługowych knajp wokół uniwersytetu, że można było samemu nakładać, ile się chce, na talerz. Pod warunkiem, że brało się tylko raz. Nauczyłyśmy się nakładać tyle, że wyglądało to jak piramida.

— I to była Meryl Perry? Jesteś przekonana, że tak się wtedy nazywała!

— Ależ oczywiście! Od razu wiedziałam zresztą, że ją tu spotkam, kiedy pan Parker wspomniał o niej, ale nie chciałam mówić o tym, bo zanudziłby mnie pytaniami... Mniej więcej takimi samymi, jak ty w tej chwili.

— Ile to było lat temu?

— Siedem, osiem, dziewięć nawet... Nie, chyba więcej.

— W takim razie, ile panna Perry może mieć lat w tej chwili!

— Zdaje się, że ma dokładnie, tyle, ile ja mam.

— A ile... — Joe urwał i rozłożył ręce. — śledztwo utknęło w martwym punkcie — powiedział z udaną rozpaczą.

— Ależ mogę ci powiedzieć! Nie robię z tego nigdy żadnej tajemnicy. Mam lat... Zaczekaj... — zawahała się.

— No właśnie! — Alex uruchomił ponownie silnik i łódź przyspieszając pomknęła w stronę morza, a później miękko zakręciła w prawo.

— Cóż to za miejsce wybrał sobie generał Somerville do pracy latem! — powiedział wskazując na zbliżający się występ skalny i maleńki domek, przylepiony do jego grzbietu. Łódź posuwała się teraz wzdłuż wybrzeża.

— Dawniej nie było nawet tej balustradki. Postawiono ją dopiero wtedy, kiedy ja tu przybyłam. No, ale dziadek też wówczas był o wiele młodszy, chociaż wydawał mi się okropnie stary i pomarszczony.

Joe zmienił kurs i dziób motorówki skierował się ku pełnemu morzu.

— Ładny stateczek... — przesunął dźwignię. Motor zagrał głośniejsze i dziób uniósł się nieco. Szybkość rosła. Stojąc z ręką na poręczy, Karolina spoglądała na podwójny wachlarz wody wytryskujący po obu stronach dziobu łodzi.

— Jeszcze jeden ruch dźwignią.

— Ależ to niemal ścigacz! — krzyknął Joe. Zwolnili.

— Z łatwością, bez żadnego uzupełnienia paliwa, mogłaby dopłynąć stąd do Francji albo do Irlandii! — powiedziała Karolina. — Chanda, który się nią opiekuje, twierdzi, że gdyby zaistniała konieczność, nie bałby się przy odpowiednim zapasie paliwa przebyć w niej Atlantyk. Ma potężny motor i bardzo silną konstrukcję. Dziadek John nie znosi półśrodków. Co prawda od dwóch czy trzech lat już jej prawie nie używa. Ale nie dlatego, że nie lubi nią pływać. Po prostu schodzenie do przystani i powrót na górę sprawiają mu zbyt wiele trudności.

Joe zatrzymał silnik.

Za nimi w oddali widniała wysoka kredowa linia brzegów Anglii, a pośrodku rozlegała kępa zieloności określała położenie Mandalay House, którego dach widać było teraz wyraźnie pomiędzy drzewami. Z boku, w głębi parku, rosło ku górze pasmo ciemnego dymu.

— Czas wracać i dowiedzieć się, jakie są przyczyny obaw generała Somerville'a — powiedział Alex leniwie i uruchomił silnik. Łódź zatoczyła miękki łuk i zaczęła zbliżać się ku brzegowi.

— Jak myślisz, czy ten... ten szalowiec wysłał te listy także i do niego? — Karolina dotknęła dłonią włosów. Spojrzała na stojącego przy sterze mężczyznę. Była bardzo poważna. — Przyznam ci się, że jestem zaniepokojona. Tak zaniepokojona, że nawet żałuję trochę, że odpłynęliśmy od domu i zostawiliśmy go samego.

— Po pierwsze nie jest sam, po drugie chciałem sprawdzić, jak posiadłość wygląda od strony morza, bo w końcu... chociaż listy tego człowieka nie sprawiały wrażenia, że pisze je ktoś z zewnątrz, należało zorientować się, jak wygląda okolica. Po trzecie... — uśmiechnął się lekko — mam niejasne wrażenie, że ze strony naszego anonimowego autora niewiele grozi generałowi. Ale mogę się mylić, oczywiście... — zbliżali się już do przystani. Zręcznie wprowadził łódź i wyłączył silnik. Wyskoczył na pomost i umocował motorówkę. Karolina wyskoczyła za nim.

— Naprawdę tak sądzisz, Joe?

— Tak sądzę, chociaż, jak powiedziałem, nie jestem niczego pewien.

— No dobrze, ale skąd możesz wiedzieć, że ten człowiek nie chce zamordować dziadka Johna?

— Powiedziałem ci już: Joe Alex wie wszystko. Inni domyślają się, dedukują, są pełni wątpliwości, a Joe Alex nie!

Roześmiał się widząc jej oburzoną minę.

— Joe, jak możesz tak mówić! Przecież to w końcu sprawa życia i śmierci!

Spoważniał nagle.

— Nie gniewaj się, kochanie, ale chyba nie będzie przesady, jeżeli powiem, że wiem o sprawach życia i śmierci, to znaczy: gwałtownej śmierci, trochę więcej niż ty. Poza tym zostawiłaś w kabinie sukienkę. Oczywiście, możesz wrócić do domu w kostiumie kąpielowym, ale to byłoby trochę niecodzienne, prawda?

— O Boże! — Karolina wskoczyła na pokład i po chwili ukazała się w sukience. Ruszyli z wolna pod górę nie kończącym się szeregiem kamiennych stopni.

Po kilkunastu minutach znaleźli się przed domem. Było bardzo cicho, słońce popołudnia nie docierało już do klombu poprzez korony drzew. Róże przygasty.

Wielki hall był także opustoszały.

— Wszyscy zapewne śpią albo pracują... — szepnęła Karolina rozglądając się.

Joe także zniżył mimowolnie głos.

— Twój dziadek powiedział, zdaje się, że po południu sypia dwie godziny. Czy obudził się już, jak myślisz? Chciałem go o coś zapytać.

— Dziadek John nigdy nie sypia... — uśmiechnęła się. — To znaczy nigdy nie sypia naprawdę. Kładzie się w fotelu i z nogami okrytymi kocem drzemie, ale to chyba nie jest prawdziwa drzemka. Mam wrażenie, że myśli wtedy. Zawsze ma obok fotela notatnik, często otwiera oczy i chwyta za ołówek. Możemy zresztą zobaczyć, bo taras jest z tamtej strony, obok gabinetu dziadka, na wprost oranżerii.

Hall, który był zapewne przerobiony przed laty z dawnej rozległej sieni, do której wjeżdżały powozy, biegł na przestrzał domu. Wyszli na taras oszklonymi, ozdobionymi misterną kratą drzwiami. Naprzeciw biegły ku linii krzewów kwietniki. Z boku, wybudowany z białego kamienia, stał niski, długi budynek, całkowicie niemal oszklony. Otaczały go karłowate drzewa pomarańczowe i cytrynowe w olbrzymich drewnianych donicach. Na niektórych błyskały nawet dojrzewające owoce.

— To oranżeria... — Karolina wskazała dłonią. — Te pomarańcze i cytryny na drzewach to jedno z najbardziej wstrząsających wspomnień mojego dzieciństwa... — uśmiechnęła się. — Na zimę wracają oczywiście pod dach — rozejrzała się. — Nie ma tu już dziadka...

Podeszli do wyplatanego, wyłożonego poduszkami fotela, obok którego stał niski, także wyplatany stolik i pusta filiżanka po kawie.

— Zajrzę do gabinetu i zobaczę, czy jest tam... — ruszyła ku drzwiom, ale Joe położył jej szybko dłoń na ramieniu.

Spoza otwartego okna nie opodał dobiegł ich donośny, skrzekliwy głos, który nieomylnie należał do Johna Somerville'a.

— Nie interesują mnie pańskie prywatne sprawy, rozumie pan! Ani pana miłości, ani nienawiści! Nie wynająłem pana dlatego, żeby pan za moje pieniądze robił głupstwa i przeszkadzał mi w pracy, ale po to, żeby mi pan pomógł w tym jakże skromnym zakresie, w jakim może pan komukolwiek pomóc! To wszystko!

— Pan nie może tak mówić!...

— Zdaje się, że to nasz młody przyjaciel Cowley... — szepnął Alex.

— Pan nie może tak mówić, panie generale! Przyjechałem tu, żeby uczciwie i solidnie wykonać to wszystko, czego się podjąłem. Ale w umowie nie było wzmianki o tym, że będę musiał przebywać całymi dniami pod jednym dachem z cynicznym łotrem i że będę z nim związany pracą! Gdybym wiedział, że coś takiego może nastąpić, nigdy bym się nie zgodził. Nigdy!

— Ale pan wiedział, a w umowie naszej nie ma ani słowa o tym, że ludzie, z którymi pan będzie pracował, mają posiadać psychikę i ugrzecznienie fordanserów albo ekspedientów w sklepach z obuwem. Jest tam natomiast paragraf, że jeśli z własnej winy, bez podania dostatecznych powodów, nie wykona pan swojej pracy lub nie ukończy jej, wówczas będę mógł dochodzić na panu moich strat. A straty moje, jeżeli nie skończę tej książki, będą wielkie: zarówno moralne, jak i materialne. I niech pan nie przypuszcza, młody człowieku, że natychmiast nie wniosę powództwa sądowego przeciw panu, albo że sąd nie uzna słuszności mojej skargi. Otrzymał pan zaliczkę, niewielką na szczęście, i doskonałe warunki pracy! Zadanie, które panu powierzyłem, nie przekroczyło ram naszej umowy. I jeśli chce pan odejść na kilka dni przed zakończeniem, proszę bardzo, żyjemy w wolnym kraju i może pan robić, co się panu podoba! Ale nie zapłacę panu ani szylinga! Wezmę zastępcę na pański koszt i będę dochodził moich strat w sądzie.

— Ale to jest... to jest... — Cowley urwał.

— Chce pan powiedzieć: szantaż, co?! — generał zachichotał głośno. — A ultimatum, z jakim przychodzi pan do mnie, dziewięćdziesięcioletniego człowieka, który mógłby być pańskim pradziadkiem, żeby powiedzieć mi, że o ile nie usunę z mojego domu pana Jowetta, to pan się usunie, nie jest szantażem według pana?! Młody człowieku, proszę mi wierzyć, że z przyjemnością uczyniłbym zadość pana prośbie i wyrzuciłbym pana w tej chwili za drzwi, ale nie zrobię tego przed upływem dwóch tygodni, bo książka moja jest dla mnie ważniejsza, niż pan, pan Jowett i ta smarkata Meryl... warta zresztą dziesięć razy więcej niż wy obaj razem wzięci!

— Czy to ostatnie słowo pana generała?

— Ostatnie... — głos Somerville'a stał się nieco cichszy. — A teraz, bez względu na to, co pan postanowi, proszę już iść. Zmęczył mnie pan. Jestem starym człowiekiem.

— Ja... ja nie jestem bogaty... — powiedział Cowley cicho. — Zostanę przez dwa tygodnie i skończę to... jeżeli wytrzymam z nim... — Głos mu zadrżał i stał się donośniejszy: — Pan nie zdaje sobie może sprawy, panie generale, ale on dzisiaj w mojej obecności zaproponował jej, żeby mu w najbliższych dniach pozowała do aktu!!! Do „Diany XX wieku”! Tak powiedział!

Nastała chwila ciszy. Alex uśmiechnął się i zerknął na Karolinę, która stała z wyrazem napięcia w rysach.

— Do aktu? — generał zachichotał. — I cóż w tym złego? Sądzi pan, że Meryl Perry jest tak nieciekawie zbudowana, że nie mogłaby służyć jako model Diany? Mam już nieco krótki wzrok, to prawda, ale sam kilka razy musiałem zatrzymać oko na tej dziewczynie! Wspaniała figura! I cóż ona? Zgodziła się?

— Panna Perry odrzuciła tę propozycją natychmiast! — powiedział Cowley lodowatym tonem, a Joe znowu uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie jego minę.

— Idiotka! — powiedział generał dobitnie. — Jowett to doskonały artysta, chociaż utracysz i pokerzystę. Ale gdyby nie ta jego słabostka, nie miałbym jednego z najlepszych artystów Anglii do dyspozycji przez ten krótki okres czasu. Być modelką Jowetta może oznaczać, że kiedyś ciało panny Perry przejdzie do historii. A jakież inne sposoby ma kobieta, żeby utrwalić swoje przelotne istnienie? Przecież umysł kobiecy nie nadaje się ani do projektowania wspaniałych gmachów, ani do pisania ksiąg, ani do malowania. Mogą one służyć jako inspiracja, to wszystko! Ale pan tego nie zrozumie, bo nie rozumie pan niczego poza metalurgią. I Bogu najwyższemu chwała, bo do tego właśnie pana potrzebuję! Diana, hi, hi, hi...

— Do widzenia, panie generale. Postaram się wykonać naszą umowę co do litery... — powiedział Cowley jeszcze zimniej. — Chociaż przyznam, że gdyby nie podeszły wiek pana i fakt, że ta umowa istnieje, musiałbym...

— Musiałby pan powiedzieć jeszcze parę głupstw. Więc całe szczęście, że pan nie może. Jutro o dwunastej w południe, punktualnie, czekam na szczegółowy raport z ostatniego wytopu. Najważniejsze są właściwe proporcje tych siedmiu metali. I niech Jowett się nie spieszy, proszę mu powiedzieć. Zresztą sam mu powiem. Diana XX wieku, Meryl Perry! Co za nonsens! A swoją drogą Jowett ma oko znakomite. To geniusz, Cowley, chociaż pan o tym nigdy się nie dowie. Geniusz!

W chwili kiedy generał domawiał ostatnie słowa, Cowley ukazał się na tarasie i nie spojrzawszy nawet na stojących, ruszył zwirowaną ścieżką wzdłuż kwietnika. Szedł z opuszczoną głową, mówiąc coś półgłosem do siebie i wymachując rękami. Ale po chwili uspokoił się i przyspieszywszy jeszcze, wpadł pomiędzy drzewa.

Generał ukazał się w drzwiach tarasu, wsparty na ramieniu Chandy. Dostrzegł stojących i uniósł laskę wskazując ścianę zieleni, która zakryła młodego inżyniera. — Czy słyszeliście? — spojrzał na Alexa. — Oczywiście, że słyszeliście, bo pan na pewno lubi słuchać wszystkiego, co nie jest przeznaczone dla pańskich uszu! Cóż ten Jowett znowu wymyślił! Dręczy tego nieszczęśnika, hi, hi, hi! Dręczy go tak, że nie zdziwiłbym się, gdyby Cowley rozbił mu w końcu głowę! Co prawda, ja też go dręcę, ale jestem do tego zmuszony. Inaczej nigdy by nie skończyli tych prac dla mnie. Ale Jowettowi sprawia to sadystyczną przyjemność. Powiedział do mnie wczoraj, że Cowley nie tylko że nie ma mózgu, ale w ogóle brak mu rysów! Gdyby mógł, to on, Jowett, wyrzeźbiłby jego popiersie w kształcie jajka na twardo! A ten młody człowiek tymczasem jest na skraju wy-

trzymałości nerwowej. Zamordowałby mnie dzisiaj, gdyby mógł! Słyszeliście przecież, prawda? Miłość jest dźwignią, która porusza świat! Miłość do panny Meryl Perry! Mój Boże...

Zamilkł i zaczął ocierać grzbietem dłoni załzawione śmiechem oczy.

— Pan generał chciał rozmawiać ze mną, zdaje się... — Joe uśmiechnął się. Zaczynał odczuwać coraz żywszą sympatię do tego starego, pozornie tak bezwzględnego człowieka.

— Porozmawiać? A tak! — Generał nagle spoważniał. — Ale nie teraz, nie dzisiaj, dobrze? Zmęczył mnie ten wielbiciel Diany XX wieku. Powiedzmy, jutro o dwunastej w pawilonie... albo nie... Cowley przyjdzie o dwunastej. Zajmie mi mniej więcej pół godziny. O pół do pierwszej, dobrze? To będzie krótka rozmowa. Niewiele mam do powiedzenia. Jest pewna sprawa, która mnie niepokoi. Ale to kwestia przyszłości. Bardzo kocham życie, jak panu już dzisiaj powiedziałem, a mam wrażenie, że ktoś mi źle życzy. Ale to delikatna i skomplikowana sprawa. Zresztą to nie jest kwestia najbliższych dni...

— Skąd wiesz, dziadku Johnie? — Karolina podeszła do niego i wzięła go pod rękę. — Przecież te listy...

— Myślisz o tym policjancie, który tu był? To bzdura! Kazałem mu po prostu wyjść! Kiedy byłem dowódcą garnizonu w Indiach, przysłano mi raz dwie śliczne żmije w koszyku z owocami, innym razem była to zatruta strzała, która wpadła przez okno, kiedy jadłem obiad, i utkwiała w pieczeni leżącej na półmisku tuż przed moim nosem. Ludzie ci mieli oczywiście swoje powody do takiego postępowania. Mieli absolutne prawo do niechęci wobec angielskiego generała. W pewien sposób cieszę się nawet, że już nas tam nie ma, bo bardzo ich lubiłem. Niestety, musiałem być surowy, inaczej nikt z nas nie powróciłby żywy do starej Anglii. W takich sprawach można tylko winić historię i robić to, czego wymaga konieczność. Nie obawiam się anonimowych wesołków, bo między listami z pogroźkami a ich realizacją leży zwykle przepaść. Listy pisze się bardzo łatwo i bez ryzyka. Co innego działanie! Zresztą, kiedy się ma ukończonych pięćdziesiąt lat, wszystko zagraża naszemu życiu, prawda? Samo życie w tym wieku przestaje być czymś naturalnym, a staje się fenomenem przyrodniczym, który łąda chwila musi przeminąć. Dzisiaj, powiada pan? Nie, nie... Nie ma żadnej potrzeby pośpiechu. Dzisiaj pokażę panu moją kolekcję, o ile to pana zainteresuje. A więc jutro o pół do pierwszej w pawilonie.

— Doskonale — Joe skinął głową. — Jutro o pół do pierwszej w pawilonie — spojrział na Chandę, ale twarz starego Birmańczyka nie wyrażała żadnych uczuć.

— Dziadku Johnie — Karolina potrząsnęła jasną główką. — Nie podoba mi się to wszystko! Jeżeli napisałeś do mnie ten list i była tu policja, to znaczy, że grozi ci coś, a ty wiesz albo domyślasz się, co to może być. Powinieneś porozmawiać z panem Alexem.

Joe jest... — zawahała się na krótką chwilę — największym specjalistą w Anglii w dziedzinie zagadek kryminalnych i przecież nawet Scotland Yard prosi go o pomoc, ile razy mają coś naprawdę bardzo trudnego. Dlaczego ty byś miał z tego nie skorzystać?

— Karolina przesadza oczywiście, mówiąc o moich możliwościach — powiedział Alex tłumiąc uśmiech. — Ale może rzeczywiście byłoby dobrze, gdyby pan przedyskutował ze mną tę sprawę, choćby pobieżnie, dzisiaj.

— Nie... — Somerville potrząsnął głową i Joe nagle pomyślał, że w ruchu tym był bardzo podobny do Karoliny. Ten sam spokojny, grzeczny upór, który tak trudno było przełamać. — Jeżeli taki kościany dziadek jak ja może mówić z jaką taką precyzją, powiem panu jutro dokładnie, co mam na myśli. Nie jestem starym idiotą, chociaż moja cioteczna wnuczka tak myśli, jak mi się wydaje, i nie mam zamiaru pozbawić się pana pomocy... o ile zajdzie jej konieczność. — Zwrócił się do Karoliny: — Mogę cię upewnić, że nic mi na razie nie grozi. I jeżeli nie zainterweniuje dobry Bóg, który osądzi, że żyłem zbyt długo, i zechce zdmuchnąć moją świeczkę w sposób naturalny, hi, hi, hi, to żaden człowiek w najbliższym czasie nie zrobi mi krzywdy.

— Ale skąd wiesz, dziadku Johnie?

— Wiem. Niech ci to wystarczy.

Karolina spojrzała błagalnie na Alexa, jak gdyby wierząc, że pomoc nadejdzie z jego strony. Ale Joe uśmiechnął się.

— Myślę, że pan generał ma słuszność — powiedział swobodnie — ja także nie przewiduję niczego złego w najbliższym czasie.

— To prawda! — Karolina położyła dłoń na ramieniu Chandy. — On mi to powiedział przed pół godziną, kiedy byliśmy na morzu!

— Tak pan powiedział — generał przestał się nagle śmiać i zbliżył ciemną, pomarszczoną twarz do twarzy Alexa. — Czy ona mówi prawdę? — zawahał się. — To niemożliwe! Na jakich przesłankach mógł się pan opierać? — Zastanawiał się przez chwilę, Joe uśmiechnął się uprzejmie, milcząc.

Generał pokręcił głową.

— Chodźmy! — powiedział nagle. — Na pewno zechce pan zobaczyć moją skromną kolekcję. Przecież pan się interesuje sztuką, prawda?

— Oczywiście! — powiedział Joe. — Będę zaszczycony.

— Będzie pan, na pewno! Ani Muzeum Brytyjskie, ani Muzeum Wiktorii i Alberta nie mają takiego zestawu! Proszę...

Ruszył przodem, wsparty na ramieniu Chandy.

— Joe... — powiedziała szeptem Karolina — boję się.

— Myślisz o tych listach, które otrzymał Parker?

— Tak.

— Nie ma powodu do obaw, jak sądzę — odpowiedział Alex również szeptem.
— W tej chwili interesuje mnie co innego. Nie wszystko jest dla mnie zupełnie jasne.
Ale o tym porozmawiamy wieczorem...

Weszli do domu.

Rozdział 6

Yeti i jego żona Ladni

Z hallu prowadziły szerokie, otwarte teraz, podwójne dębowe drzwi do wielkiego pokoju, w którym już z daleka Joe dostrzegł kilka wielkich, ciemnych oszklonych szaf, a pomiędzy nimi kamienne i metalowe figury rozmaitej wielkości.

Weszli. Kilka posągów zajmowało środek sali, mniejsze stały na szafach, zabezpieczone cienkim drutem przed upadkiem. Uwagę Alexa zwrócił od razu mały, umieszczony na wysokim cokole kamiennym srebrny posążek bogini w bogatej tiarze na głowie.

Generał odwrócił się.

— To moja Zielona Tara... — powiedział głośno. — Jest unikalna nie tylko dlatego, że wykonano ją z czystego srebra, a nie mamy nigdzie drugiego jej posągu wykonanego w tym samym materiale, chociaż zapewne kiedyś było ich wiele. Chodzi o to, widzi pan, że siedzi ona w pozycji Abhaya mudra, z gestem ręki oznaczającym „nie lękaj się”. Otwarte dłonie są odwrócone, a palce wskazują ku górze. Zwykle Zielona Tara siedzi w pozycji Adrhaparyanka. No, ale nie chcę pana zanudzać szczegółami.

— Niewiele wiem na ten temat, ale o ile sobie przypominam, jest to poza podobna do pozy Lotosu, z tą różnicą, że noga opada w dół u siedzącej postaci, prawda? — Joe rozglądał się.

W rogu sali dostrzegł Meryl Perry, która najwyraźniej zakończyła przed chwilą serię zdjęć i stała teraz obok wysokiego trójnogu, odśrubowując aparat fotograficzny.

— Więc i na tym się pan zna! — generał roześmiał się i pokiwał głową. — Przerażająca osoba z pana! Ale oto nasza Diana XX wieku! Meryl, co pani tu robi?

— Uzupełniam dokumentację — powiedziała Meryl Perry i zaczerwieniła się.

— Znalazłaś u dziadka coś ciekawego? — zapytała szybko Karolina, najwyraźniej, żeby zmienić temat.

— O tak, pan generał był na tyle uprzejmy, że pozwolił mi nawet reprodukować w mojej przyszłej pracy swoje eksponaty. Pracuję nad rozwojem i znaczeniem form zwierzęcych w sztuce Indii, a w Mandalay House jest największy chyba zbiór posta-

ci Genesy, syna Sziwy, o tego, z trąbą słonia... widzisz? — wskazała ręką rząd niewielkich posążków wykonanych z brązu i zielonkawo spatynowanej miedzi. — No i ta grupa! Właśnie ją fotografowałam...

Wyminąwszy wielką oszkloną szafę, pełną broni wykonanej z miedzi i żelaza, Joe przystanął przed dziwną prymitywną rzeźbą. Przedstawiała ona dwie nagie postacie, męską i żeńską, trzymające się za ręce i spoglądające przed siebie. Proporcje ich ciał były nie ludzkie, raczej człekokształtne, jak gdyby rzeźbiarz chciał oddać w ucłowieczonej formie dwie ogromne małpy, stojące na tylnych nogach, czujne, gotowe do ucieczki. Najbardziej zdumiewające były stopy, odwrócone ku tyłowi! Rzeźba wykonana była z brązu i metal nosił wyraźne ślady niedoskonałej obróbki, która nastąpiła po odlaniu.

— A cóż to jest?! — Alex odsunął się o krok i przymrużył oczy. — Goryle?

— Ba! — generał roześmiał się znowu. — Profesor Snider też tak przypuszczał! Nie tylko przypuszczał, ale był tego pewien. Widział tę rzeźbę, nim ją kupiłem, w jednej z londyńskich galerii aukcyjnych kilka lat temu. A później napisał w jednej ze swoich prac, że to małpy, a te odwrócone do tyłu stopy mają hi, hi, hi, bliżej nie sprecyzowane magiczne znaczenie odstrasające! I dlatego właśnie pan profesor zajmie poczesne miejsce w ostatnim rozdziale mojej nowej książki. A rozdział ten będzie nosił tytuł: „Rażące pomyłki specjalistów i ich wpływ na błędy w datowaniu obiektów sztuki Indian”. Dlatego tu przyjechał! Zawiadomiłem go, że muszę napisać o jego pomyłce. Jest ona bardzo ważna. Snider osadza powstanie tej rzeźby w wieku siedemnastym, i sądzi, że przedstawia ona goryle przesłane w darze któremuś z władców w Dekanie. Bo goryl żyje w Afryce, a Dekan miał ożywione stosunki handlowe z Afryką! A ja twierdzę, że należy ona do szkoły Gupta i jest produktem artysty mieszkającego u stóp Himalajów w czwartym, najdalej piątym wieku naszej ery. Artysta ten odtworzył tę parę albo z pamięci, gdyż spotkał ją sam, albo z opowieści tych, którzy ją widzieli. A jeśli nawet postaci te należą do legendy, która nie znajdzie potwierdzenia, to była ona tak żywa, że musiała stać się tematem rzeźby. Nie mogły to być także święte małpy hinduskie, gdyż Hueman, którego czczą gdzieś w Indiach, jest małą małpką, żyjącą na drzewach, i absolutnie nie człekokształtną. Poza tym mamy przecież dokumenty historyczne! Ale profesorowie historii sztuki sądzą, że znajomość wszystkiego nie jest konieczna i uważają historię za naukę pomocniczą, a nie podstawową przy analizie dzieł sztuki!

— Więc kim jest ta para? — Joe pokiwał głową — zdaje się, że zaczynam pana rozumieć, generale. Czy to Człowiek śniegów?

— Ależ oczywiście! Nawet pan, nie będąc w ogóle fachowcem w tej dziedzinie, nie potrzebował więcej niż pięć minut dla zrozumienia takiej prostej prawdy.

— Dziadku Johnie! — Karolina spojrzała szeroko otwartymi oczyma na Meryl, która poważnie przytaknęła głową. — Nie chcecie chyba wmówić we mnie, że to ma być Yeti?!

— Ależ tak, dziecko. Yeti to tylko tybetańska nazwa Człowieka śniegów, którego żonę, a raczej samicę, od tysiącleci nazywają tam Ladni. Pierwsze pisemne świadectwo potwierdzające istnienie tego stworzenia pochodzi z czwartego wieku przed Chrystusem! Beton, wywiadowca Aleksandra Wielkiego, wysłany na zwiady, gdy ten ostatni czynił przygotowania do uderzenia na Indie, pisze dosłownie:

„Prócz innych ludojadów scytyjskich zamieszkujących doliny pod górami Imaus (czyli Himalajami!) żyją w krainie Abarimon dzicy ludzie o stopach wykręconych ku tyłowi. Są oni niezwykle zręczni i szybcy, a przebywają wszędzie tam, gdzie i najdziksze bestie nie mogą oddychać w dolinach ciężkim dla nich powietrzem i nie dało się ich wziąć w niewolę i przyprowadzić do Ciebie lub władców ludów, które zamieszkują doliny!”

Tę relację przekazuje nam nie kto inny, tylko sam Pliniusz Starszy!

— A czy pan wierzy w Yeti? — zapytał Joe. — Bądź co bądź, kilkanaście ekspedycji w ciągu ostatnich dziesięcioleci nie natrafiło na to stworzenie.

— Mógłby pan zapytać także, czy wierzę w świętego Jerzego przebijającego smoka. Nie spotkałem nigdy świętego ani tego smoka! Ale wierzę, że musi w tym brzmieć echo jakiegoś dawnego prawdziwego zdarzenia, obrosłego piękną legendą o odważnym rycerzu. Dlatego wierzę w rzeźby i obrazy przedstawiające tę postać! Postać mityczna, w którą wszyscy wierzyli, była tak samo inspirująca, jak postać historyczna. A przecież tylko o to chodzi w naszym wypadku. Nie chcę wspominać nawet o analizie chemicznej tej rzeźby, bo profesor Snider nie jest przyzwyczajony do metod naukowych! Kto w ogóle do tej pory zajmował się analizą chemiczną metalowej rzeźby indyjskiej? Opiniowano na podstawie cech zewnętrznych, które często są przekazywane tak dokładnie, że dwa identyczne niemal posągi może dzielić całe tysiąclecie!

— Pod tym względem opinie nasze są absolutnie zgodne! — powiedział wesoły głos w progu. — Generał jest pionierem w tej dziedzinie i myślę, że zasługi jego są ogromne i niepowtarzalne. Ale...

To mówiąc profesor Snider wszedł do pokoju. Jego wysoka córka wsunęła się cicho za nim. Nie była uśmiechnięta jak ojciec. Usta miała zaciśnięte i obrzuciła obecnych twardym, niemal złym spojrzeniem. Najwyraźniej oboje usłyszeli nie tylko ostatnie słowa Somerville'a.

— Ale... Nawet gdybym zgodził się, że to rzeczywiście Yeti i Ladni, jego uroczą małżonka, nie widzę przyczyny, dlaczego moja poprzednia opinia miałaby być uznana za omyłkę? Późna zła rzeźba nie musi być uznawana bezkrytycznie za bardzo wczesny doskonały prymityw!

Generał odwrócił się ku niemu.

— Profesorze Snider, w grę wchodzi coś ważniejszego niż, proszę mi wybaczyć określenie, rażąca omyłka. Przedmiotem naszego sporu jest metodyka, generalne podejście do rzeźby Indii! Jestem bardzo stary i jeśli nie podsumuję teraz tego, czego się dowie-

działem i co rozumiałem podczas całego mojego życia, będę uważał to życie za zmarowane. Dlatego musi mi pan, a wraz z panem wielu innych ludzi, wybaczyć, ale jestem zobowiązany do napisania tego, co mam napisać.

— Czy sądzi pan, panie generale, że można nazwać omyłką to, co tatuś napisał o tej rzeźbie? — powiedziała nagle Dorothy Snider. — Przecież tam, gdzie treść i znaczenie obiektu są sporne i zupełnie zagadkowe, każda interpretacja jest w pewien sposób prawdziwa, dopóki inna nie okaże się prawdziwsza. A Yeti, jak wszyscy wiemy, jest wakacyjnym, gazetowym nonsensem, podobnie jak potwór z Loch Ness. W końcu dlaczego to nie mają być małpy? Nie sądzę, żeby na południu Indii w tak późnym okresie robiono tak naturalistyczne obiekty, prawda? Panowała wtedy daleko posunięta stylizacja i metaforyka, wszyscy o tym wiemy...

Mówiła cicho, ale w głosie jej była ledwie uchwytna histeryczna nutka i Joe dopiero teraz pojął, jak ważne było dla wszystkich obecnych to pozornie błahe zagadnienie.

— A właśnie, właśnie! — Somerville odwrócił się ku niej tak gwałtownie, że milczący Chanda musiał go podtrzymać — ma pani słuszość, moje dziecko! Na południu Indii w tak późnym okresie nie robiono tak realistycznych obiektów, ale to właśnie stanowi dowód, że rzeźba ta nie pochodzi z Południa i jest o wiele wcześniejsza! Mamy przecież dość przykładów rzeźb przedstawiających małpy. Mamy mitycznego małpiego króla Hanumana, który pomógł Ramie w uderzeniu na Cejlon! Tam stoi jeden z jego brązowych posążków! Zna go pani zresztą świetnie. Inne, rozsiane po świecie, są podobne. To przecież człowiek z małpią głową, prawda? Gdyby nie ogon, moglibyśmy pomyśleć, że to tylko bardzo brzydki człowiek! I to jest właśnie owa stylizacja i metaforyka. Nawet jego ręce mają kultowy układ. Ale ta para Ludzi śniegu jest tak wczesna, że kompozycją grupy ludzi rządzi prosty, wspaniały realizm! Albo artysta sam widział Yeti, albo też ktoś, kto widział to stworzenie dokładnie z bliska, pomógł później w odtworzeniu obu postaci. Te odwrócone ku tyłowi stopy mogą być oczywiście wynikiem złudzenia obserwatorów, bo człowiek widywał Yeti tylko w ruchu. Yeti był i jest płochliwy. Przy wspinaniu się w ucieczce stopa mogła sprawiać takie wrażenie. Ale nigdy nie zgodzę się na to, żeby nazywać stylizacją i metaforycznym ujęciem postaci dwóch małp tę grupę! Sprawa jest ważniejsza niż przyrodnicze dociekania na temat Człowieka śniegów! Chodzi o określenie wieku i przynależności tej rzeźby. Według ojca pani, z całym szacunkiem dla jego wielkiej wiedzy, mamy do czynienia z drugorzędną, prowincjonalną robotą. Według mnie jest to może najwspanialsze dzieło artystów szkoły Gupta!

— Brawo! — dokończył wesoły głos za ich plecami.

Wszyscy odwrócili się. James Jowett wszedł i zatrzymał się obok rzeźby. Dotknął jej dłonią, a potem pieszczotliwie przejechał palcami po dzikiej głowie brązowej samicy. — Muszę ze wstydem powiedzieć, że chociaż siedzę tu już długo... trochę zbyt długo nawet... i odlewam bezsensowne kopie tych zamysłonych bogów, ta jedna rzeźba uderzyła

mnie od razu i nadal wydaje mi się najlepsza. Teoretycy tłumaczą mi, że artyści Indii dążyli do zniszczenia pierwiastka życia, uchwyconego w jednej przelotnej chwili, a starali się uzyskać absolutną harmonię, obraz doskonałości życia wewnętrznego, widomy nie tylko w posągach Buddy oderwanego od spraw tego świata, ale nawet w postaciach tańczących i gniewnych. I rzeczywiście nikt tam nie tańczy i nikt nie gniewa się naprawdę. Wszystko określiły przepisy: każdy gest oznacza inne uczucie, nawet ruch palców jest szyfrem! Każde położenie ciała jest umowne, bo nie chodzi tu wcale o ciało, ale o wiadomość, którą ono przekazuje. Nawet proporcje figur i stop metali były dokładnie określone. Nie umiem powiedzieć, czy lubię tę sztukę, czy nie. Przeraza mnie ona trochę, bo jestem Europejczykiem i nawet w abstrakcji chcę widzieć ruch, a nie informację o tym, co ma pomyśleć odbiorca. Oczywiście, im dalej w czasie, tym większa stylizacja. A to... — znowu dotknął lekko rzeźby, przy której stał — jest jak świeże powietrze w tej sali, pełnej metalowych kultowych marionetek. Oczywiście, sam jestem rzeźbiarzem i moje upodobania są zapewne nieobiektywne z punktu widzenia historyka sztuki... Ale... — uśmiechnął się ponownie — ten siedzący w niemożliwych pozach Budda i ten Sziwa, który ma tyle rąk, jak gdyby twórca wymyślił je tylko po to, żeby mógł się nieustannie drapać w tańcu, tak podziałali mi w końcu na nerwy, że zapragnąłem nagle wyrzeźbić normalne nagie ciało ludzkie w glinie. Zaproponowałem nawet tu obecnej Meryl, żeby mi pozowała, ale najwidoczniej moje intencje zostały opacznie zrozumiane...

Roześmiał się.

— Pójdę już... Mam... mam masę pracy! — powiedziała szybko Meryl Perry. Wzięła statyw na ramię i ruszyła ku wyjściu. Kiedy zniknęła, generał roześmiał się także.

— Źle się pan zachowuje, Jowett! Ten młody człowiek był u mnie dzisiaj i...

— Och, Boże, Cowley! Nie dość, że muszę go znosić od rana do wieczora w tym piekielnym upale przy piecu! Nie dość, że muszę przyjmować od niego recepty na metale, temperaturę i jakość drzewa opałowego! Czyżbym miał znosić także jego humory! W tej chwili siedzi w pracowni i przygotowuje wytop na jutro. Nie odzywa się do mnie ani słowem, to znaczy: mówi tylko tyle, ile wymaga tego nasza wspólna praca. A ja mówię do niego bez przerwy! Ostatnio, kiedy rozmyślałem nad tymi wszystkimi stylizacjami i umownościami, doszedłem do wniosku, że zwariuję odlewając jeszcze jednego Buddę o twarzy najedzonego nieroba, i pomyślałem o Meryl. Zacząłem go pytać, czy by mi pomógł odlać jej dwa malutkie akty-portreciki, gdyby zechciała mi pozować. Myślałem, że mnie zamorduje! Słowo daję: zamorduje! Miał mord w oczach. Podkochuje się w niej, oczywiście. Muszę przyznać, że i mnie się ona podoba. Ale przeraził mnie serio wtedy! Stał przy palenisku i wyglądał jak szatan! A potem wybiegł i zostawił mnie samego z całą rozpoczętą robotą. To bardzo typowe dla tych uczuciowców: on przeżywa, a ja pracuję za niego!

— Wracając do tematu — powiedział profesor Snider — nie sędzę, abyście panowie mieli słusność. Bez względu na argumenty tu przytoczone nie wierzę, aby to był Yeti albo cokolwiek innego, co możemy nazwać Człowiekiem śniegów. To przecież nonsens!

— Przekona się pan, Reginaldzie! — generał uniósł rękę. Wskazujący palec jego prawej dłoni zatrzymał się, drżąc lekko, na wprost brązowych twarzy pary małpoludów. — Popełnił pan omyłkę i ktoś musi ją sprostować. Ja to zrobię! Jutro właśnie przystąpię do tego. Wiem, że nie pogniewa się pan na mnie, bo w tych sprawach poszukiwanie prawdy jest ważniejsze niż wszystkie inne względy. Błąd pana jest zbyt poważny: jest pan autorytetem w dziedzinie systematyki rzeźby indyjskiej i pana pomyłki muszą mieć daleko idące konsekwencje: umieszczenie tej rzeźby w XVII wieku w południowym Dekanie stawia na głowie cały rozwój sztuki w tym rejonie świata! Popadlibyśmy w chaos. A pan, oczywiście, będzie mi mógł odpowiedzieć przytaczając swoje argumenty, prawda? O ile znajdzie pan jeszcze jakieś rozsądne argumenty po tym, co napiszę! Ale znając pana, wiem, że zgodzi się pan ze mną w końcu. Dobre imię żadnego uczonego nie ucierpiało jeszcze, gdy przyznał słusność przeciwnikowi, który tę słusność udowodnił.

— Gdyby teza pana generała o pochodzeniu tej rzeźby i okresie, w którym została wykonana, była prawdziwa... — powiedział swobodnie Snider — byłbym ośmieszony do końca życia w oczach najgłupszego z moich studentów! Na szczęście nikt nie może wymagać ode mnie, abym opierał moje wnioski na brukowych sensacjach popołudniowych pism codziennych. Yeti! Mój Boże, mówił pan tak sugestywnie, panie generale, a obecny tu pan Jowett, który jest artystą i kieruje się własną logiką, mówił tak przekonująco, że przez chwilę czułem się absolutnie zagubiony. Każdy może się przecież omylić raz w życiu...

— Poza tobą... — szepnęła Karolina niedosłyszalnie, unosząc wargi do ucha Alexa. — Poza tobą, oczywiście!

Joe w milczeniu potwierdził poważnym skinieniem głowy.

— Ale teraz widzę, że przesłanki panów oparte są na... mówiąc delikatnie, bardzo kruchych podstawach — ciągnął dalej Snider. — Są to tylko wrażenia, podczas gdy ja opieram się na naukowej dedukcji. Zresztą — roześmiał się — przecież nikt naprawdę nie stwierdził istnienia Yeti, tak? To zwykły wymysł dziennikarski.

— Jeżeli zechce pan Pliniusza Starszego nazywać brukowym autorem sensacyjnych popołudniówek — powiedział generał.

— W Nepalu — powiedział cicho Chanda — wielu ludzi opowiadało mi o Człowieku śniegów. Wielu z nich mówiło mi, że widzieli go na własne oczy z dala. Ich ojcowie także widzieli go i dziadkowie. Ale zamieszkuje on bezludne okolice pod szczytami. Kto nie był w Himalajach, nie wie nawet, jak łatwo przebywać tam pośród zupełnego bez-

ludzia na wysokości dwudziestu tysięcy stóp. Człowiek oddycha tam z trudem i nie ma czego szukać. Nawet pasterze nie zapuszczają się latem tak wysoko. A ekspedycje, które czasem zawędrują do tej krainy, są powolne i widzą tyle terenu, ile widzi mucha lecąca nad oceanem. Wśród pasterzy jest przysłowie: „Schwytał Yeti”, oznacza ono, że człowiek, do którego się odnosi, dokonał rzeczy niemożliwej albo po prostu kłamie. Ale istnienie Człowieka śniegów dla nikogo nie jest tajemnicą. I opisywano mi go właśnie tak: pokrytego włosami, ze stopami zwróconymi ku tyłowi, z głową wielką i osadzoną na ludzkiej, wyprostowanej szyi.

— Boże! — powiedział profesor Reginald Snider — wybaczone mi państwo, ale musimy odejść! Chciałbym się przejść trochę po tym spokojnym angielskim ogrodzie i opuścić świat bajki, w który chcecie mnie wciągnąć!... — urwał i spojrzał na rzeźbę, która stała się przedmiotem dyskusji. — Jest ona uproszczona, jeśli ją porównać z innymi obiektami sztuki tego okresu w południowym Dekanie, ale... — zawahał się — pochodzi na pewno z rąk bardzo słabego artysty...

— Nie! — powiedział Jowett. — Wykluczone, panie profesorze!

— W takim razie... w takim razie... — rozejrzał się i uśmiechnął niepewnie. — Chodź, Dorothy! Generał Somerville jest przerażającym nieprzyjacielem! I nie zardrosczę wroga, którzy stawali przed nim na polu bitwy, gdy był w czynnej służbie... Przepraszam...

Odszedł szybko, a córka ruszyła za nim, obdarzywszy wszystkich twardym, lodowatym uśmiechem.

— Nie wiesz, przyjacielu, że nadal jestem w czynnej służbie... — mruknął generał do siebie tak cicho, że tylko stojący najbliżej usłyszeli go. — W czynnej służbie sztuki, o której nie wolno pisać głupstw tylko dlatego, że się jest autorytetem! — Spojrzał na Jowetta: — Pomógł mi pan w krytycznym momencie, ale to nie znaczy wcale, że nie powiem panu tego, co myślę o pańskim postępowaniu! — uśmiechnął się mimowolnie. — Pannę Meryl Perry przysłał do mnie mój przyjaciel, profesor Rodgson z Oxfordu, z prośbą, abym pokazał jej moje zbiory i zaopiekował się jej pracą o Gansie, synu Sziwy. To znaczy, że panna Perry jest moim miłym gościem i nikt z pozostałych gości nie może powodować sytuacji, w których czułaby się ona nieswojo — Znowu uśmiechnął się. — I chociaż mogę podzielać pańskie zdanie na temat tego, czy panna Perry nadawałaby się jako model do Diany XX wieku, prosiłbym stanowczo, żeby wszelkie propozycje na ten temat padły pod jej adresem dopiero wtedy, kiedy opuści już progi tego domu.

Jowett rozłożył ręce.

— Tego rodzaju reprimenda byłaby zasłużona, gdybym ja także był pańskim gościem. Niestety, jestem tylko najemnikiem. A jak pan wie, generale, służba bywa niesfor-na. Ale postaram się poprawić... Czy kostium bikini, powiedzmy, przy pozowaniu, tak-że uwłaczałby godności panny Perry?

— Boże, zmiłuj się nade mną! — powiedział John Somerville z przekonaniem.
— Mister Alex, proszę powiedzieć mi, jaki wymiar kary otrzymałbym, gdybym otruł tych wszystkich ludzi równocześnie, żeby mieć choć trochę spokoju przy pracy?

— Jeszcze kilka lat temu, panie generale — odpowiedział Joe uprzejmie — powieszono by pana „za szyję, aż póki dusza twa nie rozstanie się z ciałem tak, jak to się spodobą Jej Królewskiej Mości”, ale teraz, odkąd zniesiono karę śmierci, groziłoby panu dożywotnie więzienie, bez względu na okoliczności łagodzące, które pomimo krótkiego pobytu tutaj miałem możliwość zaobserwować.

— Dożywotnie więzienie! To znaczy rok albo dwa! Zastanowię się, moi mili, zastanowię się!

I John Somerville ruszył nieco chwiejnym, ale zdecydowanym krokiem w stronę otwartych drzwi hallu, a wierny Chanda podążył za nim szybko i cicho jak cień.

— Rozumiem go świetnie... — powiedział cicho Jowett do Karoliny. — Sam mam chwilami ochotę otruć tego Amerykanina i jego córeczkę. Nie wspominając już o moim przyjacielu Cowleyu!

— Ale on pana także miał na myśli! — Alex ruszył z wolna ku drzwiom. — Niech się pan strzeże przy kolacji.

— Mając jako współbiesiadnika taką znakomitość w dziedzinie walki ze zbrodnią będę jadł z jak największym apetytem! Ufam ekspertom!

— Miał pan przed chwilą dowód, jak bardzo potrafią się oni różnić w swoich sądach.

— Cóż, staruszek ma oczywiście słuszość! A ten Amerykanin posiada tylko miliony wiadomości i nie wie, co z nimi zrobić, kiedy staje w obliczu zagadki. To wspaniała rzeźba!

Raz jeszcze musnął palcami twarz towarzyszki życia Człowieka śniegów i ruszył ku drzwiom, w których zatrzymała się Karolina.

Rozdział 7

I niechaj składa mu co dnia ofiary...

— Może jestem trochę niesprawiedliwy dla tego chłopca? — powiedział Jowett z uśmiechem, zwracając się do Karoliny. Wyszli do ogrodu i posuwali się z wolna w trójkę w kierunku drzew. — Muszę przyznać, że Cowley naprawdę zna swój zawód i pomógł mi trochę, kiedy rozpoczynaliśmy tę przekłętą pracę, a ja niewiele jeszcze miałem pojęcia o tym, czego właściwie generał ode mnie wymaga. Zbudował także całą tę pracownię, a w niej dokładną imitację pieca indyjskiego używanego przed półtora tysiącem lat do wytopu kruszców. Gdyby tylko nie był tak potwornie drażliwy na punkcie tej dziewczyny! Nie znoszę, kiedy mężczyzna robi z siebie błazna, gdy ma do czynienia z kobietą.

— Im więcej uczucia, tym większa drażliwość... — mruknął Alex sentencjonalnie i głośno dodał: — Jestem tu dopiero kilka godzin, a już zdążyłem zauważyć, że wszystko, co dotyczy panny Perry, bardzo go przejmuje... — urwał na chwilę, potem zagadnął od niechcienia: — A pan poznał ją dopiero tutaj, prawda?

Rzeźbiarz roześmiał się.

— Oczywiście. Niewiele miałem dotychczas do czynienia z historią sztuki indyjskiej. To miła dziewczyna i... — zawahał się i zerknął spod oka na Karolinę — jeżeli mam być szczery, to sytuacja tutaj zmuszała w pewnym sensie do zwrócenia na nią większej uwagi, niżby to miało miejsce, powiedzmy, w Londynie. W domu, nie licząc służby, są tylko dwie młode kobiety, a ta druga, mam na myśli Dorothy Snider, jest koszmarna, prawda?...

Zawiesił na chwilę głos.

— Panna Snider wcale nie jest przecież brzydka — powiedziała Karolina niezdecydowanie.

— Być może. Ale jest koszmarna! Jedyna rzecz, która ją naprawdę obchodzi, to bzdury, które jej uczonego tatuś wypisuje o rzeźbie. Ma on tyle samo pojęcia o prawdziwej sztuce, co Cowley! Ale Cowley przynajmniej nie pragnie być autorytetem.

Weszli pomiędzy drzewa, gdzie leżał już cień wczesnego wieczoru, chociaż słońce nie zaszło jeszcze.

— Profesor Snider jest naprawdę uznanym ogólnie autorytetem w dziedzinie rzeźby indyjskiej — zaprzeczyła znowu, niemal mechanicznie, Karolina.

— Mój Boże! Autorytetem! Widziała pani przecież dzisiaj sama, jak wygląda argumentacja tego autorytetu. Cóż to za autorytet, który nie jest w stanie poznać, jakiej klasy rzeźbiarz wykonał dzieło?! Nie znoszę takich facetów. Dzięki ludziom takim jak Snider zbyt wielu genialnych, ale mało odpornych młodych ludzi odkręciło z rozpaczony gaz albo przerzuciło sznurek przez gałąź pierwszego napotkanego drzewa! Jest pewien siebie, jak wszyscy Amerykanie i masę umie, ale nie wie nic i pozostanie ślepy i głuchy do końca życia w dziedzinie, w której powołano go do kształtowania sądów ogółu i nauczania maluczkich! A osobowość tej córeczki jest rezultatem jego absolutnego przeświadczenia, że wszystko na tym świecie powinno być podporządkowane Reginaldowi Sniderowi! Jej matka umarła, kiedy dziewczyna miała dziesięć lat, i wydaje mi się, że ten człowiek poszedł po linii najmniejszego oporu: zamiast wyrobić we własnym dziecku odrobinę samodzielności, zamienił Dorothy w sekretarkę, służącą, kapłankę jego wiedzy tajemnej i bałwochwalczego czytelnika! Trudno brać taką dziewczynę pod uwagę nawet na odludziu. Ma zdemolowaną bezpowrotnie osobowość!

— A Meryl Perry? — mruknął Alex. — Jeśli już zaczęliśmy mówić niekorzystnie o bliźnich, muszę przyznać, że przynajmniej na pierwszy rzut oka nie sprawia wrażenia młodego, genialnego uczonego w spódnicy. Oczywiście nie mam żadnych danych, żeby tak twierdzić, to tylko taka sobie powierzchowna impresja.

— Nie masz prawa tak mówić o Meryl, Joe! — Karolina zatrzymała się pośrodku ścieżki, a idący po obu jej stronach mężczyźni, chcąc nie chcąc, zrobili to samo. — Znam ją od czasu, kiedy rozpoczęliśmy studia. Była samotna, ona nie ma rodziców, ani nikogo żyjącego z krewnych. Utrzymywała się sama, zmywając wieczorem w jakiejś restauracji, później dostała stypendium, bo była najzdol... Była jedną z najzdolniejszych osób naszego wydziału!

— Tak... — westchnął Jowett, ruszając powoli ścieżką. — Zdołałem przekonać się, że panna Perry to uczciwa dziewczyna... Niestety. A jeżeli mam być szczery, to obawiam się, że wyjdzie w końcu za mąż za naszego Cowleya, chociaż udaje, że jego westchnienia i spojrzenia nic a nic jej nie obchodzą.

— Byłabym bardzo zadowolona! — powiedziała dobitnie Karolina. — Pan Cowley wygląda na bardzo porządnego człowieka, a sam pan przyznał, że jest uzdolniony w swojej dziedzinie. Jeżeli Meryl też go pokocha, czego jeszcze można życzyć parze młodych ludzi?

— Czego? Och, zapewne niczego więcej... — Jowett westchnął i roześmiał się nagle. — Ale przyzna pani, że kobiety są dziwne! Mając do wyboru na tym pustkowiu mnie i Cowleya, wybrała Cowleya!

— A czy pan chce się z nią ożenić? — Karolina stała się nagle nieustępliwa. Joe uśmiechnął się w duchu.

— Ja?! Bóg mnie uchwaj! Jestem małym, wstrętnym egoistą, który zawsze interesuje się kobietami, ale poświęciłbym każdą z nich z osobna i wszystkie razem, gdyby mi to mogło pomóc, choćby w małym stopniu przy jakiegokolwiek mojej pracy.

— Zdawało mi się... — powiedziała Karolina uśmiechając się — że właśnie taka postawa profesora Snidera naraziła go w pańskich oczach na zarzut zniszczenia osobowości bliskiej mu osoby.

— Ba! Ale ze strony profesora Snidera jest to tylko bezużyteczna głupota, a ja... — znowu roześmiał się, ale kiedy dokończył żartobliwym tonem, widać było, że wierzy w to, co mówi — ...ja mam przekazać przyszłości sprawy naszego wieku, przynajmniej w tym stopniu, w jakim rzeźba może je zarejestrować. Mam na myśli zło i piękno naszych czasów, bo każda epoka ma inne oczy i inaczej widzi nikczemność bliźnich i urodę sztuki!

Zamilkł na chwilę i chrząknął głośno, jak gdyby zażenowany własnymi słowami. Potem dodał prędko:

— Ładna kolekcja dziwaków i idiotów zebrała się ostatnio pod tym dachem, prawda? Mam wrażenie, że jedynie wiekowy dziadek pani posiada tu odrobinę zdrowego rozsądku. On instynktownie rozumie rzeźbę! A to chyba najważniejsze. Reszty można się nauczyć na pamięć z książek. Ale oto i moje piekło! Chcecie państwo zajrzeć? Jeśli Cowley tam jest, obiecuję, że będę zachowywał się poprawnie. Nie drażnić mieszczańskiej bestii, przyczajonej w sercu zakochanego inżyniera: oto hasło dnia! Proszę bardzo...

— Ale może — powiedziała Karolina z wahaniem. Uczuła lekki uścisk palców Alexa na ramieniu i umilkła.

Jowett zbliżył się pierwszy do drzwi pracowni i nacisnął klamkę, która ustąpiła.

— Jest... — szepnęła. Usunął się, robiąc miejsce Karolinie.

Od razu dostrzegli Cowleya, który klęczał pochylony nad głęboką niszą w ścianie, z której wybiegał czerwony, migotliwy blask płomieni ognia, rozpalonego gdzieś głęboko w dole. Nisza zaopatrzona była w dwuskrzydłe drzwi, otwarte teraz. Prowadziły od nich ku środkowi pomieszczenia szyny, na których stała niska platforma na kółkach, a na niej niewielki korpulentny przedmiot, osłonięty brezentową płachtą.

— Przyszło mi do głowy — powiedział Cowley nie odwracając głowy i spoglądając w ogień — że możemy...

— Przyprowaździłem gości! — powiedział Jowett. — Panna Beacon i pan Alex chcą zobaczyć pańską fabrykę Nirwany!

Cowley odwrócił gwałtownie głowę i wstał. Dopiero teraz dostrzegli, że oczy i górną połowę twarzy zakrywała mu czarna azbestowa maska, w której lśniły jeszcze ciemniejsze szkła chroniące wzrok.

— Jeżeli przeszkadzam... — powiedział ostro — to zakończyłem właściwie na dziś moją pracę... — Uniósł rękę, w której trzymał termometr o imponującej długości, i nie patrząc na Jowetta dodał: — Kruszcze są przygotowane w odpowiednich proporcjach

i jutro rano można rozpocząć odlew... — wskazał stojący pod ścianą inny kształt, także osłonięty brezentem, ale wysoki i przypominający wielką postać ludzką. — Postaram się, żeby nie było żadnego opóźnienia... Przynajmniej z mojej winy. I to będzie chyba wszystko, jeśli nie ma pan innych życzeń? — Tym razem uniósł głowę i zwrócił spojrzenie czarnych szkieł bezpośrednio na Jowetta. Mówił nadal ostro, ale grzecznie, z intonacją, którą Alex nazwał w duchu bezosobową, tak jak gdyby starał się przekazać informacje nie wchodząc w najmniejszy, niepotrzebny kontakt z osobą, którą musiał informować.

— Dziękuję... — Jowett rozłożył ręce. — I ja chciałbym, żeby to było załatwione jak najprędzej. Widzę, że praca ze mną nie należy do największych radości w pańskim młodym, promiennym życiu Cowley! A przecież Stwórca mi świadkiem, że pewne uwagi, na które sobie pozwoliłem, miały na celu tylko pańskie dobro. Wydawał mi się pan doświadczonym metalurgiem, ale bardzo niedoświadczonym zalotnikiem. W związku z tym...

— Jeżeli pani pozwoli... — powiedział Cowley dramatycznym szeptem, zwracając się do Karoliny — odejdę teraz. Mam... Mam jeszcze trochę pracy w bibliotece pana generała.

I rzucił się ku drzwiom, jak gdyby ścigała go armia wrogów uzbrojonych w miecze i włócznie.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Karolina powiedziała, przysłaniając ręką oczy, które raział wydobywający się z podziemia czerwony blask:

— I znowu sprowokował pan tego biednego chłopca!

— O nie! To była działalność szlachetna i ściśle charytatywna. Czy wiecie państwo, co robi w tej chwili nasz młody przyjaciel? Chodzi po parku albo przemierza pokoje Mandalay House w poszukiwaniu Meryl Perry! A o ile znam choć trochę dziewczęta, mogę się założyć, że ją odnajdzie prędzej, niż przypuszczamy. Przy spotkaniu ona zrobi zdumioną minę, jak gdyby w ogóle nie wiedziała, że inżynier Cowley znajduje się na terenie posiadłości, a on zacznie się jąkać i mówić o życiu z dala stąd.

— Oby tak było! — Karolina zbliżyła się do wylotu pieca. — Więc tak naprawdę wyglądał indyjski piec metalurgiczny? Wydaje mi się to wszystko ogromnie nowoczesne.

— Oczywiście! Rzeźbiarz indyjski miał do pomocy kilku albo kilkunastu podwładnych i niewolników. Generał nie ma ich, stąd te szyny i platforma. Niestety, posiadam tylko Cowleya, który od pewnego czasu zajmuje się wyłącznie tym, co do niego należy i nie pomaga mi zupełnie. A praca ta wymaga ogromnego zapasu sił fizycznych. Mimowolnie napiął mięśnie, zginając ręce w łokciach. — No, ale jakoś daję sobie radę. Jestem przyzwyczajony. Współczesna rzeźba niewiele różni się od dawnej. Pracujemy na stosowanej i teraz często zasadzie „cire perdue”, czyli „wytopionego wosku”. Oczywiście, generał który jest (musi mi pani to wybaczyć) starym wyzyskiwaczem, obarcza nas od

czasu do czasu innymi pracami. — Podszedł do platformy i odsłonił płachtę. Złocista postać siedzącego Buddy zaślniła w czerwonym półmroku. — Jest to stara, dobra robota, wykonana ze świętego stopu Astadhatu, który składa się ze srebra, żelaza, cyny, ołowiu, rtęci, miedzi, cynku i domieszki złota. Tych osiem kruszców uznano za najdoskonalszy stop do odlewania boskich wizerunków. Figura ta została w późniejszym czasie grubo pozłocona i generał zakupiwszy ją niedawno, doszedł do wniosku, że powinna odzyskać dawną barwę i wygląd. Oczywiście, jest o wiele jaśniejsza niż poprzednio. Jest to połysk biało-złocisty, tamten był obrzydliwie żółty... — Zakrył płachtą postać zamysłonego boga i z pewnym wysiłkiem pchnął platformę w kierunku ściany, w której były drugie drzwi, najwyraźniej prowadzące na zewnątrz. — Wydaje się niewielki, a waży dwieście czterdzieści funtów! Jutro przyjdą robotnicy i przeniosą go do domu. Generał chce go umieścić u siebie w sypialni... Br! — wstrząsnął się. Podszedł do ściany i zdjął zasłonę z drugiej figury. Była to stojąca w spokojnej hieratycznej pozie młoda, półnaga postać o tajemniczo uśmiechniętym obliczu.

— A oto Budda z Sarnatu, piąte stulecie naszej ery, no, powiedzmy sobie, dwudzieste, ale po odlaniu tylko specjalista będzie mógł osądzić, że ma do czynienia z kopią... o ile, oczywiście, nie położy tej figury, bo pod spodem jest napisane: „J.J. — 1977” żeby nie było nieporozumień! — roześmiał się. — Wykonany według najstarszego podręcznika rzeźby Mansara: „wykonaj model w żółtym wosku, tak aby przedstawiał piękny widok... zacznij wraź rurki do usunięcia wosku, długości kwiatu Dhatura, w plecy, ramiona szyję i koronę wizerunku, a później pociągnij go całkowicie doskonałą gliną, do której dodasz sproszkowanych doskonale łusek, sól i bawełnę stokrotnie rozszczępioną. Zmieszawszy wszystko to z gliną, utrzyj na kamieniu gładkim, a masą z tego wytworzoną obłóż po trzykroć postać boga. Pierwsza warstwa winna być cienka i przezroczysta, a niechaj wysycha w cieniu. Po paru dniach dasz warstwę drugą, a gdy ona wyschnie, obłóż po raz trzeci, tym razem grubo. Otwory rur pozostaw nie zakryte. Weź dziesięćkroć tyle miedzi, ile było wosku, dwunastokroć tyle srebra, a złota weźmiesz czternastokroć więcej, ile ważyła woskowa figura...”

Uniósł ręce nad głową z udaną rozpaczą.

— Potem jest dokładna instrukcja, jak należy stopić wosk podgrzewając figurę nad płomieniem. Później jak przygotować kruszec do wytopu, jak go wlewać, jak studzić, aby wreszcie posąg przypominał model z wosku. A dopiero po wykonaniu posągu tą metodą niechaj król albo generał John Somerville wystawi go na widok publiczny w dniu świątecznym „i niechaj odtąd składa mu co dnia ofiary”! Jak państwo widzą nauczyłem się czegoś w Mandalay House! Biedny Cowley! Dokładnie, precyzyjnie, co do uncji, sporządzał do każdej kopii odpowiedni stop. A teraz tylko ta ostatnia z serii, potem dwie małe figurki i koniec! Będę mógł zająć się moim własnym życiem.

— A jaki cel miał generał, budując ten piec i odlewając kopie posągów w sposób, w jaki wyprodukowano oryginały? Jowett po krótkim namyśle skinął głową z aprobatą.

— Myślę, że starszek miał słuszość, chociaż kosztowało go to zapewne majątek. Ale ma więcej pieniędzy, niż potrafi wydać, to też pewne! Otóż powtórzenie całego procesu wytopu w rozmaitych kombinacjach rytualnych, należących do różnych okolic i okresów, pozwala na stworzenie przesłanek określania rzeźb indyjskich na podstawie analizy materiałowej, co do tej pory nie było w ogóle praktykowane pomimo bogatej literatury źródłowej. Stopy kruszców posiadają różne cechy nawet zewnętrzne, różny sposób patynowania się i tak dalej, i tak dalej. Dziadek pani skrzętnie to wszystko rejestruje i każdy nasz eksperyment wprowadza do swojej nowej książki. Jest może trochę fanatyczny i rozrzutny, ale tylko fanatycy mogą coś zrobić naprawdę! — Urwał na chwilę. — Żałuję bardzo, że nie podzielam jego entuzjazmu, ale, jak powiedziałem, nie lubię rzeźby indyjskiej. Gdyby nie płacił mi tak wiele i gdybym nie doszedł do wniosku, że parę miesięcy spokoju pomoże mi w zaprojektowaniu mojej pracy, nigdy bym się nie zgodził na to wszystko. Z drugiej strony, poznałem nowe rzemiosło i odbyłem ciężką, ale ciekawą praktykę w dziedzinie wytopu metali. A to też coś warte!

— Czy zaprojektował pan już swój pomnik poległych lotników Manchesteru? — zapytał Joe.

— Tak, ale nie chciałbym państwu zawracać głowy moją twórczością. To są sprawy, które mogą zanudzić kogoś, kto...

— Ależ nie! — powiedział Alex. — Zapomina pan, że byłem lotnikiem, chociaż ja sam w to już czasem nie wierzę.

— Jeżeli tak, to może zainteresuje pana ten model. Oczywiście, proszę powiedzieć szczerze, co pan myśli o nim. Inne opinie mnie nie interesują! Gdyby pan nie był pilotem w czasie wojny, w ogóle nie zapytałbym pana o zdanie, bo myślę, że to bardzo prywatna, wewnętrzna moja sprawa, a inni ludzie niech odczytują później całość, jak chcą. Każdy przecież dostrzeże co innego. Ale jestem naprawdę zażenowany. Sam nie wiem, jak mam się zachować. To okropne, pokazywać innym swoją pracę...

Przyglądali mu się ze zdumieniem. Zniknął gdzieś cyniczny, swobodny bywalec wielkiego świata, znudzony śmiertelnie koniecznością przebywania pośród istot nie należących do jego kręgu. James Jowett przemienił się nagle w nieśmiałego człowieka, który lękał się, a równocześnie pragnął, by chcieli obejrzeć jego dzieło.

— Proszę... — otworzył małe drzwiczki w ścianie.

Poza nimi był niewielki pokoik. Nie było tu zresztą widno, bo gałęzie krzewów opierały się niemal o szyby. Przekreślił kontakt i pod sufitem zapłonęła silna, naga żarówka na sznurze. Pośrodku małego, prostokątnego stołu dostrzegli natychmiast gipsowy model pomnika lotników miasta Manchester, poległych w czasie ostatniej wojny.

Z płaskiej, nieskazitelnie gładkiej powierzchni wystawała skośnie srebrzysta, naga płaszczyzna, skrzydło samolotu, który zniknął. Ale przecież nie było to skrzydło, a tylko jego wyobrażenie w tragicznym, nagłym uderzeniu o ziemię. I nic więcej.

Alex milczał przez chwilę.

— To wspaniałe... — powiedział cicho. — Wspaniałe. W tym jest śmierć, upadek z wysokości i cisza. Zamknął pan w tym więcej niż inni ludzie, którzy napisali grube książki o bohaterstwie. Wspaniałe!

— Naprawdę? Podoba się panu? — Jowett zaczerwienił się jak młody chłopiec.

— To jest jak Egipt... — powiedziała cicho Karolina.

— Oni tam też znali ten zdumiewający skrót, który oddaje tak wiele! Inaczej, oczywiście... Mój Boże, jak można tak wiele powiedzieć przy pomocy tak znikomych środków?!

Jowett delikatnie przesunął makietę, obracając ją naokół osi.

— Ma stanąć na wielkim, pustym placu w nowej dzielnicy miasta.

Alex rozłożył ręce swoim ulubionym bezradnym ruchem.

— Słyszałem wiele o panu, ale nie przypuszczałem, że to będzie aż tak proste!

Rozdział 8

Karolinę Beacon, wnuczkę brata mego...

Odprowadził ich do drzwi i pożegnał słowami:

— Wróciliście mi państwo wiarę w ten pomnik! Bałem się, że będzie po prostu niezrozumiały. Ludzie wymagają zwykle tak wiele złej literatury w rzeźbie okolicznościowej. Dziękuję bardzo. Zostanę tu jeszcze trochę i nie przyjdę pewnie na kolację. Jest jeszcze kilka problemów, których nie rozstrzygnąłem, chociaż chciałbym, żeby całość pomnika wyglądała mniej więcej tak, jak to państwo widzieliście na makiecie.

Drzwi zamknęły się. Był już zmrok. Ruszyli z wolna ku domowi. Milczeli przez dłuższą chwilę.

— Nie przypuszczałem, że nasz przyjaciel Jowett jest aż tak uzdolnionym artystą... — Mruknął Joe. — Ale przyszłości nie umie przepowiadać, jak widać. Oto moja przyjaciółka, panna Meryl Perry... zupełnie sama!

Karolina uniosła głowę. Zbliżali się już do wielkiego klombu przed domem, gdzie było jeszcze trochę światła. Meryl dostrzegła ich zbyt późno, żeby móc się wycofać bez ostentacji. Spróbowała się uśmiechnąć, kiedy ją mijali, ale Karolina, która patrzyła na nią, trąciła lekko Alexa.

— Joe, ona płacze!... — powiedziała szeptem, kiedy dzieliło ich już kilka kroków. — Zaczekaj na mnie w hallu. — Zawróciła, Alex obejrzał się po chwili przez ramię i zobaczył je idące powoli obok siebie. Meryl miała opuszczoną głowę i mówiła coś cicho. Ruszył przed siebie i obchodząc klomb zbliżył się ku drzwiom domu w tej samej chwili, w której wynurzył się z nich bezgłośnie Chanda.

Na widok Joego skłonił lekko głowę w jego kierunku.

— Czy nie wie pan, gdzie jest panna Beacon, Mister Alex? Generał Somerville bardzo pragnie, żeby przysłała do jego gabinetu wraz z panem.

— Rozstaliśmy się przed chwilą — Joe wskazał wylot alejki ciemniejącej pomiędzy drzewami. — Poszła na małą przechadzkę z panną Perry i prosiła, żebym zczekał na nią w hallu.

— W takim razie i ja tam na nią zczekam, jeśli pan pozwoli.

Weszli do domu. Chanda wskazał gościowi miękki fotel pod oknem, a sam usiadł na jednym z niskich krzeseł, otaczających czarny stolik z laki.

— Mam nadzieję, że Mandalay House i okolica spodobały się panu? Pogoda jest dziś prześliczna...

Urwał i uśmiechnął się pogodnie, jak gdyby w przeświadczeniu, że Alexa sprowadziła do Mandalay House chęć spędzenia słonecznego weekendu nad morzem. Ale Joe zareagował w mniej konwencjonalny sposób.

— Jest pan od tylu lat związany z generałem Somerville'em i mam tak głębokie przeświadczenie o pana lojalności wobec niego, że chciałbym zadać panu jedno bezpośrednie pytanie...

— Słucham pana.

— Jak pan sądzi, czy generałowi Somerville rzeczywiście coś grozi?

Chanda przez chwilę nie odpowiadał, potem uśmiechnął się lekko.

— Gdybym powiedział, że w moim skromnym przekonaniu generałowi nic nie grozi, a potem okazałoby się, że jednak był ktoś, kto mu źle życzył i wykorzystał okazję, byłaby to karygodna lekkomyślność. Jest pewna sprawa...

Urwał. Rozłożył ręce.

— Nie czuje się pan upoważniony do mówienia o tym?

— Nie. Generał Somerville lubi sam rozgrywać swoje bitwy. Oczywiście, nie oznacza to, abym nie był zawsze do jego dyspozycji w chwili niebezpieczeństwa... o ile miałyby nadejść. Zresztą o ile wiem, pan generał chce omówić jutro z panem całą sprawę.

— A wcześniej? Czy nic nie może zdarzyć się wcześniej? Słyszał pan przecież o tych listach, które otrzymał Scotland Yard. Ktoś wyraźnie oświadcza tam, że ma zamiar zabić generała.

— Gdyby wszystkie pogrożki zamieniły się w rzeczywistość, nie pozostałoby wielu żywych ludzi na świecie. Każdy ma wrogów.

— Zapewne. Ale czy nie chciałby pan powiedzieć mi czegoś o tych wrogach? W końcu po to tu jestem.

— Generał Somerville zapewne opowie panu o wszystkim bardzo dokładnie — twarz Chandy była nadal niewzruszona. — Nie jestem, niestety, upoważniony przez niego do rozmowy na ten temat. Mogę pana tylko upewnić, że według mnie w ciągu najbliższych godzin nic generałowi nie zagraża i noc będziemy mieli spokojną.

— A jutro?

— W stronach, z których pochodzę, nikt nie wymawia lekko tego słowa. Jutro może być równie odległe jak wieczność. Albo równie bliskie.

Znowu uśmiechnął się.

— Jednego nie rozumiem — Alex nieznacznie wzruszył ramionami — dlaczego generał, a w ślad za nim i pan, rezygnujecie z taką łatwością i spokojem z pomocy

i ochrony, jaką mogłaby dać policja? A jeśli już generał Somerville nie życzy sobie interwencji policji, dlaczego pan także rezygnuje tak swobodnie z mojej skromnej pomocy? W końcu generał napisał do mnie z prośbą o pomoc.

— Gdyby zależało to ode mnie — powiedział Chanda uprzejmie — generał nie napisałby tego listu do pana. Ale nie chciał mnie posłuchać. Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe. Kimże jestem, aby mnie słuchano?

Joe spojrzał na niego uważnie.

— Czy bywa pan często w Londynie? — zapytał swobodnie. — Byłoby mi bardzo miło, gdyby zechciał pan któregoś dnia zajrzeć do mnie. Tak mało wiem o Birmie. A wszyscy, którzy tam byli mówią, że to bardzo piękny kraj.

— W moich oczach jest on najpiękniejszy spośród wszystkich krajów świata — powiedział Chanda poważnie. — Ale to zrozumiałe. Nie jestem obiektywny. Będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt, jeżeli będę mógł choćby w najbardziej niedoskonały sposób opowiedzieć panu o moim kraju. Często bywam w Londynie. Generał ma tak wiele spraw i tak bardzo już mu trudno opuszczać Mandalay House. Tak się złożyło, że w ciągu ostatnich dwu tygodni byłem w stolicy kilka razy. W przyszłym tygodniu także zapewne będę musiał tam wyjechać. Odbędzie się aukcja starożytności indyjskich u Greeneya. Kilka pozycji z katalogu zainteresowało generała.

— A poza panem, czy ktoś z mieszkańców albo gości Mandalay House był ostatnio w Londynie?

— O ile wiem, prócz pana Cowleya, który jeździł raz czy dwa razy, żeby poczynić zakupy, raczej nikt. Pora roku jest tak piękna, że nikt, kto nie musi, nie opuści Devonu, choćby na kilkanaście godzin. Mam nadzieję, że będzie równie ładnie podczas całego pobytu państwa tutaj. Panna Beacon tak bardzo kocha wodę i słońce, że byłoby to naprawdę smutne, gdyby mając kilka dni przerwy w pracy, natrafiła na tak rzadkie u nas o tej porze deszcze i mgły.

— Zapewne. Ale nic chyba tego nie zapowiada... — Joe wstał, zapalił papierosa i rozejrzał się szukając popielniczki. Znalazł ją i usiadł znowu.

— Jest pan bardzo mądrym człowiekiem Mister Chanda. Cieszę się, że pana poznałem. Jeśli dojdzie pan do wniosku, że chce mi pan opowiedzieć o czymś, och, o czymkolwiek, co mogłoby mnie zainteresować... — wypuścił kłęb dymu i przygasił papierosa — proszę mnie obudzić nawet pośród nocy, zgoda?

— To ja panu dziękuję — Chanda poważnie skłonił głowę. — Generał Somerville niezupełnie wierzył w pańskie... — przez chwilę szukał słowa — specjalne uzdolnienia. Ja wierzę. Pan już wie, prawda?

Alex przytaknął głową. — Ale nie wszystko. Szczerze mówiąc, wiem bardzo mało. A nie chciałbym, aby dziadkowi Karoliny przytrafiło się coś złego. Panna Beacon jest... jest osobą bardzo mi bliską.

— Była to jedna z przyczyn, dla których chciałem pana poznać. I w moim starym sercu zajmuje ona wiele miejsca, chociaż zapewne jest to nieco inne uczucie. Ale nie jestem pewien, czy ustępuje jakimukolwiek innemu.

Chanda odwrócił głowę i wstał. Weszła Karolina. Twarz miała poważną.

— Generał Somerville czeka na ciebie w gabinecie... — powiedział Chanda. — Prosi, żebyś odwiedziła go w towarzystwie pana Alexa. Ma tam pewien dokument, który pragnąłby ci odczytać.

— Dokument? — Karolina, która wchodząc chciała najwyraźniej powiedzieć coś Joemu, uniosła brwi. — Jaki dokument?

— Zaraz go usłyszemy zapewne — powiedział Chanda. Ruszył przodem i otworzył drzwi. Minęli mały salonik. Stary Birmańczyk zatrzymał się przed następnymi drzwiami, zapukał lekko. Potem otworzył drzwi i usunął się na bok.

Umeblowanie gabinetu generała Somerville'a było proste i niemal ubogie w porównaniu z dyskretnym przepychem innych pomieszczeń Mandalay House. Trzy ściany pokryte były półkami pełnymi książek, na czwartej stała potężna, nieco staromodna kasa ogniotrwała, a obok niej jedyny wolny skrawek ściany zakrywała ogromna, różnobarwna mapa Półwyspu Indyjskiego. Pośrodku stał wielki stół. Generał Somerville, otulony grubym szlafrokiem, i siedzący w wysokim fotelu, wydawał się pośród tego tocznia jeszcze drobniejszy i kruchszy.

— Wchodźcie, wchodźcie! — wskazał im krzesła stojące po przeciwnej stronie wielkiego stołu. — Gdzież to się podziewałaś, Karolinko? Wysłałem Chandę po ciebie już tak dawno, że w moim wieku mógłbym nawet zapomnieć, po co to zrobiłem. Na szczęście nie zapomniałem! No siadajcie! — dodał lekko poirytowanym już głosem. Uniósł trzymany w ręce papier. Spojrzał najpierw na Chandę, potem na Karolinę i wreszcie na Alexa. Uśmiech spłynął cicho na jego pomarszczoną twarz. Czekali w milczeniu.

— Otóż — Somerville uderzył zakrzywionym, ciemnym palcem lewej ręki w środek papieru tak mocno, że niemal go przedziurawił — ten dokument jest wynikiem pierwszego bodaj i, mam nadzieję, jedynego kompromisu w moim życiu. Destrukcyjnym czynnikiem okazał się on! — palec uniósł się i zatrzymał na chwilę przed oczyma Chandy. — Wszystko było już po stokroć ułożone i załatwione, zarówno prawnie, jak w moim sumieniu... o ile je w ogóle posiadam, hi, hi, hi, ponieważ nigdy nie wytropiłem najmniejszego jego śladu ani w mojej psychice, ani w czeluściach organizmu. Ale Chanda dokonał swego jak kropla wody, która drąży skałę. A jej reakcja na moją śmierć... — wskazał Karolinę — chociaż może spowodowana bardziej szokiem niż żalem...

— Śmierć? — powiedział cicho Chanda — na czyją śmierć?

— A tak. Na moją. Miałem ci o tym nie mówić, ale powiem. Kiedy przyjechali dzisiaj, zainscenizowałem małą zabawę. Wyglądałem jak ktoś, komu wbito nóż w piersi. Czerwony atrament lał się na koszulę. Było bardzo pięknie. Niestety pan Alex poznał się na tym od razu...

— Nie powinieneś był tego robić, panie... — Chanda potrząsnął głową. — śmierć nie jest najlepszą towarzyszką zabawy.

— Zapewne, ale pozwoliłem sobie być innego zdania. Otóż Karolina bardzo się przejęła, hi, hi, hi... — otarł zażawione oczy i spróbował wyprostować się. — Co prawda, fakt ten nie zmieniłby mojego podejścia do sprawy. Uważam, że nie musiała zająć się archeologią Morza śródziemnego i mogła pomyśleć więcej o Indiach. Ale widocznie w mojej rodzinie mało jest słabych charakterów i ja też chyba wybrałbym zawsze to, co mnie by się podobało. No, ale mniejsza z tym. Zaraz przyjedzie tu mój radca prawny z Torquay, pan Bennon. Przy nim będę chciał, żeby pan Alex podpisał się jako świadek pod moim nowym testamentem. A ty, Chanda, będziesz drugim świadkiem.

— Ale... — powiedziała Karolina.

— Zaraz wam przeczytam. Jest króciuteńki. Oto on: „Będąc przy zdrowych zmysłach i znajdując się w zdrowiu tak dobrym, jak na to może pozwolić mój podeszły wiek, ja, John Augustus Somerville, czynię Karolinę Beacon, wnuczkę brata mego, jedynym moim spadkobiercą, zapisując jej cały mój majątek ruchomy i nieruchomy. Ponieważ nie mam zamiaru wdawać się w szczegóły, polecam jej, aby przekazała osobom, które znajdują jej uznanie: sumy, akcje, lub inne wartości jako wyraz wdzięczności mojej za ich długoletnie poświęcenie dla mnie, za wierną i szczerą pracę. Muzeum Brytyjskiemu chciałbym przekazać całą kolekcję moich brązów. Rzeźby wykonane z innych kruszców, a także kolekcja broni i inne starożytności, znajdujące się w moim posiadaniu, przejdą na własność Karoliny Beacon... z wyjątkiem jednego posągu, który mój stary przyjaciel Chanda zabierze i zadba, aby został on odesłany do Mandalay w Republice Birmy i powrócił do Pagody, z której zniknął ongi. Posąg ten przewieziony ma być na mój koszt.

Moje notatki naukowe Karolina Beacon przekaze, zachowa lub zniszczy według swojej woli.

Wszystkie nie wymienione w tym testamencie wartości oraz wszelkie wątpliwości, które mogłyby się na ich temat nasunąć, muszą być rozstrzygnięte na korzyść Karoliny Beacon, której niechaj mój majątek służy dla dobra nauki. Gdyby Karolina Beacon zechciała ufundować stypendium mojego imienia dla młodego naukowca, zajmującego się rzeźbą Indii, postąpi ona zgodnie z moimi intencjami. Ale to także pozostawiam do jej uznania, gdyż nie należy mówić zbyt wiele i zbyt wiele wymagać spoza grobu”.

Uniósł głowę i roześmiał się.

— Brak jeszcze daty i podpisu, ale zaraz nadejdzie pan Bennon i wszystko nabierze formalnego wyglądu. Zdaje się, że słyszę zajeżdżający samochód...

— Dziadku Johnie... — powiedziała cicho Karolina. — Ale ja nie chcę. Ja...

— Nikt cię nie pyta o zdanie, moje dziecko! — powiedział generał surowo, ale zaraz roześmiał się. — Mam chyba prawo zarządzać moim majątkiem, jak mi się podoba? A ty będziesz miała prawo zebrać wszystko razem i zatopić w morzu, jeśli ci przyjdzie

fantazja. To już nie będzie mój kłopot, na szczęście. Ale oto i pan Bennon. Zmieniłem moją ostatnią wolę, jeśli to pana interesuje. Oto młoda osoba, która wszystko po mnie odziedziczy. Mam nadzieję, że nie zamorduje mnie jutro, żeby uniknąć zbyt długiego oczekiwania. Ale jeśli nawet tak zrobi, będzie to oznaczało, że krew mojego rodu płynie w jej żyłach! Tym bardziej więc powinna być moim dziedzicem.

— Hm... — pan Bennon był siwy, wysoki i nosił srebrne binokle. Chrząknął i skłonił się z powagą Karolinie. — Jeśli po zabiciu pana generała będzie pani potrzebowała obrońcy sądowego, proszę łaskawie porozumieć się z nami. Sprawy kryminalne są właściwą specjalnością naszego biura.

— Dziękuję panu... — Karolina opanowała się już. — Jeżeli dziadek John będzie nadal tak żartował, zadzwonię do pana jeszcze dziś!

— Brawo! — generał Somerville ujął w lekko drżącą dłoń pióro i podpisał. — Tak należy odpowiadać złośliwym, starym dziadom! — Uniósł głowę. — Jak zawsze miałeś słuszność, Chanda. Cóż to była za bzdura zapisywać wszystko Królewskiemu Instytutowi Sztuki! Natychmiast sprzedaliby Mandalay House Amerykanom albo komuś równie okropnemu! A my nie sprzedamy tego domu nigdy! Co, Karolinko?

— Nigdy! — powiedziała ze śmiertelną powagą Karolina Beacon i po raz drugi tego dnia rozplakała się.

Rozdział 9

Nie zawsze i nie wszystko...

Po kolacji wyszli oboje do ogrodu.

— Nie mogę się jeszcze otrząsnąć z tego wszystkiego... — powiedziała cicho Karolina.

Alex nie odpowiedział. Dziewczyna przystanęła i skryci w mroku drzew spoglądali przez chwilę na ciemną, monumentalną bryłę Mandalay House, poprzecinaną w kilku miejscach prostokątami padającego z okien blasku. — Nie mogę oswoić się z myślą, że ten dom kiedyś... Och, chciałabym, żeby on żył jak najdłużej! — dodała nagle. — To okropne myśleć, że warunkiem posiadania jest śmierć bliskiego człowieka! — Znowu umilkła. Ruszyli. Weszli w alejkę prowadzącą obok kortów tenisowych do pawilonu. Joe milczał.

— Słuchaj... — powiedziała Karolina — ale dlaczego on to zrobił?

— Najprawdopodobniej, chociaż nigdy nie chciałaś w to uwierzyć, ten staruszek kocha ciebie. Ponieważ nie chciałaś wybrać zawodu, który sobie wymarzył dla ciebie, był bardzo zawiedziony. Dzisiaj, podczas tej maskarady w śmierć, przejęłaś się naprawdę. Zauważył to i zrozumiał, że sztuka indyjska to nie najważniejsza sprawa w stosunkach dziadek-wnuczka. To chyba wszystko.

— Ale nie o to pytałam. Dlaczego on w ogóle to zrobił dzisiaj? Tak jakby się spieszył. Jakby mu coś naprawdę groziło, chociaż ty ciągle udajesz, że w to nie wierzysz, albo może naprawdę nie wierzysz?

— Jest bardzo starym człowiekiem... — mruknął Joe. — W jego wieku zmiany w testamencie robi się od razu. A jeśli chodzi o zagrożenie... — zastanawiał się przez chwilę. Wyszli spomiędzy drzew wprost na balustradę. W ślepych, ciemnych oknach pawilonu, który wynurzył się niespodziewanie blisko z lewej strony, stał odbity księżyc. Zatrzymali się mając niemal wprost pod stopami przepaść, rozkołysaną i szumiącą cicho. Srebrzyste grzbiety wynurzały się i znikwały ciągnąc powoli ku brzegowi. Była pełnia, morze świeciło przyćmionym, szerokim blaskiem. Joe wsparł się łokciami na balustradzie i oparł głowę na dłoniach, spoglądając w morze.

— Jeśli w grę wchodzi zagrożenie jego osoby, być może nie istnieje ono wcale. Ale być może, istnieje. Niestety, jak zauważyłaś, generał Somerville jest bardzo upartym człowiekiem. Jutro może powie mi wreszcie, o co chodzi. Na pewno dzieje się tu coś niecodziennego. Ale twój dziadek John sądzi, że sam da sobie radę ze swoimi kłopotami.

— W takim razie po co był ten list do mnie? I prośba, żebym przyjechała z tobą?

— Zastanawiam się nad tym od paru godzin... — powiedział Joe pogodnie. — Ale ponieważ nic się nie stało, a nikt nas nie chce poinformować o tym, co się może stać, wobec tego cieszę się, że mamy piękny wieczór i księżyc świeci. Poza tym, obserwuję, oczywiście tych wszystkich ludzi. Ale to jest u mnie, jak słusznie zauważył generał, skaza zawodowa. Zastanawiam się, który z nich i dlaczego mógłby, na przykład, pragnąć zabić generała Somerville'a?

— Zabić?! — odwróciła się ku niemu gwałtownie. — Chyba żartujesz, Joe!?

— No właśnie. Tak wyglądają rozmowy z kobietami na tematy, którymi nie powinny się interesować. Najpierw martwisz się, czy dziadkowi Johnowi nic nie grozi, a potem, kiedy zaczynamy się zastanawiać, kto mógłby mu zagrażać i dlaczego, sądzisz, że chyba żartuję.

— Ale kto mógłby chcieć popełnić taką potworność?

— W dniu dzisiejszym zaobserwowaliśmy już parę drobiazgów? Prawda? Najpierw ten młody człowiek, Cowley zdaje się? Miał bardzo ostrą rozmowę z twoim dziadkiem Johnem. Słyszałaś przecież. Utrzymywał nerwy na wodzy...

— Nie morduje się przecież ludzi tylko dlatego, że każą nam wywiązywać się z umów, które z nimi zawarliśmy...

— Na pewno nie, chociaż i to zdarzało się już nieraz. Ale przynajmniej, że pan inżynier Cowley nie należy do ludzi, którzy życzą najlepiej twojemu dziadkowi. Dalej, ten amerykański profesor Snider i jego córka. Przypuśćmy, że generał Somerville wyda swoją nową książkę, a w niej czarno na białym udowodni, że pan profesor Snider nie tylko że nie jest autorytetem w swojej dziedzinie, ale że robi proste i głupie błędy w ocenie dzieł sztuki. Znam ludzi, którzy mordowali, żeby zmusić innych do milczenia. A jeśli nawet profesor Snider nie sprawia wrażenia człowieka, który posunąłby się aż do morderstwa, żeby ukryć błąd naukowy, to jego córka Dorothy na pewno zamordowałaby z zimną krwią każdego, kto ośmieliłby się zburzyć wspaniałą fasadę, za którą ukrywa się ograniczony umysł jej tatusia... — nabrał tchu i dokończył: — Są jeszcze inni: nasz przyjaciel Jowett, na przykład. Nie wiem, dlaczego miałby zabijać generała Somerville'a, ale gdyby chciał tak zrobić naprawdę, na pewno nie powstrzymałyby go wyrzuty sumienia i obawa przed sprawiedliwością. Jego geniusz jest dla niego jedynie ważny, a drogę do sławy mógłby usłać setkami takich staruszków jak twój dziadek John. Mamy jeszcze Meryl Perry... — zawahał się. — Ba! Panna Perry jest bardzo miłą osobą, przynajmniej. Gdyby nie fakt, że dręczy mnie jedno małe pytanie. Ciągle mi się wydaje, że widziałem

jej twarz w okolicznościach... w okolicznościach, których nie mogę sobie przypomnieć. To było dawno. A ty ją znasz od lat, prawda? Więc może się myłę... — potarł czoło dłonią. — Może się myłę?

— Na pewno się mylisz. A jeśli chodzi o Meryl, to co do niej jednej jestem absolutnie pewna, że nie skrzywdziłyby nawet muchy.

— No właśnie, co do niej jednej! A przecież jest tu więcej osób. I wystarczy tylko jedna żeby... — rozłożył ręce. Jego białe zęby zaśniły w blasku księżyca. — Dlatego nie dziw się, że obserwuję tych ludzi. Nie mam nic innego do roboty, na razie. Może jutro dowiemy się czegoś i okaże się, że niepotrzebnie interesowałem się gośćmi twojego dziadka. A jeszcze ten dobry duch Chanda.

— Joe... — Karolina uśmiechnęła się blado, potem położyła mu dłoń na ramieniu — jestem już zmęczona. Wracajmy. Jeżeli chcesz wmówić we mnie, że Chanda mógłby zrobić dziadkowi coś złego, to odchodzisz o całe mile od rzeczywistości i wpadasz w jedną ze swoich książek kryminalnych, w których im więcej osób podejrzanych, tym większa zabawa.

— Chanda — powiedział Joe spokojnie, — kocha twojego dziadka, to pewne. Obserwowałem go. Takie rzeczy widać od razu. Ale Chanda jest człowiekiem Wschodu. Starym człowiekiem. Przywiązanie może różnie się objawiać. Gdyby, na przykład, Chanda osądził, że dziadkowi twojemu zagraża coś gorszego niż śmierć, być może, zważywszy matuzaleмовy wiek generała Somerville'a, doszedłby do wniosku, że śmierć w odpowiedniej chwili pozwoli jego drogiemu panu odejść zachowując twarz, jak powiadają Chińczycy. I chociaż Chanda nie jest Chińczykiem, ale honor generała i jego dobre imię leżą mu na sercu. Oczywiście, wymyśliłem sobie teraz tę bajeczkę. Chciałem ci tylko udowodnić, że w chwili prawdziwego zagrożenia nie można automatycznie odrzucać kogokolwiek, bo każdy może być potencjalnym mordercą.

— Zapomniałeś jeszcze o mnie... — powiedziała cicho Karolina. — W twojej powieści osoba, która stała się generalnym spadkobiercą, także chyba zasługiwałaby na uwagę detektywa?

— Nie. Nie zapomniałem o tobie, ale jesteś jedną z nielicznych znanych mi osób, które nie popełniłyby zabójstwa z chęci zysku.

— Dziękuję i za to... — Spróbowała się uśmiechnąć. Ruszyli na powrót ciemną alejką. Mimowolnie Karolina ściszyła głos niemal do szeptu: — Po co mi to wszystko mówisz, Joe? Nie będę mogła usnąć w nocy. Jeszcze przed półgodziną myślałam, że lekceważysz zupełnie te listy, które otrzymał pan Parker, a teraz wydaje mi się, że przesadzasz z tą okropną podejrzliwością...

— Ależ ja nikogo nie podejrzewam. Po prostu list generała Somerville'a nie tylko spowodował mój przyjazd tutaj, ale uruchomił aparat mojej wyobraźni. Spójrz!

— wskazał kort tenisowy, rozjaśniony blaskiem księżyca. — Nie ma nic bardziej upiornego niż korty tenisowe po zachodzie słońca. Wystarczy przymrużyć oczy i już dostrzeżę się duchy graczy odbijających bezgłośnie piłkę.

Karolina zadrżała i wsunęła rękę pod jego ramię.

— Chodźmy już do domu... — szepnęła.

Poszli z wolna alejką, na krańcu której dostrzegli po chwili klomb przed podjazdem i wielką kutą latarnię, oświetlającą drzwi wejściowe. W tej samej chwili latarnię przesłoniły dwie przytulone sylwetki ludzkie. Joe położył palec na ustach. Zatrzymali się.

Obie postacie zeszły z alejki i pomiędzy luźno rosnącymi krzewami przysunęły się ku miejscu, gdzie stała w cieniu ławka przed kortem tenisowym. Zniknęły w mroku.

— Bardzo się cieszę... — szepnęła Karolina, przytykając wargi niemal do ucha Alexa. Joe nie odpowiedział. Dopiero kiedy znaleźli się na odkrytej przestrzeni i ruszyli ścieżką wokół klombu ku drzwiom wejściowym, zapytał:

— Co cię tak ucieszyło?

— Wiesz, dlaczego Meryl płakała? Bo Cowley spotkał ją wtedy, tak jak to przewidział pan Jowett, i zrobił jej scenę. Powiedział, że szaleńcem jest ten, kto chce zawierzyć honorowi kobiety, że musiała się zachować prowokacyjnie, jeżeli Jowett ośmielił jej się proponować pozowanie, a w ogóle, że on, Cowley, rozumie oczywiście, że ona, Meryl, ma prawo postępować, jak zechce, jest przecież wolna, ale musi ona pamiętać, że nieodpowiedzialne flirty powinna zachować dla wielkich, być może, artystów i innych ludzi tego pokroju. On, Cowley, jest tylko zwykłym śmiertelnikiem, a znając duszę kobiecą i wiedząc, że niczym nie jest w stanie zaimponować kobiecie, która jak ćma pędzi do każdego światła, wycofuje się i prosi, żeby odtąd wykreśliła go na zawsze z grona ludzi, których chce przyciągać i odrzucać, żeby zaspokoić swoją kobiecą próżność. Potem uklonił się i odszedł prędko, a ona została sama i rozpłakała się. Oczywiście powiedziałam jej, że wszyscy mężczyźni to idioci i że mu to przejdzie. Ale płakała dalej. Zdaje się, że ona jest w nim zakochana. Powiedziała, że on tak wyglądał, kiedy odchodził, że bała się, żeby sobie albo Jowettowi nie zrobił czegoś złego. Ale jeszcze więcej bała się pójść tam do nich, do pracowni, bo tam był Jowett, i gdyby Cowley pomyślał, że ona tam przyszła dla Jowetta, to już w ogóle na pewno byłby koniec... — Karolina odetchnęła głęboko. — Ale widać, że miałam słuszość, bo to byli oni oboje. Teraz pewnie siedzą na ławce i przepraszają się. A to raczej on powinien ją przeprosić! — dokończyła z przekonaniem.

— Zapewne — mruknął Joe. — Przecież wszyscy mężczyźni to idioci, jak sama przed chwilą stwierdziłaś.

Zatrzymali się. Ćmy tańczyły wokół latarni nad wejściem. Alex nacisnął klamkę drzwi. Ustąpiły. Przez pusty hall przeszli po grubym, tłumiącym kroki dywanie ku schodom. Na piętrze przystanęli.

— Mieszkam w ostatnim narożnym pokoju na lewo... — Karolina wskazała najbardziej odległe z czworga drzwi — a ty po drugiej stronie. Zimą jest z twojego pokoju widok na morze, ale teraz zasłaniają je korony drzew. Tylko z góry... — wskazała palcem schody, które zakręcały niknąc na drugim piętrze budynku — można obserwować przepływające statki. No, dobranoc! — Ucałowała go lekko w usta i uśmiechnęła się.

Idąc korytarzem skinęła jeszcze ręką, obejrzawszy się. Joe odpowiedział skinieniem i ruszył ku drzwiom swego pokoju, słysząc za plecami cichy zgrzyt klucza w zamku i odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi.

Ponieważ przed kolacją nie zamknął swoich drzwi na klucz, nacisnął klamkę i wszedł. Był przekonany, że zgasił światło wychodząc. Teraz paliła się niska lampa przy kominku, okolona zielonym abażurem.

Alex zamknął drzwi.

— Gdybym stwierdził, że byłem pewien spotkania z panem jeszcze dzisiaj, byłaby to przesada... — powiedział podchodząc do kominka i opadając w głęboki fotel. — Ale miałem niejasne przeświadczenie, że nasza rozmowa nie jest zakończona — wyciągnął z kieszeni pudełko papierosów. — Czy pan pali?

— Tak, dziękuję bardzo.

Chanda przyjął zaofiarowanego papierosa.

— Pragnę przede wszystkim przeprosić pana bardzo za to niespodziewane najście. — Zerknął na zegarek: — Zaraz zresztą będę musiał odejść. Trzeba pozamykać drzwi wejściowe, sprawdzić, czy wszystko w porządku, i podać generałowi kakao... — uśmiechnął się lekko. — Zawsze pija kakao przed zaśnięciem, punktualnie o pół do jedenastej. I zawsze ja je podaję... to znaczy od dziesięciu lat, bo przedtem wypijał szklaneczkę whisky. Ale lekarz mu zabronił... — urwał. — Oczywiście, nie przyszedłem tu, żeby wspominać panu o tych nie znaczących sprawach. Jestem w rozterce, proszę pana. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat mam w tej chwili zdradzić zaufanie, którym obdarzył mnie generał Somerville. Ale niech mnie rozgrzeszy lęk o niego i moja, mam nadzieję usprawiedliwiona, wiara w pańskie umiejętności znajdowania wyjścia tam, gdzie inni ludzie nie umieją go dostrzec...

Joe zgasił papierosa, odruchowo wyjął następnego i zapalił.

— Proszę, niech pan mówi, Mister Chanda.

— Nie muszę dodawać, że generał nigdy by mi nie darował, gdyby dowiedział się, że zdradziłem komukolwiek jego tajemnicę...

— Postaram się nie zawieść pańskiego zaufania... — powiedział Alex spokojnie. — żeby ulżyć nieco pańskiemu sumieniu, może powiem najpierw, że wiem, kto napisał owe listy do Scotland Yardu i kto je wysłał. Napisał je generał Somerville, a wysłał je pan, prawda?

Chanda potwierdził skinieniem głowy.

— Przypuszczałem, że pan się tego domyśla. Dlatego przecież zapytał mnie pan dziś, czy bywam w Londynie i czy ktoś jeszcze z Mandalay House był tam ostatnio. Zrozumiałem wówczas, że pan już wie. Ale zrozumiałem, że wie pan zbyt mało. Poza tym mógł pan zacząć przypuszczać, że ponieważ to generał sam napisał te listy, więc nie ma powodu do obaw. Ale generał Somerville nie napisał tych listów dla żartu. Były one wynikiem pewnej jego koncepcji. Chciał zwrócić uwagę policji na Mandalay House i stworzyć atmosferę zagrożenia wokół swojej osoby. Dla tej samej przyczyny napisał list do panny Beacon. Wiedział z prasy, że jest pan przyjacielem pana Parkera ze Scotland Yardu, a... z plotek, że panna Beacon i pan jesteście... często widywani razem. Generał Somerville lubi powieści kryminalne. Czytuje je zawsze w łóżku przed zaśnięciem i cieszy się jak dziecko, ile razy zidentyfikuje mordercę, zanim autor go objawi. W pańskich książkach nie udaje mu się to łatwo. Myślę, że to właśnie było główną przyczyną, dla której zapragnął, żeby pan tu przyjechał. Zresztą, jeśli mam być szczery do końca, muszę panu zdradzić, że odwiedziłem pannę Beacon w dniu, w którym wysłał do niej list, i uprosiłem ją, żeby spowodowała pański przyjazd przed godziną jedenastą w południe dnia jutrzejszego. Panna Beacon dała mi słowo, że nie dowie się pan o tej mojej interwencji. I zdaje się, że słowa dotrzymała.

— Tak. Dotrzymała. — Alex pokiwał głową. — O podstępna przebiegłości kobieca! Nie powiedziała mi o tym ani pół słówka!

— Wiedziałem, że mogę jej zaufać. Ale chciałbym przejść do sedna sprawy. Otóż przed niedawnym czasem byłem w Niemczech. Pojechałem tam na skutek listu, który pewien kolekcjoner przesłał na ręce generała. List był poufny. Dotyczył on zupełnie bezcennego posągu Buddy. Posąg ten znajdował się ongi w mojej ojczyźnie, w mieście Moulmein, i zdobił wnętrze pagody, tej samej, o której pisze Kipling w swoim wierszu: „Przed pagodą starą w Moulmein, tam gdzie morza senny brzeg...” Zna pan ten utwór oczywiście?

— Znam — Alex uśmiechnął się lekko. — Dzięki zbiegowi okoliczności nadałem mojej nowej książce tytuł pochodzący z tego właśnie wiersza. Ale nie chcę panu przezywać. Proszę mówić dalej.

— Otóż posąg ten zniknął w czasie ostatniej wojny, kiedy Japończycy zajęli Birmę. Zniknął w czasie walk w mieście i nigdy się nie odnalazł. To znaczy, nie wiadano nic o nim i ogólnie sądzono, że podzielił los, który od tysiącleci jest udziałem posągów wykonanych z cennego kruszcu: mianowicie, że został przetopiony przez tych, którzy go ukradli. I właśnie przed trzema tygodniami generał otrzymał list. Oczywiście człowiek, który go napisał, nie przyznał się do posiadania posągu, a tylko stwierdził, że mógłby pomóc w jego zakupie oraz że sprawa jest absolutnie poufna, a wszelkie próby rozgłoszenia jej lub powiadomienia jakichkolwiek władz, niemieckich lub międzynarodowych, spowodować mogą jedynie zniknięcie posągu „na wieki”, jak się wyra-

ził. Pojechałem natychmiast do Niemiec i po skomplikowanych zabiegach dotarłem wreszcie do posągu. Był niewątpliwie autentyczny. Posiadałem plenipotencję generała. Zakupiłem go.

— A jaką cenę pan zapłacił?

— Sto pięćdziesiąt tysięcy funtów — powiedział Chanda spokojnie — a nawet trochę więcej. Zapłaciłem dwieście siedemdziesiąt tysięcy dolarów w banknotach amerykańskich, a nie czekiem, gdyż tak życzył sobie anonimowy sprzedawca. Do tej pory nie wiem, kto nim był. Dowiedziałem się tylko, że podobno Budda z Moulmein trafił w czasie wojny do prywatnych zbiorów Goeringa. Co się z nim działo później, nie wiem. Wiem tylko, że jest autentyczny.

— Czy sprowadził pan go tu?

— Tak. Oczywiście. Byłem dobrze zaasekurowany przeciw wszelkim niespodziankom i pieniądze wręczyłem dopiero wtedy, kiedy dostarczono mi posąg na pokład motorówki u brzegów Anglii. W pięć dni później nadszedł list z Londynu. Autor zawiadomił, że powiadomi władze angielskie o fakcie posiadania przez generała rzeźby uznanej za zaginioną i będącej własnością narodową Birmy. Oczywiście w postscriptum autor listu dodaje, że suma pięćdziesięciu tysięcy funtów „udziału” w tej transakcji zadowoli go najzupełniej i wymaże całą sprawę z jego pamięci. Zażądał odpowiedzi na pozostałe restante.

— I cóż na to nasz waleczny generał Somerville? Nie mogę sobie wyobrazić go wręczającego czek na pięćdziesiąt tysięcy funtów szantażyście.

— Pan generał odpisał uprzejmie, żeby nadawca listu zgłosił się jutro punktualnie o godzinie jedenastej trzydzieści przed południem celem odbioru wiadomej sumy. Ponieważ cała sprawa ma być ze zrozumiałych względów absolutnie poufna, generał życzy sobie, by nadawca listu przybył nie do Mandalay House, ale od strony morza, do przystani i stamtąd udał się ścieżką nad urwiskiem wzdłuż skraju ogrodu do pawilonu, gdzie zostanie mu wręczona kwota, której żąda.

— Ach, więc to tak... — Joe gwizdnął cichuteńko przez zęby. — Jutro o jedenastej trzydzieści. Ale nie odpowiedział mi pan jeszcze na moje pytanie, Chanda. Czy generał rzeczywiście chce mu dać te pieniądze?

— Generał Somerville jest w trudnej sytuacji. Po pierwsze, zakupił dzieło sztuki będące własnością narodową Birmy i umieszczone na liście zaginionych dzieł, sporządzonej przez agendy Narodów Zjednoczonych. Co prawda, wolą jego jest, aby posąg ten powrócił po jego śmierci do Moulmein. Mógłby więc odesłać go wcześniej. Ale w chwili rozgłoszenia takiej sprawy w formie skandalicznej uznano by ogólnie, że generał odsyła posąg pod presją z zewnątrz i chciał go zatrzymać dla siebie; po drugie, cała transakcja była nielegalna, dopuszczono się jej dokonując szeregu przestępstw: generał zakupił i przywiózł nielegalnie do Anglii, w tajemnicy przed władzami, przedmiot, o któ-

rym wiedział, że pochodzi z rabunku i jest wykonany z cennego kruszcu o wadze ponad dwieście funtów. Wszystko to łącznie skompromitowałoby generała Somerville'a jako obywatela i jako naukowca. Nikt nie uwierzyłby w szlachetność jego intencji, nie mówiąc już o odpowiedzialności sądowej.

— A pan wierzy w szlachetność jego intencji?

— Tak. Gdyby było inaczej, nie podjąłbym się tego. Wydaje mi się, że jestem uczciwym człowiekiem, i nawet fakt, że jeden ze skarbów mojego narodu znowu zostanie odzyskany dla świata, nie mógłby być w tym wypadku decydujący. Widzi pan, od razu wiedziałem, że generał Somerville zechce kiedyś.. używszy mnie jako pośrednika, zwrócić ten posąg Birmie. Tylko dlatego go kupił. Był kiedyś komendantem garnizonu w Moulmein. Zaczął wtedy interesować się sztuką Indii, Birmy i Nepalu. Myślę, że jako młody oficer miał mało skrupułów. Nie jestem powołany do osądzania go. Nie pamiętam tych czasów. Jestem młodszy o dwadzieścia kilka lat niż on. Myślę, że umierając, chce wyrównać swoje rachunki z Birmą. Zawsze twierdzi zresztą, że spędził tam najszczęśliwsze lata swojego życia. Wierzę, że uczyni słusznie oddając pagodzie w Moulmein jej posąg.

— Zapewne. Ale najpierw musi przekazać szantażyście pięćdziesiąt tysięcy funtów. A może nie chce tego zrobić?

Chanda w milczeniu przytwierdził skinieniem głowy.

— Nie chce tego zrobić. Twierdzi, nie bez racji chyba, że nikt nie ma gwarancji, czy pan George Plumkent, bo tak nazywa się ten przedsiębiorczy człowiek, nie zechce po pewnym czasie następnych pięćdziesięciu tysięcy, i tak dalej, aż do skutku. Z drugiej strony, generał nie może sobie pozwolić na to, aby pan Plumkett ogłosił światu szczegóły zakupu posągu z Moulmein. I dlatego właśnie jestem tu teraz. Boję się, Mister Alex. Generał Somerville czytał zbyt wiele powieści kryminalnych i posiada nadmiar odwagi osobistej. Wymyślił, że jeśli napisze te listy do policji, a poza tym ściągnie pana tutaj, stworzy atmosferę wokół swojej osoby, w której nikogo nie zdziwi fakt, że został napadnięty i musiał się bronić.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że generał Somerville chce zabić tego Plumketta?

— Tak, Mister Alex! To właśnie chciałbym powiedzieć. Wymyślił sobie nawet, że będąc tu, stanie się pan koronnym świadkiem wobec policji. Kiedy ten Plumkett jutro wyładuje i wejdzie do pawilonu, generał chce tam być sam, wręczyć mu, po pewnych oporach i zażądaniu gwarancji w formie słowa honoru czy czegoś równie nonsensownego pieniądze, a kiedy tamten odwróci się ku wyjściu, generał chce wyjąć z szuflady przygotowany pistolet i zabić go, a potem powiedzieć, że pistolet miał przy sobie na skutek listów z pogrozkami, a tych pięćdziesiąt tysięcy funtów było przeznaczone dla Karoliny. Dlatego między innymi zmienił dziś testament w obecności pana i panny Beacon.

Zaplanował wszystko z „jaką taką precyzją”, jak zwykł mawiać, i nie jestem w stanie odwieść go od tego kroku, chociaż mam absolutne przekonanie, że plan ten nie powiedzie się.

— Tak... — Joe zmarszczył brwi. — Po pierwsze, nasz szantażysta nie jest chyba na tyle głupi, żeby włączyć w pułapkę nie ubezpieczywszy się jakoś, po drugie: generał jest bardzo starym człowiekiem i drżą mu ręce. Gdyby nie udało mu się trafić tego człowieka i zabić go jednym strzałem, a powiedzmy, gdyby go tylko zranił, wówczas skandal nabrałby posmaku naprawdę kryminalnego. Prawo angielskie jest bezlitosne wobec każdego, kto strzela do nie uzbrojonego, nie spodziewającego się napaści człowieka. Fakt, że tamten jest łotrem i szantażystą, niczego nie usprawiedliwia. A inny fakt, że generał chciał zabić, aby uciszyć na zawsze kogoś, kto mógłby go skompromitować, zaważyłby fatalnie na całej sprawie. Poza tym zabójstwo nie jest rozwiązaniem, które w ogóle można brać pod uwagę.

— Tak, ale pan generał jest innego zdania. Uważa, że szantażyści to najplugawsza odmiana naszego gatunku i powinni być tępieni jak robactwo. Twierdzi, że człowiek może brać w ręce sprawiedliwość tam, gdzie prawo jest bezradne, a człowiek ów ma przekonanie o uczciwości swojego postępowania... — urwał na chwilę. — Jest bardzo starym i upartym człowiekiem, Mister Alex. Nie umiałem go przekonać. Myślę, że jest przeświadczony o dobrodziejstwie, jakim będzie dla ludzkości śmierć tego Plumketta. — „Jeden robak mniej, Chanda! — powiedział do mnie. — To wszystko. Za czasów mojej młodości, gdyby w pułku moim znalazł się taki szczur, zmuszono by go do samobójstwa, żeby sprawa nie wyszła na jaw. Nasze prawa degenerują się i stąd coraz większy odsetek nikczemników!”

— Hm... — Joe pokręcił głową. — Nie myślę w tej chwili o poglądach generała Somerville’a na sprawiedliwość ludzką. Z tego, co pan powiedział, wnioskuję, że przyszedł pan do mnie w poszukiwaniu wyjścia z tej sytuacji. Chodzi o to, żeby ten Plumkett nie stał się celem generała Somerville’a, ale żeby równocześnie generał Somerville nie stał się ofiarą szantażu i w końcu żeby nie dowiedział się, że zdradził mi pan jego plany. A jak się ma to wszystko odbyć? Czy przydzielił panu jakąś rolę w tej całej sprawie?

— Tak. Mam od godziny jedenastej tkwić w okrągłym okienku strychu, wychodzącym na morze i widocznym z pawilonu. W chwili, kiedy zobaczę jacht czy też motorówkę, zbliżającą się do naszej przystani, mam przesłonić okienko białą chustką. Słońce pada w to miejsce i chustka ta będzie doskonale widoczna. Zresztą generał ma zupełnie dobry wzrok. Po tym sygnale ma on czekać w pełnym pogotowiu na pojawienie się Plumketta.

— Świeta naiwności... — mruknął Alex. — Trzeba rzeczywiście temu zaradzić — uśmiechnął się. — Czy ma pan jakiś plan, który pozwoliłby równocześnie: nie dopu-

ścić Plumketta do generała Somerville'a, zmusić Plumketta do milczenia, nie spowodować straty tysięcy funtów i zachować generała w przeświadczeniu, że nie zdradził pan jego planów?

— Mam taki plan — odpowiedział Chanda ku zdumieniu Joego. — Ale jest on niewykonalny bez pańskiej pomocy.

— Słucham.

— Sądzę, że walka z panem Georgem Plumkettem może odbywać się tylko przy pomocy tej samej broni, którą on się posługuje. Nazwisko pana jest znane w kołach przestępczych. Gdyby pan zastąpił Plumkettowi drogę na przystani i porozmawiał z nim, być może doszedłby on do wniosku, że szantażując generała Somerville'a, może stracić więcej, niż zyska. W tym samym czasie ja mógłbym wejść do pawilonu mówiąc, że żadna łódź nie pojawiła się na horyzoncie i że zapewne nasz szantażysta zrezygnował ze swoich zamiarów. Później nie dałby już znać o sobie i cała sprawa przycichłaby.

— Zdaje się, że ogromnie przecenił pan znaczenie mojej skromnej osoby... — Joe pokręcił głową. — A co będzie, jeśli pan Plumkett nie złąknie się mnie, a ja nie znajdę argumentów, aby go przestraszyć?

— Wówczas... — Chanda zawahał się. — Sądzę, że jedynym wyjściem byłoby, gdyby wręczył mu pan owych pięćdziesiąt tysięcy funtów.

— Ale przecież pieniądze generała Somerville będzie miał ze sobą w pawilonie, prawda?

— Na wszelki wypadek zaopatrzyłem się w sumę stu tysięcy funtów w banknotach studolarowych, gdyż pan Plumkett chce otrzymać pieniądze w walucie amerykańskiej.

— Ach, więc obmyślił pan to sobie już wcześniej!

— Niezupełnie. Byłem zrozpaczony i chciałem sam spotkać Plumketta, wręczyć mu pieniądze i czekać, co dalej z tego wyniknie. Wiedziałem, że nie wolno mi dopuścić do tego, żeby Plumkett wszedł do pawilonu. Nie mogłem przecież dopuścić, żeby generał próbował zrealizować swój plan! On ma przecież ponad dziewięćdziesiąt lat, proszę pana! — w głosie Chandy zabrzmiała nagle rozpaczliwa nutka. — To nie mogłoby się udać! I gdyby nie było innego wyjścia, byłem sam gotów albo przekupić Plumketta, albo go... zabić!

Joe zmarszczył brwi. — Ale co by pan powiedział generałowi, gdyby zauważył on z okna pawilonu podpływającą motorówkę?

— Przystań jest niewidoczna z okien pawilonu. Mogłem mu powiedzieć, że był to jakiś stateczek, który nie zawiął do naszej przystani, albo że była to policyjna łódź, ponieważ pan Parker polecił rozciągnąć z dala obserwację nad Mandalay House. Zresztą sądzą, że najlepiej będzie, jeśli pan sam mu to powie. Umówił się przecież z panem o pół do pierwszej, a o dwunastej z Cowleyem. Jego plan polega między innymi na tym, żeby sprawiać wrażenie człowieka, który niczego się nie spodziewa. Tak sobie wyobra-

za „psychiczne alibi”. W każdym razie tak to nazwał dzisiaj w rozmowie ze mną, kładąc się do łóżka. Jest jak najlepszej myśli... — Chanda mimowolnie uśmiechnął się. — Zdaje się, że uważa życie tego szantażysty za coś mniej wartościowego niż życie dorosłej muchy, i jest w doskonałym nastroju. Śmiał się mówiąc, że wywiedzie pana w pole. Skóra mi cierpnie, Mister Alex, gdy słucham tego. Ale nie próbowałem się przeciwstawiać. Znam go zbyt dobrze. Za nic nie dałby sobie odebrać teraz plonów swojej „strategii wobec nikczemnika”, jak to nazywa. Nadal jest człowiekiem wielkiej wiedzy, ale krąg jego życia zamyka się już i umysł powraca z wolna do dni dzieciństwa.

— Hm... — Joe uśmiechnął się. — Mam nadzieję, że jako dziecko nie zajmował się planami uśmiercania ludzi. Poza tym myślę, że ma pan słuszność. O jedenastej spróbujemy porozmawiać z panem Plumkettem. Generał nie dowie się o niczym. Chciałbym pana także prosić, aby nie zdradził pan niczego przed Karoliną. W każdym razie nie teraz.

— Chciałem prosić pana o to samo — Chanda wstał i spojrzął na zegarek. — Już najwyższa pora, żeby podać generałowi kakao. Inaczej zaczniesz się zastanawiać, dlaczego się spóźniam. Dobranoc panu. Dziękuję.

— Wyjdę z panem... — powiedział Joe. — Mam jeszcze pewną sprawę do załatwienia w miasteczku. Powiedzmy, że zabrakło mi papierosów. Jak dostanę się do domu po powrocie?

— Mógłby pan zadzwonić do drzwi wejściowych i pokojówka otworzyłaby panu, bo nocny dzwonek odzywa się nad jej łóżkiem. Ale będę czekał w hallu na pana powrót. Sen nie przychodzi szybko w moim wieku, a sytuacja w Mandalay House i myśli o jutrzejszym przedpołudniu zapewne w ogóle nie pozwolą mi przymknąć oczu.

— Jutro po śniadaniu ustalimy szczegóły, jeżeli to panu odpowiada?

— Zdaję się całkowicie na pańskie doświadczenie i rozum... — Chanda skłonił głowę.

Zeszli na dół. Noc była nadal piękna i kiedy Joe zapuścił cicho motor swego Rolls Royce’a, zapalił światła wozu i objechawszy dom ruszył w kierunku bramy, cmy zaczęły uderzać w przednią szybę, ściągnięte blaskiem reflektorów. Brama była uchylona. Wyjechał na otwarte pola i nie zwiększając szybkości ruszył w kierunku miasteczka. Musiał odnaleźć sierżanta Hicksa. Udało mu się to prędzej, niż przypuszczał. W pewnej chwili w kręgu światła pojawiła się postać ludzka z nieodłączną wędką. Człowiek szedł w kierunku Mandalay House. Oslepiiony, przysłonił dłonią oczy. Alex zahamował gwałtownie.

— Czy nigdy nie sypiacie, sierżancie?

— Nigdy — odpowiedział Hicks pogodnie. — Jestem uosobieniem doskonałego policjanta. A przynajmniej tak przypuszczają, jak sądzę, moi zwierzchnicy, skoro przysłali mnie tu samego.

Joe otworzył drzwiczki wozu. Sierżant wszedł bez słowa i zajął miejsce obok kierowcy. Auto ruszyło, nie zmieniając kierunku.

— Przyjemnie jechać Rolls Roycem — powiedział Hicks, ułożywszy pieczołowicie wędkę na tylnym siedzeniu. — W ogóle jest przyjemnie. Nie wiem, dlaczego ludzie mieszkają w Londynie? Jak pan sądzi? Mogąc mieszkać w takiej cudownej okolicy?

— Zastanawiałem się nad tym i ja, sierżancie. Ale chciałbym z wami pomówić o czymś bardziej prozaicznym. Spodziewamy się jutro odwiedzin w Mandalay House.

— Tak, proszę pana? Czy można zapalić?

— Oczywiście. Otóż w okolicy ma się pojawić pewien człowiek. Nazywa się George Plumkett. Chciałbym, żebyście zapamiętali to nazwisko, bo musicie skontaktować się telefonicznie z panem Parkerem i poprosić go, żeby w jak najkrótszym czasie przekazał mi dane dotyczące tego człowieka. Szczerze mówiąc, muszę je mieć o siódmej rano. O tej porze chciałbym was spotkać na drodze w miejscu, z którego nie byłoby widać Mandalay House. Oczywiście, jestem absolutnie przekonany, że jest to fałszywe nazwisko.

— Rozumiem, proszę pana. George Plumkett.

— Może być zamieszany w sprawy związane ze sztuką. Rzeźby, obrazy, sam nie wiem co. Mam niewielką nadzieję, że pan Parker będzie wiedział.

— Tak, proszę pana.

— A teraz druga sprawa. Ten Plumkett ma się pojawić w Mandalay House o jedenastej trzydzieści. Ma przybyć drogą morską i zawinąć do prywatnej przystani generała. W tym wypadku ja sam go zatrzymam. Będę pilnował tej drogi. Najprawdopodobniej przybędzie łodzią wypożyczoną w Torquay albo gdzieś w pobliżu. Pełno ich tu jest na całym wybrzeżu. Ale może okazać się sprytniejszy i przybyć od strony lądu. Celem jego będzie pawilon, w którym generał pracuje przed południem. Wiecie, ten budynek na skraju posiadłości, nad brzegiem urwiska.

— Wiem.

— Waszym zadaniem będzie niedopuszczenie Plumketta na teren posiadłości od strony lądu. Jest sprawą życia i śmierci, aby nie dostał się do pawilonu.

— Brzmi to bardzo dramatycznie — Sierżant Chicks zatarł ręce. — A jak wygląda pan George Plumkett, którego mam powstrzymać?

— Nie wiem — Joe uśmiechnął się. — Mam nadzieję, że pan Parker będzie wiedział i poda nam jego rysopis. Jeżeli tak się nie stanie, sądzę, że razem damy sobie jakoś radę, prawda?

Wóz zawrócił. Joe wysadził sierżanta na skrzyżowaniu, umówiwszy się z nim jeszcze na siódmą. Po dłuższej chwili w kręgu reflektorów ukazała się brama parku.

Drzwi wejściowe domu nie były zamknięte. Chanda siedział w fotelu i uniósł się bezszelestnie, zobaczywszy Alexa.

— Teraz mogę już zamknąć... — powiedział cicho i zniżając głos jeszcze bardziej, dodał: — Czy poczynił pan jakieś postępy w naszej sprawie?

— Mam nadzieję, że tak. W każdym razie mogę panu zaręczyć, że ze strony Georga Plumketta niewiele może grozić jutro generałowi Somerville'owi... a pan George Plumkett także może być nam wdzięczny. Pistolet, nawet w ręku dziewięćdziesięcioletniego generała, mógłby okazać się śmiertcionośny. Dobranoc.

Wszedł cicho na górę. Przed drzwiami pokoju ziewnął.

Ale wieczór jeszcze nie był skończony. Kiedy wszedł, zobaczył Karolinę. Siedziała w fotelu, z głową odchyloną na oparcie. Ręką podtrzymywała przez sen małą poduszkę.

Joe zbliżył się i pocałował ją leciuteńko w czoło. Otworzyła oczy i rozejrzała się nieprzytomnie.

— Och, to ty... Co ja tu robię?

— Wydawałoby się, że to ja mógłbym zadać takie pytanie. Ale nie zadam. Z twojej miny wnioskuję, że ta nocna wizyta nie ma na celu skompromitowania nas w oczach mieszkańców tego domu...

— Ciszej... — spojrzała odruchowo na drzwi. — Przyszłam, bo... — potrząsnęła głową odgarniając resztki snu. — Słuchaj, Joe, czy zauważyłeś, że dziadek użył dzisiaj tych samych określeń, które były w tych listach? Na pewno nie zauważyłeś i dlatego przyszłam. Słuchaj, ja myślę, że on też musiał je otrzymać! Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć, jeżeli tego nie zauważyłeś. Nie wiem, jakie to może mieć znaczenie, oczywiście... Ale pomyślałam sobie, że to mój obowiązek.

— Tak — Joe usiadł na poręczy fotela i pogłaskał ją po włosach. — W liście pierwszym był zwrot „suchy, kościany dziadek”... a generał użył zwrotu: „jeżeli taki kościany dziadek jak ja może mówić z jaką taką precyzją”... Ta jaka taka precyzja była w liście trzecim, o ile się nie mylę. Poza tym w liście tym był zwrot o panach Cowleyyu i Jowetcie, że „wkrótce poprzegryzają sobie gardła”, a twój dziadek powiedział: „mogą sobie nawzajem poprzegryzać gardła” — w obu wypadkach chodziło o twoją przyjaciółkę Meryl Perry. Nie chcę dodawać, że zabójstwo, które zainscenizował, było także jednym z trzech, które proponował anonim, mianowicie przy pomocy sztyletu z jego kolekcji broni.

— Jak to? Więc wiedziałeś o tym? Zauważyłeś?!

— Joe Alex zauważa.

— Joe, co to może znaczyć?

— To znaczy, że generał jest starym człowiekiem. A umysły ludzi starych skłonne są do odtwarzania tych samych zwrotów i pojęć wielokrotnie, nie zdając sobie z tego sprawy. Staruszkowie często opowiadają tym samym ludziom po kilka razy ten sam dowcip, prawda? Działa tu to samo prawo.

— Ale co to znaczy, Joe?

— To znaczy, że powinnaś się wyspać.

— Masz słusność. Jutro muszę wstąpić wcześnie. Dziadek twierdzi, że z wszystkiego w świecie najbardziej smakuje mu kawa, którą ja parzę. A wypija jej rano całe moze przy pracy. Dobranoc, kochany... Jak to dobrze, że zawsze wszystko wiesz.

— Dobranoc. Nie zawsze i nie wszystko.

Przed drzwiami zatrzymała się i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Dobranoc... — powtórzyła cicho.

Rozdział 10

Generał John Somerville siedział za stołem...

Po wielu miesiącach, spoglądając z perspektywy wszystko łagodzącego czasu na ów dzień, który rozpoczął się tak pogodnie i spokojnie, Joe Alex stracił z wolna uczucie, że były to chwile największej klęski jego życia. Wbrew temu, co czuł, nie mógł obwiniać siebie w najmniejszym nawet stopniu. Operujący nieubłaganą logiką morderca wziął pod uwagę absolutnie wszystko, a w wypadku jakiegokolwiek zakłócenia jego planów cofnąłby się po prostu i przeczekał bezpiecznie niepomyślną chwilę, żeby uderzyć po raz drugi z tą samą nieuchronną precyzją.

Była to zbrodnia niemal absolutna, choć w niczym absolutnej zbrodni nie przypominała, a zaprojektowano ją i wykonano z genialną prostotą i brawurą. Morderca ten był naprawdę genialnym mordercą, choć nikt by go o to na pierwszy rzut oka nie posądził, a osoba zamordowana nie żywiła nawet cienia podejrzeń. Mogła spodziewać się tego dnia wszystkiego: nawet trzęsienia ziemi na skalistym przylądku pięknego Devon, nawet upadku Niebios, ale nie tego, co ją spotkało.

I dlatego właśnie, dla stu wielkich i małych przyczyn, które bez wyjątku zdawały się sprzyjać mordercy, wszystko odbyło się tak, jak się odbyć musiało, a Joe Alex obudziwszy się, zerknąwszy na zegarek i stwierdziwszy z cichą satysfakcją, że jest dopiero piętnaście po szóstej, nie miał pojęcia, że nim zaglądające w okno poranne słońce, osiągnie najwyższy punkt w swej wędrówce po bezchmurnym letnim niebie, na Mandalay House padnie ciemny, ciężki cień tragedii.

Zerwał się i ruszył ku drzwiom łazienki zupełnie wypoczęty. Odkręciwszy kran usiadł na krawędzi wanny i rozpoczął w myśli ponowny przegląd osób obecnych w tym cichym, ciągle jeszcze uśpionym, wielkim domu. Istniała niewielka, ale realna możliwość, że pan Plumkett miał współnika w Mandalay House, a być może już wcześniej nawiązał kontakt z ludźmi, od których Chanda kupił posąg. W tym ostatnim wypadku korzenie całej sprawy tkwiłyby w Niemczech. Fakty sprzedaży kradzionych dzieł sztuki i późniejszego szantażowania nabywców nie należały do wielkich rzadkości. Międzynarodowe gangi nie gardziły żadną sposobnością powiększenia swych kapita-

łów. Ale mógł to być także ktoś z mieszkańców tego domu, kto zorientował się, że ostatni zakup generała nie może pochodzić z legalnego źródła... W myśli Joe zanotował, że powinien zapytać Chandę, gdzie generał ustawił tego Budde, chociaż w końcu nie miało to większego znaczenia w tej chwili. Jeżeli da się nakłonić pana Plumketta do odstąpienia od jego planu, rzeźba zostanie chyba szybko wysłana do Birmy.

Ale jeśli nie działał tu żaden międzynarodowy gang, to kto mógł rozpoznać Budde z Moulmein? Chanda, oczywiście, profesor Snider także, jego córka najprawdopodobniej także byłaby do tego zdolna. Meryl Perry? No tak, oczywiście. Nawet Jowett, chociaż nie był specjalistą. Ale był rzeźbiarzem i musiał dużo czytać o rzeźbie Indii przystępując do pracy u generała. Cowley?... Nie, jeden jedyny Cowley był poza podejrzeniem, o ile wszystko w jego życiorysie zgadzało się. A nie było najmniejszego powodu, żeby nie miało się zgadzać. A więc istniała szansa, że to ktoś stąd... Gdyby tak było, współnik pana Plumketta wiedziałby już o wizycie policji i przyjeździe Alexa, ale mógł żywić spokojne przeświadczenie, że generał nie ucieknie się do niczyjej pomocy w tej sprawie. Mimo to, jeśli tak się rzeczy miały, szantażysta, czy też szantażyści, musieli być czujni. Istniało tylko jedno wyjście: spotkać pana Plumketta twarzą w twarz, położyć między nim a sobą paczkę zawierającą kilkadziesiąt tysięcy dolarów i zapytać go, co woli: pieniądze i prywatną wojnę z Joe Alexem czy rezygnację z tych pieniędzy i spokój?

Od tego, jak pan Plumkett zareaguje, zależało dalsze postępowanie. Najważniejsze było nie dopuścić Plumketta do generała. Reszta była tylko kwestią czasu i wysiłku, a Joe był gotów pomóc Somerville'owi bez względu na to, czy stary generał życzył sobie tego, czy nie. Wykąpał się, ogolił i zapalił papierosa.

— Nie powinienem palić na czczo... — zganił się w duchu po raz nie wiadomo który w życiu. Zaciągnął się jeszcze kilkakrotnie ubierając się i wkładając buty, a potem otworzył drzwi, zamknął je cicho i zszedł na dół. Drzwi wejściowe były już otwarte i wpadało przez nie ciepłe, poranne powietrze. Młoda, pyzata pokojówka, która stała w nich spoglądając na tonący w różach klomb, odwróciła się słysząc kroki.

— Dzień dobry panu! — głos miała dźwięczny, uśmiechnęła się. — Piękny mamy dzień dzisiaj! śniadanie będzie za chwilę.

— Przespaceruję się jeszcze troszeczkę...

Odpowiadając dostrzegł w jej oczach wyraz zaciekawienia. Wiedziała już na pewno, kim jest. Służba w wielkich domach zawsze dowiadyje się wszystkiego natychmiast w zupełnie niewytłumaczony sposób. Jak wiele innych pokojówek w Anglii, była zapewne wielbicielką Joe Alexa.

„Czy nie mógłbym w końcu napisać jakiejś prawdziwej książki?” — pomyślał przelotnie i z nagłym zniechęceniem. To pragnienie zostania pisarzem: wielkim pisarzem, ekskluzywnym i czytany przez co najwyżej tysiąc osób o najbardziej wyrafinowanych umysłach, nawiedzało go czasem, zwykle wtedy, kiedy zbierał dowody swojej dużej popularności.

Nie spiesząc się ruszył asfaltową aleją w kierunku bramy. Była zamknięta, najwyraźniej ogrodnik zamykał ją na noc. Ale wąska furtka w murze poddała się, kiedy nacisnął złocistą, miedzianą klamkę, wypolerowaną tak starannie, jak gdyby znajdowała się w drzwiach wejściowych domu. Zapalił drugiego papierosa.

Pogoda była rzeczywiście piękna. Nad pastwiskiem oszalały radością życia skowronek stał w powietrzu zupełnie nieruchomo i zanosił się swiergotliwym śpiewem. Joe uśmiechnął się. To wszystko było naprawdę bardzo miłe, ten stary dom, morze, przystań i pola naokół. Karolina spała jeszcze na pewno w pokoju tak dobrze znanym jej od dzieciństwa; głowę miała opartą na łokciu jak na poduszce. Zawsze tak sypiała. Sympatyczny był nawet ten krwiożerczy staruszek, planujący w tej chwili zabójstwo pana Plumketta, zakochany w indyjskiej rzeźbie pierwszą, jedyną, prawdziwą miłością swego burzliwego, długiego życia...

Rozejrzał się, zerknął na zegarek i przyspieszył. Na pastwisku w odległości kilkudziesięciu kroków od drogi rosła gęsta kępa starych jałowców. Joe uśmiechnął się ponownie, dostrzegając ruch ręki, która zdawała się nie należeć do nikogo i zaczęła kiwać ku niemu.

Sierżant Hicks leżał na trawie pod jednym z krzaków. Ubrany był w zieloną koszulę, która zlewała się z otaczającym tłem tak, że gdyby nie znak, który dał ręką, Alex nie zauważyłby go w ogóle. Nie przyspieszając zszedł z drogi i zygakiem zaczął iść przez pastwisko. Pochylił się, zerwał mały polny kwiatek, uniósł ku twarzy i trzymając go podszedł do kępy jałowców. Usiadł obok sierżanta, który leżał w niewielkim zagłębieniu gruntu i zsunął się teraz jeszcze nieco niżej, aby być zupełnie niewidocznym dla ewentualnego obserwatora, choć nikogo nie było widać na całej nagiej i płaskiej powierzchni pastwisk.

— Dzwoniłem do Yardu... — powiedział Hicks półgłosem — z tutejszego posterunku. Pan komisarz Parker prosił, żebym powtórzył panu, że żadnego Plumketta nie ma, niestety, w rejestrze przestępców. Ostatni umarł w 1950 roku, był złodziejem kieszonkowym i liczył sobie siedemdziesiąt pięć lat. Na emeryturze, jeżeli wolno tak powiedzieć.

— Tak właśnie przypuszczałem... — Joe westchnął. — Tylko kompletny idiota podałby w tej sytuacji prawdziwe nazwisko, mogąc się posługiwać każdym, jakie wpadnie mu do głowy. — Co jeszcze?

— Pan komisarz powiedział, że od rana Łódź patrolowa będzie obserwowała z dala ten odcinek wybrzeża. Ale są wakacje, a w pobliżu mamy co najmniej tuzin jachtklubów, nie licząc setek prywatnych motorówek i jachtów, krążących co dnia przy brzegach i na pełnym morzu. Łódź patrolowa będzie obserwowała przez lunetę przystań w Mandalay House. Będą mieli radio, oczywiście. Jeżeli damy znać telefonicznie na posterunek, tutejszy komendant się tym zajmie. Mogą zatrzymać każdą pływającą jednostkę w ciągu paru minut. Poza tym... — urwał.

— Co poza tym?

— Jestem niewyspany, proszę pana! — powiedział sierżant Hicks z nagłą, rozpaczliwą szczerością. — Nie mogę usnąć nawet wtedy, kiedy znajdę się w końcu w tej gospodzie. Łóżko skrzypi... i ciągle wydaje mi się, że coś się musi stać właśnie wtedy, kiedy mnie nie będzie na miejscu. Dobrze, że pan jest tam w środku, w domu...

— Wydaje mi się, że jeżeli nie zajdzie nic nadzwyczajnego, a miejmy nadzieję, że nie zajdzie, będziemy mogli jeszcze dziś wieczorem odjechać do Londynu, sierżancie. Czy pan komisarz Parker nie powiedział nic więcej? Nie miał dla mnie żadnej innej wiadomości?

— Tak, proszę pana. Miał. Ale niedokładnie ją zrozumiałem. Postaram się powtórzyć wszystko słowo w słowo i może pan zrozumie, bo to przecież była wiadomość dla pana. Pan Parker powiedział, że ściśle poufna, czego także nie zrozumiałem, bo przecież nigdy bym i tak nie powtórzył panu niczego w obecności osoby trzeciej...

— Jaka to była wiadomość?

— „Powiedz panu Alexowi, że aktorka Joan Fay, ta, którą nazywają Najpiękniejsze Piersi świata, kupiła sobie Rolls Royce’a ze złotymi klamkami u drzwiczek. Na zapytanie Scotland Yardu dyrekcja zakładów Rolls Royce odpowiedziała, że na żądanie dostarcza klamki osobno w każdej ilości klientom, którzy zapragną uświetnić swe wozy...” — To zapewne jakiś szyfr, prawda, proszę pana?

— Zapewne — mruknął Joe. — „Najpiękniejsze Piersi Świata”, tak powiedział? I to już wszystko?

— Wszystko.

— Pan Parker jest nieoceniony. Ale musimy zająć się naszym gościem, którego mamy powitać tu o pół do dwunastej. Waszą sprawą, sierżancie, będzie obserwacja tego państwa i drogi do godziny... — zastanowił się — powiedzmy pół do dziesiątej. Później wolałbym, żebyście usadowili się na skałach obok posiadłości tak, żeby widzieć pawilon. Ja będę blokował w ten czy inny sposób drogę pomiędzy domem a pawilonem. O godzinie jedenastej chciałbym, żebyście znaleźli się niepostrzeżenie już w bezpośredniej bliskości pawilonu. Bądźcie gotowi na wszystko i miejcie oczy ze wszystkich stron waszej niewyspanej głowy.

— Rozumiem pana — Hicks pokiwał niewyspaną, łysą głową. — Do pół do dziesiątej tutaj, a później tam. Ale co mam zrobić, jeżeli zobaczę kogoś obcego idącego albo jadącego autem do Mandalay House? Jeżeli będzie jechał samochodem, mogę mu się rzucić pod koła i śmierć moja powstrzyma go na pewien czas. Ale jeśli będzie szedł? Czy mam go po prostu zastrzelić, nie pytając o nazwisko i nie zwracając uwagi na wygląd, bo przecież nie wiemy, jak ten Plumkett wygląda?

— Wasze poczucie humoru przynosi wam zaszczyt, sierżancie, i dorównuje niemal dowcipowi waszego zwierzchnika, pana Parkera. Ale pytanie to, wbrew pozorom, nie jest pozbawione rozsądku. Jeżeli zobaczycie obcego idącego w stronę domu polami,

musicie go zatrzymać pod każdym pretekstem, nawet udając idiotę, prostaczka czy turystę kretyna. Nie wolno wam opuścić go ani na chwilę i musicie sparaliżować swobodę jego ruchów w terenie. Jeżeli zacznie się kłócić z wami, możecie nawet wdać się w bójkę. Wszystko mi jedno. Jeżeli przejedzie samochodem, wtedy ja go spotkam na obszarze posiadłości. Auto nie umknie mojej uwagi. Ale to byłoby sprzeczne z jego interesem i umową, jaką ma z generałem, który życzył sobie, aby Plumkett pojawił się w Mandalay House niepostrzeżenie.

— Rozumiem, proszę pana. Jakoś dam sobie radę — Hicks ziewnął. — Nie przejdzie.

Joe wstał.

— Będę przez cały czas w okolicy pomiędzy klombem przed domem a kortem tenisowym, który leży mniej więcej sto kroków od pawilonu przy alejce, która tam prowadzi. Poza tym, być może, wejdą na strych, jeżeli otrzymam sygnał. Będziemy mieli tam obserwatora. Ale raczej będę się kręcił w okolicy pawilonu, starając się, żeby Somerville mnie nie widział. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będę tu o ósmej wieczorem, postaram się porozumieć z komisarzem Parkerem i zakomunikuję mu, że sprawę możemy uważać za zakończoną. Myślę, że wtedy da wam pozwolenie natychmiastowego powrotu do Londynu.

Zerwał małą gałązkę jałowca i trzymając ją w dłoni odszedł, nie odwracając głowy. Kiedy znalazł się na drodze, poczuł nagły, dojmujący głód i z przyjemnością dostrzegł smugę dymu, wydobywającą się z jednego z wysokich kominów domu.

Minął bramę i ponownie wszedł w cień drzew. Ogród był cichy, ciepły i pełen niewidzialnych ptaków. Szumu morza nie było słychać stąd. Myśląc ze smutkiem, że w końcu ostatecznie zmarnuje sobie zdrowie, Joe zapalił trzeciego papierosa i zgasił go wchodząc do domu.

Jadalnia położona była na lewo od hallu. Za ogromnym stołem, otoczonym dwoma tuzinami krzeseł, nie siedział jeszcze nikt, ale biegnące półkolistnie wokół jednego końca stołu nakrycia świadczyły, że śniadanie może rozpocząć się każdej chwili.

— Czy jajka i bekon proszę pana? — zapytała pyzata pokojówka, która pojawiła się natychmiast w uchylonych drzwiach.

— Tak, proszę bardzo! — Joe uśmiechnął się do niej. — Jestem pierwszy, prawda?

— Tak, proszę pana. Ale zaraz zapewne wszyscy zaczną się schodzić. Wstajemy tu wcześniej, proszę pana.

Alex zerknął na zegarek. Była za piętnaście ósma. Usłyszał kroki na schodach. Ktoś schodził z góry i za chwilę znajdzie się w hallu.

— Dzień dobry! — James Jowett, ubrany w niepokalaną, białą koszulę i wyprasowaną z absolutną doskonałością szare flanelowe spodnie, wszedł do jadalni i usadowił się naprzeciw Alexa. — Jak panu minęła pierwsza noc w Mandalay House? Żadnych białych dam ani upiórów potrząsających łańcuchami?

— Niestety... — Joe rozłożył ręce swoim ulubionym, bezradnym ruchem.

— Przypuszczałem, że osobom takim jak pan powinny ukazywać się one łatwiej niż nam, zwykłym śmiertelnikom...

Jowett roześmiał się, sięgnął po chleb i zaczął smarować go masłem, uważnie i powoli.

— Jestem raczej specjalistą od upiorów, które mieszkają zacisznie w umysłach ludzkich i wkładają maksimum wysiłku w to, żeby nikt ich nie zauważył... — odpowiedział Joe uprzejmie i bez uśmiechu. — A jeśli chodzi o łańcuchy, to zwykle pojawiają się one na końcu. Nie miewam złych snów. Mimo to nie spałem najlepiej. Obudziłem się o piątej, może trochę później, i spacerowałem po polach. Bardzo piękna okolica.

— Tak. Prześliczna. Niestety, upiór, który mieszka, co prawda nie w moim umyśle, ale w prawej nodze, mówi mi, że będzie zmiana pogody. My, Anglicy, mamy reumatyzm we krwi, jak inne ludy śpiączkę albo malarię. Ciśnienie spada, zdaje się.

Wymienili jeszcze kilka nic nie znaczących uwag o pogodzie, a kiedy pojawiła się kawa, jajka i bekon syczący cicho na maleńkich srebrzystych patelniach, umilkli zgodnie na chwilę.

Karolina, w dżinsach i jasnoniebieskiej, niemal białej bluzce, ukazała się w drzwiach.

— Dzień dobry! — powiedziała wesoło. — Gdzie reszta?

Unieśli się z miejsc.

— Jest jeszcze bardzo wcześnie — Joe spojrział na zegarek. — Myślałem, że śpisz. Czy usiądziesz z nami?

— Za chwilę... Siadajcie, panowie, błagam was! — Nie wchodząc do pokoju ukazała im trzymany w ręce termos. — Wrócę tu zaraz, ale najpierw chcę zanieść dziadkowi kawę do pawilonu. Za pięć minut pojawi się u szczytu wschodów z dokładnością zegarka. Je teraz śniadanie u siebie i zaraz skończy. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni, dopóki zimno nie zmusi go do pracy w domu, wyrusza punktualnie o ósmej do pawilonu. I zawsze musi tam na niego czekać termos z kawą! Cztery ciemne gatunki brazylijskie wymieszane w odpowiednich proporcjach i zmielone ręcznie!... — roześmiała się. — Twierdzi, że jestem jedyną osobą na świecie, która umie przyrządzić prawdziwą kawę. Wierzy, że każda filiżanka odejmuje mu dwadzieścia lat przy pracy. Dlatego musi ich być tu zawsze trzy. O dziesiątej nie ma po nich śladu, oczywiście. Ale dzięki nim pisze do pierwszej bez żadnego odpoczynku. Boję się, że w końcu może mu to zaszkodzić. Przecież dziewięćdziesięcioletni człowiek nie może mieć serca jak dwudziestolatek...

— Panu generałowi nic nie jest w stanie zaszkodzić — Jowett niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami. — Będzie żył tak długo, póki mu się to nie znudzi. A sądząc z jego aktywności, nieprędko to nastąpi.

— Daj Boże... Karolina uniosła wolną rękę i skinęła im na pożegnanie. — Wrócę za pięć minut, Joe. Czy zechcesz poprosić Jane, żeby podała mi tylko herbatę i parę cienkich grzanek? Nie jestem tak niezmienna jak dziadek John i moja linia... — z udanym przerażeniem spoglądała na swe chłopiące biodra i długie nogi, opięte w ściśle przylegające spodnie.

Wyszła, zanim któryś z nich zdążył zaprzeczyć.

Jowett roześmiał się.

— Jeżeli Miss Beacon twierdzi, że ma kłopoty z zachowaniem linii, cóż mamy powiedzieć my? Zaczynam coraz bardziej tęsknić do czasów, kiedy byłem w szkole i biegałem milę w cztery minuty... z wielkim co prawda dodatkiem sekund, ale i tak najszybciej z wszystkich konkurentów, którzy byli pod ręką. Myślę, że lenistwo i to potworne czytanie gazet po południu deformuje ciała mężczyzn stokroć bardziej niż ciała kobiet. Mam ciągle do czynienia z modelami, mężczyźni prędzej stają się otyli niż kobiety, chociaż wszyscy są przekonani, że jest odwrotnie. Dlatego między innymi cieszę mnie trochę pracą nad tymi kopiami tutaj. To ciężkie fizyczne zajęcie.

Joe spojrział na pięknie przyrumienione plasterki wędzonki i westchnął.

— Jestem głodny! — powiedział z komicznym przerażeniem. — A kiedy pan tak mówi, wszystko, co dobre, przestaje mi nagle smakować. Jedyne żywe człowiek, którego się naprawdę obawiam w życiu, to jowialny pan z brzuszkiem... ten, którego mogę w końcu zobaczyć w lustrze, kiedy będę zupełnie sam w pokoju. Tłuszcioszek o moich rysach. Praca przy biurku... — machnął ręką i zabrał się do swojej wędzonki.

— Myślałem, że prowadzi pan niezwykle ruchliwy tryb życia? Tak przynajmniej przedstawiają pana gazety.

— Gazety! Nikt by ich nie czytał, gdyby pisały prawdę o banalnym życiu bohaterów ich sensacyjek. W rzeczywistości, jak co najmniej siedemdziesiąt pięć procent dorosłych ludzi w połowie dwudziestego wieku...

Urwał. Przez otwarte drzwi hallu dobiegał odgłos zbliżających się, zstępujących z góry, powolnych, ostrożnych kroków. Szerokie, prowadzące do hallu stopnie kończyły się tuż przy drzwiach jadalni, dlatego najpierw zobaczyli laskę, a dopiero później generała, wspartego na ramieniu Chandya.

— Dzień dobry! — John Somerville stanął w drzwiach i przesunął po nich małymi oczyma, niemal niewidocznymi pod nawisem białych brwi. Jego wysoki, skrzekliwy głos zdawał się jeszcze wyższy i ozdobiony chichotliwym echem, odbitym od wysokiego stropu, przeciętego ciemnymi belkami. — Nie przeszkadzajcie sobie, panowie! Jestem już po śniadaniu. Dobrego apetytu!

Ruszył, a przy nim nieodłączny, stary Birmańczyk, podtrzymujący jego ramię jedną ręką, a w drugiej trzymający niewielką teczkę z czarnej skóry. Zniknęli. Przez chwilę słychać jeszcze było ich powolne kroki na kamiennej posadzce hallu. Somerville po-

wiedział głośno coś, czego Joe nie dosłyszał. Później, już w drzwiach wyjściowych, dodał coś jeszcze i wreszcie głos jego rozplątał się i ucichł w ogrodzie. Najwyraźniej był w doskonałym humorze. Alex uśmiechnął się mimo woli na myśl o tym, co wprawiało generała w tak dobry nastrój. Jowett zauważył uśmiech i zrozumiał go po swoim.

— Stary łotrzyk! — powiedział z przekonaniem. — A jednak trudno go nie lubić. Należy do pokolenia, które już wymarło. Churchill był ich najwspanialszym przedstawicielem. Bezkompromisowi, cyniczni, kochający na swój sposób Anglię i gotowi za nią oddać życie bez najmniejszego wahania, pod warunkiem, że na zawsze pozostanie taka, jaką ją znali przychodząc na świat. Ale wymarli już prawie wszyscy, a Anglia zmieniła się.

Joe znowu odpowiedział ogólnikowo i zamienili jeszcze kilka zdań o bieżących wydarzeniach politycznych.

Profesor Snider i jego córka, a tuż za nimi Meryl Perry, pojawili się i zajęli miejsca przy stole.

Dorothy Snider zmieniła się jak gdyby od poprzedniego wieczoru. Joe dostrzegł to niemal od razu, chociaż nie umiał sobie uświadomić początkowo, jaki jest rodzaj tej zmiany. Była ożywiona, oczy jej błyszczały i natychmiast niemal wdała się w dyskusję z Jowettem na temat nowoczesnej sztuki, której, jak się wydawało, była w zasadzie przeciwna ze względu na jej niekomunikatywność. Jowett odpowiadał z dobroduszną ironią i najwyraźniej usiłował uciec od tematu.

Rozglądając się, Joe napotkał kilka razy spojrzenie Meryl Perry. Milczała, a kiedy oczy ich spotkały się, odwracała wzrok ku nakryciu. Nagły rumieniec na jej twarzy powiedział mu wszystko, zanim od strony drzwi rozległo się ciche:

— Dzień dobry! Zdaje się, że będziemy mieli piękną pogodę dzisiaj?

Cowley zatrzymał się na chwilę, ale miejsca po obu stronach Meryl były już zajęte, więc usiadł naprzeciw niej przy Alexie.

— Dzień dobry, panie inżynierze! — Jowett rozjaśnił się na widok nowo przybyłego. — Zdaje się, że powiedział pan coś o pięknej pogodzie? Chciałbym panu nieba przychylić, jak pan wie, ale obawiam się, że będzie deszcz. Barometr spada, a z nim pańskie szanse na nieomyślność.

Było to powiedziane tak uprzejmie, że Cowley, który po pierwszych słowach Jowetta zmarszczył groźnie brwi, wybąkał tylko:

— Nie staram się o nieomyślność. Wypełniam tylko to, co do mnie należy. Zawsze.

I odwrócił głowę od swego rozmówcy. Ubrany był w czerwoną koszulę, może nieco zbyt jaskrawo kontrastującą z szarymi spodniami.

Jowett zerknął na Alexa, zrobił błazeńską minę i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Joe był absolutnie przekonany, że uwaga jego będzie dotyczyła purpurowej koszuli nieszczęsnego metalurga. Ale, na szczęście, weszła Karolina. Usiadła i uniosła pokrywę kazeroli, w której spoczywały kruche i parujące grzanki.

— Po drodze spotkałam dziadka Johna i Chandę. Chanda twierdzi, że będzie burza. Szkoda, ale niestety nigdy nie myli się w tych sprawach. Myślę, że będziemy musieli pożegnać piękną pogodę, przynajmniej na czas naszego tu pobytu... — przy ostatnich słowach skierowała spojrzenie na Alexa.

— Pan Jowett jest tego samego zdania — powiedział Joe.

— Przewidywanie pogody jest jednym z najstarszych zajęć człowieka! — Snider powiódł po obecnych oczyma, jak gdyby sądził, że nie spotkali się z tego rodzaju stwierdzeniem nigdy przedtem... — jednym z najbardziej zawodnych, chociaż może z niego właśnie wzięły się wszystkie religie... tak — wypił łyk herbaty i ostrożnie odstawił filiżankę — ...z przepowiadania pogody i ze strachu. Ale na razie jest prześlicznie. A jak wiadomo, po burzy ukazuje się słońce. W każdym razie w Ameryce mamy takie przysłowie.

— Ale, jak wiesz, tatusiu, w Ameryce wszystko dzieje się na odwrót — powiedziała wesoło Dorothy i umilkła nagle. Uśmiech zniknął z jej twarzy, ale zaraz powrócił jak owo przysłowiowe słońce po burzy. Pochyliła głowę i zagłębiła łyżkę w parujących płatkach owsianych, pływających w mleku. Joe, który przyglądał się jej z zainteresowaniem, z wolna zwrócił wzrok ku profesorowi.

— Miejmy nadzieję, że amerykańskie przysłowie da się w tym wypadku zastosować. U nas burze także nie trwają długo. Kłopot natomiast jest ze słońcem. Chowa się czasem na całe miesiące i żadne zaklęcie nie jest w stanie wyprowadzić go spoza chmur.

Wszedł Chanda, usiadł cicho i dał oczyma znak puzatej pokojówce, która zniknęła i pojawiła się Po chwili niosąc niewielką, porcelanową miskę pokrytą orientalnym wzorem. Okazało się, że jest w niej gotowany ryż.

— Potrawy naszego dzieciństwa zawsze są dla nas najlepsze, nawet jeżeli dzieciństwo to jest tak odległe, że woń dawnych ognisk nie sięga już naszej pamięci.

— Zapewne... — powiedział Jowett. — Ale dla Anglika potrawy jego dzieciństwa są obok pogody główną przeszkodą w życiu. Zazdroszczę panu, Mister Chanda.

Cowley wstał.

— Dwadzieścia po ósmej... — mruknął zerknąwszy na zegarek. — Czas już na mnie...

Lecz Joe nie spojrzał na niego. Powiedział:

— Zawsze lubiłem gotowany ryż z cukrem...

Pochylił się przy tym lekko w kierunku Chandy, ale patrzył na Meryl Peerry, która uniosła głowę i spojrzała na Cowleya. Wydało mu się, że dostrzegł jak gdyby błysk porozumienia. Młody inżynier niemal niedostrzegalnie skinął twierdząco głową. W ułamek sekundy później ów ruch zmienił się w lekki ogólny ukłon skierowany ku całemu towarzystwu za stołem. Wszedł.

— To znaczy, że mam jeszcze niecałą godzinę czasu... — Jowett spojrział w okno. — Zanim nasz niezastąpiony Romeo spowity w kardynalską purpurę, przygotuje wszystko, będę mógł trochę odetchnąć. Zaczyna być duszno. Zdaje się, że mieliśmy słusność, Mister Chanda. Burza nadciąga.

Chanda poważnie skinął głową.

— Sądzę, że nadejdzie około dwunastej — powiedział spoglądając na Alexa. — Może nieco później, może nieco wcześniej. I jak zwykle z południa, od strony kontynentu. Pan profesor miał słusność: to nie będzie długa burza. Ale może być bardzo gwałtowna o tej porze roku.

— W takim razie... — Snider złożył serwetkę, która do tej pory leżała rozpostarta na jego kolanach — może odpocznij dziś trochę, moje dziecko? Idę do biblioteki i będę tam pracował w spokoju.

— Nie jestem zmęczona.

— Za długo siedziałaś wczoraj wieczorem nad tym tekstem. Co prawda, biblioteka pana generała jest wspaniała i zawiera tyle białych kruków, że można by w niej spędzić kilka lat, ale żaden tekst nie jest wart twoich nie przespanych nocy. Przepisałaś go już, prawda?

— Tak, tatusiu. I chciałam się zabrać teraz do tego traktatu o wytopie. Zrobię przekład angielski i postaram się skopiować oryginał. To nie jest długie. Ale nie planowałam tego na dziś rano.

— Bardzo się cieszę... — powiedział profesor Snider. Pogłaskał ją po głowie i powiódł zadowolonym ojcowskim okiem po obecnych. Ale wyszkolone ucho Joe Alexa przekazało do mózgu sygnały, które spowodowały, że uspione na chwilę dzwoneczki alarmowe znowu zaczęły dzwonić. Było w tym dialogu, tak prostym i naturalnym w okolicznościach, w jakich znajdowali się rozmówcy, coś teatralnego, tak jakby wszystkie te słowa musiały zostać wypowiedziane wobec świadków i musiały dotrzeć do ich uszu.

— Będę bardzo zadowolony, jeżeli rozegrasz przed deszczem, powiedzmy, partię tenisa, Dorothy... — mówił dalej profesor Snider.

— Nie znam piękniejszej gry dla młodych dziewcząt. Tenis daje siłę, refleks, grację sylwetki i wytrzymałość organizmu. A poza tym uczy nas walczyć bez przelewu krwi i głosu armat. Cudowna gra! Ja sam, chociaż mam tak niewiele czasu, nigdy jej nie mam dosyć. Zapytaj, dziecko, kogoś z państwa, czy nie miałby ochoty zagrać. Może miss Perry? Czy rozegrałaby pani kilka setów z Dorothy?

Meryl, która właśnie wstała i zmierzała ku drzwiom, zatrzymała się niezdeterminowanie.

— Tak, oczywiście, panie profesorze... to znaczy, Dorothy... z największą przyjemnością. Ale, niestety, nieco później, dobrze? Powiedzmy, o jedenastej, jeżeli chcesz? Mam trochę pracy teraz. Obiecałam generałowi Somerville'owi, że dostarczę mu odbitki fo-

tografii, które wczoraj zrobiłam... — spuściła oczy i dokończyła ciszej: — chodzi o tę parę Yeti i Ladni... generał chce o nich dzisiaj pisać, a że ma zamiar umieścić w książce ilustracje, więc prosił mnie, żebym zrobiła zdjęcia w paru rzutach. Muszę je wywołać, przenieść na papier i wysuszyć trochę w ciemni. To potrwa do jedenastej, pewnie nawet trochę krócej. Później podrzucę je tylko generałowi do pawilonu i jestem do twojej dyspozycji, zgoda?

Snider zmarszczył brwi i nie powiedział ani słowa. Nikt poza Dorothy, do której było skierowane pytanie Meryl, nie poruszył się.

— O jedenastej? — ton Dorothy był niespodziewanie lekki. — świetnie, moja kochana!

— Ja mogłabym zagrać teraz — powiedziała szybko Karolina. — Włożę tylko szorty, wezmę raketę i zmienię pantofle. Za pięć minut stanę do walki... — wstała i roześmiała się. — Co prawda, nie grałam już dwa miesiące i myślę, że rozniesie mnie pani w proch i pył, ale przynajmniej nauczę się czegoś...

— Dopiero po tej wypowiedzi zaczęłam się bać o wynik! — Dorothy także wstała. — Wy, europejskie dziewczyny, zawsze jesteście skromne w słowach i uprzejme dla przeciwniczek! A później...

— Po raz pierwszy w życiu nazwano mnie europejską dziewczyną! — Karolina roześmiała się. — Jestem wyspiarzka od stu pokoleń!

— Dorothy ma na myśli Stary Świat — pospieszył Snider z wyjaśnieniem.

— Tak czy inaczej, mam jak najgorsze przeczucia, jeśli chodzi o rezultat tego spotkania! — Karolina szybko wybiegła z pokoju.

— Zajmę się teraz na krótki przeciąg czasu sprawami domu — powiedział półgłosem Chanda. — A później będę do pana dyspozycji.

Joe skinął głową. Zatrzymał się przy drzwiach, przepuścił Dorothy i profesora, a później wraz z Jowettem ruszył przez hall ku drzwiom wyjściowym. Było coraz cieplej. Alex uniósł wzrok. Ani jednej chmurki. Ale nie myślał o pogodzie. Było dokładnie pół do dziesiątej. Już ponad kwadrans generał Somerville znajdował się sam w pawilonie.

I chociaż do umówionej chwili, kiedy pan Plumkett miał przekroczyć próg pawilonu, brakowało jeszcze trzech godzin, nie można było zlekceważyć tej niewielkiej możliwości katastrofy.

Ruszyli wokół klombu.

— Co będziesz robił teraz? — Karolina, cała w bieli, ubrana w maleńkie szorty i trzymająca w ręce raketę tenisową, dopędziła ich w połowie alejki obchodzącej klomb.

— Nie wiem... — Joe rozłożył ręce. — Szczerze mówiąc, nie mam nic do roboty tutaj. I to mnie właśnie cieszy. Do dwunastej mogę spacerować spokojnie po parku, czytać, przyglądać się twojej białej wojnie z panną Snider.

— Jeżeli rzeczywiście ma pan trochę wolnego czasu... — powiedział Jowett — czy byłoby wielką bezczelnością z mojej strony, gdybym... nie zmuszając pana zresztą do przerwania spaceru... zadał kilka pytań dotyczących pana wspomnień. Dziś w nocy przyszło mi do głowy, że mój pomnik jest niepełny. Projekt wyraża tylko ideę ogólną tragedii; to, co zostaje po umarłych w sercach tych, którzy pozostali... To znaczy to, co powinno zostać, bo często nie zostaje nic. Ale brak mi jednego elementu, tej krótkiej niepowtarzalnej chwili ostatniej, kiedy zdrowy człowiek wie, że za chwilę zginie. Chciałbym znaleźć linię, formę dla tej chwili, za krótkiej na rozpacz i rezygnację. Dręczy mnie to trochę. Bez tego mój pomnik będzie niepełny. Stałby się wizerunkiem cmentarnym smutku po tych, którzy odeszli. Ale nie będzie wyrażał ich samych. Czy pan mnie rozumie?

— Zdziwi się pan być może — powiedział Joe poważnie — ale rozumiem pana doskonale. Może dlatego, że często już na ziemi, kiedy donoszono nam o śmierci załóg, to znaczy śmierci kolegów, których znaliśmy tak dobrze, a byli tak prywatni i pełni życia na co dzień, wyobrażałem sobie, jak w chwili, kiedy odeszły strzaskane skrzydła, a wyjące silniki, których nie można już zatrzymać, ciągną płonący kadłub ku ziemi, patrzyli oni na przelatujące ostatnie fragmenty świata za okienkami, na wnętrza kabiny i twarze mające ten sam wyraz, co ich twarze. Widzi pan, jeżeli maszyna eksploduje, wtedy wszystko jest w porządku: człowiek znika. Ale bywa, że taki potrzaskany kadłub spada dwie, trzy minuty, które muszą być potwornie długie. Często nikt nie może wyskoczyć ze spadochronem, ale próbuje to zrobić i ginie zmieciony sterami, szamoce się z pogiętymi drzwiami... Każda śmierć samolotu jest inna. Myśl o tej ostatniej chwili prześladowała mnie przed każdym lotem, chociaż wstąpiłem do szkoły pilotów wprost z ławki szkolnej i miałem wówczas siedemnaście lat. Wydaje się, że jest to wiek zbyt wczesny do refleksji. Ale dojrzewaliśmy w piorunującym tempie. Nie mogłem się uwolnić od tej myśli, inni też nie... tak mi się przynajmniej wydaje, bo nigdy nie rozmawialiśmy o tym wówczas. To nie był temat do rozmów, ale myśląc o poległych kolegach przeżywaliśmy to wszyscy raz po raz...

Na cichy okrzyk, który dobiegł od strony domu, odwrócili się wszyscy. Dorothy, wymachując rakieta, wzywała Karolinę.

Dziewczęta odeszły w kierunku kortu, a Joe razem z Jowettem ruszyli dalej w milczeniu. Po chwili, spoza drzew, doszedł Alexa przytłumiony głos fal uderzających o skały.

Drzewa przerzedziły się. Na prawo, aż do linii brzegu, biegły gęste, splątane zarośla, na lewo ścieżka wchodziła na kamienny pomost, odgradzony barierą.

— Staruszek pracuje... — powiedział półgłosem Jowett. Drzwi pawilonu były otwarte. Dostrzegli postać za biurkiem. Somerville poruszył ręką i położył ją na papierach, ale znajdowali się tak daleko, że głosy ich nie docierały do piszącego.

Stanęli oparci o barierkę, patrząc w dół. U ich stóp w przepaści głębokiej na kilkanaście piętér biała piana przelewała się leniwie między iglicami głązów. Dalej na prawo, tam gdzie była niewidzialna przy stań, brzeg opadał zupełnie stromo, nie było raf, tylko głębia, wzburzona i kipiąca pomimo spokojnego morza. Gałęzie drzew parku wybiegały poza krawędź lądu i wisiały w powietrzu zupełnie nieruchome. Było cicho, tak cicho, jak tylko bywa w upalny ranek przed burzą.

Alex pomyślał przelotnie, że gdyby ktoś skoczył z tego brzegu w głąb, nikt nigdy by go nie odnalazł. Ale nie; ciało, nawet roztrzaskane, zawsze pojawiało się w końcu, i ktoś, jakiś rybak, pływak, bogaty człowiek podróżujący jachtem, dostrzegał je i z przerażeniem przyciągał bosakiem to, co pozostało po myślącej, podobnej mu istocie. A potem zostaje zawiadomiona policja i rozpoczyna się śledztwo. Nie zawsze oczywiście; bo często, najczęściej, to tylko nieszczęśliwy wypadek. Ale nie zawsze...

Spojrzał na morze. Kilka dalekich białych żagielków i gdzieś na widnokręgu... tak, jakiś niski szary kształt... Może to ta łódź patrolowa?... Z tej odległości nie mogliby nic dostrzec. Ale mają przecież potężne szkła. Odwrócił szybko głowę, bo Jowett mówił coś od pewnej chwili.

— ...generał nie lubi, kiedy się tu przychodzi, gdy pracuje. Powiedział kiedyś przy stole do Meryl, że to odwraca jego uwagę. Mam wrażenie, że słowa te były skierowane do nas wszystkich.

Joe skinął głową, raz jeszcze rzucił okiem na siedzącą za odległym stołem postać, ledwie widoczną w półmroku, jaki zdawał się panować w pawilonie stojącym pod ogromną, rozświetloną, bezkresną płaszczyzną rozświetlonego nieba. Zawrócili. Musiał tu przyjść, żeby wiedzieć, czy wszystko w porządku. Ale nie powinien być odtąd widziany przez Somerville'a. A jeśli pan Plumkett przybije do przystani? Dzielił ją od pawilonu gęsty park, pełen splątanych dzikich krzewów. Tam odbędzie się ich rozmowa. Chanda dał mu do zrozumienia, że chce go widzieć. Zapewne chodziło o pieniądze. Pierwszą paczkę miał w tej czarnej teczce, którą trzymał w ręce, odprowadzając generała. Tak, oczywiście.

Znowu zwrócił spojrzenie na Jowetta.

— Sam nie wiem... — Jowett pokręcił głową niezdecydowanie — chwilami wydaje mi się, że wystarczyłoby tylko zmienić kąt nachylenia płaszczyzn i zaczęłyby one mówić co innego. Rzeźba to zupełnie zdumiewająca rzecz pod tym względem. Może dlatego właśnie zostałem rzeźbiarzem, bo zawsze, od dziecka, wydawało mi się, że nawet kamienie, w zależności od kształtu, mówią każdy co innego, i to ludzkim językiem. Oczywiście, można popaść w tandetny symbolizm. Ale przełożywszy język brył na język idei jest się w pobliżu sztuki. Później pozostaje tylko znalezienie kształtu dla własnych myśli...

Joe nieznacznie zerknął na zegarek. Dziewiąta. Za pół godziny Hicks zajmie stanowisko obserwacyjne gdzieś w pobliżu. Ale ta burza? Jeżeli Plumkett, co było najprawdopodobniejsze, pragnął przybyć od strony przystani, może nie wynająć łodzi. Nikt nie zechce, nawet za dobrą opłatą, płynąć wzdłuż skalistych brzegów po rozhukanym morzu. Ale burzy jeszcze nie było i mogła w ogóle nie nadejść. Odetchnął głęboko, było coraz duszniej.

Z prawej, spoza krzewów, dobiegły ich pierwsze suche odgłosy odbijanych piłek: pyk — chwila ciszy — pyk — chwila ciszy — pyk... i czysty, jasny głos Karoliny.

— Przewaga, serwis!

— Myślę, że nie strach musi przepełniać człowieka w ostatniej minucie... — powiedział. — Lotnik ciągle ma jakieś kłopoty i nieustannie napiętą uwagę. Wydaje mi się, że aż do chwili uderzenia o ziemię szuka... szuka, rozumie pan? W beznadziejnej, nonsensownej, wirującej przestrzeni, pędząc w kierunku nieuchronnej zagłady, szuka wyjścia: oczy, mózg, całe ciało poszukują wyjścia. Tyle razy już udawało się uniknąć najgorszego. A poza tym... — urwał. Z dała poza wielkim klombem, który ukazał im się w tej chwili, dostrzegł w drzwiach domu znajomą sylwetką w długiej szacie.

— A poza tym — dokończył — wszystko wtedy jest nierealne. Człowiek nigdy nie wierzy, że za chwilę naprawdę umrze. Nie wiem, czy to panu pomoże? Prawdopodobnie wolałby pan bardziej strzeliste spostrzeżenia z mojej strony. Pomnik bohaterów to nie studium psychologiczne, prawda? Ale pytał mnie pan, co myślę na ten temat. Nie widzę powodu do upiększania rzeczywistości. Żołnierz walczy i umiera, ale do ostatniej sekundy chce żyć. W walce, w zagrożeniu, wszystko ma inne proporcje: i czas, i ruch. Chciałbym to umieć lepiej wyrazić. Ale nie umiem.

Spojrzał na Jowetta i uśmiechnął się.

— Powiedział mi pan to, co chciałem usłyszeć, chociaż może nie zdawałem sobie z tego sprawy... — Rzeźbiarz zwolnił i szedł ze zmarszczonymi brwiami, patrząc w ziemię. — Tego tam nie ma, prawda? Myślę o mojej makiecie?

— Nie. Nie ma — powiedział Joe szczerze. — Ale jest w niej smutek po wszystkich, którzy roztrzaskali się kiedyś o ziemię, tak że nie pozostało po nich nic prócz wspomnienia. To bardzo piękny pomnik już teraz. I nie wiem, czy nie słuszniejszy?...

Jowett uniósł głowę i spojrzał na niego.

— Nie! — powiedział zdecydowanie. — Będę szukał dalej... Zaraz tam pójde... — Zasepił się nagle. — Zapomniałem, że muszę teraz zająć się tym przeklętym indyjskim pajacem o powykręcanych rękach! Mam nadzieję, że Cowley już wszystko przygotował. Dziękuję bardzo, Mister Alex... Czy bardzo zakłóce pański wypoczynek tutaj, jeżeli powrócimy jeszcze do tego tematu?

— Będzie to dla mnie zaszczyt — powiedział Joe poważnie, patrząc na daleką sylwetkę, która oderwała się od drzwi domu i zbliżała powoli ku nim. — Uważam, że pański dotychczasowy projekt jest naprawdę wspaniały i...

— Dziękuję panu! — Jowett położył mu na ułamek sekundy dłoń na ramieniu i natychmiast ją opuścił. — Muszę już iść. Czas na mnie! Dziękuję... — Uśmiechnął się, odwrócił i ruszył ku wylotowi ścieżki prowadzącej ku przystani i do budynku, w którym znajdował się piec. Joe spojrzął w tamtym kierunku. Nad drzewami wyrastało ciemne pasmo dymu. Inżynier Cowley był najwyraźniej punktualny.

Stary Birmańczyk zatrzymał się przed nim. W ręce trzymał zwykły, ściągnięty tasiemką płócienny woreczek.

— Tu są pieniądze... — powiedział półgłosem. — Siedemset pięćdziesiąt ciasno spiętych banknotów studolarowych. Może pan zawsze powiedzieć, gdyby Karolina, na przykład zapytała, co tam jest, że to kostium kąpielowy albo cokolwiek innego. Nie zajmują wiele miejsca.

— Oczywiście... — Joe wziął woreczek. Trochę kartek zadrukowanego papieru. A ile krwi przelano już i ile jeszcze popłynie tylko dlatego, że ktoś, kto nie ma tych karteczek, zapragnie je uzyskać tym najtrudniejszym i najłatwiejszym sposobem.

— Czy pójdzie pan teraz na górę na punkt obserwacyjny?

— Tak... — Chanda skinął głową. — Mam bardzo dobrą lornetkę. Strych posiada trzy okrągłe okna. Będę w środkowym. Tak umówiłem się zresztą z generałem. Jest to jedyne okno, które widać wyraźnie z pawilonu. Niestety, krzewy zasłaniają balustradę i nie będę widział generała, bo wewnątrz pawilonu jest ciemniej niż na zewnątrz. Ale on ma dostrzec mój znak. W chwili gdy Plumkett wyląduje, mam zakryć okienko białą chustką i zejść na dół. Zanim dojdę do pawilonu, wszystko już się powinno rozegrać. Oczywiście, nie wywieszę tej chustki.

— A jak pan chce zawiadomić mnie?

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli dam panu znak wywieszając coś, powiedzmy, zielony koc, który mam tam na górze, z narożnego okna, prawda? Strych jest przestronny i mogę to zrobić natychmiast, kiedy zobaczę, że jakaś łódź kieruje się zdecydowanie w stronę przystani. Układ skał jest tego rodzaju, że nie może ona przemykać się przy brzegu, ale musi nadpłynąć w pewnej odległości. Nie ma żadnej możliwości, żebym jej nie dostrzegł.

— A jeśli nadejdzie burza?

— Wówczas będę wdzięczny wszystkim bogom pańskim i moim za ten ich dar. Plumkett nie przybije do przystani, a my będziemy może w stanie coś przedsięwziąć, prawda? Może generał da się przekonać albo wtajemniczy pana w swoje plany. Chociaż szczerze mówiąc, nie wierzę w to.

— Wolałbym, żeby przybył dzisiaj... — Joe okręcił wokół palca tasiemkę, którą ściągnięty był woreczek, i zaczął kołysać go wahadłowym ruchem. — No cóż, udajmy się na nasze stanowiska i czekajmy. To jedno nam pozostało. Jeśli Plumkett pojawi się, porozmawiam z nim. Czy idzie pan teraz prosto na strych, Mister Chanda?

— Tak.

— Będzie pan miał zapewne w polu obserwacji także i ogród. Byłbym panu zobowiązany, gdyby pan zasygnalizował mi, jeżeli zauważy pan coś niezwykłego, nawet gdyby to nie była łódź pana Plumketta.

— Dobrze — stary Birmańczyk skinął głową. — Zawołam pana wówczas z okna i powiem coś nic nie znaczącego, żeby zwrócić pańską uwagę. Czy miał pan coś konkretnego na myśli, mówiąc to?

— Nie — Joe potrząsnął głową. — Po prostu będzie pan miał w polu widzenia część parku i pawilon. Będę się starał przebywać przez cały czas na otwartej przestrzeni, tak żeby mógł mnie pan widzieć. Za chwilę w bezpośrednim sąsiedztwie pawilonu, za murem posiadłości, znajdzie się na brzegu mój człowiek. A ja będę w ogrodzie. Myślę, że w ten sposób odgradzimy generała od niespodziewanej wizyty z zewnątrz. Ale pan będzie miał najlepsze pole widzenia, jak powiedziałem, i może pan coś dostrzec o wiele wcześniej niż my.

— Rozumiem — Chanda raz jeszcze skinął głową, zawrócił i ruszył ku drzwiom domu. Joe stał przez chwilę, patrząc za nim, potem z wolna ruszył w stronę kortu tenisowego. Zerknął na zegarek. Dziewięć trzydzieści. Hicks powinien już być teraz na posterunku w pobliżu pawilonu. Od tej chwili przejście skalne i cały pawilon będą pod jego nieustanną obserwacją. Joe znał sierżanta od lat i wiedział, że żadna siła nie odciągnie go ani na sekundę od pełnienia obowiązku.

Obejrzał się. Za chwilę Chanda także pojawi się w oknie strychu z lornetką przy oczach. I on nie odejdzie ani nie spuści z oka wodnego dostępu do posiadłości.

Generał John Somerville mógł teraz bezpiecznie oczekiwać pojawienia się pana Plumketta, ponieważ pan Plumkett nie pojawi się w pawilonie. A jeśli nawet udałoby mu się wyminąć Alexa, Hicks spadnie na niego jak jastrząb.

Było cicho, tak cicho, że uderzenia piłek niosły się wyraźnie w nieruchomym powietrzu. Nie widząc jeszcze grających dziewcząt, Alex zgadywał niemal, co się dzieje na korcie. Silne uderzenie... zapewne forhand?... słabe odbicie... bardzo silne uderzenie... pewnie smecz?... Lekki okrzyk. Potem głos Karoliny: „Przewaga, serwis!”

Zatrzymał się, osłonięty krzewami. Serwowała Dorothy. Piłka wyleciała w górę, silne wygięcie ciała do tyłu, błysk rakiety i „bomba”, która mogłaby być dziełem męskiej ręki, świsnęła nad siatką.

Karolina nie drgnęła nawet. Potem podeszła i spojrzała na kort.

— Aut... — powiedziała potrząsając głową. — Kilka cali za linią.

— Tak. Wiem.

Drugi serwis Dorothy był nieco lżejszy. Karolina odbiła piłkę z wysiłkiem na środek kortu. Wysoki kozioł... Joe był przekonany, że Amerykanka nie będzie miała najmniejszych trudności z minięciem stojącej na połowie placu przeciwniczki. Ale potężny drajw ugrzązł w siatce.

— Równowaga... — powiedziała Karolina i ręką odrzuciła jedną z leżących na korcie piłek. Mówiły obie półgłosem. Upał rósł. Dorothy otarła rękojeść rakiety chusteczką. Powoli przeszła na pozycję serwisową.

Joe odwrócił się. Dziewięta czterdzieści. Ruszył w stronę klombu, później zawrócił i skierował się ku alejce prowadzącej do pawilonu. Znowu zawrócił. Po chwili dostrzegł dach domu i okna strychu.

Chanda tkwił już na posterunku. Dostrzegł błysk słońca odbity w szklach lornetki.

Obszedł klomb i zatrzymał się przed drzwiami domu. Przez chwilę stał nasłuchując. Później starając się nie robić najmniejszego szmeru, przeszedł hall i zajrzał do sali muzealnej.

Profesor Reginald Snider stał zwrócony ku drzwiom profilem. Joe wstrzymał oddech.

Naprzeciw profesora, w odległości zaledwie kilkunastu cali od jego oczu, znajdowała się para Ludzi Śniegów.

Snider nie poruszył się. I choć twarz jego Alex dostrzegł tylko z boku, był przekonany, że maluje się na niej uczucie, które znał aż nazbyt dobrze i widywał aż nazbyt często, ale nigdy jeszcze nie widział go na twarzy profesora historii sztuki: był to strach.

I nagle ręce Snidera uniosły się z wolna. Ukrył twarz w dłoniach.

Joe wycofał się bezszelestnie.

Dziewięta pięćdziesiąt. Wyszedł z domu i ruszył z wolna wokół klombu. Było coraz duszniej. Upał rósł. Ale bezchmurne niebo zaczęło zmieniać odcień. Stało się błękitno-zielonkawe, przesycone barwą jasnego ołowiu.

Nadal nie wiał najmniejszy nawet wietrzyk. Róże na klombie pachniały zupełnie oszłamiająco.

Jak w powieści dla pensjonarek — pomyślał Alex — zasmucona księżniczka przechadza się pośród róż, a w maleńkiej, białej dłoni ścisną fiolkę z trucizną. Raul zginął, a z nim światłość jej oczu i serca... Jak przyjemnie pisało się wtedy dziewczęta łkały cicho w swych panińskich pokoikach, czytając przy świeczce.

Ale nie było już ani takich pisarzy, ani takich bohaterów, ani takich czytelniczek. Kto mógłby być taką księżniczką? Karolina! Nigdy. Dorothy Snider? Nonsens. Meryl Perry?... Hm... Było w Meryl coś, co mogłoby stworzyć z niej bohaterkę Waltera Scotta. Ta drobna twarzyczka... Jak łatwo mogłaby ją otoczyć lokkami... Ta drobna twarzyczka... I znowu dzwonek alarmowy w mózgu zadzwonił cichuteńko. Skąd ja ją znam? Jakiś proces? Ale to niemożliwe. Karolina przyjaźni się z nią od lat, razem były na studiach... Nie, to musiał być ktoś podobny, niemal identyczny. Ale Joe wierzył w swoją absolutną fotograficzną pamięć. Nigdy nie zapomniał raz dostrzeżonej twarzy ani okoliczności, w których ją zobaczył. Meryl Perry? Nie. Był pewien, że nie zna tego nazwiska. Dlaczego nie poprosił Parkera, żeby sprawdził i przejrzał całe jej życie; kim byli

jej rodzice, ona, dzieciństwo, wszystko. Ale powinien był to przecież sam zrobić! Na cóż im w Scotland Yardzie te wszystkie zautomatyzowane kartoteki i zapisy, te cicho myślące komputery o niezawodnej, nieludzkiej pamięci? Chwałę się, że w ciągu pięciu minut mogą sprawdzić każdego obywatela, który... A tymczasem nic. Więc to ja się myślę. Na pewno. Zresztą nie o nią tu chodzi.

Uniósł głowę. Karolina i Dorothy szły wolno w kierunku domu, rozmawiając, wymachując rękami dla zilustrowania swoich słów.

— Jaki wynik? — zapytał zatrzymując się. Przystanęły także.

— Przerwałyśmy — powiedziała Karolina — przy stanie jedenaście do jedenastu w pierwszym secie. Jest tak duszno, że nie można tchu złapać. Obie miałyśmy dosyć gry już wcześniej, ale ambicja... — Roześmiała się. — Każdej z nas wydawało się, że druga wcześniej się załamie. Co będziesz robił teraz, Joe? Marzę w tej chwili o prysznicu, a potem przebiorę się i chyba poczytam trochę. Mam dość tego upału... — zerknęła na niebo. — Może wzięlibyśmy motorówkę i spróbowali odetchnąć trochę przed burzą? Wykąpałabym się z przyjemnością. Jak pani sądzi, Dorothy? Joe zabrałby nas...

— Nigdy nie pływam bezpośrednio po dużym wysiłku fizycznym! — Dorothy zdecydowanie potrząsnęła głową. — Myślę, że tusz, książka, a potem niewielki spacer przed lunchem, to wszystko, na co mnie teraz stać. Szczerze mówiąc, ledwie żyję.

— Myślę, że Miss Snider ma słuszość! — Alex uśmiechnął się. Ale spojrzenie jego jak promień latarni morskiej zamiatało skraj zarośli wokół klombu i wybiegało tam, gdzie ściana zieleni miała luki pozwalające zajrzeć w głąb parku. — Zresztą wydaje mi się, że powinnaś odpocząć. Jeżeli ta burza pozostanie nadal w strefie przepowiedni i nie nadciągnie, wybierzemy się na morze późnym popołudniem. Każdy dzień dorosłego człowieka ma tę okropną porę przed kolacją, kiedy nie wiadomo, co robić.

— Czy będziesz tu jeszcze? — zapytała Karolina.

— Tak. Obmyślam sobie jakieś niewielkie teoretyczne morderstwo do mojej przyszłej książeczki. Najlepiej idzie mi to, kiedy spaceruję.

— W takim razie... — Karolina spojrzała z powagą na Dorothy — pozostawmy mistrza natchnieniu. Chciałabym tylko, żebyś oślepiiony błyskawicami swego geniuszu i ogłuszony łopotem skrzydeł muzy autorów sensacyjnych nie zapomniał, że masz spotkanie z dziadkiem Johnem o pół do pierwszej.

— Moja muza jest punktualna. — Joe skłonił się lekko odchodzącym dziewczętom. — Przychodzi i odchodzi w określonych porach.

Pozostał sam. Przez chwilę jeszcze słyszał ich głosy, póki nie zniknęły obie w drzwiach domu. Uniósł głowę. Spadzisty dach posiadał trzy niewielkie, mansardowe, półkoliste okienka. W jednym z nich dostrzegł ciemną głowę, otoczoną aureolą białych włosów.

Odwrócił się i ruszył z wolna ścieżką prowadzącą w stronę pawilonu. Pod drzewami było równie duszno jak na otwartej przestrzeni pod palącymi promieniami słoń-

ca. Może nawet duszniej. Najmniejszego powiewu. Cisza. Daleki szum morza, do którego ucho przyzwyczyło się już tak, że stał się częścią tej ciszy. Joe spojrzął na zegarek. Dziesiąta. Jeszcze dwie i pół godziny.

Doszedł niemal do balustrady i zatrzymał się. Wyrżał spoza drzew. Drzwi pawilonu były widoczne stąd pod pewnym kątem. Generał siedział za stołem. Półmrok panujący wewnątrz budynku nie pozwalał dostrzec dokładnie, co Somerville robi w tej chwili. Prawdopodobnie zastanawiał się nad tym, jak zadać „z jaką taką precyzją” cios poglądom profesora Snidera...

Alex uśmiechnął się do siebie, cofnął i ruszył z powrotem. Ale po sekundzie namysłu zszedł ze ścieżki i kierując się zaroślami ominął łukiem kort tenisowy, którego jasna płaszczyzna przeświecała pomiędzy drzewami. Ogród w tym miejscu był zupełnie dziki. Żadnej ścieżki.

Zobaczył mur posiadłości i zbliżył się ku niemu. Mur był ułożony z czerwonych, spojonych cementem cegieł i pamiętał zapewne panowanie królowej Wiktorii. Gdzieś tam cegły były wykruszone. Używając jednego z takich miejsc jako oparcia dla stopy, dźwignął się i chwycił palcami za górną krawędź muru. Potem podciągnął się i wyrżał.

Po drugiej stronie był niski płotek z żerdzi, ciągnący się w dal aż ku skalnemu nadbrzeżnemu wywyższeniu gruntu. Najwyraźniej płotek ten postawiono, aby uchronić krowy i owce przed wpadnięciem do przepaści. Grunt wznosił się tu łagodnie.

Na wywyższeniu, tuż obok miejsca, gdzie ziemia kończyła się i rozpoczynało niebo zawieszane nad morzem, siedział człowiek w zielonej koszuli, wsparty plecami o wielki, samotny głaz. Zdawał się drzemać, ukołyszany słońcem i widokiem. Mieszczuch na urlopie.

Joe gwizdnął cicho. Człowiek nie zmienił pozycji, nie poruszał się przez chwilę, potem z wolna kiwnął dwukrotnie głową. Sierżant Hicks, choć niewyspany, czuwał. Z miejsca, na którym się znajdował, miał chyba dość dobry widok. Głaz osłaniał go od strony pastwisk tak, że intruz ujrzałby go za późno, żeby...

Uspokojony, Alex puścił krawędź muru i zeskoczył na ziemię. Czyścił przez chwilę uważnie zieloną plamkę pleśni na nogawce spodni, a potem zaroślami powrócił na ścieżkę i ruszył w kierunku domu. Szedł powoli. Powinien dojść do drzwi wejściowych, a później zrobić łuk tym razem w lewo i ruszyć w kierunku przystani, a stamtąd znowu ku pawilonowi. Warto było zapoznać się dobrze z tym wielkim ogrodem na wypadek...

Na wypadek czego? W końcu Hicks, Chanda i on nie pilnowali przecież generała Somerville'a, któremu zagrażało niebezpieczeństwo, ale strzegli szantażysty, który nie mając o tym pojęcia, mógł przypłacić życiem swoją wiedzę o pochodzeniu posągu

Buddy... A właśnie! Gdzie Somerville ukrył ten posąg? A może go nie ukrył? Może stał on w sali muzealnej? Ale to nie było prawdopodobne. Profesor Snider, na przykład, musiałby od razu rozpoznać tego rodzaju unikalny obiekt. A wtedy...

Alex zatrzymał się.

Tak, Snider mógłby wtedy szantażować generała. Mógłby go zmusić do milczenia. A w każdym razie... A więc posąg był gdzie indziej.

Ruszył dalej. Spekulacje na ten temat nie były konieczne. Wystarczyło zapytać Chandę. Zerknął w górę. Głowa w okienku poruszyła się. Żadnego zielonego koca. Pan Plumkett, jeśli znajdował się na morzu, to w każdym razie nie zbliżał się jeszcze do Mandalay House.

Klomb. Otwarte drzwi domu. Nieoczekiwanie ukazał się w nich Jowett. Na widok Alexa ruszył ku niemu.

— Czy nie widział pan mojego nieocenionego pomocnika? Zapytał z daleka.

Alex potrząsnął przecząco głową. Jowett zrównał się z nim.

— Przygotował materiały i wyszedł sobie spokojnie, jak gdyby palenie w tym piecu i regulowanie temperatury należały do moich funkcji! Pół godziny czekałem na jego pojawienie się, ale najwidoczniej sądzi, że w ten sposób może okazać mi swoją niezależność! Jeżeli nie wróci za dziesięć minut, przysięgam, że pójdę do naszego starego stróża imperium i powiem mu, co o tym myślę! W końcu to on mu płaci i powinien dbać o to, żeby nasz romantyczny błaznek był na miejscu wtedy, kiedy go potrzebuję!

— A może w czasie pracy udzielił mu pan jednej ze swoich bezcennych rad? — Joe uśmiechnął się, ale oczy niezmordowanie krążyły wzdłuż ściany zarośli. — Jeżeli tak było, pan Cowley mógł, jak powiadają sprawozdawcy sportowi, „załamać się psychicznie”...

— Po pierwsze, żeby załamać się psychicznie, trzeba mieć coś, co przypomina psychikę, a po drugie: nie widziałem go w ogóle od chwili, kiedy pożarł w naszym towarzystwie swoją kromkę chleba powszedniego i dwa jajeczka na miękko! Dorosły mężczyzna jedzący jajka na miękko! Proszę to sobie tylko wyobrazić!

Joe ruszył w kierunku ścieżki prowadzącej ku przystani..

— A czy nie widział pan gdzieś panny Perry? Był pan w domu, zdaje się, prawda?

— Tak! W ataku białej furii poszedłem do jego pokoju. Myślałem, że przeżywa swoje dramaty w fotelu. Ale nie ma go tam, a przynajmniej nie odpowiada na pukanie i obelgi. Klucza też nie ma w zamku.

— Zaglądał pan przez dziurkę od klucza? — Joe znowu uśmiechnął się.

— Oczywiście! Wywalilibym chyba drzwi, gdybym zobaczył, że jest w środku i nie odpowiada! Ten idiotyczny dowcip oznacza, że będę musiał spędzić tu o jeden dzień więcej, niż zaplanowałem... Ale dlaczego pyta pan o Meryl? Sądzi pan, że może być u niej?

— Tego nie powiedziałem, ale jeżeli para młodych ludzi ma się, jak to się popularnie określa, „ku sobie”, wtedy jedno może być tam, gdzie jest drugie.

— Nie widziałem nigdzie Meryl — Jowett potrząsnął głową. Nie szukałem jej zresztą. Nie przyszło mi do głowy, żeby nasz Adonis mógł o tej porze, właśnie wtedy, kiedy jest mi najbardziej potrzebny... — Urwał. Zatrzymali się u wejścia do alejki prowadzącej ku przystani. — Ale czy to nie ona? — wskazał postać kobiecą, która wynurzyła się zza rogu domu, nadchodząc od strony oranżerii.

— Ona... — potwierdził Joe. Spojrzał w kierunku strychu. Chanda nadal tkwił na posterunku. I nadal nie dawał sygnału. Ale to było zrozumiałe. Do pół do dwunastej brakowało... Spojrzał na zegarek. Dziesiąta piętnaście.

— Zapytam — powiedział Jowett. — Wydaje się, że jest także obrażona na mnie, Bóg jeden tylko wie, dlaczego. Chyba nie dlatego, że jej zaproponowałem pozowanie do tej Diany? Ale w końcu wszystko jest możliwe u tych potwornych mieszczan!

— Jestem pewien, że oświeci pana Joe zrobił krok i zatrzymał się. — A może inżynier Cowley jest już w pracowni?... — wskazał mroczny tunel alejki, w którą miał zamiar wejść.

— Miejmy nadzieję... — mruknął Jowett. — W końcu ma zanieść generałowi o dwunastej dane technologiczne z tego wytopu. A na razie rozpałił tylko w piecu i pozostawił mi odważone elementy stopu. No cóż, zapytam Meryl, a potem pójdę i... i sam to zrobię! Ale jeżeli go pan spotka przypadkiem, proszę mu powiedzieć, żeby się więcej nie pokazywał! Potnę go na kawałeczki, wymieszam z tymi ślicznymi metalami i zrobię z niego posąg tańczącego osła! Na pewno Indie miały to bydło w swojej mitologii. I sprzedam go naszemu staremu rozbójnikowi tam w pawilonie, na pokrycie kosztów wytopu!

Nagle, pośród ataku wściekłości, uśmiech pojawił się na jego twarzy. Jeszcze sekunda i roześmiał się głośno.

— Cóż to za błazeństwo! — powiedział niemal wesoło i ruszył w kierunku Meryl, która stała po przeciwnej stronie olbrzymiego klombu, niemal niewidocznego poza strzelającymi w górę koronami róż.

Joe patrzył na nią. Na widok Jowetta chciała zawrócić, ale zawołał głośno i przystanąła. Podeszedł ku niej, zatrzymał się i zadał krótkie pytanie. Dziewczyna odpowiedziała coś, równie zwięźle, i weszła do domu z dumnie podniesioną głową. Alex szybko wszedł w alejkę. Zrobił kilkanaście kroków i skręcił pomiędzy krzewy. Nie chciał zatrzymywać się dłużej tutaj. Gdyby Jowett dopędził go, znowu byłby unieruchomiony.

Szedł szybko i cicho. Nie zdawał sobie sprawy, że krawędź ogrodu jest tak blisko. W ostatniej niemal chwili dostrzegł niską zardzewiałą siatkę i stanął. Tuż za nią była krawędź przepaści.

Wzdłuż siatki biegła ścieżka, a raczej ślad ścieżki, gdyż najwyraźniej była ona bardzo rzadko używana. Ktokolwiek szedł z domu do przystani lub z domu do pawilonu, miał do wyboru dwie alejki idące w obu tych kierunkach. Ale to właśnie była najkrótsza droga z przystani do pawilonu i gdyby pan Plumkett jakimś cudem uszedł uwagi Chandy, wówczas wybrałby chyba tę właśnie zarośniętą, niewidoczną z domu i nie przecinającą żadnej z alejek parkowych leśną drogę...

Joe ruszył w kierunku pawilonu. Siatka biegła przez cały czas o krok lub dwa od brzegu, w jednym tylko czy dwóch miejscach cofała się nieco, najprawdopodobniej tam, gdzie brzeg był podcięty, darń i krzewy zwisały niemal i groziły runięciem.

Upał rósł. W pewnej chwili Alex zatrzymał się i zakryty pnem starego dębu spojrział na morze. Kilka dalekich żagli. Na horyzoncie długi, ciemny kontur statku płynącego w stronę Atlantyku i... tak, ten sam szary, niski kształt, przesuwający się powoli przed oczyma w odległości mili lub dwóch: łódź patrolowa.

Joe ruszył dalej. Uśmiechnął się znowu do siebie, po raz nie wiadomo który tego dnia. Gdyby generał Somerville wiedział! Chanda z lornetką w oknie, łódź patrolowa na morzu, Joe Alex krążący po ogrodzie i Hicks na skale nie opodał pawilonu! Hicks, który wyglądał jak zafrasowany urzędnik, a był doskonałym policjantem, inteligentnym, sprawnym, mogącym obezwładnić każdego przestępcę jednym ze stu chwytów, których doskonała znajomość zjednała mu wśród ludzi Parkera przydomek „wujaszka judo”...

Przed nim była teraz zbita masa krzewów: jeżyny, maliny, ostrokrzew i jeszcze jakieś długie, gęste, proste gałązki o maleńkich czerwonych kwiatach, porastających całą ich długość. Zerwał jeden kwiatek i zatrzymał się. Przez lukę w roślinności dostrzegł z dala pawilon. Był w tej chwili o kilka kroków od ścieżki. Generał z tej odległości był niemal niewidoczny. Cisza. Dalej był mur posiadłości, za nim wywyższenie skalne, głaz, a przy nim odległa sylwetka ludzka.

Joe cofnął się, przeszedł kilka kroków poza ścianą krzewów i wyjrzał w alejkę. Nikogo. Wyskoczył na ścieżkę i ruszył w kierunku domu. Po prawej, na korcie, panowała cisza. Jeszcze kilkadziesiąt kroków. Dostrzegł z daleka dom. Chanda tkwił w oknie. Żadnego sygnału. Upał był coraz większy. Alex wyciągnął chusteczkę i otarł pot z czoła.

Wszystko to było bardzo zabawne, ale powinno było skończyć się jak najprędzej. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta trzydzieści.

Zbliżył się do klombu. Meryl ani Jowetta nie było widać. Zerknął w lewo. Nad miejscem, gdzie stała pracownia, unosił się ponad drzewami gęsty, czarny słup dymu. Zapewne Cowley wrócił do pracy. Joe znowu się uśmiechnął. Jowett był właściwie szalenie śmieszny. Jego klasyczna nienawiść artysty do biednego, unikającego przecież zadrażnień inżyniera była też bardzo śmieszna. Nie było w tym niczego obrzydliwego, chociaż w głębi duszy był przeciwny niechęci powodowanej faktem różnic intelektualnych albo środowiskowych. Ale tacy ludzie jak Jowett rządzą się swoimi prawami.

Zatrzymał się i zapalił papierosa. Najzabawniejsze byłoby, gdyby ten Plumkett się rozmyślił. No cóż, kilka godzin spaceru na świeżym powietrzu też było nie do pogardzenia. Po powrocie do Londynu trzeba będzie się wziąć za tę książkę, a później wyjechać. Ale dokąd? Było mu właściwie wszystko jedno. Najlepsze byłoby jakieś ciche, małe miasteczko nadmorskie w którymś z krajów nad Morzem śródziemnym. Ale Karolina nigdy nie umiała przerwać pracy w Instytucie wtedy, kiedy...

Wymachując płóciennym woreczkiem, pałac papierosa i rozmyślając o Morzu śródziemnym, ruszył w kierunku domu i postanowił go obejść dokoła. Nie było widać nikogo. Cisza. Dziesiąta czterdzieści. Jeszcze pięćdziesiąt minut. Taras także był pusty, leżaki stały w pełnym słońcu, ale nikogo nie zdawało się ono zachęcać do pobytu tutaj. A ten oszklony budynek to oranżeria. Ogrodnik nie musiał mieć zbyt wiele pracy w tym dzielnym ogrodzie. Dalej znowu krzewy i drzewa, ciągnące się ku polom. Nie znał zupełnie tej części parku. Zastanawiał się chwilę. Ale to było zbyt daleko od pawilonu. Zawrócił.

W tej samej chwili dostrzegł Karolinę wynurzającą się z wąskiej alejki, niknącej pomiędzy drzewami.

— Byłaś na spacerze? — Joe ruszył zawracając w kierunku, z którego nadszedł. Zrównała się z nim i poszli razem dalej, okrążając dom.

— Tak... — urwała. Potem powiedziała cicho i gwałtownie: — Jestem ohydna, Joe! Nie przypuszczałam nawet, że mogę być tak podła!

— Co takiego zrobiłaś? — zapytał rozglądając się z wolna. Wyszli właśnie zza rogu domu.

— Nic nie zrobiłam... Myślałam i... byłam na spacerze.

— To bardzo przyzwoita i naturalna czynność.

— Nie zawsze.

— Chcesz mi wyjaśnić prawdopodobnie, że w nocy nie mogłaś usnąć, rozmyślając o testamencie twojego nieocenionego dziadka Johna. A teraz spacerowałaś po parku rozmyślając, jak to cudownie, że będzie on kiedyś do ciebie należał. Musiało ci tu być bardzo dobrze, kiedy byłaś dziewczynką, i jesteś zapewne przywiązana do tego starego domu? Czy to miałaś na myśli?

— Tak... — powiedziała cicho. — Ale nie powinnam przecież! Cieszę się okropnie, Joe. Ale ten dom stanie się mój wtedy dopiero, kiedy dziadek John umrze! A to jest wszystko tak, jakbym cieszyła się z jego śmierci?

— Po pierwsze, nie umarł, a po drugie: jest bardzo starym człowiekiem i dawno już przekroczył przyzwoitą przeciętną długowieczności. Twój problem jest problemem wszystkich spadkobierców. Ludzie zapisują swoje dobra doczesne tym, których kochają, po to, żeby tamci mogli ich używać. Nie można zostać spadkobiercą przed śmiercią autora testamentu.

— Ja wiem, ale... ale ja chodziłam po tym parku i cieszyłam się, rozumiesz? To wstrętne! Cieszyłam się, oglądałam drzewa, weszłam do oranżerii, patrzyłam na kwiaty, rozmawiałam z Collinsem, naszym ogrodnikiem i... i poczułam, że mówię jakimś innym tonem.

— Są to wszystko najprawidłowsze ludzkie reakcje... — powiedział Joe pogodnie. — Dziwiłbym się, gdybyś reagowała inaczej. Człowiek... a nawet kobieta... ma wyobraźnię. Ruch wyobraźni odbywa się bądź z naszą zgodą, bądź bez niej...

Zaczęli obchodzić klomb. Alex spojrział w kierunku okien strychu. Niemordowany Chanda tkwił na swoim posterunku. Żadnego sygnału.

— Czy możesz... — powiedział Joe i urwał.

— Co takiego?

— Och, nic. Chodzi mi o pewną książkę. Ale niestety nie wiem, co to za książka. Wyobrażam sobie, że ona istnieje. Drukuje się przecież ilustrowane katalogi strat wojennych i zaginionych dzieł sztuki?

— Oczywiście. Ale co masz na myśli?

— Będę chciał cię prosić o pomoc... po południu.

— W takim razie — Karolina spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się blado — pójde do siebie do pokoju i poczytam trochę. Myślałam rano, że partia tenisa wyprostuje mnie psychicznie, ale to wszystko nie jest takie proste.

— Do zamożności łatwiej przyzwyczaić się niż do nędzy... — mruknął Joe sentencjonalnie. — Przekonasz się o tym w swoim czasie. A na razie twój dziadek dysponuje bardzo sędziwym, ale ogromnie krzepkim zdrowiem. Nie martw się więc o...

Urwał. Dorothy Snider wynurzyła się spomiędzy krzewów, idąc na przełaj od strony kortu tenisowego. Szła szybko, głowę miała pochyloną i niosła w ręce niewielką, lecz wypchaną płócienną zieloną torebkę, zrobioną z tego samego materiału i posiadającą taką samą barwę jak sukienka, w którą była ubrana. Wpadła na nich niemal i zatrzymała się gwałtownie.

— Zamyśliłam się... i nie zauważyłam państwa... Byłam na korcie. Zdawało mi się, że zostawiłam na ławce puderniczkę, ale widocznie pomyliłam się... — Uniosła wolną rękę i dotknęła palcami czoła. — Fatalna pogoda, nie ma czym oddychać, czuję się okropnie, właśnie bez tej puderniczki... Czy jestem bardzo blada?

— Tak, trochę... — powiedziała Karolina. — Może niepotrzebnie walczyłyśmy tak zacięcie? Niech pani się położy, Dorothy. Za pół godziny będzie się pani czuła znakomicie. Zresztą po burzy wszyscy odetchniemy! Pożyczę pani mój puder, jeżeli pani zechce..

— W takim razie pozostawiam panie...

Joe skorzystał z okazji i odszedł w kierunku pawilonu. Dziesiąta pięćdziesiąt. Ostatnia godzina czuwania. Jeszcze czterdzieści minut. Odwrócił się. Chanda był w oknie. Znowu na ułamek sekundy zamigotało słońce odbite od szkieł lornetki.

Joe wszedł w alejkę i ruszył w kierunku pawilonu. Pierwszy gorący podmuch wiatru zaświstał w gałęziach drzew i ucichł. Szum morza stał się nieco głośniejszy.

Za zakrętem, ponad barierką Alex dostrzegł widnokrąg. Słońce świeciło nadal jasno, ale tam, gdzie morze stykało się z niebem, widniała czarna, atramentowa, skłębiona chmura, która z wolna rosła w oczach.

Podszedł do ostatniego drzewa i wyjrzał ostrożnie. Słońce stało teraz niemal nad samym pawilonem i świeciło mu prosto w oczy. Ale kiedy przesłonił czoło dłonią, dostrzegł otwarte drzwi i sylwetkę siedzącego człowieka. Dalej wzniesienie za murem posiadłości było puste. Najwidoczniej Hicks...

Gdzie był Hicks?

Odpowiedź na to pytanie przyszła prędzej, niż się spodziewał. Kiedy zawrócił i zrobił kilkanaście kroków w kierunku domu, idąc pośród krzewów równoległe do alejki, zobaczył stojącego za drzewem człowieka w zielonej koszuli.

Podszedł. Stanęli tuż obok siebie. Hicks wspiął się na palce i szepnął mu do ucha:

— Musiałem zejść stamtąd na chwilę, bo na pastwisku pojawił się jakiś facet... fałszywy alarm, bo to był jeden z robotników, którzy przychodzą pod „Lwa i Koronę”. Znałem go już z widzenia. Wybierał się do narzeczonej na lunch i zbierał kwiaty tutaj! Oszczędni ludzie muszą być w tych stronach. Na szczęście poszedł sobie od razu.

Joe skinął głową. Nic się przecież nie stało. Gdyby szantażysta dotarł do generała, zakładając, że w jakiś cudowny sposób, czołgając się od drzewa do drzewa, zdołałby przeniknąć do pawilonu, Somerville nie siedziałby tak spokojnie przy stole.

Drugi podmuch wiatru, silniejszy i chłodniejszy niż poprzedni, uderzył od morza i rozkołysał drzewa parku. Czarna chmura była coraz bliżej... jeszcze pół godziny, może nawet mniej?...

Nowy podmuch. Joe zwrócił się do Hicksa i otworzył usta. Ale sierżant szybko przyłożył palec do warg i wskazał oczyma alejkę.

Meryl Perry nadchodziła od strony domu, kierując się ku pawilonowi. W ręce niosła wielką szarą kopertę, taką, jakiej używa się do papieru fotograficznego dużego formatu.

Ukryci za drzewem i osłonięci krzewami patrzyli na zbliżającą się dziewczynę. Wiatr znowu uderzył. Meryl zatrzymała się niespodziewanie pośrodku alejki i Joe wstrzymał oddech. Dziewczyna wyjęła z kieszonki spódnicy chusteczkę i otarła oczy. Płakała najwyraźniej. Później spojrzała w mikroskopijne lusterko, które wyjęła z tej samej kieszonki, i ruszyła dalej.

Alex spojrział na zegarek. Jedenasta.

— W porządku... — szepnął. — Jest umówiona z generałem na tę godzinę. Ma oddać mu zdjęcia. Kiedy wróci za parę minut, a mam wrażenie, że Somerville nie będzie jej zatrzymywał, zajmijcie stanowisko przy samym wejściu na pomost. Oczywiście, gdyby

ktokolwiek z domowników albo gości chciał tam wejść, nie możemy go zatrzymywać. Tylko obcy nas interesują. Czy znacie z widzenia wszystkich mieszkańców Mandalay House?

Sierżant bez słowa skinął głową.

— To dobrze. Nasz gość powinien pojawić się za, mniej więcej, pół godziny.

— Ten mur... — powiedział Hicks szeptem. — Jeżeli wybierze drogę lądową... Gdybym chciał się dostać do pawilonu tak, żeby nikt mnie nie zauważył, przeskoczyłbym przez ten mur! Stamtąd jest tylko parę kroków. Nigdy nie szedłbym przez teren posiadłości... Na szczęście te pastwiska są równe jak stół. Będę wyglądał co parę minut, czy nikt się nie zbliża. Niech pan będzie spokojny. A pan gdzie będzie?

— Tu i na trasie do klombu. Muszę się tam pojawiać Od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy nasz obserwator nie daje sygnału, że jakaś motorówka zbliża się do przystani.

Domawiając ostatnich słów, podniósł mimowolnie głos. Morze zaczęło szumieć coraz głośniejsze, wiatr wzmagął się, rosnąc i opadając.

— Idziemy na stanowiska... — uśmiechnął się do Hicksa. — Jeszcze dwadzieścia pięć minut i...

Urwał. Coś białego mignęło pomiędzy drzewami tuż przed linią brzegu. Bluzka...

Stanął na palcach, usiłując dostrzec odchodzącą postać. Usłyszeli trzask nadepniętej gałązki. Meryl Perry mignęła im na chwilę w luce pomiędzy zaroślami i zniknęła. Nie powracała tą samą drogą, którą nadeszła. Wybrała dziką ścieżkę nad urwiskiem, prowadzącą do przystani.

— Dokąd ona idzie? — Hicks spojrzał pytająco na Alexa. — Potwornie zarośnięty ten ogród. Nie widzę jej już zupełnie.

— Tędy prowadzi najkrótsza droga do pracowni, w której generał każe wytapiać kopie posągów, sierżancie. Założę się, że panna Perry skręci teraz w jej kierunku. Zaraz tu wróć. Idźcie na skraj pomostu i nie przepuszczajcie nikogo obcego...

Joe przeskoczył w dwóch susach alejkę i zanurzył się w zaroślach. W tej samej chwili daleko nad morzem rozległ się suchy, ostry jak wystrzał huk piorunu. Wiatr przeleciał nad koronami drzew i zrobiło się zupełnie cicho. Tylko głos morza stał się potężny i głęboki. Pierwsze gnane wichrem fale uderzyły o brzeg, rozprysnęły się na kredowych skałach i ustąpiły miejsca następnym, wyższym, nadlatującym z południa.

Po chwili Joe zobaczył Meryl na ścieżce skracającej ku pracowni. Biegła niemal, ale przed drzwiami zatrzymała się gwałtownie i opuściła rękę, która uniosła się odruchowo ku klamce. Potem stało się coś niespodziewanego. Dziewczyna zawróciła i weszła w gęste poszycie, kierując się w stronę domu.

Przez chwilę stał niezdecydowany. Nad morzem przetoczył się groźny, głuchy grzmot. Alex uniósł głowę. Czarna chmura wyszła już ponad wierzchołki drzew i za chwilę musiała zasłonić słońce. Jeszcze minuta, może dwie i...

Zawrócił szybko w kierunku klombu. Chanda, wychylony z okienka, rozłożył ręce.

— Morze jest puste... — Głos jego dochodził wyraźnie z góry, chociaż szum wiatru głużył słowa. — Burza! Tylko jedna motorówka ciągle krąży powoli z daleka, ale i ona odpływa w tej chwili na wschód! Widzę wyraźnie, że oddala się!

Joe spojrzał na zegarek. Jedenasta piętnaście.

— Mimo wszystko niech pan tam zostanie... — Zrobił znaczący ruch rękami i chciał ruszyć w kierunku pawilonu, kiedy Karolina ukazała się na progu domu.

— Joe, burza nadchodzi! — zawołała, jak gdyby ktokolwiek mógł nie zauważyć czarnej chmury, która w tej chwili zakryła słońce. Mrok spłynął na ogród i wiatr zawył ostro.

— Widzę! — Alex uśmiechnął się. — Idę po generała! — krzyknął składając ręce w trąbkę przy ustach, bo nowy grom przetoczył się po niebie, bliższy i głośniejszy niż poprzedni.

— Zaczekaj! Wezmę płaszcze i parasole! — Karolina zniknęła.

Pierwsze krople deszczu rozprysnęły się na asfalcie podjazdu. Alex ruszył szybko w kierunku pawilonu. Był na zakręcie alejki, gdy...

Zaczął biec. Udając, że nabiera rozpędu, minął niemal miejsce, gdzie zniknęła postać, którą zauważył przed sekundą. Postać ta ukryła się pomiędzy drzewami. W smugach wielkich, ciepłych kropel, które zaczęły padać na ścieżkę, Alex zahamował gwałtownie i skoczył w bok.

Ukryty za drzewem człowiek wahał się przez chwilę, ale pozostał na miejscu.

— Czemu się pan przede mną schował, profesorze? — zapytał Joe wprost.

— Przed panem? — profesor Reginald Snider uniósł brwi i spojrzał na Alexa ze zdumieniem, nie zwracając uwagi na deszcz, który zaczynał już przenikać przez gałęzie nad ich głowami. — Dlaczegoż miałbym się chować przed panem? Schowałem się przed deszczem... Byłem w tej okolicy i pomyślałem, że generał Somerville jest zapewne sam... Ta burza przysłała tak nagle...

Z podniesioną głową ruszył ku ścieżce, nie zaszczycając Joego ani jednym więcej słowem lub spojrzeniem. Alex zrównał się z nim, kiedy weszli w alejkę. Wsunął za koszulę woreczek z pieniędzmi. Piorun uderzył tak blisko, że mimowolnie drgnęli obaj. Było niemal zupełnie ciemno. Deszcz lunął dopiero teraz strumieniami, ukosem, gnany wichurą, która uderzała ze świstem i łomotem w nadbrzeżne drzewa.

„Biedny Hicks... — pomyślał Joe. — Nie może się przecież pokazać ani ukryć nigdzie tutaj...”

Byli już niemal przy balustradce. Widok był nieprawdopodobny. Z głębi mrocznej, przecinanej blaskiem błyskawic pustki pędziły skłębione, niskie strzępy chmur, zieją ulewą. W dole, tam gdzie szalało niewidzialne morze, rósł dźwięk głęboki, nieskończo-

ny, falujący, jak gdyby miliony dział miotało nieustannie pociski: apokaliptyczny głos, ryk rozsadzający głowę, dźwięk, jaki może towarzyszyć chwili końca świata albo otwarciu bram potopu. Ocean gnany wichurą szturmował brzegi Anglii.

Snider pochylony, przemoczony do nitki, parł naprzód, ale na kilka kroków przed balustradą zatrzymał się.

— Weźmy się za ręce! — krzyknął Alex wyciągając ku niemu dłoń. Obejrzał się.

Nowy piorun. Upiorny, ostry blask zalał alejkę. W tym ułamku chwili dostrzegł Karolinę i Jowetta, ubranych w nieprzemakalne płaszcze, pochylonych i biegnących ku nim.

Trzymając się za ręce jak dzieci, czekali, on i Snider, przybycia tamtych dwojga.

— Biedny dziadek! — krzyknęła Karolina. — Muszę iść do niego! Chodź, Joe! Pan Jowett był tak dobry, że pomógł mi się dostać tutaj, ale niech pan wraca z profesorem! My tam zostaniemy z dziadkiem, dopóki to nie minie!

— Tam niebezpiecznie! — krzyknął Jowett wskazując balustradę i przykładając niemal usta do ucha Alexa. Pójdźmy razem, łańcuchem, trzymając się pod ręce!

Joe skinął głową. Wzięli Karolinę pomiędzy siebie. Snider chwycił pod rękę Jowetta i ruszyli. Deszcz oślepił, woda zalewała oczy i ściekała z włosów. Na pół po omacku Alex chwycił za krawędź balustrady. Ryk dobiegający z dołu był tak straszliwy, że miał ochotę cofnąć się. Te fale nie mogły przecież sięgnąć tutaj. Ale zdawały się grzmieć tuż pod stopami... Skręcili w lewo, chwytając się balustrady, mając wrażenie, że jeden nieostrożny krok i zostaną zmieceny w czarną otchłań... Przed nimi za smugami bijącej w twarz ulewy majaczył pawilon. Znowu piorun. Karolina ukryła głowę na ramieniu Alexa. Jeszcze pięć kroków. Jeszcze cztery.

Drzwi pawilonu były otwarte.

„Zwariował staruszek... — pomyślał Joe. Przecież tam płyną potoki wody. Zaleje mu podłogę...”

Jeszcze krok. Wejście do pawilonu było osłonięte od wiatru. Drzwi otwierały się do wewnątrz...

Wpadli wszyscy czworo do środka i zatrzymali się w drzwiach. Profesor Reginald Snider nie powiedział ani słowa, stał zupełnie nieruchomo, nie czując wody, która spływała mu po twarzy z mokrych, zmierzwionych włosów... Joe Alex przetarł oczy. Wszystko w jego umyśle krzyczało rozpaczliwie: nie, to niemożliwe! Oszukano mnie! Oszukano... to się nie mogło stać!

Ale stało się i wiedział o tym od pierwszej sekundy.

James Jowett zrobił krok ku przodowi i skamieniał.

— Jak to? — powiedział tak cicho, że gdyby Joe nie stał tuż obok niego, słowa te zginęłyby w grzmocie wichury dudniącej po dachu i wyjącej wokół ścian pawilonu. — Jak to? On przecież...

Jowett umilkł.

A Karolina Beacon powiedziała łamiącym się głosem:

— Dziadku Johnie... dziadku... Co to za głupie żarty?... Znowu... — Chciała zbliżyć się do niego, ale Joe powstrzymał ją.

— To nie żarty... — powiedział cicho. — Tym razem generał Somerville naprawdę nie żyje.

Jeszcze jeden piorun, bardzo blisko. Blask. Półmrok. Blask. John Somerville siedział za stołem. Gdyby nie wielka czerwona plama na piersi w miejscu, gdzie u żywego człowieka bije serce, można byłoby przypuszczać, że śpi. Głowę miał odchyloną ku tyłowi, oczy przymknięte, a na twarzy wyraz absolutnego spokoju. Jedna ręka spoczywała bezwładnie na stole, zakrywając rozsypane zdjęcia Yeti i Ladni, druga zwiisała wzdłuż poręczy fotela, dotykając niemal podłogi, gdzie tuż pod wyprostowanymi, szczupłymi palcami umarłego leżał porzucony ogromny bębnekowy rewolwer colt — kaliber 45.

Joe zrobił krok ku przodowi, dotknął grzbietem dłoni czoła generała i cofnął się, opuściwszy rękę. Czoło było zimne.

Nikt nie poruszył się. I wtedy właśnie, poprzez grzmot fal i ryk wichury, usłyszeli cichy daleki okrzyk:

— Tatuuuuusiuuu...!

Jowett odwrócił się gwałtownie i skoczył. Nisko pochylony, uczepił się barierki, zdążył chwycić Dorothy Snider, która pośliznęła się biegnąc. Szarpnął i nogi jej, które zsuwały się jak na zwolnionym filmie pod barierką, znieruchomiały. Joe rzucił się na pomoc, ale Jowett nadludzkim wysiłkiem wyciągnął dziewczynę na skalny pomost, wziął na ręce i wpadł do pawilonu.

Postawił ją dysząc ciężko. Dorothy jak zahipnotyzowana, nie zdając sobie sprawy z tego, że uniknęła przed sekundą śmierci, zaczęła wpatrywać się w ciało na fotelu. Nagle wyciągnęła rękę i wskazując Somerville'a zaczęła śmiać się okropnym, obłąkanym śmiechem.

— On... on... — głos jej załamał się i wyszeptano. — Po śmierci... po śmierci...

A potem zamknęła oczy i osunęła się zemdłona na podłogę.

Rozdział 11

Pan mój będzie pomszczony

Deszcz padał nadal, ale gwałtowna wichura uspokajała się z wolna. Zrobiło się nieco widniej. Telefon stał w hallu. Nie odwracając się, nie mówiąc ani słowa, Joe pierwszy wszedł do domu i skierował się do aparatu.

Podnosząc słuchawkę słyszał za sobą ciche szuranie stóp. Karolina nie płakała, na szczęście.

Nie chciał odwracać głowy, nie mógł spojrzeć jej w oczy.

Ostatni daleki grzmot. Krople coraz ciszej bębniły po wielkich szybach podwójnych oszklonych drzwi. Czekał.

Nakręcił numer, zmusił się do uniesienia głowy i spojrział na nich. Reginald Snider stał obok Dorothy, która nadal była śmiertelnie blada, ale przyszła już do siebie, chociaż w oczach jej wciąż jeszcze czaił się wyraz przerażenia. Jowett patrzył na Alexa w milczeniu, spokojny, zamyślony, jak gdyby to, co się stało, nie dotarło do jego świadomości w całej swej grozie.

Karolina miała przymknięte oczy. Oparła się plecami o ścianę, wargi jej drżały. Widział, że opanowuje się z najwyższym trudem. Co myślała?...

Odwrócił głowę. Przyjechał tu z nią przecież, żeby strzec kruchego życia tego starszka, którego kochała i który ją kochał na swój groteskowy sposób...

W tej samej sekundzie pomyślał o tym, że Karolina jest już panią tego domu. A jeszcze tak niedawno on, Alex, mówił jej, że generał żyje nadal. Czy żył jeszcze wtedy?

— Tu posterunek w Hilborough! — powiedział obojętny, męski głos. — Słucham?

— Mówi Joe Alex... — Joe zaczerpnął głęboko powietrza. — Dzwonię z Mandalay House... — zawahał się na ułamek sekundy. — Generał John Somerville umarł tu dziś w... w nie wyjaśnionych okolicznościach. Chciałbym, żebyście przyjechali od razu. I jeszcze jedno: proszę mnie natychmiast połączyć ze Scotland Yardem w Londynie, z komisarzem Parkerem.

— To nie będzie konieczne — odpowiedział głos. — Pan komisarz Parker znajduje się na terenie naszego posterunku.

— Co?! — powiedział Alex. — Tutaj?

— Tak. Oddaję słuchawkę.

— Hallo! — powiedział Ben. — Co się stało?

— Generał Somerville nie żyje... — powtórzył Alex czując, że jeszcze chwila, a nie będzie w stanie powiedzieć niczego więcej. — Czy mógłbyś przyjechać zaraz? Konieczny jest lekarz, fotografowie i tak dalej... — starał się mówić spokojnie.

— Nie żyje? — w głosie Parkera było bezbrzeżne zdumienie. — Przecież byłeś tam?

Alex milczał o ułamek sekundy zbyt długo.

— Tak. Byłem tam — powiedział i zagryzł wargi. — W tej chwili Hicks czuwa przy zwłokach.

— Czy wiesz, jak to się stało? — zapytał jeszcze Parker.

— Nie wiem... — Joe odetchnął. — Przyjedź zaraz, dobrze?

— Oczywiście... — mała pauza. — Przepraszam cię, Joe... — powiedział niewidzialny rozmówca. — Pytam jak idiota! Zaraz tam przyjadę.

Alex odłożył z wolna słuchawkę.

— Bądźcie państwo łaskawi rozejść się teraz do swoich pokojów... — powiedział zmęczonym głosem — i nie opuszczać ich, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Policja zaraz przybędzie.

— Policja?... — powtórzył cicho Snider.

— Tak, policja... — Joe wyjął z kieszeni przemoczoną paczkę papierosów, szukał długo, wreszcie zapalił. Patrząc na zapalnik, pomyślał: Jak to możliwe, że mam takie spokojne ręce? Nie drżą mi... Jak to możliwe?

Bez słowa ruszyli wszyscy troje w kierunku schodów. Karolina nadal stała pod ścianą. Otworzyła oczy i spojrzała za odchodzącymi, ale zdawała się ich nie widzieć.

Nie ma tu Meryl Perry i nie ma Cowleya — pomyślał Joe. — Ale to nic dziwnego. Dziwniejsze, że było nas tam pięcioro podczas deszczu i burzy, kiedy znaleziono zwłoki. Skąd oni się tam wszyscy wzięli?

— Karolino... — powiedział cicho. — Wiem, co myślisz...

Otworzyła oczy.

— Myślę... myślę, że cokolwiek się stało, nie mogłeś temu zapobiec, prawda?... — mówiła głuchym głosem. Nadal ani jednej łzy. Łzy przyjdą później, może zaraz? Może dopiero wieczorem?...

— Tak. Nie mogłem temu zapobiec.

Milczała przez chwilę.

— On... on zginął tak, jak to obwieścił ten człowiek w liście do pana Parkera... — szepnęła. — Wszyscy wiedzieliśmy o tym...

— Tak... — Joe patrzył w okno. — Ale ty nie wiedziałaś, że twój dziadek sam pisał te listy do Scotland Yardu.

— Joe? Co mówisz? — spojrzała na niego z przerażeniem. — Jak to sam?

— Napisał wszystkie te trzy listy — Alex odetchnął głęboko, jak gdyby za chwilę miał rzucić się z brzegu w głęboką wodę: — Nie myśl, że chcę się usprawiedliwiać. Ale dziś, kiedy chodziłem po parku, nie miałem na celu ochrony twojego dziadka, ale człowieka, którego on chciał zastrzelić. Wkrótce po przyjeździe wiedziałem już, że to on napisał te listy, a Chanda był u mnie wieczorem i wyjaśnił mi dokładnie, o co chodzi. To generał Somerville chciał zabić... szantażystę. Niedopuszczenie do ich spotkania było jedynym problemem, jaki stał przede mną... Hicks i ja pilnowaliśmy ogrodu. Chanda stał w oknie strychu, patrząc na morze, na którym zresztą była łódź patrolowa...

— A on przedostał się jednak... ten człowiek... — szepnęła Karolina.

— Nie wiem!... Sądzę, że nie... — Joe ze zmęczeniem potrząsnął głową. — Nie słyszałem o szantażysty, który zabijałby swoją ofiarę... To nie ma sensu. Zresztą nikt obcy nie przedostał się chyba w obręb posiadłości...

— Joe... a ten testament? Dlaczego wczoraj zmienił go? Jeżeli był szantażowany... Czy mógł popełnić samobójstwo?...

— Mógł — Alex skinął głową. — Ale z tym trzeba poczekać na opinię lekarzy sądowych...

Urwał. Chanda zszedł powoli po stopniach prowadzących z piętra. Zatrzymał się. Spojrzenie jego utkwione było w Karolinie.

— Och, Chanda!... podbiegła do niego i ukryła głowę na jego piersi. Załamania przyszło dopiero teraz. Dziadek John nie żyje... nie żyje...

Stary Birmańczyk objął ją łagodnie ramionami i skierował bez słowa wzrok na Alexa.

— Tak — powiedział Joe. Znaleźliśmy generała Somerville w pawilonie...

— Mieliśmy go strzec... — Chanda odruchowo głaskał głowę łkającej cicho dziewczyny. — Ale tylko bogowie znają chwile i miejsce.

Alex mimowolnie spojrzał na wielką, pogrążoną w kontemplacji postać z brązu, zdołającą ścianę hallu. Budda uśmiechał się wiekiustym, spokojnym uśmiechem.

— A ja, niestety, jestem tylko człowiekiem... — powiedział cicho.

— Czy zamordowano go, panie?

— Nie wiem. Dowiemy się wkrótce.

— Kogo zamordowano? — Meryl Perry nadeszła cicho od strony sali muzealnej i stanęła patrząc na Karolinę, która nie płakała już, ale nadal stała z głową ukrytą na piersi Chandy.

— Generał John Somerville został znaleziony przez nas w pawilonie... nieżywy — powtórzył Joe po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku minut.

— Umarł... — powiedziała Meryl cicho. — Karolino, kochanie, tak strasznie mi przykro...

Karolina wyprostowała się i spojrzała na nią. Potem bez słowa rozłożyła ręce, które po tym geście opadły bezwładnie wzdłuż ciała.

Joe patrzył na Meryl Perry i z wolna uczucie klęski i poniżenia zaczęło ustępować miejsca innemu uczuciu. Otworzył usta. Chciał powiedzieć: „Pani widziała go ostatnia, prawda? Czy nie zauważyła pani niczego szczególnego w jego zachowaniu albo w samym pawilonie?”... Ale nie powiedział tego. Powiedział natomiast:

— Czy nie widziała pani inżyniera Cowleya?

Meryl szybko uniosła głowę.

— Nie. Ostatni raz widziałam go przy śniadaniu.

— Chciałbym tylko zawiadomić go o tym strasznym wypadku. Może teraz przejdzie pani do swojego pokoju, dobrze? Zaraz przyjedzie policja.

— Oczywiście — Meryl skierowała się ku schodom, ale przystanęła przed Karoliną:

— Czy nie będę ci potrzebna, kochanie? Może pójdziesz teraz ze mną? Pan Alex na pewno będzie... — zawahała się, szukając odpowiedniego słowa — bardzo zajęty, prawda? — Spojrzała na Joe’go, jak gdyby szukając jego aprobaty. Alex skinął głową.

— Jesteś zupełnie mokra, Karolino. Musisz się przebrać...

I odwrócił szybko spojrzenie. To wszystko było ohydne: dziadek John zginął niemal w jego oczach, a on?... Nie słyszał nawet strzału. Może właśnie wtedy uderzył któryś z tych przeklętych piorunów?

Karolina skinęła głową i bez oporu pozwoliła się objąć Meryl w pół. Odeszły razem. Chanda nie poruszył się. Przez chwilę stali w milczeniu naprzeciw siebie.

— Zapewne nie obawiał się pan w ogóle o niego od wczoraj... — powiedział Joe cicho. — Przyjechał sławny Joe Alex i oczywiście powinien był przewidzieć, że... i udaremnić zbrodnię... Tak by się wydawało, czytając gazety, prawda? Sławny Joe Alex, który nigdy nie popełnił żadnego błędu!

Zamilkł i potrząsnął głową jak człowiek, który otrzymał niespodziewany cios i stara się powrócić do przytomności.

— W dniu, w którym ukończył dziewięćdziesiąt lat... — powiedział Chanda cicho — wziął mnie rano, tuż po przebudzeniu, za rękę i zawołał wesoło:

— Wiesz, co się stanie ze mną po śmierci?

— Nie wiem, panie... — odpowiedziałem. — Wszyscy wierzymy lub nie wierzymy w to, co tam jest, ale nikt z nas nie wie naprawdę.

— A ja wiem! Moja pomarszczona duszyczka popłynie!

— Dokąd, panie?

— Tam, gdzie zapewne i ty popłyniesz jeszcze za życia, gdy tylko zamknę oczy: „Płynąć chcę na Wschód, za Suez, gdzie jest dobrem każde zło. Gdzie przy kazań brak dziesięciu, a pić można aż po dno, Bo świątynny dzwon przyzywa i tam tylko być już chcę — Przed pagodą starą w Moulmein, tam gdzie morza senny brzeg”.

— Zna pan ten wiersz oczywiście. I dlatego zapewne popadł w kłopoty, gdyż to była przyczyna, jak sądzę, dla której zakupił ów posąg z Moulmein. Może wierzył, że dusza jego znajdzie dobre przyjęcie w Birmie po tym uczynku? A może nie wierzył w nic, a tylko chciał w chwili śmierci pamiętać o tym zakątku świata, gdzie kiedyś był młody, bezzwzględny i szczęśliwy? Ale jak jest naprawdę? Ja wierzę, że dusza jego szybuje teraz nad piaskami Suez, kierując się ku wschodowi. Pan w to nie wierzy. Jest pan białym człowiekiem, który ufa tylko potędze umysłu i logice. Dlatego zachowuje się pan nielogicznie. Jakiż błąd mógł pan popełnić? Czyżby wiedział pan o przyszłości tyle, ile wiedzą bogowie, i zaniechał pan czegokolwiek? Nie. Wiedział pan tylko, że generał chce zabić szantażystę o godzinie jedenastej trzydzięci. Ja także wiedziałem tylko tyle... Jak zginął?

— O ile wiem, od kuli z colta kaliber 45. Czy to była jego broń?

— Tak. — Chanda skinął głową.

— Ale jak to się mogło stać? Byłem w oknie przez cały czas i musiałbym usłyszeć wystrzał. Colt jest bardzo głośny...

— Myślałem o tym... — Joe rozpaczliwie rozłożył ręce. — I ja nie słyszałem wystrzału ani Hicks... mój człowiek, który tam był w pobliżu... Może zginął wówczas, kiedy zaczęła się burza? Ale...

— Huk piorunu mógł zagłuszyć wystrzał... — powiedział Chanda cicho. — To była bardzo gwałtowna burza...

— Tak. Ale Hicks czuwał wtedy bez żadnej przerwy nad dojściem do pawilonu. Nikt nie mógł dostać się tam nie zauważony przez niego... — uniósł głowę. — Czy generał Somerville mógł popełnić samobójstwo?

— Czy mógł... — Chanda z wolna wygładził fałdę swego czarno-złocistego kaftana. — Każdy może rozstać się z życiem, jeśli zrozumie, że śmierć jest jedynym wyjściem, jakie mu pozostało. Ale on nie należał do tych, którzy unikają walki. Chciał żyć. Zresztą po cóż by człowiek dziewięćdziesięcioletni miał odbierać sobie życie, jeśli wie z całą pewnością, że pozostałe jego dni są tak nieliczne.

— Ten argument może działać i w przeciwną stronę... — powiedział Joe cicho. — Być może obawiał się, że Plumkett zechce go pograć, jeśli nie uda mu się go zabić? Rozgłoszenie takiej nielegalnej transakcji i proces, który by potem nastąpił, przekreśliłby nie tylko dobre imię generała, ale i dorobek naukowy całego jego życia...

— Ale dlaczego miałby odbierać sobie życie, zanim nastąpił proces i kompromitacja? Plumkett chciał pieniędzy, prawda? Generał chciał go uciszyć na zawsze. Ale Plumkett nie zjawił się o wyznaczonej porze, a generał nie zabił go... — Chanda umilkł na chwilę. Potem zbliżył się do Alexa.

— Tak? — Joe skierował ku niemu nie rozumiejące spojrzenie. Myślał o chwili, kiedy weszli tam. Czoło Somerville'a było zimne, zupełnie zimne. A burza wybuchła przed pięciu, może dziesięciu minutami? Zimne...

— Mister Alex, wiem, jak pan się czuje. Myśli pan o Karolinie i o tym, że zawiódł pan jej zaufanie w chwili, kiedy go najbardziej potrzebowała, prawda?

— Tak... — Joe skinął głową. — Wydaje mi się, że gdybym był na jej miejscu, myślałbym, że Joe Alex nie potrafił ustrzec mego dziadka przed gwałtowną śmiercią, chociaż znajdował się tak blisko.

— I dlatego szuka pan ratunku w myśli o jego samobójstwie. Gdyby odebrał sobie życie, Karolina zrozumiałaby łatwo, że nikt temu nie mógł zapobiec?

— Tak.

— Ale pan nie wierzy w samobójstwo. Dlaczego?

— Dlatego, że nie słyszałem wystrzału ani pan go nie słyszał, ani Hicks. A ktoś z nas musiałby go słyszeć. A generał nie mógł popełnić samobójstwa w czasie burzy, gdyż był zupełnie zimny, gdy wszedłem do pawilonu. Nie jestem lekarzem, ale widziałem zbyt wielu zastrzelonych ludzi, żeby... — potrząsnął głową. — Nie rozumiem tego... — dodał niemal szeptem.

— Będę czekał... — Chanda skłonił głowę.

— Czekał? — Joe znowu nie zrozumiał.

— Od dawna było ułożone między nami, że jeśli pan mój umrze wcześniej niż ja, odjadę do Moulmein, żeby zakończyć życie tak, jak każdy człowiek zakończyć je pragnie: na ziemi ojców swoich, aby proch kości moich został zmieszany z prochem ich kości. Ale zaczekam tak długo, jak długo pan nie będzie wiedział.

— Czego nie będę wiedział?

— Tego, co się stało dziś w pawilonie. Gdyż ja wiem, że nie odebrał on sobie życia, chociaż nie mógłbym tego udowodnić waszej policji, która rozumie tylko dowody pochodzące ze świata faktów i przedmiotów, a nie ze świata myśli będącego jedynym prawdziwym światem, dzięki któremu fakty i przedmioty w ogóle stają się dla nas faktami i przedmiotami. Mężczyźni w ojczyźnie mojej, Mister Alex, nie wyrrywają sobie włosów z głowy i nie płaczą, gdy cierpią. Ale kochałem mego pana tak, jakby był moim ojcem i moim bratem. Przeżyłem u jego boku całe życie. I wierzę, że jeśli ktoś zamordował tego starego, bezbronnego człowieka, czyn ten musi być pomszczony.

— Jeżeli został zamordowany... — Joe uniósł głowę i spojrzał na starego Birmańczyka. Jego szare, spokojne oczy stały się nagle jak gdyby jaśniejsze — człowiek, który to zrobił, odpokutuje życiem.

— Karę śmierci zniesiono w tym kraju... — powiedział cicho Chanda.

— To prawda... — Alex skinął głową. — Zapomniałem o tym...

Ale w głosie jego było coś, czego najwyraźniej oczekiwał stary Birmańczyk, gdyż skłonił głowę, a później złożył mu głęboki ukłon.

— Wierzę, że pan mój będzie pomszczony.

W tej samej chwili usłyszeli warkot silników samochodowych i dwa czarne auta zatrzymały się przed wejściem do Mandalay House.

Rozdział 12

Nie widziałeś tych pieniędzy

Burza minęła już. Joe stał oparty o balustradę spoglądając w dół na wciąż jeszcze rozhukane fale, rozbijające się o brzeg. Wysokie pióropusze śnieżnobiałej piany wylatywały z głębi grzmiącej otchłani, uderzały o skałę i opadały rozchylone, ale nim zdążyły zniknąć, następna ściana wodna dobiegała do brzegu, uderzała o ciemne, lśniące głazy i wszystko zaczynało się od nowa. Straszliwe, bezsensowne wyzwolenie energii, zakłętej w kole wiekuistego krążenia. Pierwszy promień słońca przedarł się przez postrzępione resztki chmur i rozświetlił skłębione w dole piekło wodne. Piana, głazy, grzbiety fal, wszystko zamigotało, rozbłysło, z czarnego stało się zielone.

Starając się nie spotkać wzroku stojącego obok Parkera, Joe uniósł głowę i spojrział w lewo, gdzie na krańcu wysychającego pomostu skalnego stał pawilon. Dach budynku parował i lekka mgiełka unosiła się ponad nim, rozwiewana malejącym wiatrem. Znowu upał. Para wodna powracała ku niebu, z którego niedawno spadła przemieniona w wielkie, ciężkie krople letniej ulewy... Joe pomyślał o duszy Somerville'a. Tak zapewne wyobrażał ją sobie Chanda: jako mały, biały obłoczek, dążący ku dalekiemu brzegowi, na którym pośród palm pochyłonych nad spokojnymi wodami stała stara pagoda. Moulmein, gdzie „świt wybucha jak burza sponad Chin i niebo tnie”.

Przez otwarte drzwi pawilonu można było dostrzec sylwetki kilku ludzi, krzątających się w milczeniu i bez pośpiechu.

— Będzie pogoda... — powiedział półgłosem Benjamin Parker.

Nie patrząc na niego, Joe skinął w milczeniu głową, później cofnął się o krok, aby zrobić miejsce dwóm biało ubranym ludziom, którzy wynurzyli się z wylotu alejki, dźwigając puste, zwinięte nosze. Ich białe pantofle na gumowych obcasach przeszły po skalnym pomoście, nie czyniąc żadnego szelestu. Weszli do pawilonu.

— Nie zapytałeś mnie nawet, skąd się tu wzięłem — powiedział Parker.

— Nie. Nie zapytałem — Joe dopiero teraz spojrział na niego i próbował się uśmiechnąć, ale uśmiech zgasł, zanim zdążył się narodzić. — Zapytam o to. Ale jeszcze nie teraz, dobrze? Wiem, że musiała być jakaś przyczyna...

— Była! — Parker odwrócił się plecami do grzmiącej przepaści, która otwierała się tuż za balustradą. — Przyjechałem, ponieważ...

Urwał. Dwaj ludzie w bieli powracali. Weszli na skalny pomost dźwigając nosze. Obaj stojący cofnęli się ku żelaznej poręczy, żeby pozwolić im swobodnie przejść. Nosze kołysały się lekko. Najwyraźniej ciężar, który nieśli sanitariusze, nie musiał być wielki. Ciało, nakryte zielonkawym prześcieradłem, wydawało się drobne i kruche jak ciało dziecka. Za zwłokami szedł człowiek z przerzuconym przez ramię statywem, a za nim jego pomocnik, dźwigający dwie skrzynki. Dalej siwy specjalista od daktyloskopii, także z pomocnikiem, dwaj detektywi niosący, każdy po dwie, koperty, brązowe i wielkie, z napisem „EWIDENCJA. SPRAWA Nr”, a wreszcie na końcu pochodu siwy pan w czarnym meloniku i nieprzemakalnym burberry, niosący w jednej ręce ciasno zwinięty parasol, a w drugiej małą czarną walizeczkę, widomą oznakę jego profesji.

— Kiedy możemy liczyć na informacje od pana, panie doktorze? — zapytał Parker.

Pełen godności pan w meloniku zatrzymał się i obrzucił komisarza pełnym godności spojrzeniem.

— Jeśli ma pan na myśli wyniki sekcji, nie należy wątpić, że przystąpię do niej natychmiast. Ale jak długo potrważą oględziny zwłok, nie można przecież przewidzieć, prawda? To zależy od wielu spraw i okoliczności związanych ściśle z materią medyczną... — chrząknął z godnością. — Tak, od wielu spraw. Dokąd mam przysłać sprawozdanie?

— Będę panu doktorowi wdzięczny, jeśli zechce pan zatelefonować o wstępnych wynikach sekcji tu, do Mandalay House. Moje nazwisko brzmi Parker, jestem zastępcą szefa wydziału kryminalnego Scotland Yardu — sięgnął do kieszeni i podał doktorowi swoją kartę. — Mamy przed sobą śledztwo i, jak zwykle w takich okolicznościach, czynnik czasu może okazać się bardzo ważny. Dlatego z niecierpliwością będę oczekiwał diagnozy pana...

— Śledztwo, panie komisarzu? — doktor machinalnie wsunął wizytówkę do kieszeni płaszcza. — Nie chcę przesądzać, ale wydaje mi się, że samobójstwo jest niemal pewne, prawda?... — zawahał się. — Oczywiście nie mówię tego w formie ostatecznej. Ale sądząc z tego, co zobaczyłem, to znaczy z położenia ciała, samobójstwo jest bardzo prawdopodobne. Gołym okiem można dostrzec, że pocisk został wystrzelony z bezpośredniej odległości... Co prawda nie przebił ciała na wylot, więc trudno powiedzieć, jaki był kąt strzału... — Ale to nam pokaże sekcja...

Uchylił melonika i zniknął w wylocie alejki prowadzącej ku domowi. Najwyraźniej słowa „Scotland Yard” zrobiły na nim pewne wrażenie.

— Ci prowincjonalni specjaliści!... — mruknął Parker. — Oby miał tyle wiedzy, ile zdradza jego wspaniała postać i zachowanie! Ale mniejsza o niego. Chodźmy.

Ruszyli w kierunku pawilonu. Siedzący na progu detektyw wstał i wyjął papierosa z ust.

— Zostańcie tu, Brover... — powiedział zastępca szefa wydziału kryminalnego — dopóki ktoś was nie zluzuje. Każę wam przysłać coś do jedzenia... — zwrócił się do Alexa.
— Nie będzie chyba z tym kłopotów?

— Oczywiście, że nie... — Joe rozglądał się po wnętrzu budynku.

Detektyw Brover wyszedł na zewnątrz i stanął przy balustradzie, patrząc na morze.

— Ale to się w ogóle nie mogło stać... — powiedział Joe cicho. — A jednak stało się...

— Co się nie mogło stać?

Alex odwrócił głowę od biurka i spojrzał na niego.

— Och, zdaje się, że sam nie wiem, co mówię. Ale to był colt kaliber 45, który grzmiał jak armata. Mógł, oczywiście, być tłumik. Ale czy generał Somerville po śmierci wstał i wyrzucił ten tłumik do morza?... Czy twoi ludzie zdjęli już odciski palców ze wszystkiego tutaj?

Parker bez słowa skinął głową. Alex podszedł do biurka. Przez chwilę patrzył na podłogę, gdzie wyrysowane były kredą miejsca, w których znajdowały się stopy umarłego. Obok rysunek rewolweru...

— Było tu siedemdziesiąt pięć tysięcy w banknotach studolarowych — powiedział cicho. — Nie znaleźliście ich, prawda? Gdzie one są?...

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy? — Parker uniósł brwi. — Nie powiedziałeś mi o tym...

— Nie. Po raz pierwszy w życiu zagubiłem się, Ben... zagubiłem się tak, że dopiero teraz zaczynam znowu myśleć spokojnie... — spróbował się uśmiechnąć i dał za wygraną. — A przecież naprawdę nie mogłem niczemu zapobiec. Miałem tylko ostrzec Somerville'a przed spotkaniem z tym Plumkettem... Oczywiście, Plumkett mógł tu jakoś przeniknąć; zarośla są gęste, a Hicks i ja jesteśmy tylko ludźmi. Jeżeli Plumkett przeniknął tu, zabił staruszkę i zabrał te pieniądze... — przymknął oczy. — Jak ja spojrzę w twarz tej dziewczynie? Zaufała mi...

— Pan Plumkett ani nikt inny nie mógł przeniknąć do Mandalay House ani na teren posiadłości...

W głosie komisarza była tak absolutna pewność, że Alex szybko uniósł głowę i spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ wczoraj wieczorem, po telefonie Hicksa, przedsięwzięłem nadzwyczajne środki ostrożności. Rozciągnięto nadzór nad wszystkimi przystaniami zajmującymi się wynajmem łodzi i jachtów, a ludzie moi otrzymali rozkaz, aby natychmiast przekazano wiadomość o kimkolwiek, kto chciałby udać się drogą wodną tutaj. Poza tym od wczoraj wieczór cała posiadłość została otoczona z dala łańcuchem obserwacyjnym. Nikt poza mleczarzem, chłopcem od piekarza i furgonetką rzeźnika nie dostał się dziś

z zewnątrz na teren parku. Furgonetka była przez cały czas obserwowana z dala i zrewidowano ją pod byle jakim pretekstem, kiedy znalazła się znów na szosie. Ja sam przybyłem do miasteczka o szóstej rano i pilnowałem wszystkiego.

— Hicks powiedział mi, że rozmawiał z tobą przez telefon... — mruknął Alex.
— Byłeś w Londynie... Dlaczegoś to zrobił, Ben?

— Nie byłem w Londynie, a sierżant Hicks otrzymuje rozkazy ode mnie i ściśle się do nich stosuje, o co nie możesz mieć do niego pretensji, bo to ja pozwoliłem sobie na to niewinne kłamstwo wobec ciebie... A dlaczego to zrobiłem?... — Parker urwał na chwilę. — Nie chciałem ci przeszkadzać. Ale nie przypuszczałem, aby otoczenie Mandalay House z dala kordonem moich ludzi i moja obecność w pobliżu mogły ci w czymś zaszkodzić. A w wypadku nieprzewidzianych powikłań mogłem ci się bardzo przydać. Jak się okazało, miałem częściowo słusność. Teraz chciałbym, żebyś mi opowiedział, co wiesz...

I Joe w krótkich słowach opowiedział mu. Kiedy skończył, Parker gwizdnął cicho przez zęby.

— Więc to on pisał do nas te listy! Teraz rozumiem... Nie miałeś najmniejszego powodu przypuszczać, że Somerville'owi może coś grozić, o ile Plumkett nie pojawi się. A Plumkett nie wynajął żadnej łodzi, nie dotarł także do Mandalay House drogą lądową. Mimo to generał zginął... Ale może to samobójstwo? Był szantażowany, cały dorobek jego życia mógł runąć w proch i pył. Był tak stary, że wiedział, jak mało dni mu już pozostało. Mógł wybrać samobójczą śmierć jako najlepsze rozwiązanie.

— I porzucił swój plan unieszkodliwienia Plumketta, zanim doszło do spotkania, którego rezultat z „jaką taką precyzją” opracował? — Joe potrząsnął głową. — Zresztą nikt nie słyszał wystrzału! A tłumika nie znaleziono. Poza tym chcę wiedzieć, gdzie są pieniądze? Paczka banknotów była tu o ósmej rano, jeśli mam wierzyć świadectwu Chandy, a na razie nie widzę powodu, aby świadectwo to odrzucać. Jeżeli nie znajdziemy ich — urwał.

— Będzie to oznaczało, że generał Somerville nie popełnił samobójstwa, ale został zamordowany i pieniądze skradziono.

Alex otworzył usta i skinął głową, jak gdyby chciał przytaknąć ostatnim słowom przyjaciela, ale nie odezwał się. Po chwili powiedział cicho:

— Niekoniecznie, Ben... Niestety, można sobie wyobrazić sto rozmaitych kombinacji na ten temat: na przykład, że generał dał te pieniądze Meryl, gdy była ona tu ze zdjęciami, a potem popełnił samobójstwo. Jest także pewien kwadrans... okres pomiędzy godziną, mniej więcej, 8.20 a 8.35 rano, o ile dobrze sobie przypominam, kiedy Chanda powrócił do domu po odprowadzeniu Somerville'a, a ja jeszcze siedziałem przy stole. Hicks pilnował wtedy posiadłości od strony pastwisk. Generał był wówczas sam w pawilonie. Mógł oddać komuś wtedy te pieniądze. Jest to bardzo nieprawdopodobne, ale nie można tego absolutnie wykluczyć, skoro pieniędzy nie ma. Ale czy ich nie ma na pewno?

— Moi ludzie przejrzeni tu każdy skrawek papieru i wszystkie miejsca... — Parker wzruszył lekko ramionami. — Ale wiem, że i tak będziesz chciał sprawdzić sam... — westchnął. — Chciałbym, żeby to było samobójstwo...

— Nie bardziej, niż ja bym tego chciał... — Alex rozglądał się uważnie. — Ale nie zabito go podczas owego kwadransa, gdyż widziałem go żywego tuż przed dziewiątą. Poruszał się. Jowett też to widział, gdyż był razem ze mną... Później byłem przez cały czas w odległości, z której musiałbym usłyszeć strzał, poza jedną chwilą, kiedy zająłem do biblioteki i dostrzegłem tam profesora Snidera, była wtedy godzina 9.50. Wiem, bo spojrzałem na zegarek. A o tej porze Hicks powinien być znajdować się już na miejscu. Gdzie jest Hicks?

— Kazałem mu się przespać, bo ledwie trzymał się na nogach. Czy chcesz, żeby go zbudzono?

— Nie. Teraz nie. Nie wiemy jeszcze nic, nie znamy wyników sekcji zwłok, nie wiemy nic o broni... Gdzie jest pistolet?

— Pojechał w tej chwili do ekspertyzy balistycznej. Ale najprawdopodobniej czekają na wyjęcie pocisku z ciała. Wyniki powinniśmy otrzymać przed wieczorem. Chciałbym ci zadać jedno pytanie, Joe.

— Tak...? — Alex znowu zaczął się rozglądać, nie poruszając się z miejsca.

— Byłeś tu na miejscu i twierdzisz, że Somerville nie mógł zostać zastrzelony ani nie zastrzelił się przed nadejściem burzy. Później któryś z was, ty albo Hicks, musiałby usłyszeć wystrzał, o ile nie zastosowano tłumika. W takim razie wniosek jest jeden: zastrzelił się, gdy wybuchła burza, tuż przed waszym nadejściem. Musiał być tu potworny hałas wtedy. Do tej pory słyhać grzmot fal, a wyobrażam sobie, co się tu działo, kiedy wiał wiatr, siekły deszcz i biły pioruny. Nie usłyszelibyście nawet wystrzału z armaty. W tym wypadku wszystko zgadzałyby się. Samobójstwo.

— A banknoty? — Alex podszedł do stołu, odsunął jedną szufladę, potem drugą... Papiery, notatki, nakreślone równym choć drżącym już nieco charakterem pisma. Pudełko kolorowych, idealnie naostrzonych ołówków, atrament „Skrip” Sheaffersa... — Mimowolnie Joe przeniósł spojrzenie na powierzchnię stołu: po lewej ręce kilka książek, pośrodku karta rękopisu, rozpoczęta i przerwana w połowie. Na górze numer strony 344, niżej tekst: „rozdział dziewiąty”, a pod nim nagłówek rozdziału: „O niektórych rażących omyłkach popełnionych ostatnio w zakresie datowania metalowych rzeźb szkół Gupta i Pala”.

I jeszcze niżej, pod nagłówkiem:

„Wydawałoby się, że w dziedzinie o problematyce tak skomplikowanej i najeżonej taką ilością pułapek, jaką jest wczesna metalowa rzeźba Indii, należy postępować z największą ostrożnością i formułować ostateczne sądy dopiero wówczas, gdy uczone uzyska niezbita dowody, do jakiego okresu, jakiej szkoły i jakiego warsztatu może przypi-

sać omawiane przez siebie dzieło sztuki. Dowody bywają różnorakie: zanotowana na piśmie dokładna historia danej rzeźby, co zdarza się stosunkowo rzadko, ale jest zwykle dowodem bezspornym, jeśli w dodatku rzeźba ta znajduje się bez przerwy na terenie świątyni lub pałacu, gdzie ją pierwotnie ustawiono, lub jeśli źródła pisane podają nam historię jej wędrówki. Drugim dowodem jest zespół cech charakterystycznych dla danego warsztatu, obszaru lub epoki, to znaczy wszystko to, co zobaczyć możemy gołym okiem, oraz cechy techniczne, czyli to, czego rezultaty także częściowo dają się zobaczyć, ale co związane jest z okresem tworzenia rzeźby: wytop metalu, obróbka, rodzaje stopów i wysokość temperatury... co ja piszę?... To dodam później, przecież proste, tu chaos... Uczony, który bez zbadania obu zespołów tych cech chce wyrokować na temat rzeźby Indii, może, a nawet musi, popaść w szereg rażących błędów. Sytuację komplikuje dodatkowo fakt powtarzania pewnych stopów i układów kompozycyjnych ze względów rytualnych. Ale tak jak Madonna czternastowieczna w Europie różni się od... nie, nie, to nie tak, nie tak... Otóż, uczony, który posługuje się jedynie wnioskami o charakterze ogólnym, nie zadając sobie trudu, aby przebadać wszystkie wzajemne powiązania układów cech charakterystycznych... To później, od razu teraz o nim: Jako przykład rażącej omyłki, która wynikła z niedostatecznego zrozumienia obu zespołów tych cech przez uczonego-badacza, może posłużyć grupa brązowa Człowieka... nie, nie mogę...”

Na tym, niemal u końca strony, rękopis się urwał. Joe uniósł kartkę i wpatrywał się w nią przez chwilę ze skupieniem.

— Cóż tam widzisz? — zapytał Parker. Alex bez słowa podał mu zapisany papier, potem stanął przy nim i razem po cichu odczytali tekst.

— Co ci to mówi, Ben?

— Czy to ma być skierowane przeciwko temu Amerykaninowi?

— Tak. Tak sądzę, chociaż nikt już się nigdy nie dowie, co generał Somerville chciał napisać...

— Czy chcesz powiedzieć, że ten Snider mógłby być zadowolony ze śmierci gospodarza Mandalay House?

— Zadowolony? Myślę, że musi być szczęśliwy... — Joe poważnie skinął głową. — Na jego miejscu dziękowałbym do końca życia Opatrzności za tak niesamowity splot wypadków. Słyszałem wczoraj rozmowę o tej rzeźbie... — Wskazał palcem leżące na stole fotografie — i muszę ci powiedzieć, że staruszek miał w moim przekonaniu absolutną, miazdzącą słusność. Nie jestem ekspertem, ale dokładnie wiem, na czym polegał błąd Snidera.

— Hm... — powiedział Parker. — A Snider wiedział o tym, że generał chce go skompromitować?

— Tak. Somerville nie krył się z tym. Powiedział, że dziś zabierze się do pisania na ten temat. Dlatego Meryl Perry miała mu dostarczyć tu te zdjęcia...

— Więc wiedział, hm... — Zastępca szefa wydziału kryminalnego potrząsnął głową.
— Co innego mnie tu interesuje... — Joe wskazał miejsce u dołu tekstu. — Co to znaczy: „nie, nie mogę...”?

— Zapewne wahał się, czy wolno mu zdemolować jednym pociągnięciem pióra reputację innego uczonego. Chyba uczeni także miewają skrupuły natury etycznej?

Alex uśmiechnął się odruchowo.

— Nie nasz kościany dziadek! Nie sądzę, żeby miał jakiegokolwiek skrupuły...

— W takim razie po cóż by gryzmolił tego rodzaju wtręty na swoim brudnopisie?

— „Nie mogę” nie musi oznaczać: nie mogę, ponieważ mam skrupuły.

— Nie rozumiem?

— A jeśli, powiedzmy, profesor Snider dał generałowi do zrozumienia, że wie o nabytcu przez niego tego posągu z Moulmein? Wtedy Somerville musiałby się długo namyślać, zanim by przystąpił do działań zaczepnych przeciw komuś, kto mógłby pokwitować jego wypowiedź pogardliwą notką o nabywcach kradzionych dzieł sztuki i ich poglądach.

Alex uniósł kartkę i raz jeszcze odczytał ostatnie słowa.

— A pan Plumkett, który w tym wypadku wiedziałby tyle samo co profesor Snider, nie pojawił się w ogóle i nie wiemy nawet, czy to nie jedna i ta sama osoba. — Parker pokiwał głową. — Zaczynam powoli dostrzegać jakieś niewielkie światełko, Joe...

— Jesteś w lepszej sytuacji niż ja... — Alex patrzył na fotografie. — Boję się, Ben... Boję się, że to wszystko stało się inaczej, nie tak...

— Nie jak? — Parker zmarszczył brwi. — A czy przed chwilą wydawało ci się, że wiesz, jak to się wszystko stało?

— Nie, ale były dwa możliwe wyjścia... A teraz nie ma żadnego... A raczej... — Urwał, wskazał ręką fotografię. — O ile pamiętam, leżą one dokładnie tak, jak je znaleźliście? Wydaje mi się, że kiedy wszedłem tu, to biurko wyglądało właśnie tak?

— Oczywiście. Wszystko jest na swoim miejscu. Moi ludzie nie zmienili położenia żadnego z przedmiotów. Brak tylko ciała i pistoletu. Poza tym wzięto próbki kawy z termosu, bo to po prostu kwestia rutyny służbowej.

— Więc fotografie leżały tak... — Joe spojrział na rozrzucone w nieładzie zdjęcia: Para Ludzi Śniegów sfotografowana od przodu, z lewej strony, z prawej, od tyłu, zbliżenie obu twarzy. Razem pięć zdjęć. Uniósł jedno z nich, leżące najwyraźniej na jakimś przedmiocie. Było to pióro zmarłego, czarny sheaffers ze złotym pierścieniem na zakrętce.

Alex odłożył pióro i umieścił na nim zdjęcie, aby wszystko powróciło dokładnie do poprzedniego wyglądu.

— No cóż — powiedział. — To także się nie tłumaczy...

— Co?

— Parker podszedł i zaczął wpatrywać się w biurko.

— Och, nic... — mruknął Joe. — Jesteśmy tu dziesięć minut, a już otwiera się nowa alejka dla śledztwa, prowadząca w przeciwnym kierunku oczywiście... — Po prawej stronie stołu stała piękna saska filiżanka, biała, o błękitnym wzorku, a obok niej niewielki czerwony termos, ten sam, który miała w ręce Karolina Beacon jeszcze przed kilku godzinami. Odruchowo Joe zerknął w głąb filiżanki, gdzie na dnie było nieco kawy. Później uniósł zakrętkę termosu, wyjął luźno wsadzony korek i zajrzał. Tu także była tylko resztką kawy na dnie.

Odszedł od stołu, potem zawrócił i wziął do ręki stojącą w rogu figurkę.

— Co to jest? — zapytał Parker patrząc bez entuzjazmu na dziwaczną postać, którą Alex kołysał lekko, oparłszy ją w zagłębieniu dłoni.

— Zobacz... — Joe podsunął mu figurkę. — Ciężka, prawda?

— Tak. Co to jest?

— Czteroręki Wisznu, zdaje się, że dziewiąty wiek. Bardzo piękna robota...

— Nie interesuje mnie nazwisko tego kaleki... — zastępca szefa wydziału kryminalnego wskazał cztery roztańczone ręce statuetki. — Chciałem zapytać, z jakiego metalu jest zrobiony?

— Ze złota... — powiedział Alex spokojnie. — A mając na uwadze okres, w którym tę rzeźbę wykonano, i doskonałość roboty, warta ona jest nieskończenie więcej niż suma, której tu brakuje. — Znowu odszedł od stołu, przez chwilę przesuwając oczyma po ścianach budynek, podszedł do jednej z nich, opukał ją, później zwrócił spojrzenie ku podłodze...

Krok po kroku posuwał się powoli, zawrócił i powtarzał tę czynność, póki nie nabrał zupełnego przekonania, że nie czeka go z tej strony żadna niespodzianka. Zbliżył się do umywalni, obejrzał ją dokładnie, później, przytykając niemal twarz do kafelków, zlustrował całe jej obramowanie. Wreszcie wyprostował się i podszedł do Parkera, który przyglądał mu się z wyrazem zniechęcenia na twarzy.

— Czy liczyłeś na tajemne przejście, łączące dom z pawilonem?

— Nie — Alex potrząsnął głową — chociaż tego rodzaju udogodnienie pozwoliłoby nam zrozumieć pewien mały falcik. Myślałem o tych pieniądzach... Niestety, nie ma tu ich. A w każdym razie nie udało mi się zauważyć żadnej skrytki. Zresztą człowiek, który trzymał bezcenne, złote statuetki na biurku, nie miał potrzeby budowania skrytek w pawilonie, którego używał tylko przez pół dnia, i to w dodatku w okresie letnim. Ale chciałem się upewnić...

— I jakie wnioski?

— Na razie dwa: nikt nie słyszał wystrzału i nie wiadomo, co się stało z pieniędzmi przygotowanymi dla szantażysty.

— Tak, ale... — Parker zawahał się. — Nie widziałeś tych pieniędzy, prawda? Masz na to tylko słowo tego służącego.

— To prawda... — Alex skinął głową. — Mam na to tylko słowo tego służącego.
— Ruszyli ku drzwiom. Detektyw Brover oderwał się od balustrady i ruszył ku nim.

— Straszna rzecz, szefie... — powiedział niemal wesoło.

— Myślicie o śmierci generała Somerville'a?

— Nie... — w tym jednym, krótkim słowie zaprzeczenia można było usłyszeć lekkie zdziwienie. — śmierć to przecież nasz zawód, prawda? Myślałem o tym morzu. Okropność! Jak ten biedak mógł tam siedzieć? Bałbym się, że wiatr mnie zdmuchnie razem z tą budą. Przecież cała skała dygocze od tych fal...

— Wszystko jest kwestią przyzwyczajenia, Brover — powiedział jego szef sentencjonalnie. — Przysłać wam kanapki i herbatę w termosie, co?

— Dziękuję, szefie... — Brover uśmiechnął się, ukazując zdumiewająco białe i równe zęby. — Ale może będą mieli w tym pałacu coś ciepłego dla policjanta w służbie Jej Królewskiej Mości? W końcu przecież jedna osoba mniej zasiądzie tam dzisiaj do lunchu, prawda? Gotów jestem zjeść porcję zmarłego.

— Generał Somerville był prawdopodobnie na diecie... — Parker smutnie pokiwał głową. — Otrzymacie więc kleik i sucharki.

— To już niech będą kanapki i herbata! — powiedział szybko Brover.

Minęli pomost i weszli w alejkę prowadzącą ku domowi.

— Wiem, jakie to wszystko trudne dla ciebie... — Parker położył dłoń na ramieniu przyjaciela. — Ale gdyby moi ludzie nie żartowali w obliczu śmierci, ich praca byłaby nie do wytrzymania. Rozumiesz mnie, prawda?

— Och, w porządku! — Joe spojrział na niego i uśmiechnął się blado. — Doszedłem już do siebie — Ben! Nie krępuj się mną. W końcu to nie mój dziadek. Ale nie rozumiem tego! Od pierwszej chwili wiem, że stało się tu coś, czego nie rozumiem! A jeżeli ten lekarz zadzwoni i powie, że staruszek popełnił samobójstwo, będę rozumiał jeszcze mniej!

— Dlaczego?

— Najgorsze jest to, że gdybym umiał ci powiedzieć: dlaczego, wtedy wszystko byłoby jasne! Na wszelki wypadek chciałbym, żebyś jeszcze raz sprawdził tych wszystkich ludzi, którzy tu są. Myślę, że kiedy przyszedłeś do mnie w Londynie, miałeś o nich tylko pewną ilość podstawowych informacji, zebranych w bardzo krótkim czasie. Teraz potrzebne nam będzie o nich wszystko. I bardzo będę ci zobowiązany, jeżeli... — zawahał się, ale dokończył szybko — Scotland Yard zbierze dla nas maksimum informacji o panie Meryl Perry...

— Tej, która ostatnia widziała generała Somerville'a przy życiu!

— Tak. Ale nie dlatego. Wydaje mi się, że gdzieś już spotkałem ją, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie. A nazwisko jej jest mi obce. Wiesz, jak to jest, pamięć przechowała jej twarz, ale nie przechowała nazwiska albo może jakieś inne nazwisko? Ale mogę się mylić. Karolina zna ją od lat. Studiowały razem.

— Czy mylisz się, czy nie, nie zaszkodzi sprawdzić. Zresztą pomyślałem już o tym i notatka poszła do Yardu w pięć minut po naszym tu przybyciu. Ale to może potrwać.

— Wiem... — Joe zamilkł. Zobaczyli przed sobą klomb. Róże kwitły tak samo jak przed paru godzinami, piękne, świeże, spryskane ulewą.

— Słuchaj! — powiedział nagle Parker i zatrzymał się. — Zapomnieliśmy o jednym.

— O czym? — Alex, wyrwany z zamyślenia, spojrzął na niego nie rozumiejącymi oczyma.

— O najprostszym pytaniu, na które trzeba sobie odpowiedzieć, kiedy ginie w nie wyjaśnionych okolicznościach bogaty człowiek: kto po nim dziedziczy?

— Jeszcze do wczoraj — odpowiedział Alex spokojnie — pytanie twoje padłoby w próżnię, albowiem generał Somerville zapisał w testamencie cały swój majątek pewnej czcigodnej instytucji wyższej użyteczności publicznej.

— A co się stało wczoraj?

— Wczoraj zmienił zdanie i napisał nowy testament, którego treść jest mi dokładnie znana, gdyż byłem jednym ze świadków i podpis mój figuruje na tym dokumencie. Parker otworzył usta, ale zamknął je ponownie. W milczeniu przeszli kilka kroków. Joe zatrzymał się.

— Dziękuję ci, Ben... — powiedział z lekkim, niewesołym uśmiechem. — Ale takt policjanta zwykle ma w sobie coś złowrogiego. Twoje milczenie mówi mi, że domyśliłeś się, kogo generał Somerville uczynił wczoraj wieczorem swym jedynym spadkobiercą. Zgadłeś. Osobą, która stanie się właścicielką Mandalay House, wspaniałych zbiorów i wielkiego, jak sądzę, konta bankowego, jest Karolina Beacon.

— To zrozumiałe — powiedział prędko Parker. — Jest przecież jego cioteczną wnuczką i... i...

— I osobą stojącą poza wszelkimi podejrzeniami, chciałeś powiedzieć? — Joe ruszył ku drzwiom domu. — Ben, mój przyjacielu, wpadliśmy w głupią kabałę, co? Ale niech każdy z nas pełni swoją powinność.

Poklepał Parkera po ramieniu.

Zastępca szefa wydziału kryminalnego westchnął.

— Pomożesz mi, oczywiście, przy tym śledztwie, Joe? — powiedział niepewnie.

— Oczywiście, że ci pomogę... — Alex raz jeszcze wziął go za ramię i zmusił do zatrzymania się. — Wiem, co myślisz, stary lisie! Twoje sumienie policjanta mówi ci, że jestem ostatnim człowiekiem, który powinien być wtajemniczony w szczegóły tego dochodzenia, ponieważ jestem... hm... adwokatem jednej z podejrzanych osób. Ale, z drugiej strony, jesteś tak absolutnie jak i ja przekonany, że Karolina nie mogła popełnić tej zbrodni. Dlatego jesteś w rozterce. Jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, to gdybym w czasie dochodzenia uzyskał chociaż cień podejrzenia, że może być winna, byłbym pierwszym człowiekiem, który... który... — urwał.

— Byłbyś pierwszym człowiekiem, który zrobiłby wszystko, żeby ją uratować, ponieważ ją kochasz, Joe.

— Ale myślę, że nie mógłbym jej kochać, gdyby okazało się, że dla zysku zabiła tego bezbronного staruszka... — powiedział Alex poważnie. — Znasz mnie dłużej i lepiej niż ktokolwiek inny. Wiesz przecież: nie można kochać żmii.

— Tego nie wiem... — Parker znowu westchnął. — Zbyt wiele widziałem w życiu. Ale nie mówmy głupstw. To wspaniała dziewczyna i nawet przez myśl mi nie przeszło to wszystko, co... co... sugeruje ta jedna banalna skądinąd okoliczność. Od czego zaczniemy?

Joe spojrział na niego spod oka. Wiedział, że Parker nie żywi najmniejszych podejrzeń wobec Karoliny. Ale wiedział równocześnie, że gdyby poszlaki zaczęły wskazywać na nią, wówczas nawet ich prawdziwa długoletnia przyjaźń nie powstrzymałaby w najmniejszym stopniu zaciskania się oczek sieci, której końce Benjamin Parker trzymałby w swych rękach.

— Och, myślę, że trzeba porozmawiać z tymi ludźmi — powiedział swobodnie. — Trzeba ustalić, co robili w ciągu tego przedpołudnia. A poza tym któraś z tych osób może powiedzieć nam coś ciekawego, prawda? Coś, o czym nie wiemy, a co może jej wydawać się nic nie znaczące. A później nadejdą wiadomości o sekcji, ekspertyza balistyczna i dane personalne, które ma ci dosłać Yard.

— Dobrze — Parker skinął głową. — Przeprowadzimy wstępne przesłuchania i potem chyba zjemy coś, prawda? Jestem głodny.

Roześmiał się. Ale wyostrzony słuch Joe Alexa uchwycił w jego śmiechu nikłą, fałszywą nutkę.

— Kogo chcesz przesłuchać pierwszego, Joe?

— Inżyniera Cowleya. Nie widziałem go od śniadania. Zaszły się gdzieś. Jowett, który z nim pracuje, szukał go także i nie mógł znaleźć.

— Znajdzie się — powiedział Parker swobodnie. — O ile nie jest już w swoim pokoju. Moi ludzie pilnują całego parku i dałem im rozkaz, żeby kierowali wszystkich domowników do domu. A mogę cię upewnić, że pan Cowley nie opuścił po śniadaniu Mandalay House.

— Znakomicie — Joe także był teraz swobodny, bardziej swobodny niż kiedykolwiek. — Musimy tylko znaleźć sobie odpowiednie miejsce na główną kwaterę.

Weszli do domu.

Rozdział 13

O której generał jadł śniadanie...

Ale inżyniera Williama Cowleya nie przesłuchano dla bardzo prostej przyczyny.

— Czy jesteście pewni, że nie ma go w parku?

— Nikogo nie ma w parku, szefie. Tak jak pan kazał, przeczesał całą posiadłość. Zresztą poza obrębem domu była tylko jedna osoba: ogrodnik, który siedział w oranżerii i nie wiedział o niczym. Kazaliśmy mu pójść do kuchni, gdzie jest teraz razem z kucharką i pokojówkami.

— W pracowni też byliście?

— Tam gdzie jest ten piec, szefie? Tak. Zagląaliśmy wszędzie. Dogasał tam właśnie ogień pod kotłem z miedzią, zdaje się. Nie było tam nikogo. Jego pokój tutaj był zamknięty. Otworzyłem drzwi wytrychem, ale też go nie było. Pytaliśmy wszystkich po kolei, ale nikt go nie widział.

— Czy wszyscy domownicy, których macie na waszej liście, są u siebie w pokojach?

— Tak, szefie. Woodbine siedzi tam w korytarzu na krzeselku i pilnuje. Nie zabroniliśmy nikomu wychodzić, ale prosiliśmy, żeby pozostali w swoich pokojach. Stosują się do tego, jak dotąd. Pukałem do wszystkich pokoi i pytałem, czy nie ma tam pana inżyniera Cowleya albo czy nie widziano go. Nikt go nie widział od śniadania.

— A służba?

— Służba też go nie widziała od tego czasu. To znaczy pokojówka, bo kucharka była na dole w kuchni i nie widziała dziś nikogo z gości. To bardzo energiczna osoba, szefie, nazywa się Rowley. Kiedy zapytałem ją o inżyniera Cowleya, zapytała mnie z kolei, czy moja matka, przygotowując obiad dla tylu osób, biegałaby po piętrach, żeby popatrzeć na młodych inżynierów?...

— Dobrze, dobrze... — Parker machnął ręką. — Więc nie ma go i nikt go nie widział.

— Ogrodnik, szefie. Ale to było jeszcze na chwilę przed śniadaniem. O ósmej, mniej więcej. Wszedł i wybrał sobie jedną z orchidei w cieplarni. Powiedział, że wpadnie po nią później około pół do dziesiątej, bo chce ją dać komuś. Potem wyszedł. Ogrodnik przybrał tę orchideę pięknie, jak powiada. Ale pan Cowley nie zgłosił się po nią.

— To wszystko?

— Wszystko, szefie... — detektyw zawahał się.

— No, co takiego?

— Ja myślę, szefie, że jedna z tych osób zachowuje się trochę dziwnie.

— Kto taki? — Parker odłożył trzymany w ręce długopis, którym rysował esy-floresy na czystej kartce papieru. Alex, który stał przy półce z książkami, wyjmując machinalnie jeden tom po drugim, zerkając na tytuły i odkładając na poprzednie miejsce, zniechęconym nagle, a potem odwrócił głowę i spojrzał na detektywa.

— Jedna z pań, szefie. Panna Meryl Perry...

Joe wsunął książkę pomiędzy dwie inne i zawrócił powoli ku środkowi pokoju. Znajdowali się w tej chwili w bibliotece.

— Cóż takiego dziwnego jest w zachowaniu panny Meryll Perry?

— Kiedy zapukałem do jej pokoju, żeby zapytać, czy nie ma tam inżyniera Cowleya albo czy go nie widziała w ciągu ostatnich godzin, nie otwierała przez chwilę, a później, kiedy podeszła do drzwi i otworzyła, widać było, że jest zapłakana, ale że się przypudrowała prędko. Trochę pudru było nawet na rękawie sukienki...

— To nic tak znowu nadzwyczajnego. Prawdopodobnie panna Perry jest osobą wrażliwą i śmierć gospodarza mogła wyrzucić na niej pewne wrażenie. Niektóre kobiety reagują płaczem nawet na znacznie mniej dramatyczne wydarzenia. A fakt, że się przypudrowała, także mnie nie dziwi.

— Być może, szefie. Ale kobieta, która na bardzo uprzejme zapytanie, czy nie widziała ostatnio pana inżyniera Cowleya, cofa się dwa kroki i mdleje, jest chyba godna uwagi. Szczególnie wówczas, gdy tego inżyniera nie można nigdzie odnaleźć, a wiemy, że gdzieś w pobliżu musi się znajdować. Dlatego pozwoliliśmy sobie obaj, bo Highbrow był ze mną, szefie, na wejście do jej pokoju. Kiedy ja spryskiwałem jej twarz wodą, on rozejrzał się dokładnie. Wszedł do łazienki, zerknął nawet do szafy. Myśleliśmy, że może ta pani, na przykład, zabiła pana Cowleya i trzyma zwłoki u siebie w pokoju, albo może po prostu schował się on u niej, chociaż nie znaleźmy powodów, dla których jedno czy drugie miałyby mieć miejsce.

— I co?

— Nic, szefie. Nie przeprowadziliśmy oczywiście rewizji, bo nie mieliśmy rozkazu tego rodzaju, ale mogę zaręczyć, że pana Cowleya u niej nie było żywego ani umarłego.

— Dzięki niech będą Opatrzności — mruknął Parker — drugi nieboszczyk w ciągu jednego dnia to byłoby trochę za wiele. Ale gdzie, u diabła, jest ten Cowley?

Stojący przed nim detektyw nie odpowiedział.

— Czy zaglądaliście do łodzi motorowej, przycumowanej na przystani? — zapytał Alex niemal obojętnym głosem. Zawrócił znów do półki i wyjął następnym tom.

— Tak, proszę pana. Łódź jest pusta. Sprawdzałem także strychy, garaż i nawet zajrzałem do bagażników aut. Tylko bagażnika Rolls Rocé'a, który stoi na podjeździe, nie mogliśmy otworzyć. Ma bardzo skomplikowany patentowany zamek i trzeba byłoby specjalisty i najprecyzyjniejszych narzędzi, żeby...

Alex spojrzał na swego przyjaciela tak, jak gdyby chciał powiedzieć: „Widzisz, stary!” Równocześnie sięgnął do kieszeni i podał sierżantowi pęk kluczy.

— To mój wóz. Zajrzyjcie tam i przynieście mi te kluczyki z powrotem tutaj.

— Pański wóz? — zapytał niemal z przestachem detektyw.

— Myślałem, że należy do tego nieboszczyka... Najwspanialsze auto świata, proszę pana. Wziął kluczyki i zrobił krok ku wyjściu.

— Nonsens! — powiedział Parker. — Po co te głupstwa, Joe? Jeżeli te kluczyki są tak precyzyjne, któż mógłby je podrobić? I dlaczego, na miłość boską, przypuszczasz, że ten Cowley nie żyje i jest ukryty w twoim bagażniku?

— Nie powiedziałem nic takiego... — Joe uśmiechnął się lekko. — Ale jeżeli jesteś absolutnie przekonany, że nasz młody inżynier nie opuścił terenu posiadłości, musi gdzieś być. Jeżeli twoi ludzie są pewni, że nie ma go ani w parku, ani w domu, musi znajdować się albo w jednym z pokoiów, których nie rewidowaliście, albo w którymś z miejsc, do których nie zajrzeli. Bagażnik mojego auta jest jednym z takich miejsc. A mogę cię zapewnić, że jest bardzo przestronny. Z łatwością można by tam ułożyć trzech albo czterech inżynierów. Kto wie, może nawet pięciu?

— Nie kpij, błagam cię... — Parker dał znak detektywowi, żeby wyszedł i zrobił, co do niego należy. Potem zwrócił się ku Alexowi. — Dlaczego się tak dziwnie zachowujesz, Joe?

— Po pierwsze dlatego, że twoja przybrana w galowy mundur duszyczka jest pełna podejrzeń. Ale to naprawdę nie jest w tej sprawie najważniejsze. Prawda zawsze w końcu wychodzi na wierzch, więc możesz sobie teraz śmiało pozwolić na luksus błędzenia po labiryntach znanych tylko umysłom funkcjonariuszy policji na wyższych stanowiskach. Jestem przekonany, że choć nic jeszcze nie wiemy o tej całej sprawie, mignęło ci już w myśli okropne podejrzenie, że to na przykład Karolina Beacon zamordowała swego dziadka Johna, a ja wiem o tym i dlatego jestem przygnębiony, gdyż kocham ją i nie chcę jej zdradzić. Wówczas, jak chce prawo, stałbym się współnikiem zbrodni. Oczywiście, odrzuciłeś natychmiast to podejrzenie, ale ponieważ jesteś moim prawdziwym i jedynym przyjacielem, a ja jestem, zdaje się, także jedynym prawdziwym przyjacielem twoim na tym najbardziej obojętnym ze światów, więc przeżywaś tragicznie nawet ów ślad, ów nikły cień, który padł na nasze stosunki. Otóż, mogę cię upewnić, że nie wiem, kto zabił generała, jeśli nie popełnił on samobójstwa.

— Joe, błagam cię... Jeżeli nawet umysł ludzki wbrew woli człowieka musi brać pod uwagę wszystkie okoliczności to...

— Rozumiem cię doskonale, Ben. I muszę ci powiedzieć, że nie bardzo troszczę się o twoje psychiczne przejścia. Bardziej mnie dziwi fakt zniknięcia Cowleya. W tej chwili sytuacja jest tego rodzaju, że Somerville nie żyje, zniknęło siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, a wraz z nimi pan inżynier Cowley. Jest to następny fakt bezsporny.

— Czy chcesz powiedzieć, że...

— Że Cowley uciekł z tymi pieniędzmi? Nie mogę tak powiedzieć, ponieważ twierdzisz z absolutną pewnością, że ludzie twoi otoczyli Mandalay House z daleka szczelnym kordonem i nikt nie mógł opuścić tego domu bez waszej wiedzy.

— Jak wiesz, ludzie uciekają nawet z najlepiej strzeżonych więzień... — Parker znowu siadł i zaczął kreślić koła na zapisanej już prawie całkowicie kartce. — Jeżeli zawołam teraz moich ludzi i zadam im to pytanie, każdy z nich powie, że na odcinku przez niego strzeżonym nawet mysz nie mogła się przemknąć. Ale... — Potrząsnął głową. — Z drugiej strony trzeba przyznać, że Mandalay House leży pośród pól i przytyka do skalistego, opadającego ku morzu brzegu. Moi ludzie nie mieli trudnego zadania, a Cowley nie wiedział przecież o tym, że cały rejon jest pilnowany. Sądzę, że gdyby nawet czołgał się, nie mógłby uciec niepostrzeżenie.

— A brzeg? — zapytał Alex.

— Na morzu była łódź patrolowa, nie wspominając już o tym birmańskim służącym, który tkwił na strychu z lornetką. Gdyby Cowley chciał odpłynąć, dostrzegliby go natychmiast. Ale teoretycznie można by założyć, że uciekł wpław. To byłoby bardzo trudne, ale nie niemożliwe dla świetnego pływaka.

— Wpław? — Parker uderzył się w czoło. — Tak! Ale musiałby płynąć co najmniej milę po morzu wzdłuż brzegu... Tak... nie wydaje się to możliwe!

— Wczoraj — powiedział Joe — wziąłem motorówkę i razem z Karoliną odbyliśmy wodny spacer wzdłuż brzegu. Ona kąpała się, a ja przez cały czas szukałem oczyma w tym urwisku jakiejś naturalnej ścieżki, prowadzącej w górę. Nie ma tam nic takiego, Ben. Przystań Mandalay House jest jedynym miejscem w obrębie posiadłości, którym można wspiąć się do góry i zejść w dół. Twoi ludzie pilnowali domu i parku od strony lądu. A łódź patrolowa kontrolowała wody przylegające, ale czekali na jacht albo motorówkę, a głowa pływającego pośród fal człowieka jest z dala niemal niewidoczna.

Rozległo się pukanie. Wszedł detektyw niosący pęk kluczyków.

— Przykro mi bardzo, proszę pana... — powiedział uśmiechając się — ale bagażnik jest pusty, jeśli nie liczyć narzędzi. — Zwrócił się do Parkera: — Przeszukaliśmy jeszcze strychy i piwnice oraz wolne pokoje. Nie ma go nigdzie.

— Przeszukajcie jeszcze raz park! — Parker znowu potarł podbródek. — I patrzcie na drzewa! Patrzcie w górę. Niejeden ptaszek uciekł już tylko dlatego, że przeszukiwano ogrody zaglądając pod drzewa i szperając w zaroślach, a nie podnosząc głowy! Ludzie mają skłonność do przypuszczania, że inni chodzą wyłącznie po ziemi, a nie umieją się wspinać nawet w chwilach niebezpieczeństwa!

— Tak jest, szefie! — detektyw zniknął.

Parker spojrział na zegarek.

— Chciałbym już mieć wynik tej przeklętej sekcji! Chciałbym mieć ekspertyzę ba-listyczną! I chciałbym mieć wyciąg z życia i spraw wszystkich osób, które znajdują się pod tym dachem! A jestem pewien, że żaden ze stu papierków, które tu wylądują przed nadejściem nocy... — zastukał długopisem w biurko — nie wniesie nic, czego byśmy nie wiedzieli albo nie spodziewali się dowiedzieć!

Ani on, ani Joe nie wiedzieli, jak bardzo się mylił wymawiając te słowa. Ale to dopiero miało nadejść. Na razie rozległo się ponowne stukanie do drzwi i inny detektyw wsunął głowę do pokoju.

— Telefon do pana, szefie! Dzwoni lekarz, który przeprowadza sekcję.

— Już idę! — drzwi zamknęły się. — Chwała Bogu — powiedział Parker. — Nareszcie będziemy coś wiedzieli! Nie przypuszczałem, że ten nadęty eskulap uwinie się tak prędko z naszym nieboszczykiem. Zaczekaj tu, dobrze?

Wyszedł. Joe powrócił do książek. Wyjął jedną, zajrzał, wyjął następną i...

Nie wsunął jej na powrót, lecz z wolna podszedł do biurka. Nie wypuszczając książki z rąk, przysunął sobie nogą krzesło i usiadł.

Tytuł brzmiał:

LISTA DZIEŁ SZTUKI
ZAGINIONYCH LUB ZNISZCZONYCH
PODCZAS DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ
W LATACH 1942-1945 NA TERENIE BIRMY

Był to gruby, ilustrowany tom wielkiego formatu. Alex ujął górną okładkę i uniósł ją, patrząc uważnie na przesuwające się krawędzie kartek. W pewnym miejscu dostrzegł jak gdyby większy odstęp. Mogło to oznaczać miejsce zszycia papieru albo też miejsce, do którego czytelnik książki najczęściej zagląda. Wsunął palec pomiędzy karty i rozłożył je.

Nie mylił się.

Na wielkiej planszy przedstawiającej fotografię wnętrza świątyni widać było siedzącą postać Buddy. Pod spodem biegł napis: „Sławny „Budda z Moulmein” zaginiony w czasie działań wojennych i dotychczas nie odnaleziony”. Niżej następowały dane dotyczące wagi, wysokości, stopu metali, wieku i pochodzenia rzeźby.

Joe patrzył przez chwilę w skupieniu. Widział już tę rzeźbę. Ale gdzie? W sali muzealnej? Nie...

Skinął głową i wstał pozostawiając otwartą książkę na biurku. Był to ten sam Budda, który powleczony nową cieniutką warstwą połyskliwego metalu stał wczoraj w pracow-

ni, gdzie Cowley i Jowett wykonywali kopie dla starego generała. I był to oczywiście ten sam Budda, którego Chanda kupił w Niemczech i o którego istnieniu dowiedział się niewidzialny jak dotąd pan Plumkett.

Drzwi otworzyły się.

— Niech piorun trafi tego durnia prosto w środek jego błyszczącego melonika! — powiedział Parker wchodząc. — Nie wie jeszcze nic, ale ma do mnie jedno pytanie: o której generał jadł śniadanie! Zawołałem tego Chandę i wyjaśnił, że pomiędzy godziną siódmą trzydzięci a za dziesięć ósma, gdyż takie były jego stałe obyczaje. Na to ten doktor powiedział: „dziwne!” i zapytał z kolei, czy pił kawę na śniadanie. Chanda odpowiedział, że nie, że generał pijał herbatę, a kawę dopiero po przybyciu do pawilonu, już o ósmej. Na to pan doktor powiedział tylko: „Ach, tak” i odwiesił słuchawkę.

— No cóż... — Joe zmarszczył brwi. — Przecież to normalne pytania. W chwili śmierci kończy się proces trawienny, a właściwie zamiera, bo kwasy działają jeszcze przez pewien krótki czas, coraz słabiej. Myślę, że zadałbyś podobne pytanie, będąc lekarzem, który dokonuje sekcji.

— Być może... Ale spodziewałem się, że będzie już coś wiedział. — Parker usiadł, zerknął na książkę: — Widzę, że zajmujesz się pouczającą lekturą. Szczęśliwi, którzy nie muszą za nic odpowiadać.

— Właśnie... — Joe uśmiechnął się lekko. — Szukałem tej książki od godziny, bo wydawało mi się, że w tej bibliotece powinno znajdować się coś takiego. Ale nie znałem tytułu, więc oglądałem książki kolejno, na chybił trafił. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie...

— W jakiej dziedzinie? — Parker zdawał się słuchać jednym uchem. — Wiesz, nakażalem telefonicznie poszukiwanie tego Cowleya.

— Na jakiej podstawie?

— Ha, gdybym wiedział. Nie mam żadnej podstawy prócz tej, że zginął człowiek, a w tym samym czasie pan Cowley uznał za wskazane odpłynąć i zniknął bez wieści. Nie oskarżam go na razie o nic, ale chciałbym go widzieć i porozmawiać z nim na temat jego niezwykłego zachowania! — Odetchnął głęboko i zabębnił palcami po stole. — Co to za książka? — Sięgnął po nią i odczytał tytuł.

— Na stronie 248 jest fotografia rzeźby, którą generał kupił w Niemczech... — powiedział cicho Joe. — Pan Plumkett uznał ten fakt za podstawę do żądania tego podarunku, którego nie możemy odnaleźć...

— Ach, to ta rzeźba... — Parker odnalazł stronę i spojrział na zdjęcie posągu. — Zdecydowanie nie lubię sztuki indyjskiej! — powiedział niechętnie. — Gdzie jest ten facet?... — uderzył palcem w brzuch Buddy.

— Znajduje się w pracowni, w której pracowali Jowett i Cowley... — Alex wstał, wziął książkę i ustawił ją w poprzednim miejscu.

— Czekaj! Chwileczkę! — Parker zerwał się. — Więc Cowley miał z tym do czynienia! I ten Jowett też... — Zastanawiał się przez chwilę. — Jeżeli Cowley widział tę rzeźbę i rozpoznał ją, mógł wejść w porozumienie z Plumkettem i... Nie, zaraz. Przecież to nie ma sensu.

— Sytuacja jest o tyle ciekawa, że, o ile wiem, w ciągu ostatniego czasu do Londynu wyjeżdżał tylko Chanda, Jowett, który prowadzi wykłady czy też pracownię rzeźby na Akademii, oraz pan Inżynier Cowley po zakup surowców potrzebnych do wytopu. Otóż pan Plumkett prowadził korespondencję z generałem na poste restante. I gdybyśmy założyli, że...

Zamilkł zastanawiając się.

— Chcesz powiedzieć, że Cowley mógł być w zмовie z Plumkettem? Ale czy nie wybiegamy zbyt daleko?

— Oczywiście, że wybiegamy zbyt daleko.. — Joe uśmiechnął się niemal niedostrzeżalnie. — Wiemy skądinąd, że panna Meryl Perry darzyła, jak to się mówi, uczuciem pana Cowleya, wiemy też, że pan profesor Snider musiał darzyć zupełnie przeciwnym uczuciem generała Somerville'a, jego córka na pewno podzielała to uczucie. Nie wiemy natomiast jeszcze niczego, co by rozświetliło tę sprawę. Ale jeżeli mamy postępować dalej w nieco abstrakcyjnym rozumowaniu, to po pierwsze bardzo wątpię, czy Cowley mógłby sam wpaść na to, że ów posąg Buddy zaginął w czasie wojny. Jest on przecież tylko inżynierem metalurgiem, a nie specjalistą od rzeźby wschodniej. Po drugie, jeśli mówimy, że Cowley uciekł z siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami dolarów, to trzeba założyć, że zaplanował to sobie przedtem bardzo precyzyjnie. Ale planując rzecz tak, żeby uciec wpław wzdłuż wybrzeża, musiałby wiedzieć z góry, że generał Somerville będzie miał pieniądze w banknotach studolarowych przy sobie w pawilonie, co jest dla osoby nie wtajemniczonej rzeczą nieprawdopodobną. Po drugie, musiałby wiedzieć, że dom będzie otoczony przez twoich ludzi, inaczej uciekłby drogą lądową. Nie wspominał już o ubraniu, które musiałby ukryć uprzednio gdzieś pośród skał na brzegu. Nie mógł przecież odbyć dalszej drogi łądem ubrany w spodenki kąpielowe. Z drugiej strony, nie rozumiem, jak człowiek bądź co bądź inteligentny, który, pracując tutaj, mógł liczyć na dość wysokie honorarium, miał przed sobą przyszłość i w ogóle był zupełnie normalnym inżynierem, jakich tysiące mamy na całym świecie, mógł być na tyle głupi, żeby zabijać człowieka, porywać pieniądze i uciekać w tak zdumiewający sposób, wiedząc, że postawi na nogi całą policję brytyjską, która rozesłże za nim listy gończe do wszystkich państw kuli ziemskiej? Jest w tym coś nieprawdopodobnego: tak precyzyjny plan o tak nierozsądnym zakończeniu, dla tak niewielkiego zysku, w porównaniu ze zbrodnią oczywiście. Nie, to chyba nie może być prawda...

— Dajmy temu spokój — Parker znowu zerknął na zegarek. — Zrezygnujemy na razie z naszego uciekiniera, musimy zająć się resztą towarzystwa. Nie wiemy, co się stało z Cowleyem, ale może on nie mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

— Tak, posłuchajmy, co nam mają do powiedzenia — Joe skinął głową. — A wydaje mi się, że warto rozpocząć od panny Meryl Perry, która skłonna jest dziś do przelewania łez. Płakała idąc do pawilonu, nie zapomnijmy o tym. Dlaczego?

— Zapytamy ją o to — Parker potarł podbródek, tym razem zdecydowanie. — Jak myślisz, sprowadzić ją tu, czy może lepiej będzie odwiedzić ją w jej pokoju?

— Alex bez słowa wskazał palcem sufit. Wstali i ruszyli ku drzwiom.

Rozdział 14

Pierwsze przesłuchania

— Proszę! — dobiegł ich spoza drzwi cichy kobiecy głos. Weszli.

Meryl Perry była bardzo blada i miała podkrążone oczy, ale najwyraźniej opanowała się już. Spróbowała nawet uśmiechnąć się do Alexa i odpowiedziała miłym skinieniem głowy na formalny ukłon Parkera.

— Miss Perry, to jest pan komisarz Benjamin Parker ze Scotland Yardu — powiedział Joe.

— W związku z nie wyjaśnionymi jeszcze okolicznościami śmierci generała Somerville'a chciałby pani zadać kilka pytań, jeżeli czuje się pani już dobrze?

— Tak, proszę bardzo... — Meryl skinęła głową. — Już mi lepiej. Byłam tak wstrząśnięta tym wszystkim. A kiedy ci panowie weszli i jeden z nich zapytał mnie, czy nie widziałam Will... to znaczy inżyniera Cowleya, przestraszyłam się, że znów nastąpiło coś okropnego, i chyba zemdlałam. Ale teraz już nie zemdleję — znowu spróbowała się uśmiechnąć. — Proszę, panie komisarzu, niech pan pyta.

Parker chrząknął.

— O ile wiemy, jest pani ostatnią osobą, która widziała generała żywego na mniej więcej pół godziny przed znalezieniem ciała. Chciałbym usłyszeć, jeżeli mówienie o tym nie jest w tej chwili ponad siły pani, jak zachowywał się generał Somerville, kiedy weszła pani do pawilonu przynosząc mu te zdjęcia? Meryl milczała przez chwilę.

— Jak zachowywał się?... — Znowu urwała. — Stałam nad biurkiem, wyjęłam z koperty fotografie. Powiedziałam: „Proszę, panie generale, tu mam komplet zdjęć tej grupy Yeti... Czy będzie potrzebne jeszcze jakieś ujęcie?...” — spojrzała na Parkera. — Zdjęcia robiłam sama, mając tylko jego ogólne wskazówki. Nie wiedziałam, czy nie będzie mu potrzebne jakieś dokładniejsze zbliżenie, obrazujące szczegółowo rodzaj obróbki lub modelowanie rzeźby.

— A generał Somerville?...

— Kiwnął tylko głową i powiedział: „Dziękuję, na razie, Meryl. To wszystko. Są bardzo ładne”...

— I co pani wtedy zrobiła?

— Wyszłam z pawilonu. Nastąpiła chwila ciszy. Dziewczyna odetchnęła głęboko.

— I gdzie pani udała się później? — zapytał Joe niemal obojętnym tonem.

— Później? — uniosła na niego oczy. — Poszłam do pracowni, bo... — zawahała się — miałam pewną sprawę do pana Cowleya... prywatną... Ale po drodze zmieniłam zdanie i wróciłam do domu. Byłam u siebie w pokoju do czasu, kiedy... zesłam i zastałam pana i Karolinę w hallu.

— Tak... — Joe skinął głową. — Nie chciałbym być niedyskretny, Miss Perry, ale stoimy w obliczu śmierci generała, która nastąpiła w nie wyjaśnionych okolicznościach. A pan inżynier Cowley, do którego miała pani prywatną, jak pani to stwierdziła, sprawę, zniknął w niewytłumaczony sposób. Czy mogłaby pani powiedzieć nam, co to była za sprawa?

Stojący przy oknie Parker odwrócił się z wolna, podszedł do Alexa i stanął, wsparty na poręczy jego fotela, patrząc na Meryl.

— Czy mogłabym?... Ja nie rozumiem... — powiedziała cicho i Joe nagle pojął, że jest bliska płaczu. — Nic nie rozumiem. On jest taki dziwny... Ale przedtem rozumiałam go... Myślałam, że jest po prostu zazdrosny... Wczoraj...

Urwała i przytknęła chusteczkę do oczu, ale zaraz opanowała się z wysiłkiem.

— Przepraszam... — powiedziała cicho. — Wiem, że zachowuję się okropnie, ale to wszystko jest okropne...

— Niech się pani uspokoi... — Alex wstał i podszedł ku niej. — Proszę nas zrozumieć, policja musi zebrać podstawowe fakty i relacja z wydarzeń, żeby móc odtworzyć obraz wypadków i napisać protokół zamykający śledztwo. Chodzi nam tylko o kilka wyjaśnień, które, jak pani sama wie, nie są przeznaczone dla niczyjej wiadomości. Może pani mówić swobodnie...

Meryl w milczeniu potrząsnęła głową.

— Pan nie rozumie... — dodała cicho po chwili i spojrzała na Alexa z tak autentyczną rozpaczą, że Joe odwrócił się i podszedł znów do swego fotela. Parker, który przyglądał mu się, kiedy jego przyjaciel był odwrócony plecami do dziewczyny, dostrzegł wyraz napięcia w jego rysach.

— To takie proste — Meryl odetchnęła głęboko. — Kocham go i... i byłam przekonana, że on także mnie kocha. Wczoraj mówiliśmy o tym... byliśmy w parku wieczorem... powiedział, że jestem jedyną osobą w jego życiu, która... umówiliśmy się na dziś rano... Na dziewiątą w alejce za oranżerią... Powiedział, że po ósmej przygotowuje wytop dla pana Jowetta i że postara się przyjść punktualnie, jeżeli wszystko dobrze pójdzie, ale może się spóźnić, bo przy tego rodzaju pracy nigdy nie wiadomo, czy nie nastąpi parę minut opóźnienia z powodu jakiejś niedokładności w pracy pieca albo niemożności uzyskania odpowiedniej temperatury. Powiedziałam, że będę czekała... To nie

było nic ważnego, zwykle spotkanie w parku. Ale ponieważ on ciągle robił sceny o pana Jowetta, który zachowuje się zawsze tak swobodnie i drażni go umyślnie... tak mi się przynajmniej wydaje... Nie chciałam, żeby znów mu coś powiedział. Pan Jowett jest złośliwy! — wybuchnęła nagle. — Wydaje mu się, że powinna byłam... — znowu urwała. — Czekałam na niego w tej alejce do dziewiątej... Spacerowałam tam i na powrót. To część parku przytykająca do pól, a ta alejka biegnie tuż obok muru i nikt tam nigdy nie chodzi. Czekałam, minęło pół godziny, potem godzina i... nie przyszedł. Wtedy byłam już roztrzęsiona, bo myślałam, że pan Jowett znowu mówił jakieś głupstwa o kobietach albo tylko o mnie. On potrafi być obrzydliwy! Rzucił ciągle jakieś uwagi, pozornie bardzo uprzejme, o moim ciele i o tym, że powinnam mu pozować, a ponieważ nie chciałam robić skandalu, więc William... to znaczy pan Cowley, miał do mnie ogromne pretensje, że jestem zanadto nowoczesna. Ale to było jasne; mężczyźni zakochani naprawdę zawsze tak się zachowują, są zazdrośni, prawda? Więc nie było mi to nawet niemiłe, tym bardziej że nigdy najmniejszym słówkiem nie upoważniłam pana Jowetta do poufałości, a tylko on sam tak się zachowywał, to znaczy pan Jowett, bo ma takie obrzydliwe, paskudne poczucie humoru, polegające na dręczeniu innych, którzy są uczciwi i prostsi niż on... Ale kiedy William nie przyszedł, przestraszyłam się, że, że... Jowett mógł powiedzieć znów coś nikczemnego o kobietach albo przy pracy zaczął rzucać te swoje jadowite, pozornie poczciwe uwagi, że William... Więc byłam zupełnie roztrzęsiona i nawet płakałam, kiedy szłam do generała do pawilonu... A później pobiegłam do pracowni, żeby... Ale zląkłam się, że może tam być Jowett, i zawróciłam do domu... Nie wiedziałam, co robić... On go mógł doprowadzić do obłędu. Jest taki wrażliwy... A potem nadciągnęła burza i... Zeszłam do hallu, a wtedy pan mi powiedział o tym... Okropnym wypadku...

— Tak, dziękuję pani... — Alex wstał. — Proszę jeszcze na wszelki wypadek pozostać w pokoju, dobrze? Wszystkich państwa będziemy musieli o to prosić. A jeśli pan inżynier Cowley się odnajdzie, zawiadomimy panią natychmiast.

— Ale gdzie on jest? — zapytała cicho Meryl i znowu w głosie jej zabrzmiała prawdziwa rozpacz.

— Czy obawia się pani o niego?

— Czy obawiam się?... — przez chwilę walczyła ze sobą, potem powiedziała niemal swobodnie: — Nie! Dlaczego miałabym się o niego obawiać? On jest bardzo nerwowy, był w takim złym stanie nerwów ostatnio. Może pojechał do Londynu? Jeździ przecież po materiały. Mógł... mógł mi nie powiedzieć o tym...

— A czy pani także bywa od czasu do czasu w Londynie?

— Nie... — potrząsnęła głową. — Od sześciu tygodni, to znaczy od przyjazdu tutaj, nie wyjeżdżałam. Są wakacje i Londyn teraz jest paskudny...

— A prócz pana Cowleya, czy ktoś jeszcze jeździł ostatnio do Londynu?

— Do Londynu? — spojrzała na niego ze zdumieniem, jak gdyby nie mogąc zrozumieć jego pytania. — Tak, Chanda. On ciągle gdzieś wyjeżdża...

— A pan Jowett? O ile wiem, pracuje na terenie Akademii Królewskiej?

— Tak. Ale, jak powiedziałam, teraz są wakacje. Pan Jowett przyjechał wcześniej niż ja i wiem, że był raz czy dwa razy w Londynie. Ale później, od miesiąca chyba, nie ruszył się stąd. Wiem, bo William zawsze był bardzo zdenerwowany, kiedy musiał wyjechać. Pan Jowett dawał wtedy żartobliwie do zrozumienia, że bardzo się cieszy z jego wyjazdu, ponieważ nie będzie mu przeszkadzał w... w... Och, jest obrzydliwy!

— A więc pan Jowett od miesiąca nie wyjeżdżał? Czy pani jest tego pewna?

— Czy jestem pewna? Chyba... chyba tak... Ale może sam pan go zapyta.

— Naturalnie. To zresztą nie ma większego znaczenia. A profesor Snider i jego córka?

— Oni przyjechali tu mniej więcej w tym samym okresie co ja... w tydzień po mnie. Są tu przez cały czas. Ani on, ani Dorothy nie wyjeżdżali z Mandalay House. Wiem o tym dlatego, że wyjazd do stolicy jest dla nas swego rodzaju wydarzeniem. Każdy ma jakieś sprawunki i prośby do wyjeżdżającego. Jesteśmy tu na odludziu, prawda?...

— Więc tylko Chanda i Cowley opuszczali posiadłość w ciągu ostatniego miesiąca? Jest pani tego pewna?

— Chyba... chyba tak... — Spojrzała na niego niepewnymi, pełnymi lęku oczyma. — Ale dlaczego pan o to pyta?

— Dziękuję, Miss Perry... — Joe wstał. — Mam nadzieję, że nie będziemy musieli pani teraz niepokoić, o ile... o ile nie nastąpi coś nieprzewidzianego.

Ruszył ku drzwiom, a Parker za nim. Wychodząc uśmiechnął się do niej. Spróbowała odpowiedzieć uśmiechem, ale oczy jej nadal były pełne lęku.

Kiedy znaleźli się w bibliotece, Parker powiedział:

— Ona się czegoś boi? Czego?

— Nie wiem na razie... — Alex usiadł przy stole, wziął długopis i jednym pociągnięciem zamienił w dwa trójkąty kwadracik, który jego przyjaciel wyrysował przed półgodziną. — Na razie to wszystko, co powiedziała, zgadza się z tym, co widziałem, i tłumaczy całe jej zachowanie podczas przedpołudnia... Porozumiewawcze spojrzenie, które wymieniła z Cowleyem, kiedy wstawał od śniadania, fakt, że pojawiła się tuż po dziesiątej spoza domu, idąc z kierunku, gdzie się znajduje oranżeria, a później łąy, kiedy szła do generała, a także jej zachowanie, gdy opuściła pawilon. Mogła obawiać się, że jeśli spotka Jowetta i Cowleya razem w pracowni, Jowett wykorzysta tę okazję do powiedzenia paru złośliwości, które znów wzburzą jej ukochanego. Masz słuszość, że ona boi się w tej chwili, Ben. Ale zdaje się, że naprawdę kocha naszego młodego inżyniera, więc fakt jego nieobecności w chwili śmierci generała musiał na nią podziałać. Wejdz w jej położenie...

— Staram się... — mruknął Benjamin Parker. — Ale spójrz na mnie uważnie: czy sądzisz, że łatwo mi jest zacząć myśleć kategoriami niewinnej kobiecości, dziewczęcia rozmiłowanego w rzeźbie hinduskiej i zakochanego w młodym, nagle zdematerializowanym metalurgu?

— Tak — Joe skinął poważnie głową. — Istnieją zapewne małe przeszkody, ale mimo to możemy ją chyba zrozumieć, prawda?

— A sytuacja w tej chwili przedstawia się następująco... — mruknął Parker pocierając łagodnie podbródek. — Jeżeli ta dziewczyna mówi prawdę, oznacza to, że o jedenastej generał żył jeszcze, a ponieważ Hicks trwał od tej chwili tuż obok jedynego dojścia do pawilonu i nikt absolutnie tamtędy nie nadszedł, więc mamy absolutny dowód samobójstwa. I to jest najważniejsze, prawda? A sprawa tych pieniędzy i zniknięcie inżyniera Cowleya mogą być z sobą połączone, ale... nie dotyczą bezpośrednio faktu zgonu generała.

— Przez cały czas myślę o jednym... — powiedział cicho Joe. — O tym, że on był już zupełnie zimny. Czy człowiek, nawet bardzo stary, może tak szybko stać się tak absolutnym nieboszczykiem?

— Pozostawmy to medycynie. Był wielki upływ krwi, to raz! Temperatura obniżyła się gwałtownie, to dwa! Fala zimnego powietrza wtargnęła od morza przez otwarte drzwi, to trzy. Somerville był bardzo starym człowiekiem, to cztery. Wiesz, jak jest z tymi sprawami. Kiedy byłem młodym oficerem śledczym, przykładałem do nich kolosalną wagę. Potem nauczyłem się, że każdy osobnik ludzki może reagować inaczej, że często zależne jest to nawet od typu obrażeń. Medycyna sądowa demonstruje setki nietypowych przypadków, które mogą wprowadzić w błąd prowadzącego śledztwo.

— Tak, zapewne... — mruknął Joe. — Ale chciałbym, mimo to, wiedzieć, gdzie jest pan inżynier Cowley i tych siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Szefie! — powiedział półgłosem ten sam detektyw, który pojawił się uprzednio. — Znaleźliśmy pieniądze!

— Co! — powiedział Parker. — Dawajcie je tu! Gdzie są?

Detektyw bez słowa wyciągnął rękę, w której trzymał płócienny woreczek.

— Leżał przy telefonie w hallu, szefie! I jakoś uszedł do tej pory uwagi wszystkich, bo był na tak widocznym miejscu...

— Znakomicie! — Parker zajrzał do wnętrza woreczka. — Jedna przynajmniej sprawa rozwiązała się sama, chociaż nie wiem, skąd się tam wziął. Ale dojdziemy do tego...

— Dojdziemy do tego prędzej, niż przypuszczasz... — Alex wstał, wziął woreczek do ręki i odłożył go ze zniechęceniem na stół. — Muszę być w bardzo marnym nastroju, Ben! W tak marnym, jak nigdy przedtem. Paczkę studolarówek miałem przy sobie przez całe przedpołudnie, a położyłem je obok telefonu, dzwoniąc do ciebie... I zapomniałem o nich zupełnie!

— Hm... — Parker potarł podbródek. — Niech zostaną tutaj... — Spojrzał na detektywa. — W porządku, dziękuję. Możecie odejść.

Drzwi zamknęły się.

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów! — zastępca szefa wydziału kryminalnego uniósł woreczek i rzucił go ponownie na stół. — Jakże ciężko prowadzić śledztwo biednemu policjantowi, kiedy ma do czynienia z wami, bandą roztargnionych kreuzsów! — roześmiał się. — Siedemdziesiąt pięć tysięcy tu, siedemdziesiąt pięć tysięcy tam! A przecież dla jednej dziesiątej tej sumy popełniano już morderstwa, i to nie byle jakie! Co się z tobą dzieje, Joe?

Alex machnął ręką.

— Jestem tylko człowiekiem... — powiedział wzruszając ramionami — a nie mechanizmem, który musi zachować się bezbłędnie przez całe lata podczas każdego śledztwa! Nie interesują mnie w tej chwili te pieniądze, ale tamte, których nadal brakuje. I interesuje mnie inżynier Cowley.

— Jestem przekonany, że odnajdą się, a być może i on, wraz z nimi. — Parker przytaknął własnym myślom: — Jeżeli ten Plumkett korespondował z generałem przez londyńską poste restante, to musiał przecież być w Londynie dla odebrania listu i dla nadania swoich listów do generała. Jeżeli odrzucimy tezę o londyńskim wspólniku (choćby trzeba ją zachować na marginesie), to Cowley i Chanda są jedynymi ludźmi, którzy mogli nadawać z Londynu listy do Mandalay House i jednocześnie odbierać listy w Londynie, listy nadchodzące stąd. Co byś powiedział na to, gdyby pan Cowley, mając w pracowni tę rzeźbę, rozpoznał ją przypadkowo, bo, powiedzmy, zobaczył tę reprodukcję wcześniej w bibliotece...? Wtedy mógłby napisać list z Londynu jako Plumkett, ale wiedząc o wizycie policji tutaj i widząc, że jesteś na miejscu i możesz mu zagrozić, mógł natychmiast po śniadaniu (bo wstał przecież wcześniej niż wy od stołu) pobiec do pawilonu i powiedzieć generałowi wprost, że żąda przygotowanych dla szantażysty pieniędzy w imieniu pana Plumketta! Stary mógł być tak zaskoczony, że oddał mu pieniądze, i tak roztrzęsiony tym faktem, że w ogóle zapomniał o strzelaniu do szantażysty! Wiesz przecież, że ludzie czasem planują takie heroiczne czyny, a kiedy przyjdzie do działania, nie mogą nawet ruszyć ręką, bo rzeczywistość jest czym innym przecież niż marzenie. Cowley, z pieniędzmi w kieszeni, oczywiście nie miał w głowie randki z tą biedną Meryl Perry. Obojętna mu była już także praca przy tym piecu. Wyjechał, a raczej uciekł, nie chcąc pokazywać się już Somerville'owi na oczy i nie mając pojęcia o tym, że generał w przyływie depresji, poniżenia i świadomości, że został obrabowany przez szantażystę, który ma go nadal w rękach i może zniszczyć jego honor i dorobek naukowy, palnął sobie w łeb, gdy nadeszła burza! Jasne, prawda! Wtedy wszystko by się zgadzało. Nie widzę, jak dotąd, żadnej luki w moim rozumowaniu. Suma ta nie była astronomiczna, ale nie taka znów mała, żeby nie użyć jej z absolutnym poczuciem bezkarności. Cowley

mógł spokojnie uciec, gdyż jest w końcu wolnym człowiekiem, wczoraj zrobił hecę generałowi i mieszkańcy Mandalay House przyjęliby fakt jego nagłego wyjazdu jako konsekwencję wydarzeń związanych z Jowettem i Meryl oraz stanowiskiem generała wobec niego. A generał po jego odjeździe musiałby go nawet wytłumaczyć w jakiś sposób i stworzyć mu alibi. Cowley nie przewidział tylko tego samobójstwa.

— Ale jeżeli nie przewidział samobójstwa, dlaczego miałby wpław, kryjąc się, zniknąć z Mandalay House? Mógłby spokojnie wyjechać bramą, prawda? Chyba ma jakiś samochód?

Parker wyjął swój notes i zajrzał do środka.

— Ma Forda. Jowett także ma wóz, a nawet Meryl Perry, nie licząc dwóch samochodów należących do Mandalay House i starego grata, który jest własnością ogrodnika. Tylko profesor Snider, który przybył z Ameryki samolotem, nie ma swojego pojazdu.

— No właśnie! — Alex wstał. — A więc Cowley zniknął pozostawiając tu swój samochód! I przewidział, że kordon twoich ludzi będzie strzegł posiadłości?

— Na to pierwsze nie umiem ci odpowiedzieć. Mógł pozostawić auto z myślą, że przyjedzie po raz drugi, żeby powtórnie szantażować generała, bo zapewne nie myślał o wyschnięciu tego złotodajnego źródła. A jeśli chodzi o policję, mógł przypuszczać, że planowane spotkanie z Plumkettetem mogło dojść w jakiś sposób do naszej wiadomości. Twoja obecność tutaj także musiała dać mu do myślenia. W każdym razie zniknął razem z pieniędzmi, to pewne! Nie przyszedł na spotkanie z Meryl o dziewiątej, pozostawił Jowetta w pracowni z rozpoczętą pracą! To wszystko wskazuje tylko na jedną ewentualność, która w dodatku wyjaśnia wszystkie niejasności w tej sprawie! Ale pan inżynier Cowley może nie wie jeszcze, że prawo nasze ma kilka ślicznych paragrafów przeciw szantażystom, którzy w dodatku doprowadzają swoje ofiary do samobójstwa. Myślę, że kilka lat odosobnienia pozwoli mu przemyśleć je wszystkie dokładnie.

— Niełatwo będzie udowodnić mu cokolwiek... — mruknął Joe.

— Niełatwo? Zaczekamy. Nie będziemy go aresztować, póki nie zacznie wydawać tych pieniędzy! Ciekaw jestem, jak wytłumaczy się z posiadania tak wielkiej sumy, której nie miał jeszcze wczoraj i nie zarobił? Bądź spokojny, Joe. W obliczu dowodów i poszlak, jakie już mamy przeciw niemu w tej sprawie, żaden sąd w Anglii, nie zawaha się przed wpakowaniem go na ładnych kilka lat za kratki. Przekonasz się o tym zresztą sam, bo, jak myślę, będziesz zeznawał w tej sprawie.

— Może masz słuszość? — Alex pokiwał głową. — Jeżeli jest tak, jak mówisz, nic nie sprawi mi większej przyjemności. Lubilem tego staruszka pomimo wszystkich jego dziwactw i szorstkości, a poza tym... — urwał. Potem dodał szybko, jak gdyby chciał zmienić temat: — Chodźmy do jego pokoju, Ben. Może znajdziemy coś ciekawego? Sądząc z tego, co zrobił, był dość przewidującym człowiekiem, ale przestępca zawsze może się omylić. Nerwy to straszna rzecz.

— Chodźmy! — Parker wstał i ruszył ku drzwiom. Na górze detektyw Highbrow wstał na ich widok.

— Który jest pokój inżyniera Cowleya? — zapytał Parker przyciszonym głosem.

Detektyw ruszył bez słowa korytarzem, zatrzymał się przy trzecich drzwiach po lewej i wyciągnął z kieszeni pęk narzędzi przypominających na pierwszy rzut oka klucze, ale posiadających ruchome części. Wsunął jedno z tych narzędzi w zamek i drzwi ustąpiły cicho.

Weszli.

Łóżko było zasłane, a pokój sprawiał wrażenie, jak gdyby posprzątano go niedawno.

Parker rozglądał się stojąc pośrodku dywanu zajmującego środek podłogi. Ale Joe podszedł do łóżka i podniósł leżącą na nim koszulę. Była jaskrawoczerwona i Alex mimowolnie uśmiechnął się do siebie, przypomniawszy sobie słowa Jowetta przy śniadaniu: „nasz Romeo spowity w kardynalską purpurę...” To była chyba ta sama koszula, o ile Cowley nie miał dwóch identycznych...

— Ubrany był w nią przy śniadaniu... — powiedział unosząc koszulę w rękę i ukazując ją Parkerowi. — Musiał wrócić do domu i zmienić ją na inną przed ucieczką.

— Nic dziwnego... — mruknął zastępca szefa wydziału kryminalnego. — W takim koloru byłby widoczny na pięć mil dokoła! Zrobiłbym to samo na jego miejscu.

— Zapewne... — mruknął Alex. Oglądał uważnie koszulę. — Ciekawe... — powiedział cicho.

— Co takiego? — Parker odwrócił się. Stał przy biurku odsuwając kolejno wąskie intarsjowane szufladki i przeglądając leżące w nich papiery, które nie mówiły mu nic, gdyż pokryte były wzorami o symbolach chemicznych i matematycznych.

— Sam zobacz.

Parker podszedł. Joe wskazał mu zwisający koniec rękawa.

— Kawalek jest oddarty, widzisz? Jak gdyby oderwany siłą. Prawy rękaw... Nie mógł tego zrobić przypadkiem, zdejmując ją, gdyż materiał jest mocny, a koszula niemal nowa.

— Tak, to prawda. Ale co u diabła może to znaczyć?

— Nie wiem... — Alex podszedł do okna i uważnie wpatrywał się w rozdarty materiał. — Nie wiem, Ben. Ale to wszystko musi coś oznaczać, prawda? Kiedy człowiek umiera gwałtowną śmiercią, przedmioty martwe zaczynają przemawiać. Ale nie zawsze możemy zrozumieć od razu to, co nam chcą powiedzieć. Ten rękaw... — urwał. Położył koszulę na łóżku i podszedł do biurka. Kartki papieru, pokryte obliczeniami, książki fachowe, kilka tomów z biblioteki generała, dotyczących starożytnych metod wytopu metali.

Zbliżył się do szafy: równo poukładane na półkach koszule, bielizna, na wieszakach kilka ubrań...

Alex przeszedł do łazienki. Ta sama pedanteria, elektryczna maszynka do golenia ułożona w pudełku, sznur przewodu zwinięty równo, dokładnie... Mydło pośrodku pudełeczka, kieszenie szlafroka puste, trzy flaszeczki ustawione rzędem na szklanej półeczce... Ale może to pokojówka tak dokładnie posprzątała?... Joe zrobił w myśli notatkę i zawrócił do pokoju. Parker stał wciąż jeszcze przy łóżku, wpatrzony w purpurową koszulę.

— Coś się musiało stać... — powiedział niepewnie. — Gdyby rozerwał tę koszulę zdejmując ją w pośpiechu, brakujący kawałek byłby w pokoju. Po cóż miałby zabierać go z sobą?

— Ba... — Alex wzruszył ramionami. — Dlaczego człowiek tak precyzyjnie planujący swój atak na generała Somerville'a miałby w ogóle wkładać najjaskrawszą ze swoich koszul, widoczną z daleka i identyfikującą go pośród stu innych ludzi?

— Czy masz odpowiedź na to pytanie?

— Nie. Ale ciekawi mnie w tej chwili bardzo, o której godzinie pokojówka posprzątała ten pokój. Ta koszula została tu przecież położona później, po zasłaniu łóżka, prawda?

— Oczywiście — Parker skinął głową. — Zaraz się dowiemy. — Ruszył ku drzwiom. Alex patrzył za nim, otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział ani słowa. Po chwili Parker powrócił.

— Pokojówka zaraz tu będzie...

Joe podszedł do łóżka i ułożył koszulę mniej więcej tak, jak leżała, gdy weszli. Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

— Proszę! — powiedział Parker.

Dziewczyna, która pojawiła się na progu, ubrana była w czarną sukienkę, biały czepiec i biały fartuszek, tak jak bywają przystrojone rano pokojówki angielskie już niemal wyłącznie w amerykańskich filmach. Dygnęła i zamknęła drzwi za sobą.

— Jestem z policji — powiedział Parker — i chciałbym zadać panience kilka pytań.

— Tak, proszę pana...

Nie była to ta sama dziewczyna, która podawała śniadanie. Alex rzucił na nią okiem. Nie widział jej jeszcze do tej pory.

— Nazwisko panienci?

— Rosalinde Lee...

— Od dawna panienska pracuje w Mandalay House?

— Od roku, proszę pana...

Była ciemna, szczupła i miała duże piwne oczy, spoglądające ciekawie spod opuszczonych skromnie powiek. Najwyraźniej śmierć właściciela posiadłości musiała, po pierwszych chwilach zaskoczenia, wywołać w kuchni burzę domysłów.

— I sprzątała panienska dziś ten pokój?

— Tak, proszę pana.

— Kto go zamieszkiwał?

— Pan inżynier Cowley, proszę pana... — zrobiła zdziwioną minę, jak gdyby nie pojmując, że policja nie wie takich najprostszych rzeczy. Ale natychmiast spojrzenie jej powędrowało ku dywanowi.

— Czy panienka zawsze tu sprząta?

— Tak, proszę pana. Wszystkie pokoje gościnne i sypialnię pana generała, i pana Chandy... no i, oczywiście pozostałe pomieszczenia, ale to już robię razem z Jane...

— Jane?

— Tak. Jane pomaga w kuchni i podaje posiłki. Ale razem zmywamy naczynia i razem sprzątamy na parterze.

— Rozumiem. A dziś panienka wcześniej zaczęła sprzątać?

— Zaraz po śniadaniu, proszę pana. Wtedy zwykle wszystkie albo prawie wszystkie pokoje są puste.

— Zaraz po śniadaniu, to znaczy dokładnie o której?

— O pół do dziewiątej, proszę pana. Mogę tak powiedzieć, bo idąc na górę spojrzałam na zegar w kuchni. Jane zeszła i powiedziała, że wszyscy już zjedli.

— Tak. Dziękuję za dokładne informacje — Parker uśmiechnął się. Dziewczyna natychmiast odpowiedziała uśmiechem i spoważniała.

— Wiem, że jeżeli policja pyta, wtedy trzeba odpowiadać jak najdokładniej. A cóż dopiero, kiedy przyjeżdża Scotland Yard...

— A skąd panienka wie, że jesteśmy z Londynu?

— Ten pan na dole, to znaczy pan detektyw po cywilnemu, powiedział nam, Jane i mnie, że przyjechaliście panowie z Londynu. Nic dziwnego, odpowiedziałyśmy, taki straszny wypadek... I w dodatku taki znany człowiek, jak pan generał... To wszystko bardzo nami wstrząsnęło, Jane i mną, proszę pana...

Jak gdyby dla zaprzeczenia tym słowom wielkie piwne oczy rzuciły szybkie, ciekawe spojrzenie na Parkera, przeniosły się z równą ciekawością na Alexa i na pół zniknęły, zakryte powiekami.

— Tak, to zrozumiałe... — Parker pokiwał głową. — A jak długo panienka pozostawała na górze?

— Do jedenastej, proszę pana. Posprzątałam wszystkie pokoje i zeszłam, żeby pomóc Jane pozmywać... zawsze czeka na mnie ze zmywaniem. Mówi, że najlepiej jej się rozmawia przy tym... Przepraszam bardzo, proszę pana...

— Nic nie szkodzi. I nie odchodziła panienka stąd nigdzie w godzinach pomiędzy pół do dziewiątej a jedenastą?

— Nie, proszę pana. Sprzątałam kolejno pokoje, a to jest sporo roboty. Trzeba zasłać ładnie łóżko, powycierać w łazienkach i poukładać ręczniki i przybory, wysypać popielniczki i umyć je, i... i sto innych rzeczy, proszę pana.

— Na pewno. A ten pokój, pokój pana Cowleya, sprzątała panienka o której? Czy może sobie panienka w przybliżeniu przypomnieć?

— Nie tylko w przybliżeniu, proszę pana. Zaczęłam od tego pokoju. To znaczy o pół do dziewiątej. I sprzątałam go może dziesięć minut, może troszkę krócej, albo dłużej. A potem przeszłam do sąsiedniego pokoju, do pana Jowetta.

— Rozumiem... — Parker przyjrzał się jej uważnie. — To prawdziwa przyjemność, kiedy ma się do czynienia z kimś, kto pamięta swoje czynności i ma poczucie czasu. W śledztwie nie zawsze tak jest.

— Dziękuję, proszę pana — Rosalinde Lee zaczerwieniła się i spuściła oczy.

— Ciekawi mnie, dlaczego panienka rozpoczęła od tego pokoju? Przecież nie jest on ani pierwszy, ani ostatni z brzegu.

— To prawda, proszę pana. Ale pan inżynier Cowley jest najporządniejszy z naszych gości. To znaczy najmniej jest nieładu w jego pokoju. Sam wszystko układa w łazienkę i w szafie. Widać, że ma już takie usposobienie. Trzeba tylko wyrównać pościel rano, puścić odkurzacz na chwilę i to wszystko. Gdyby wszyscy byli tacy, a przede wszystkim panie, jeżeli wolno tak powiedzieć, potrafiłabym posprzątać na górze w godzinę, proszę pana.

— Rozumiem. A kiedy pan Cowley wrócił do pokoju, widziała go pani?

— Kiedy wrócił? — zapytała dziewczyna ze szczerym zdumieniem. — Pan Cowley nie wrócił do pokoju, kiedy sprzątałam.

— Nie to mam na myśli. Pytałem o to, czy panienka nie widziała go później, będąc tu, na górze?

— Nie, proszę Pana. Ale łatwo mogłam go nie spotkać, bo przechodzę z pokoju do pokoju i przeważnie jestem wewnątrz, a na korytarzu tylko chwilę.

— Ale tej koszuli nie było w pokoju, kiedy pani sprzątała dzisiaj?

Rosalinde zrobiła krok ku przodowi, spojrzała na łóżko i potrząsnęła ciemną główką w białym czepeczku.

— Nie, proszę pana. Nie zostawiłabym jej przecież tak. Pan Cowley musiał wrócić do pokoju i przebrać się później. To jego koszula. Nikt inny w Mandalay House nie ma takiej. Mówiliśmy nawet o niej z Jane w zeszłym tygodniu. Ona ma narzeczonego w Te-
ingmouth i koniecznie chciała się dowiedzieć, gdzie pan Cowley kupił taką piękną koszulę. Prosiła mnie, żebym go zapytała.

— I zapytała panienka?

— Tak, proszę pana. Powiedział, że kupił ją w Londynie.

— A drugiej takiej nie miał?

— Nie, proszę pana. Co dzień zaglądałam do jego szafy i nie mogłabym jej nie zobaczyć.

— Tak... — Parker uśmiechnął się. — Dziękuję panience. To by chyba było...

Joe chrząknął cicho. Jego przyjaciel urwał.

— Czy nie chciałbyś panienki zapytać o coś, Joe?

— Jeżeli można. Co prawda nie jestem z policji, ale...

— Och, pan jest więcej niż z policji! — powiedziała Rosalinde z przekonaniem.

— Jane czytała wszystkie...

— Tak, tak... — przerwał jej Alex szybko. — Mam takie pytanie: panienka ma zapasowe klucze od wszystkich pokojów oczywiście?

— Tak, proszę pana. To znaczy nie przy sobie. Nigdy ich nie noszę z sobą. Są na dole w szafce. Nikt u nas nie zamyka drzwi wychodząc, proszę pana...

— A pan Cowley także nie?

— Także nie, proszę pana. Nigdy tego nie zauważyłam.

— A dzisiaj były one otwarte, kiedy panienka przyszła sprzątać?

— Tak, proszę pana. I właśnie dziwiłam się bardzo, kiedy przyszedł pan Jowett i zapytał, czy nie widziałam pana Cowleya, bo drzwi jego pokoju są zamknięte. Poszłam z nim razem i rzeczywiście były zamknięte. Ale teraz rozumiem. Kiedy pan Cowley wrócił, żeby zmienić koszulę, musiał je zamknąć wychodząc.

— Zapewne tak było. A kogo jeszcze widziała tu panienka prócz pana Jowetta podczas przedpołudnia?

— Wróciły panna Beacon i panna Snider. Była też panna Perry. Ona także pukała do drzwi pana Cowleya. Właśnie kończyłam jej pokój i wyszłam na korytarz, więc wiem. Kiedy mnie zobaczyła, odwróciła się i zeszła na dół... A jeszcze wszedł na górę profesor Snider i poszedł do pokoju córki. Rozmawiali trochę, ale nie wiem o czym. Słyszałam tylko ich głosy, kiedy otwierałam drzwi sąsiedniego pokoju... — zawahała się. — Ale to chyba było inaczej, bo panna Snider przedtem też wychodziła, widziałam ją... Tak, a potem wróciła z panną Beacon. Mówiły głośno o jakiejś pudernicze. Potem panna Beacon zeszła na dół, a dopiero wtedy przyszedł pan profesor Snider, rozmawiał z córką, a potem zszedł prędko na dół. Chyba się pokłócili, proszę pana, albo może... nie wiem zresztą, bo wydawał się bardzo zdenerwowany. Właśnie rozkładałam odkurzacz na korytarzu i omal nie wpadł na mnie, jakby mnie nie widział...A później zeszłam na dół...

— Ale w kolejności jak by się to przedstawiało? — Joe uśmiechnął się.

— Rozumiem, proszę pana. Kto i kiedy był na górze, tak?

— Właśnie.

— Najpierw wróciły panna Beacon i panna Snider z tenisa. Później nadszedł pan Jowett i pytał o pana Cowleya. A w chwilę później wyszła panna Beacon, bo właśnie zaczęłam u niej sprzątać. A panna Snider też musiała wyjść, ale nie zauważyłam. Potem przyszła panna Perry, a potem wróciły znowu razem panna Beacon i panna Snider i rozmawiały o jakiejś pudernicze. A potem panna Beacon zeszła na dół, przyszedł pan profesor Snider, wszedł do pokoju córki i wyszedł tak, jak panu powiedziałam, zdenerwowany... A potem ja zeszłam...

— Która mogła być wtedy?

— Jedenasta, proszę pana, na pewno. Kiedy zesłam do kuchni, spojrzałam na zegar. Zawsze tak robimy, bo czas ucieka, a jedna praca goni drugą i muszą być wykonane, prawda, proszę pana?

— Oczywiście... — Joe uśmiechnął się do niej. — Trzeba przyznać, że pamięć ma panienka znakomitą! Więc pan Jowett pukał tu mniej więcej o dziesiątej i drzwi były już zamknięte, a o godzinie za dwadzieścia dziewięć były jeszcze otwarte, prawda?

— Tak, proszę pana...

— To by oznaczało, że pan Cowley wrócił tu pomiędzy godziną za dwadzieścia dziewięć a dziesiątą, przebrał się, zamknął drzwi na klucz i znowu zszedł na dół, ale panienka nie widziała go nadchodzącego, nie zauważyła panienka, że jest u siebie, ani nie widziała go panienka, kiedy wychodził i zamykał drzwi, prawda?

— Tak musiało być, proszę pana. Ale to nic dziwnego, jak powiedziałam. Wystarczy, żebym była akurat w którejś z łazienek. Żadna z nich nie ma drzwi na korytarz, bo otwierają się tylko do pokoi. Wtedy nie słyszę absolutnie nic z tego, co się dzieje na korytarzu. Albo mogłam być w którymś z pokoi i puścić odkurzacz. Wtedy hałas też by mi nie dał usłyszeć, że ktoś idzie.

— To znaczy, że według panienki, nie tylko te osoby, które panienka wymieniła, mogły wejść na górę i zejść, a panienka mogłaby o tym nie wiedzieć?

— Oczywiście, proszę pana. Tak jak z panem Cowleyem, prawda? Też nie słyszałam niczego, a był tu przecież...

Umilkła i zerknęła ciekawie na Alexa.

— Właśnie... — ku zdumieniu Parkera Joe podszedł ku niej i pochyliwszy się, powiedział niemal poufnym tonem: — A czy wie panienka, że pan inżynier Cowley przepadł?

— Tak, proszę pana, wiem. I właśnie wszyscy: Jane, kucharka, nawet ogrodnik...

— A skąd panienka o tym wie? — zapytał szybko Parker?

— To ci panowie tam na dole, ten pan detektyw, taki przystojny, z wąsikami. Kiedy podawaliśmy im kawę i kanapki, bo przecież biedacy od rana nie mieli nic w ustach, martwili się, bo przeszukiwali cały park i cały dom, a nie było go nigdzie...

— Przystojny, z wąsikami... — mruknął Parker. — Z wąsikami! — i ruszył ku drzwiom, najwyraźniej z zamiarem porozmawiania z owym gadatliwym i urodziwym podwładnym. Ale Joe chrząknął cicho. Jego przyjaciel zatrzymał się z ręką na klamce, a potem zawrócił niechętnie.

— Właśnie... — powiedział Alex do dziewczyny. — To taka dziwna historia. Sami nie wiemy, gdzie mógł zniknąć. A co panienka, kucharka, ogrodnik i ta koleżanka myślicie o tym?

— Co my myślimy? — zapytała Rosalinde ze zdumieniem.

— No tak, na pewno powtórzyłyście panienki to, co powiedział ten detektyw z wąsi-
kiem, a kucharka i ogrodnik też zaczęli się zastanawiać.

— Tak, proszę pana... — siedzimy tam w kuchni, bo proszono nas, żebyśmy nie wy-
chodzili bez koniecznej potrzeby, więc rozmawiamy. Ale nie wiemy nic... Chyba nie sta-
ło mu się nic okropnego, prawda? Jane powiedziała, że mógł wpaść do któregoś z tych
piekielnych kotłów, które tam mają w pracowni. Mógł się pośliznąć i... Jak człowiek
wpadnie do roztopionego metalu, musi zginąć od razu, prawda? Ale ogrodnik, który
pomagał instalować te kotły, mówi, że są za małe. Dziecko by się dało tam wrzucić, ale
dorosły człowiek nie mógłby się skryć w całości. Trzeba by go najpierw porąbać na ka-
wałki. Och, co ja mówię! To by przecież było okropne, taka śmierć...

— Tak, rzeczywiście — Alex uśmiechnął się. — Dziękuję panience.

Dygnęła i wyszła.

— Co u diabła chciałeś od niej wydostać? — powiedział Parker upewniwszy się, że
dziewczyna odeszła już i nie może usłyszeć jego grzmiącego głosu. — Widzę, że zaczy-
namy mieć coraz więcej pomocników w tej sprawie. Może poprosisz teraz kucharkę,
ogrodnika i tę drugą dziewczynę i razem zastanowimy się, co robić dalej? — Roześmiał
się niewesołym, głuchym śmiechem. Spojrzał na zegarek. — Kiedyż ten przeklęty dok-
tor...

Nie dokończył. Rozległo się ciche pukanie.

— Znaleźliśmy to obok ławki na korcie tenisowym... — powiedział ten sam czło-
wiek, którego Alex zauważył poprzednio na krzeselku w korytarzu. Puderniczka, szefie.
Pewnie któraś z pań zgubiła, ale ponieważ kazał pan wszystko, co znajdziemy, przeka-
zać od razu, więc pozwoliłem sobie przeszkodzić...

Podał Parkerowi zawinięty w chustkę niewielki przedmiot. Joe zbliżył się. Puderniczka
była złota i miała pośrodku pięć rubinów ułożonych w kwiatek, którego listki były wy-
konane ze ścinków szmaragdu.

— Dziękuję — Parker skinął głową. Człowiek wycofał się i zamknął cicho drzwi. Joe
westchnął.

— Takie paskudztwo, wykonane z tak kosztownych materiałów, może pocho-
dzić tylko z jednego kraju na kuli ziemskiej... — powiedział niemal ze współczuciem.
— Gdybym nawet nie wiedział, że panna Dorothy Snider zgubiła puderniczkę na kor-
cie tenisowym, wiedziałbym, że to jej własność.

Parker bez słowa zawinął przedmiot w chustkę i wsunął do kieszeni, potem spojrzał
na Alexa.

— A dlaczego kłóciła się z ojcem? — zapytał. — I dlaczego była zdenerwowana? I co
robił ten ojciec za drzewem, ukryty, gdy nadchodziłeś w stronę pawilonu, żeby zabrać
stamtąd generała, kiedy wybuchnie burza?

— Może on sam odpowie ci najlepiej na te wszystkie pytania... — Joe zmarszczył brwi. — W końcu to o nim generał Somerville nakreślił ostatnie sowa, jakie miał możliwość zanotować w swoim długim życiu. I nie były to najpochlebniejsze słowa, chociaż nie udało mu się dokończyć zdania... Szkoda, że Hicks śpi. Chciałbym go o coś zapytać...

— Każę posłać po niego auto. Za dwadzieścia minut tu będzie. Wyspał się już, mam nadzieję. Ale był niemal nieprzytomny i osądziłem, że obejdziemy się bez niego na razie... — Parker rozejrzał się jeszcze raz po pokoju, a potem wyszedł. Alex ruszył za nim.

— Niech ktoś pojedzie po Hicksa — rzucił zastępca szefa wydziału kryminalnego. — A poza tym nie wolno wam spuszczać z oka tego pokoju. Leży tam na łóżku koszula. Zabezpieczyć ją i złożyć do ewidencji. Gdzie jest pokój panny Snider?

— Drugie drzwi na prawo, szefie.

Alex ruszył za Parkerem, myśląc o tym, że za jednymi z tych drzwi znajduje się Karolina i czeka. Powinien był pójść do niej. Ale nie mógł... Jeszcze nie... Za parę minut... Parker zapukał i głos męski, przemawiający cicho za zamkniętymi drzwiami, ucichł. Sekunda ciszy i przytłumione kobiece:

— Proszę wejść...

Weszli.

Dorothy Snider, ubrana wciąż jeszcze w tę samą zieloną sukienkę, w której widział ją przed południem, siedziała na niskiej sofie, z rękami splecionymi na kolanach, pochyłona nieco ku przodowi. Na widok Parkera i wchodzącego za nim Alexa na twarzy jej pojawił się wyraz lęku, który najwyraźniej starała się opanować przez chwilę, ale później dała za wygraną i odwróciła głowę, kryjąc twarz w dłoniach. Widok ten był tak niespodziewany, że Parker nie zwrócił w pierwszej chwili uwagi na stojącego przy oknie mężczyznę i zobaczył go dopiero wtedy, kiedy zbliżył się on szybko do sofy i powiedział:

— Nie denerwuj się tak, dziecko. Przecież tłumaczę ci już od godziny: ludzie muszą umierać, wszyscy... A że zdarza się to w najrozmaitszy sposób, czasem powoli, a czasem gwałtownie, jak to miało miejsce w wypadku naszego nieodżałowanego gospodarza, taka jest kolejność rzeczy na tym świecie i nie zmienimy tego. No, Dorothy, proszę cię! Panowie przyszli tu i zapewne chcą nas o coś zapytać, prawda? — Wciąż jeszcze pochyłony nad siedzącą dziewczyną, uniósł głowę i spojrzał na Alexa, a potem przeniósł wzrok na Parkera.

— Nazwisko moje brzmi Parker i jestem funkcjonariuszem Scotland Yardu... — powiedział Ben. — Pan profesor Snider, prawda?

— Tak. Czym mogę panu służyć?

— Przede wszystkim chcieliśmy zobaczyć się z panią... — Parker wyciągnął z kieszeni przedmiot zawinięty w chustkę. — Zdaje się, że zgubiła pani puderniczkę, prawda? Moi ludzie znaleźli ją...

— Nie — powiedziała cicho Dorothy Snider. — Ja nie... — i znów ukryła twarz w dłoniach.

— ...obok kortu tenisowego — dokończył Parker, wyjął przedmiot z chusteczki i po-
dał jej. — Czy to ta?

Dorothy opuściła ręce, uniosła powoli głowę i spojrzała na niego z wyrazem tak
wielkiego zdumienia, że Parker mimowolnie cofnął dłoń.

— Przecież zgubiła pani puderniczkę, prawda?

— Tak, tak... — powiedziała cicho. — Zgubiłam... obok kortu tenisowego. I nie mo-
głam jej znaleźć... — Wyciągnęła rękę, wzięła w drżące wyraźnie palce puderniczkę,
otworzyła ją odruchowo, zamknęła i opuściła wraz z dłonią na kolana.

— Podziękuj panom przynajmniej! — powiedział profesor Snider i roześmiał się
nieco zbyt głośno i nieco zbyt wesoło. Zwrócił się do Parkera: — to prezent ode mnie na
jej poprzednie urodziny. Była bardzo przywiązana do tej puderniczki, biedaczka, i prze-
jęła się zgubą. Tak, przejęła się... — dokończył niepewnie, jak gdyby zdając sobie spra-
wę z tego, że przecież przed paru godzinami zginął od kuli gospodarz tego domu i fakt
ten powinien być bardziej przejąć jego córkę niż utrata puderniczki. — Proszę, może pa-
nowie usiądą?

— Dziękuję bardzo... — Parker usiadł na wskazanym krześle. — Mam kilka, czysto
zresztą formalnych, pytań do obojga państwa, dotyczących smutnego wydarzenia, jakie
miało dziś miejsce.

— Oczywiście, oczywiście! Dorothy, moje dziecko, skup się odrobinę, proszę cię bar-
dzo!

— Tak, tatusiu... — skinęła głową, potem spojrzała na leżącą w zagłębieniu dłoni pu-
derniczkę i zagryzła wargi.

— Otóż po pierwsze, chciałbym zapytać, czy pani lub pan profesor byliście w ostat-
nim okresie w Londynie?

— W Londynie? — zapytał ze szczerym zdumieniem Snider. Dorothy także szyb-
ko uniosła głowę i spojrzała nie rozumiejącymi oczyma na Alexa. — Nie, proszę pana.
Przylecieliśmy do Londynu z Nowego Jorku przed sześciu tygodniami i udaliśmy się
wynajętym autem tutaj. Od tego czasu korzystaliśmy ze wspaniałej gościnności gene-
rała Somerville'a. Ma on tak znakomitą bibliotekę i rozmowy z nim były dla mnie tak
niewyczerpanym źródłem wiedzy i erudycji, że nawet do głowy by mi nie przyszło udać
się do Londynu bez absolutnej konieczności... — urwał. — W przyszłym tygodniu mie-
liśmy wyjechać — dodał kiwając głową. — Ale w związku z tragicznymi okolicznościami
sądzę, że lepiej będzie, jeśli opuścimy ten dom wcześniej, prawda? Będę musiał jutro
rano zadzwonić do biura podróży i postarać się, aby zmieniono datę odlotu na naszych
biletach powrotnych do Stanów.

— Tak, to zrozumiałe — powiedział Parker. — A więc nie opuszczaliście państwo Mandalay House podczas całego pobytu tutaj. I jeszcze jedno pytanie do obojga państwa: czy nie widzieliście państwo po śniadaniu inżyniera Cowleya?

— Po śniadaniu — Snider zdecydowanie potrząsnął głową. — Nie, na pewno nie! A ty, Dorothy?

— Ja także go nie widziałam... — powiedziała cicho Dorothy. — Był przy śniadaniu, prawda? W czerwonej koszuli... — Nagle rysy jej stężały. — W czerwonej koszuli... — powtórzyła szeptem. — O Boże! — i zamilkła, kryjąc twarz w dłoniach.

Parker uniósł brwi.

— Widzę, że fakt ten przemówił do pani w szczególny sposób — powiedział łagodnie. — Proszę nam powiedzieć, o co chodzi.

— Nie, nie... — Dorothy potrząsnęła głową. — Ja tylko... — Z wysiłkiem uniosła twarz i spojrzała na Parkera. — Ona była jak krew, ta koszula, i przypomniało mi się, że... — Wzdrygnęła się.

— Proszę panów... — powiedział półgłosem Snider. — Moja córka jest bardzo zdenerwowana w tej chwili. Czy... czy można by przełożyć tę rozmowę na później?

— Przykro mi bardzo... — w głosie Parkera zabrzmiała nagle ostra nutka. — Ale rozumiejąc pana zastrzeżenia, chcielibyśmy, o ile to możliwe, abyście wszyscy państwo pomogli nam. To chyba zrozumiałe, prawda? Jeżeli panna Snider nie czuje się na siłach, żeby prowadzić z nami rozmowę w tej chwili, możemy oczywiście poczekać, aż zdenerwowanie jej minie. Ale... — ton jego złagodniał. Rozłożył ręce. — Policja w Ameryce także przecież prowadzi śledztwa. I, o ile zdołałem zauważyć, nie jest delikatniejsza niż my. Wiemy, że gdy ktoś umrze w tragicznych okolicznościach, wszyscy są zdenerwowani. Ale, niestety, z racji mego zawodu, muszę większość rozmów prowadzić z ludźmi w tych właśnie okolicznościach, chociaż bym tego nie chciał. Panno Snider, proszę się opanować. Nie chcemy dręczyć pani. Chcemy tylko, żeby nam pani pomogła, o ile pani może. Czy nie zauważyła pani przed południem niczego niecodziennego albo czegokolwiek, co wydałoby się pani nieco dziwne, powiedzmy?

— Nie, chyba nie — potrząsnęła głową. — Zjadłam śniadanie, potem grałyśmy godzinę, albo może trochę dłużej, z Karoliną, wróciłyśmy do domu, wzięłam tusz, przebrałam się i wyszłam... tatuś był w bibliotece, zajrzałam tam, pracował, wyszłam do parku, a potem zauważyłam, że nie ma w torebce puderniczki, i zaczęłam jej szukać. Ale nie znalazłam. A potem spotkałam Karolinę i pana w ogrodzie, kiedy wracałam. Później poszłam na górę. Czytałam trochę, tatuś przyszedł, a kiedy wyszedł, nadciągnęła burza. Zbiegłam do biblioteki i... tatusia nie było. Złękłam się o niego, wzięłam pierwszy lepszy płaszcz i pobiegłam w stronę pawilonu, bo myślałam, że może rozmawia z generałem albo wyszedł po niego, bo zerwała się ulewa i... resztę pan wie... — zwróciła się do Alexa.

— Tak — Joe skinął głową. — Ale po wejściu do pawilonu, kiedy zobaczyła pani generała, powiedziała pani: „On po śmierci, on po śmierci...” i zemdląła pani... Czy może mi pani powiedzieć, co te słowa miały oznaczać? W pierwszej chwili nie zwróciłem na nie uwagi. Wszyscy byliśmy zaskoczeni widokiem umarłego. Ale teraz chciałbym panią o to zapytać. Czy można zapalić?

Wyjął papierosa, nie spuszczać oka z dziewczyny.

— Oczywiście! — powiedział szybko Snider. — Oboje palimy, chociaż stosujemy się do normy dziesięciu sztuk dziennie na osobę. — Wyciągnął zapalniczkę i podał ogień Alexowi.

— Ja... ja... — Dorothy skuliła się i wyprostowała. Odetchnęła ciężko. — Ja nie wiem, co powiedziałam wtedy. Jeżeli tak powiedziałam, to... to nie miało żadnego sensu, prawda?

— O to właśnie chciałem panią zapytać. Przyznaję, że w pierwszej chwili pomyślałem nawet, że być może była pani w pawilonie przed nami i dostrzegła pani jakąś zmianę. Ale teraz wiem, że nie mogła pani tam być. Dlatego wierzę pani bez zastrzeżeń.

— Wie pan, że nie mogłam tam być... — powiedziała cicho Dorothy. — Na pewno pan wie?

— Tak, tak się złożyło, że od chwili, kiedy powróciła pani z Karoliną do domu po partii tenisa, pawilon był pod nieustanną obserwacją i musiałyby pani zostać zauważona.

— Musiałabym zostać zauważona — powtórzyła jak echo Dorothy. — Więc nie byłam tam po śmierci generała, a przed przybyciem pana. Więc nie byłam tam... Ale dlaczego mógł pan tak przypuszczać? Tylko dlatego, że zawołałam coś, czego nie pamiętam? Ja... ja w ogóle widzę tę chwilę jak przez mgłę... wszystko wirowało... szłam i byłabym spadała... a potem...

Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

— Sami panowie widzicie, do czego to prowadzi... — Snider ujął Parkera pod ramię i poprowadził ku drzwiom. — Później, za parę godzin, szok minie i będzie mogła rozmawiać swobodnie. Ale teraz... Bardzo proszę o pozostawienie nas w spokoju. Zresztą, jak panowie widzą, nie mamy nic ciekawego do zakomunikowania.

— Kto wie? — mruknął Alex cicho, ale tak, że profesor Snider usłyszał go. — Dopóki nie padnie ostatnie słowo, nigdy nie wiadomo, która informacja miała wartość, a która nie. Proszę przeprosić córkę za to, że niepokoiłiśmy ją.

Wyszli.

Na korytarzu Parker spojrzał na Alexa i potarł podbródek.

— I co myślisz o tym wszystkim?

— Myślę... — powiedział Joe przyciszonym głosem — że oni oboje kłamią. Ale na czym polega ich kłamstwo, nie wiem. Ona naprawdę nie mogła być w pawilonie przed nami, Ben.

— A może Hicks nie powiedział ci o tym? Panna Snider jest przecież domownikiem, więc nie reagował na jej wejście. Mogła mieć jakąś ważną rozmowę z generałem, kiedy poszła szukać puderniczki, jak mówi.

— Tak, to możliwe. Czy Hicks już jest?

— Zobaczymy.

Zeszli na dół. Sierżant Hicks, najwyraźniej wyspany już i niemal zadowolony z siebie, siedział na krześle w bibliotece i zerwał się na widok zwierzchnika.

— Dobrze, że już jesteście — powiedział Parker... — Jest taka sprawa: o której zajęliście miejsce na waszym punkcie obserwacyjnym obok pawilonu za murem posiadłości?

— Punktualnie o dziewiątej trzydzieści, szefie. Byłem tam już od dziewiątej dwadzieścia pięć, tak jak umówiłem się z panem Alexem, ale szukałem przez parę minut dogodnego punktu obserwacyjnego, zanim go znalazłem.

— I mieliście przez cały czas na oku pomost prowadzący do pawilonu?

— Tak, szefie.

— Przez cały czas? — zapytał ponownie Parker z naciskiem.

— Tak, szefie. Z wyjątkiem paru minut, kiedy pojawił się ten facet zbierający kwiatki dla narzeczonej. Ale o tym już mówiłem panu Alexowi.

— O której to było?

— Za piętnaście jedenasta, szefie...

— A poza tym nikt nie wchodził do pawilonu?

— Nikt, szefie. Mogę za to ręczyć. Dopiero panna Perry. Ale pan Alex był przy tym. Ja także zresztą znajdowałem się już po tej stronie muru.

— Dobrze... — Parker niezdecydowanie skinął głową. — Zostańcie z chłopcami i bądźcie w hallu, sierżancie. Wypalicie się już, mam nadzieję?

— Tak, szefie. — Hicks potarł łysinę. — Ale nie samym snem człowiek żyje...

— Jesteście głodni?

— Jeśli wolno tak stwierdzić, szefie.

— Więc zejdźcie do kuchni. Są tam, jak mi się wydaje, dwie bardzo sympatyczne panienki, które z łatwością pozyskują sobie względy stołecznej policji. Powiedzcie Wintonowi, bo to on zdaje się jest tym „bardzo przystojnym panem z wąsikami”, że mu obetnę te wąsiki, jeżeli będzie paplał z domownikami o szczegółach śledztwa, nawet jeśli ci domownicy mają piwne pełne słodczy oczy, które zajmują pół twarzączki!

— Tak jest, szefie! Powtórzę mu!

Hicks zniknął.

— Masz słusność — Parker usiadł ciężko na krześle. — Panna Snider nie była w pawilonie przed wami. Zresztą Meryl Perry była tam później i rozmawiała z generałem, więc... — rozłożył ręce — jeżeli nawet kłamia, nie dotyczy to chyba śmierci Somerville’a.

— Urwał. — A Cowleya nie ma! Siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów także nie ma! Pozostała nam tylko koszula z urwanym rękawem. Chciałbym, żeby już było po wszystkim, Joe. Mam nadzieję, że doktor wkrótce przyśle sprawozdanie z sekcji, a Cowleya złapią, kiedy będzie wchodził do swego londyńskiego mieszkania. Czeka ją tam na niego. Wtedy napiszemy piękny protokół, a ty... — wstał i położył rękę na ramieniu przyjaciela. — Myślę, że powinieneś pójść do panny Beacon, co, Joe? Siedzi tam sama już tak długo. Śmierć generała musiała być dla niej wielkim wstrząsem. Idź...

Joe potrząsnął głową.

— Myślę, że dobrze będzie, jeżeli porozmawiamy z pozostałymi osobami tego dramatu — powiedział cicho. — Z Karoliną także, jeżeli chcesz. Pójdę do niej, ale razem z tobą.

— Jeżeli sobie tego życzysz...

Parker wstał. Kiedy znaleźli się przed drzwiami Karoliny zawahał się.

— Może byś jednak poszedł sam?

Bez słowa Joe zapukał. Usłyszawszy odpowiedź otworzył drzwi i lekko pchnął przyjaciela, zmuszając go, aby wszedł pierwszy.

— Tak strasznie mi przykro, Miss Beacon... — Parker serdecznie uścisnął jej rękę. Karolina była bardzo blada, ale opanowana. Uśmiechnęła się nawet, choć nie był to wesoły uśmiech.

— Czy... czy stało się coś... coś gorszego? — zapytała nie mogąc czy też nie chcąc wymówić słowa: morderstwo.

— Jesteśmy niemal przekonani, że generał Somerville popełnił samobójstwo — powiedział Parker. — Znamy nawet przyczyny, dla których mógł tak postąpić. Był bardzo starym człowiekiem, całe jego życie mogło zostać przekreślone przez nikczemność szantażysty, więc wybrał to, co osądził najprawdopodobniej jako jedyną ewentualność, która mu pozostała.

— Mój Boże... — Karolina przymknęła oczy. — Nigdy nie przypuściłabym, żeby on... Był taki waleczny, Joe. Nie cofał się przed żadnymi przeciwnościami i nagle...

— Samobójstwo nie zawsze jest oznaką tchórzostwa — Parker położył swoją wielką dłoń na jej drobnej dłoni i natychmiast cofnął ją, jak gdyby zażenowany tym przypływem serdeczności. — Może być także aktem odwagi, jak to miało miejsce w tej sprawie, jeśli wszystko odbyło się tak, jak przypuszczamy, że się odbyło.

Umilkł. Joe zapalił papierosa.

— Karolinko — powiedział cicho. — To nie jest aż takie proste, jak przedstawił ci przed chwilą Ben. Pozostały pewne nie wyjaśnione okoliczności.

— Nie wyjaśnione okoliczności! Czy chcesz powiedzieć, że dziadek John mógł nie popełnić samobójstwa? Och, Joe!...

Na twarzy jej pojawił się nagle wyraz przerażenia.

— Tego także nie chcę powiedzieć. Nie wiemy jeszcze. Ale generał Somerville miał przy sobie w pawilonie siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Pieniądzy tych nie znaleźliśmy nigdzie po jego śmierci. Poza tym Cowley zniknął.

— Cowley? — Karolina otworzyła szeroko oczy. — Przecież jadł z nami śniadanie.

— Ale po śniadaniu wyszedł i nikt z domowników nie widział go od tej pory. Ty także nie, prawda?

W milczeniu potrząsnęła przecząco głową.

— Tak przypuszczałem — powiedział Alex. — Chciałbym, żebyś powiedziała teraz Benowi, co robiłaś przez całe przedpołudnie aż do chwili, gdy... — urwał i odetchnął głęboko.

— Ależ to zupełnie zbyteczne! — Parker wstał i spojrzał na przyjaciela niemal wrogo. — Zupełnie zbyteczne, Miss Beacon! Nie wiem, co mu strzeliło do głowy, żeby prosić panią o coś podobnego! śledztwo nie jest jeszcze zakończone, to prawda. Ale, na szczęście, mamy świadectwo miss Perry, która rozmawiała z dziadkiem pani o jedenastej. Później wybuchła burza. A ponieważ huk piorunów zagłuszył wystrzał, więc... Co ja mówię! Mam masę spraw jeszcze! Zostań z panią przez chwilę, Joe. Później spotkamy się w bibliotece.

Chciał ruszyć ku drzwiom.

— Zostań, Ben... — powiedział cicho Alex. — Wszystkim nam zależy przecież na możliwie największej ilości informacji od osób, które tu były. Czy nie spostrzegłaś czegoś niecodziennego dziś rano, Karolino?

— Nie... — potrząsnęła głową. — Jeżeli nie liczyć zdenerwowania Dorothy, która zgubiła puderniczkę. Ale to przecież nie ma żadnego znaczenia, prawda? — spojrzała zmęczonymi oczyma na Parkera, który zatrzymał się z ręką na klamce i zawrócił teraz powoli.

— Opowiedz nam po kolei wszystko, od śniadania.

— Więc wstałam od stołu, z tobą, prawda? I poszliśmy razem z panem Jowettem. Nie, poszłam na górę i przebrałam się w szorty. Wzięłam rakiety i zeszłam na dół, a ty byłeś tam z panem Jowettem. Potem wyszła Dorothy i udałyśmy się na kort. Grałyśmy trochę bez liczenia punktów, a potem spróbowałyśmy rozegrać pełne spotkanie. Ale było tak parno, że postanowiłyśmy przerwać pierwszego seta, który ciągnął się bardzo długo. Wracając znów spotkałam ciebie. Weszłam razem z Dorothy na górę. Ona poszła do swojego pokoju, a ja do mojego... Wykąpałam się, przebrałam i zeszłam na dół... Nie mogłam usiedzieć na miejscu... — Przymknęła oczy. — Och, Joe, jakie to okropne! Gdybym wiedziała...

Parker nie odezwał się, ale zwrócił pytające spojrzenie na Alexa.

— Mów dalej... — powiedział Joe łagodnie.

— Chodziłam po parku i myślałam, jak to cudownie, że dziadek John zapisał mi Mandalay House. Wiedziałam, że to podłe z mojej strony, ale nie mogłam się powstrzymać. Tak bardzo kocham ten dom...

— Jest teraz twoją własnością... — powiedział Alex — chociaż nie wiedziałas o tym wtedy...

— Moją własnością? — Karolina potrząsnęła głową. Potem szepnęła: — Nie pomyślałam o tym... — Dlaczego to się musiało stać? Właśnie teraz?... Jak mogłam? Ale wiedziałam przecież, że dziadek John jest stary, że kocha mnie, a ja jego, że... że... och, Joe, to okropne! — ukryła twarz w dłoniach, i Alex nagle zupełnie irracjonalnie pomyślał, że to już trzecia kobieta, którą widzi podczas dzisiejszego popołudnia zrozpaczoną, ukrywającą twarz w dłoniach. Ale Karolina opanowała się niemal od razu.

— Przepraszam bardzo — powiedziała patrząc na Parkera. — Zdaję sobie sprawę, jakie to musi być dla pana przykre. Jest pan przecież naszym przyjacielem. Postaram się, żeby to się już nie powtórzyło — odetchnęła i przyglądała włosy nieświadomym, obojętnym ruchem. — Więc spacerowałam po parku w okolicach oranżerii, może pół godziny, może trochę dłużej albo krócej, i zobaczyłam jego... — wskazała Alexa. — Razem obeszliliśmy dom. Potem nadeszła Dorothy. Była bardzo zdenerwowana, bo zgubiła puderniczkę, powiedziała mi, że to prezent od ojca. Jest niemal tak zakochana w tym ojcu, jak dziewczyna w chłopcu. W każdym razie takie sprawia wrażenie... — potarła dłonią czoło.

— Cóż za nonsensy opowiadam! Ale nie umiem się opanować i mówię głupstwa. Więc Dorothy była zdenerwowana. Poszłyśmy na górę, do mnie, i dałam jej mój puder, chociaż wydawało mi się, że jest upudrowana aż nadto. Ale Amerykanki lubią ostry makijaż nawet rano... Potem wyszła i przez korytarz szedł właśnie jej ojciec. Weszli oboje do niej. Siedziałam przez chwilę w pokoju i próbowałam czytać, ale było duszno. Postanowiłam zejść do biblioteki, gdzie zawsze jest chłodno. Profesor Snider wszedł przede mną i wyszedł z domu, a ja skręciłam do biblioteki. Wybrałam sobie jakąś książkę i usiadłam, ale zobaczyłam przez okno, że nadchodzi wielka, czarna chmura, i pomyślałam o dziadku. Chandy nie było widać. Zresztą jest stary, a ulewa mogła lunąć lada chwila. Więc wyjrzałam i zobaczyłam ciebie. Zawołałam, żebyś zaczekał, i pobiegłam po płaszcz i parasole. Wtedy z sali muzealnej wynurzył się pan Jowett. Musiał usłyszeć, kiedy cię wołałam. I powiedział, że mi pomoże. Pochwyciliśmy płaszcz i parasole i pobiegliśmy w stronę pawilonu. A potem, potem już wiesz...

— Tak... — Joe wstał i uśmiechnął się do niej smutnym uśmiechem. — Nie tego spodziewałaś się, przywożąc mnie tutaj, prawda? — rozłożył ręce. — I ja się tego nie spodziewałem.

— Jeżeli dziadek John popełnił samobójstwo, to, to... nawet ty nie mogłaś temu zapobiec, prawda? Nikt nie może przeszkodzić, jeżeli ktoś chce sobie odebrać życie...

— A jeżeli nie popełnił samobójstwa?... — Alex przymknął oczy i otworzył je natychmiast. — A ja byłem przez cały czas w pobliżu! Pomyśl tylko, byłem o kilkadziesiąt kroków i nie zapobiegłem temu!

— Przecież powiedziałeś, że dziadek John sam napisał te listy do Scotland Yardu. Więc jak mogłeś przypuszczać, że mu coś grozi? Nikt nie mógłby wiedzieć... Przecież morderca najpierw zabija, a dopiero później ludzie się dowiadują... Jeżeli... jeżeli nie wiedziałeś, że ktoś chce go zabić, to jak mogłeś zapobiec? Wiem, że musi ci być ciężko, ale ja to rozumiem, Joe. Tego, co się stało, nikt już nie cofnie. A nie możesz robić sobie wyrzutów, że nie zapobiegłeś czemuś, o czym nie miałeś pojęcia, że może zaistnieć. To zresztą nie ma teraz żadnego znaczenia. On nie żyje, a ja... ja ciebie kocham... — dokończyła cicho. — To nie żadna tajemnica, Joe. Pan Parker wie o tym od lat, prawda? Więc nie mówię niczego nowego. Ale nawet gdybyś był obcym mi człowiekiem, także nie miałabym żalu do ciebie... — umilkła na chwilę. — Czy... czy to Cowley go szantażował?

— Wszystko wskazuje na to... — mruknął Parker. — Mogę pani tylko jedno zaręczyć, Miss Beacon, że kiedy mi ten gagatek wpadnie w ręce... — Nie dokończył. — Pójdę już...

— I ja także... — Alex wstał. — Pozostaje jedno, stwierdzić prawdę. Jeżeli pozwolisz, wpadnę później, Karolinko...

— Przyjdź koniecznie... — powiedziała cicho. — Tak strasznie jestem smutna. Dopóki żył, nie przypuszczałam, że jest mi tak bardzo bliski. Czy człowiek musi umrzeć, żebyśmy mogli zrozumieć, ile dla nas naprawdę znaczył, gdy był żywy?

— Obawiam się, że tak. — Joe skinął głową. — Wszyscy to przeżywamy prędzej czy później.

Dotknął lekko jej dłoni i wyszedł szybko za Parkerem, który znajdował się już na korytarzu.

— Paskudna historia! — mruknął zastępca szefa wydziału kryminalnego. — Paskudna, Joe. Kto nam jeszcze został?

— Chanda, Jowett i służba.

— Mniejsza o służbę. Gdzie jest pokój pana Chandy? — zapytał dyżurującego na korytarzu detektywa i natychmiast ruszył w kierunku wskazanym przez wielki, brunatny palec swego podwładnego.

Zapukał cicho. Nie było odpowiedzi, więc nacisnął klamkę i zajrzał. W nozdrza stojących uderzył dziwny, oszałamiający zapach. Chanda stał zwrócony plecami do drzwi i zgięty w niskim pokłonie. Naprzeciw niego cztery, wąskie, żółte świece płonęły przed niewielkim, złocistym posągami siedzącego Buddy. Pomiędzy świecami stała płytka miseczka i z niej to właśnie unosiły się w powietrze wstęgi błękitnego dymu, rozwiewając się z wolna wzdłuż ścian. Parker chciał się cofnąć, ale Chanda, usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, odwrócił głowę i wyprostował się.

— Proszę wejść. Oczekiwałem panów.

Po krótkim wahaniu Parker wszedł. Joe wsunął się za nim i zamknął drzwi. Wewnątrz woń kadzidła była jeszcze bardziej oszałamiająca.

— Nie chcielibyśmy przeszkodzić panu w wykonywaniu obrzędu religijnego... — rozpoczął komisarz formalnie, — ale okoliczności zmuszają nas do tego. Czy może wolałby pan pomówić z nami później, powiedzmy, za pół godziny?

Chanda przecząco potrząsnął głową.

— Ten obrzęd religijny będzie trwał bardzo długo... — powiedział spokojnie. — Ale może woń kadzidła jest dla panów męcząca? Biali ludzie...

— Nie, nie — Parker energicznie potrząsnął głową. — Może by tylko zechciał pan uchylić trochę okno?

I nie czekając na odpowiedź starego Birmańczyka, szybko podszedł do okna, otworzył je i pozostał przy nim, opierając się plecami o framugę.

— Nazywam się Parker i...

— Wiem, proszę pana. Był pan tu przed tygodniem i odbył pan rozmowę z generałem Somerville'em... — Chanda skłonił głowę. — Znam treść tej rozmowy, gdyż pan mój był tak uprzejmy, że obdarzył mnie swym zaufaniem.

— Gdyby obdarzył także i nas swym zaufaniem, może nie doszłoby do tej tragedii? — mruknął Parker.

— A więc sądzi pan, że człowiek może wyręczyć Przeznaczenie, panie komisarzu. Proszę wybaczyć mi, ale w głupocie serca mego nie zgadzam się z panem. Wczoraj jeszcze, a nawet dziś rano, myślałem, być może, że to możliwe. Obawiałem się o mego pana. Poszedłem do pana Alexa i powiedziałem mu wszystko, co wiem o tej sprawie. Chciałem ustrzec pana mego przed nieszczęściem, które mu groziło. Ale Przeznaczenie chciało inaczej. Śmierć, która miała nadejść, nadeszła inną ulicą, ubrana w inną szatę, i pan mój umarł. Gdyż rodzimy się pewnego dnia, który został nam przeznaczony, a umieramy w dniu, w którym napisano, że będzie naszym dniem ostatnim. Wszyscy jesteśmy śmiertelni.

— Być może! — powiedział Parker. — Ale do moich obowiązków należy, aby możliwie największy procent obywateli tego kraju umierał w sposób naturalny, bez pomocy innych ludzi, którzy wyręczają Przeznaczenie, o którym pan wspomniał.

— Ci ludzie są tylko narzędziem... — Powiedział cicho Chanda. — Ale rozumiem pana. Ja także wierzę w sprawiedliwość i w karę dla nikczemnika.

— Bardzo się cieszę... — powiedział Parker niemal pogodnie. — Jeżeli pragnie pan kary dla nikczemnika, który bądź zamordował generała, bądź też szantażował go jako Plumkett czy też razem z Plumkettetem, może powie nam pan, czy nie widział pan dziś po śniadaniu inżyniera Cowleya, gdyż mamy wiele powodów, aby przypuszczać, że to on właśnie wyręczył Przeznaczenie w tej smutnej sprawie.

— Pana Cowleya? — twarz starego Birmańczyka nie ujawniła zdumienia, ale mimowolnie spojrzenie jego skierowało się ku Alexowi.

— Tak — powiedział Joe. — Inżynier Cowley zniknął, a z nim paczka dolarów, którą zaniósł pan do pawilonu, idąc tam rano z generałem. Czy jest pan pewien, że złożył je pan tam, gdy pozostawił pan generała przy pracy?

— Tak. Pan generał natychmiast po wejściu do pawilonu zwrócił się do mnie i kazał mi wyjąć pieniądze z teczki. Były w celofanowym przezroczystym woreczku, tak żeby Plumkett mógł od razu zobaczyć, że to nie papier gazetowy albo coś podobnego. Generał chciał, żeby ten człowiek zabrał się do liczenia. Wtedy miałby odwróconą uwagę. A wówczas wystarczyło tylko sięgnąć do szuflady, gdzie leżał rewolwer. Był to bębnowiec amerykański najcięższego kalibru. Generał powiedział, że jest to najpewniejsza broń, gdyż nie może się zaciąć. Był starym żołnierzem...

— A ten rewolwer przyniósł pan także w tej teczce?

— Nie. Generał trzymał go w szufladzie stołu zawsze, kiedy pracował w pawilonie.

— Czy to znaczy, że pozostawiał go na noc?

— Oczywiście. Zamykałem tylko drzwi pawilonu na klucz, a rano, wracając, otwierałem je.

— Czy ma pan ten klucz przy sobie?

— Zawsze go noszę przy sobie... — Chanda sięgnął do kieszeni kaftana. — Oto jest...

Alex wziął klucz do ręki i obrócił go w palcach. Parker westchnął.

— Przecież to najwykleszy klucz pod słońcem! — powiedział z wyrzutem. — Każdy może otworzyć z łatwością drzwi zamknięte na taki klucz.

— Zwracałem na to uwagę generała — Chanda skinął głową, ale powiedział, że o ile wie, złodzieje otwierają wszystkie zamki i na tym właśnie polega ich zawód. Poza tym nocą można wejść do pawilonu leżącego tak daleko od domu wyciąwszy cicho szybę. A więc nie warto nawet wzywać ślusarza. Nie znalazłem na to odpowiedzi, bo wydało mi się, że pan miał słuszność.

— Być może... — mruknął Parker. — Ale był nieco lekkomyślny, jeśli to pana nie urazi. Pozostawiał nabity rewolwer w ledwie zabezpieczonym pomieszczeniu.

— Ale zginął, gdy znajdował się w tym pomieszczeniu, a rewolwer ten był tam rano, gdy przyszlśmy. Widziałem go na własne oczy.

— A czy nie widział pan nikogo wchodzącego do pawilonu podczas przedpołudnia? Chanda nie odpowiedział od razu. Spojrzał na Alexa. W spojrzeniu jego było coś, czego znaczenia Joe nie mógł pojąć, a jednak rozumiał, że to, co Chanda powie teraz, musi mieć jakieś dodatkowe znaczenie. Jakie?

— Byłem na strychu od godziny mniej więcej pół do dziesiątej — powiedział spokojnie Chanda — i zszedłem stamtąd dopiero wówczas, gdy zobaczyłem, że cała grupa powraca bez generała. Trudno było coś zobaczyć, bo nastał niemal półmrok i ulewa

uderzyła w okienko, które zmuszony byłem zamknąć. A zostałem dlatego, gdyż na morzu była łódź... policyjna, jak się okazało. Ale nie miałem tej pewności, a godzina przybycia Plumketta właśnie nadchodziła. Przez cały czas patrzyłem na morze i widziałem pawilon. Panna Perry weszła o jedenastej, zabawiła chwilę i wyszła, ale nie powróciła do domu. Było to najzupełniej normalne, gdyż wiedziałem, że o tej porze ma oddać generałowi zdjęcia grupy Yeti. Generał nawet prosił ją, aby przyszła o tej porze, gdyż chciał sprawiać wrażenie człowieka, który pracuje jak zwykle i nie spodziewa się żadnego zakoczenia.

— I nie zauważył pan nikogo więcej?

— I nie zauważyłem nikogo więcej... — powtórzył stary Birmańczyk. Wstał, poszedł do ołtarzyka i nożyczkami z lśniącego brązu obciął część knota migocącej świecy. Przez chwilę stał obserwując płomyk, a kiedy przekonał się, że znów świeci równo, zawrócił ku obu stojącym przy oknie mężczyznom. Zapadał zmrok.

— Oczywiście, ktoś mógł się prześliznąć... — dodał z wahaniem — teoretycznie jest to możliwe... Patrzyłem przez lornetkę na morze, więc kiedy unosiłem ją, żeby spojrzeć na horyzont, pawilon zniknął zupełnie z mojego pola widzenia.

— Część ogrodu była także w zasięgu pańskiej obserwacji, prawda?

— Tak, oczywiście.

— Czy nie widział pan inżyniera Cowleya?

— Nie. Był w bardzo jaskrawej koszuli, więc gdybym nawet zobaczył ją z dala pomiędzy drzewami, musiałbym go zauważyć.

— Cowley zmienił koszulę pomiędzy godziną pół do dziewiątej a dziesiątą... — powiedział Alex.

— Zmienił? Na jaką?

— Tego nie wiemy. Ale czy widział pan kogoś zbliżającego się w kierunku pawilonu, kogo nie mógł pan rozpoznać?

— Trudno mi powiedzieć... Niemal przed pierwszymi kroplami deszczu poszedł szybko w tamtą stronę profesor Snider. Przedtem jego córka także udała się w kierunku kortu tenisowego. Ale korony drzew i krzewy są tak gęste, że z góry widać naprawdę tylko klomb, wyłoty alejek, które do niego się schodzą, okna i dach pawilonu w oddali. A przesmyk skalny i balustrada widoczne są tylko na małym odcinku, tam gdzie istnieje luka pomiędzy drzewami... Cowley? — milczał przez chwilę. — Mieszkam tu niemal pół wieku, ale nigdy nie zrozumieję naprawdę duszy białego człowieka. Cowley nie wyglądał na kogoś, kto potrafiłby to zrobić. Ale jestem zapewne w błędzie...

— Tak by się wydawało, sądząc z tego, co wiemy dotychczas. Dziękuję, Mister Chanda. Postaramy się pana nie niepokoić, jeżeli nie zajdzie konieczna potrzeba.

— Dziękuję, panie komisarzu. Tylko jedno pytanie...

— Słucham?

— A kolacja? O ile zauważyłem, ma pan z sobą wielu ludzi, a śledztwo nie jest zakończone. Domownicy i goście także zapewne będą chcieli coś zjeść.

— Oczywiście. Co prawda, nie ma pan żadnego obowiązku karmienia sił policyjnych Jej Królewskiej Mości i moi ludzie mogą grupkami udawać się samochodem do gospody...

— Nie sądzę, aby generał Somerville był zadowolony, gdyby mógł to słyszeć — powiedział Chanda. — Każę przygotować kolację dla wszystkich.

— Dziękuję bardzo... — Parker uśmiechnął się.

— I jeszcze jedno — Chanda spojrzał na Alexa. — Jest pan teraz zapewne bardzo zajęty, Mister Alex. Chciałbym zajrzeć do Karolinki. Na pewno filiżanka mocnej herbaty albo trochę bulionu dobrze jej zrobi — spojrzał na Parkera. Była tu jako dziecko i pokochaliśmy się wtedy wszyscy — dodał tonem wyjaśnienia. — Zapewne Kocham ją nadal tak samo jak wówczas...

— Ależ oczywiście! — Parker wydawał się bardzo zadowolony z tego obrotu sprawy. — Niech pan idzie do niej zaraz po wydaniu dyspozycji służbie. Biedactwo wygląda okropnie... Tyle przeżyła dzisiaj.

— Tak... — Chanda skłonił głowę. — Przeżyła dziś bardzo wiele, więcej niż kiedykolwiek w życiu... I znowu w głosie jego było coś, czego Parker nie dosłyszał, a co kazało Alexowi spojrzeć na starego Birmańczyka z nagłą uwagą. Ale twarz Chandy nie wyrażała niczego poza uprzejmym uśmiechem. Wyszli.

— Jeszcze tylko ten Jowett... — mruknął Parker — i jesteśmy po wstępnych rozmowach. Pokojówka powiedziała zdaje się, że mieszka on w sąsiedztwie Cowleya? Ruszył w tamtym kierunku. Ale w tej samej chwili z wylotu schodów wynurzył się Hicks.

— Są ekspertyzy, szefie... — powiedział półgłosem. — Położyłem je na stole w bibliotece. Johnny poszedł złuzować Brovera w pawilonie.

— W porządku! — Parker zaczął szybko schodzić w dół, przeskakując po dwa stopnie.

Kiedy znaleźli się w bibliotece, porwał ze stołu dwie zapieczętowane lakiem koperty, rozerwał je i zaczął czytać. Alex usiadł i przyglądał mu się w milczeniu.

— No cóż... — Parker ze zniechęceniem odłożył oba papiery na stół. — Pocisk został wystrzelony z rewolweru, który znaleziono przy zmarłym. Tłumik nie został użyty. Wskazuje na to brak jakichkolwiek mikrośladów na lufie i sposób, w jaki proch wbił się w skórę zmarłego po wystrzale... Wszystko się zgadza. Musiał zabić się pomiędzy jedną nastą a pół do dwunastej, to znaczy pomiędzy wizytą Meryl Perry a waszym wejściem do pawilonu. Burza zagłuszyła huk wystrzału...

Alex nie odpowiedział. Wziął do ręki oba papiery i przesuwając po nich oczyma. Nagle uniósł brwi.

— Przeczytaj, jeżeli zechcesz, ekspertyzę kawy w filiżance i termosie... — dodał Parker.

— Też bez rewelacji. Tyle a tyle kawy, taki a taki procent cukru w roztworze. Wszystko w porządku. Trudno zresztą było spodziewać się czegoś innego. Powiem ci szczerze Joe, że jestem nawet zadowolony, jeżeli słowo to może w ogóle pasować do tych smutnych okoliczności. Samobójstwo to jednak tylko samobójstwo.

— Zapewne... — Alex pokiwał głową. — Ale zdaje się, że nie doczytałeś do końca ekspertyzy balistycznej. Dodają równocześnie notkę daktyloskopa: na broni nie znaleziono żadnych odcisków palców. Była wytarta do czysta!

— Co? — powiedział Parker i powrał kartkę. — Przeczytał ją raz, potem drugi raz i opuścił rękę. — Więc jednak... — Usiadł ciężko. — Zdaje się, że miałaś słusność, Joe... Niestety, nie możemy nawet przypuszczać, aby generał John Somerville władował w swoje biedne ciało pocisk colta 45, a później spokojnie wytarł broń i rzucił ją na ziemię... Został zamordowany.

— Tak... — Alex skinął głową. — Ale przecież nie mógł zostać zamordowany.

Parker wstał i zaczął spacerować w milczeniu po pokoju. Później zatrzymał się nagle przed przyjacielem.

— Wiem, co chcesz powiedzieć: że nikt nie słyszał strzału, a kiedy rozpoczęła się burza, Hicks pilnował przesmyku skalnego i nikt nie mógłby się przedostać do pawilonu bez jego wiedzy. A jednak, mój drogi! A jednak...

— Właśnie... — Alex także wstał. Był bardzo poważny. — A jednak generał Somerville został zamordowany. A fakt, że nie użyto tłumika, przeraża mnie. Ponieważ ja będę głównym świadkiem obrony, jeżeli zechcesz kogokolwiek oskarżyć o tę zbrodnię.

— Ty? — powiedział Parker ze zdumieniem.

— Tak. Ja. Ponieważ od chwili gdy widziałem generała Somerville'a żywego przed dziewiątą, do chwili gdy znalazłem go martwego o pół do dwunastej nikt nie mógł zastrzelić go w tym pawilonie z rewolweru najcięższego kalibru, nie używając tłumika.

— A przecież zastrzelił go!

— I dlatego... — powiedział Joe cicho, siadając i spoglądając niewidzącymi oczyma na leżące pośrodku stołu koperty — musimy zacząć myśleć, Ben!

— Boże mój... — Parker także usiadł. — Nie spodziewałem się tego! To najbardziej zdumiewająca historia, jaka mi się wydarzyła w życiu... Oczywiście musisz się mylić. Albo ty, albo Hicks musieliście wziąć ten wystrzał za... za coś innego...

Alex bez słowa wzruszył ramionami.

— Musieliście! — Parker znowu się zerwał. — Czy chcesz mi wyjaśnić, że mam powrócić do Londynu i złożyć raport, w którym opiszę ten fakt, podam, że generał Somerville nie mógł popełnić samobójstwa i że nikt go nie mógł zabić?

— Gdybyś w tej chwili chciał odjechać do Londynu, byłoby to jedyne rozsądne określenie sytuacji, w jakiej się znajdujemy... — Alex rozłożył ręce. Potem spojrzał na przyjaciela z nagłym błyskiem w oczach. — Czy nie sądzisz, że to zdumiewające?

— Co?

— Fakt, że to ja właśnie byłbym świadkiem obrony każdego oskarżonego, którego mógłbyś wymyślić w tej sprawie?

— Nie rozumiem. Byłeś tu przecież i... — Parker urwał — chcesz powiedzieć, że to może być nieprzypadkowe? Jak to?

— No cóż, bądź co bądź jestem świadkiem, którego trudno lekceważyć w przewodzie sądowym. Jestem w pewien sposób najlepszym świadkiem, jakiego ktokolwiek mógłby sobie zaproponować w podobnej sprawie...

— Tak... — Beniamin Parker skinął głową. — To prawda. Twoje świadectwo złożone pod przysięgą i poparte słowami Hicksa uniemożliwiłoby sądowi wydanie wyroku na kogokolwiek... Ale przecież... — dodał z nagłą rozpaczą — nikogo nie można oskarżać w takich okolicznościach! Nikogo! To najbardziej zdumiewająca historia, jaka mi się przydarzyła, Joe! Zdumiewająca!... I co my teraz zrobimy?

Ale mylił się, bo już wkrótce miały nadejść wydarzenia bardziej zdumiewające. A jedną z największych niespodzianek, jakie miał przeżyć podczas tego pełnego niespodzianek dnia, miały okazać się słowa pełnego dostojeństwa lekarza, zajeżdżającego właśnie przed dom w maleńkim Mini-Morrisie, który absolutnie nie licował z monumentalnym wyglądem swego właściciela.

Rozdział 15

To niemożliwe, panie doktorze

— Pan doktor O’Flaherty! — zameldował Hicks. — Przywozi wyniki sekcji.

— Nie daj mu niczego poznać po sobie — powiedział szybko Parker. — Przyjmę go, jak gdyby wszystko było dla nas jasne i zrozumiałe. W tej sytuacji plotki byłyby zabójstwem dla śledztwa!

Wstali obaj na widok doktora O’Flaherty, który rozejrzał się, położył kapelusz na jednym z krzeseł i podszedł do stołu, trzymając w ręce teczkę z żółtej skóry, zamykaną na wielki złocisty zamek.

— Przywiozłem wyniki sekcji, panie komisarzu... — urwał.

— Proszę, niech pan siada, panie doktorze... — Parker przysunął mu krzesło. — Doktor usiadł. — Co prawda, prosiłem pana, żeby był pan łaskaw przetelefonować mi wstępne wyniki badania, ale skoro zechciał się pan pofatygować osobiście, tym lepiej. Nic ciekawego, prawda?

Doktor O’Flaherty z wolna uniósł głowę sponad kart papieru, które wyjął z teczki. Spojrzał na Parkera, jak gdyby nagle zobaczył zdumiewający okaz egzotycznego, nie znanego mu stworzenia.

— Przeciwnie, panie komisarzu... — powiedział wreszcie spokojnie. — Pańskie przedwczesne wnioski wydają się zupełnie fałszywe w świetle doświadczeń medycyny sądowej. Dlatego może przejdę od razu do faktów.

— Więc jednak — powiedział Parker. — Czy sekcja?... — zamilkł.

Alex wstał, podszedł do stołu i usiadł naprzeciw lekarza.

— Właśnie. Dlatego przyjechałem tu sam, a nie powierzyłem wyników sekcji rozmowie telefonicznej — doktor O’Flaherty uniósł leżącą na wierzchu kartę. — Może oszczędzę panom terminów technicznych i przejdę do sedna sprawy, dobrze?

— Oczywiście... — powiedział cicho Parker, który opanował się już. — Tak będzie najlepiej.

— A więc pocisk, który przebił pierś zmarłego generała Johna Somerville’a, nie mógł być, według mojej opinii, którą gotów jestem zaprzysiąc w sądzie, wystrzelony z rewolweru, którym, jak sugerowało położenie zwłok, zmarły się sam posłużył. Pocisk prze-

szedł przez ciało niemal poprzecznie, od strony lewej ku prawej, co przy stwierdzonej praworęczności umarłego wymagałoby akrobatycznej, nienaturalnej i nonsensownej pozycji ręki, trzymającej broń w chwili strzału. Ludzie strzelają sobie z boku w skroń, lecz nie popełniają samobójstwa strzelając sobie w pierś z ukosa, ale przykładają broń w ten sposób, żeby lufa skierowana była w punkt, który w ich przekonaniu powinien zostać porażony. Potwierdza to zresztą dodatkowy fakt: Broń znaleziono na podłodze pod zwisającą bezwładnie ręką denata. Ale gdyby generał Somerville wystrzelił trzymając rewolwer z przeciwnej strony ciała, to zważywszy potężną siłę odrzutu colta 45 rewolwer ten albo wyleciałby mu z ręki, gdyż pocisk przeszył z ukosa serce, powodując natychmiastową śmierć, albo też ręka z rewolwerem opadłaby na stół, przed którym zmarły siedział w fotelu...

— Czy jest pan absolutnie pewien tego, co pan w tej chwili stwierdził, panie doktorze?

— Jestem lekarzem od trzydziestu pięciu lat — powiedział doktor O’Flaherty z godnością — i wiem, na czym polega odpowiedzialność związana z moim zawodem. Będę panu bardzo zobowiązany, panie komisarzu, jeśli zechce pan zachować tego rodzaju uwagi, jak ta, którą wypowiedział pan przed chwilą, dla osób, które znajdują przyjemność w słuchaniu impertynencji, nawet nie zamierzonych.

— Proszę mi wybaczyć... — powiedział Parker. — Ale chociaż i ja pracuję od wielu lat w moim zawodzie, wszystkie okoliczności w tym śledztwie wskazują, że nikt nie mógł zamordować generała Somerville’a! Tak przynajmniej sądziłem do tej pory. To, co pan mówi, panie doktorze, jest dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Widzi pan, tłumik nie został użyty, a od czasu kiedy generała widziano żywego, nikt nie wszedł do pawilonu, to znaczy, nikt, kto mógłby strzelić tak, aby go nie usłyszała osoba stojąca bez przerwy w pobliżu i zasługująca na moje zupełne zaufanie. Proszę mi wybaczyć raz jeszcze, ale zakładając, że generał Somerville dokonałby tej karkołomnej sztuczki, to czy zgodziłby się pan z tym faktem, gdyby udowodniono, że nikt go nie mógł zabić?

Doktor O’Flaherty wpatrywał się przez chwilę w twarz komisarza, zanim powiedział:

— Nie! Gdyby mi nawet przedstawił pan stu świadków, którzy twierdziliby, że przez cały czas patrzyli na generała Somerville’a i widzieli go w chwili, gdy popełnił to samobójstwo, nazwałbym ich wszystkich kłamcami!

— Chyba pan żartuje, panie doktorze... — Parker zabębnił palcami po stole. — Nie moją rzeczą jest dyskutować z panem na temat spraw medycznych, gdyż, jak pan słusznie zauważył, nie jestem autorytetem. Ale sam fakt pewnych nieprawidłowości w układzie broni znany jest medycynie sądowej i zdarzało się wiele wypadków, gdy lekarze wydawali opinię, która, przy całym prawdopodobieństwie ich dowodzenia, okazywała się fałszywa.

— Być może — powiedział doktor O’Flaherty — ale gdyby pozwolił mi pan skończyć, zapewne uniknęlibyśmy niepotrzebnych słów na ten temat. Jeżeli powiedziałem, że uznałbym nawet stu świadków samobójstwa za kłamców, to nie dlatego, abym nie mógł uwierzyć, że ktoś mógł zabić się nawet w tak nieprawdopodobny sposób, chociaż przyznaję, że raczej byłbym skłonny odrzucić z całkowitą niemal pewnością taką hipotezę i zrezygnowałbym z niej jedynie w chwili, gdyby, jak pan powiedział, udowodniono mi, że morderstwo było fizycznie wykluczone. Ale nie ugiąłbym się i przed tym argumentem, gdyby ktoś chciał mi wmówić, że czynu tego dokonał człowiek zupełnie nieprzytomny, znajdujący się najprawdopodobniej w agonii.

— Co? Parker wstał i usiadł. — Czy generał Somerville był nieprzytomny w chwili śmierci?

— Absolutnie nieprzytomny, panie komisarzu. A to dzięki kawie, której wypił, jak sądzę, trzy do czterech filiżanek, i która zawierała rozpuszczone najsilniejsze środki nasenne, jakie można kupić w naszym kraju! Środki te podane mu zostały w takiej ilości, że gdyby nie ów strzał z rewolweru, serce tego dziewięćdziesięcioletniego człowieka nie wytrzymałoby prawdopodobnie, chociaż za to nie mogę ręczyć pod przysięgą. Gdyby mnie pan jednak zapytał prywatnie, powiedziałbym, że generał znajdował się w chwili śmierci we śnie, z którego nie obudziłby się już nigdy.

— Ależ... — powiedział Parker. Wziął do ręki jeden z dwu przyniesionych uprzednio papierów.

— Tu jest ekspertyza kawy, która znajdowała się na dnie filiżanki i w termosie, który stał przy zmarłym! Nie ma tam wzmianki o truciźnie...

Doktor O’Flaherty spokojnie odczytał tekst i oddał mu papier.

— Ponieważ nie chcę twierdzić, że któryś z moich uczonych kolegów myli się... co zresztą w takiej sprawie jest dość nieprawdopodobne, gdyż analiza musi wykryć środki nasenne w płynie, a w dodatku rozpuszczone w takiej ilości, pozostaje mi tylko jedno stwierdzenie: kawa, którą wypił zmarły, nie jest tą samą, którą znaleziono w filiżance i w termosie. Dokonałem analizy treści żołądkowej dwukrotnie wraz z moim asystentem i dwukrotnie uzyskaliśmy niemal identyczne wyniki, stosując dwa rodzaje odczynników... Pomyłka z mojej strony jest wykluczona.

Parker wysłuchał go w milczeniu, potem odwrócił głowę i spojrzał na Alexa. W oczach jego malowało się przerażenie.

— Czy słyszysz, Joe?

— Słyszę... — Alex starał się mówić spokojnie. — Jestem, być może, zaskoczony, ale nie w tym stopniu co ty. Spodziewałem się, że to śledztwo musi w końcu wyeksplodować w jakimś kierunku. Nie sądziłem tylko, że kawa będzie zatruta... — Parker nie odpowiedział. Patrzył zdumionymi oczyma na swego przyjaciela, który nagle ożywił się,

wstał i podszedł do miejsca, gdzie leżało sprawozdanie z sekcji. — Czy to wszystkie pańskie wnioski, panie doktorze? Zapewne są i inne; na przykład, kiedy przypuszczalnie nastąpiła śmierć.

— Oczywiście — doktor O’Flaherty spojrzał na niego z odcieniem sympatii, pełnej jeszcze jednak rezerwy. — Widzę, że pan orientuje się w naszej pracy. Podano mi, że generał Somerville zjadł śniadanie o godzinie mniej więcej siódmej trzydzieści, może nieco tylko później, prawda? Otóż na podstawie tej wyjściowej godziny mogę stwierdzić, że śmierć nastąpiła nie przed godziną dziewiątą oraz nie później niż o godzinie dziesiątej. Kawa została najprawdopodobniej wypita pomiędzy godziną ósmą a dziewiątą. Raczej nieco bliżej ósmej niż dziewiątej.

— A w jakim czasie środki nasenne powinny były podziałać?

— Przy tym stężeniu w ciągu kilkunastu minut powinna była nadejść senność, a w parę minut później sen bardzo głęboki, coraz głębszy w miarę jak organizm przyswaja sobie coraz większą ilość narkotyku z treści żołądkowej... Hamująco mogła podziałać tu kawa, która pobudza działalność serca. Natomiast czynnikiem, który przyspieszył sen, był podeszły wiek zmarłego i mała waga jego ciała. Oba te czynniki wyrównywały się prawdopodobnie, a jeśli generał pił kawę stale, wówczas działanie jej na organizm byłoby odpowiednio słabsze.

— Sądzi więc pan, panie doktorze, że generał musiał być nieprzytomny od której?

— Jeżeli nie posiadał fenomenalnej odporności, która jest nie do stwierdzenia po śmierci, a o której mogliby coś powiedzieć tylko ludzie, którzy go dobrze znali, sen musiał nadejść najdalej w godzinę po wypiciu jednej filiżanki tej kawy. Jeśli, co jest pewne, wypił w krótkim czasie jeszcze dodatkowe dwie filiżanki, to nastąpiłoby przyspieszenie całego procesu... A więc, powiedzmy, generał powinien był zapaść w sen w trzy kwadransy po wypiciu pierwszej filiżanki.

— A że przybył do pawilonu mniej więcej o ósmej dziesięć, więc mógł zapaść w sen nawet o ósmej pięćdziesiąt pięć, prawda? A jednak widziałem go poruszającego się o godzinie... — Joe zmarszczył brwi. — Była wtedy ósma czterdzieści albo pięćdziesiąt... Nie mogłem się omylić, chociaż widzieliśmy go z pewnej odległości. Podniósł rękę i położył ją na stole. Było nas dwóch i obaj to zauważyliśmy.

— Ale nie powiedział nic, prawda? — doktor O’Flaherty skinął głową. — W stanie zamroczenia, który następuje przed zapadnięciem w tego rodzaju sen, człowiek może robić pewne gesty. Spowodowane one są brakiem granicy pomiędzy snem a jawą w jego mózgu. Po pewnym krótkim czasie ruchy te ustają oczywiście. Gdyby pan wówczas podszedł do niego i spowodował szybkie sprowadzenie pomocy, istniałaby minimalna szansa utrzymania go przy życiu, chociaż w tym wieku, moim zdaniem, każde tak poważne zatrucie organizmu narkotykami musi spowodować śmierć.

— Gdybym podszedł do niego... — powiedział Alex. — Ale generał Somerville nie życzył sobie, aby mu przeszkadzano. A zresztą moja wizyta tutaj polegała na tym, abym go nie niepokoił moim widokiem tego przedpołudnia, panie doktorze...

Doktor O'Flaherty chrząknął.

— Zapewne, zapewne... — powiedział bez większego zainteresowania. — Pozostawiam panom protokół z sekcji generała Johna Somerville'a podpisany przeze mnie i doktora Slimsa, który mi asystował. Gdyby mieli panowie jakieś dodatkowe pytania, numer mojego telefonu jest w książce telefonicznej. Proszę nie krępować się nawet nocną porą. Jestem przyzwyczajony do telefonów o każdej godzinie.

— Panie doktorze... — powiedział Alex szybko, trzymając w ręce kartę sekcji: — O ile dobrze rozumiem, nie odnalazł pan cukru w treści żołądkowej?

— Nie. Zauważyłem to — O'Flaherty skinął głową. — Najwidoczniej generał nie używał cukru ani do herbaty, ani do kawy. A przynajmniej nie użył go tego dnia, gdyż odnaleźlibyśmy jego ślady.

— Dziękuję bardzo — Alex odłożył kartę na stół. Doktor podniósł się z miejsca i sięgnął po swój wspaniały melonik.

— Jeszcze tylko jedną chwilę, panie doktorze... — Joe obszedł stół. — Powiedział pan, że generał był absolutnie nieprzytomny w chwili śmierci. Po czym pan to poznał?

— Jest to rozsądne pytanie. Otóż znajdował się on w stanie wielkiego uśpienia, moim zdaniem, niemal agonii, gdyż praca serca zamierała już, a mózg nie odbierał sygnałów od nerwów. Poznać to można po wyrazie jego rysów i po całym położeniu ciała. Został trafiony potężnym pociskiem o kalibrze prawie dwukrotnie większym niż ten, którego używa na przykład policja. Pocisk z colta 45, tępo zakończony, rozrywa tkankę i powoduje potworne obrażenia wewnętrzne, choć dzięki swemu kształtowi ma mniejszą siłę przebicia niż niektóre pociski mniejszych kalibrów. Ten utkwiał w kości. Ale nie o tym chcę mówić. Otóż ta straszliwa rana musiałaby spowodować szereg natychmiastowych reakcji, które byłyby wyraźne jako reakcje całego ciała w ostatniej sekundzie życia. Nic takiego nie nastąpiło. Pocisk uderzył, ale sygnały dotarły do zamierającego mózgu i nie wywołały echa. Nawet twarz jego jest nadal twarzą uśpionego spokojnie człowieka... Palce, stopy... Tak! Spał, proszę mi wierzyć! I dobrze się stało, jeśli mam być szczery, gdyż umarł nie wiedząc, że umiera, a jest to rzecz, której każdy z nas powinien sobie życzyć w ostatniej godzinie życia. Do widzenia panom! Bardzo mi było miło...

Skłonił się im obu i wyszedł.

Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w dwie zadrukowane karty, na których rubrykach drobnym, zdecydowanym pismem doktor O'Flaherty wypisał wyrok na człowieka, którego jeszcze nie znali i obawiali się w duchu, że mogą go nigdy nie poznać.

Dopiero kiedy ucichł warkot motoru małego Morrisa, Parker uniósł głowę, którą trzymał wspartą na łokciach, wpatrując się w zdumiewające sprawozdanie.

— Jedno jest pewne... — powiedział. — Jak w każdym śledztwie, im więcej faktów, tym lepiej! A więc zatruto kawę środkami nasennymi! Zgoda! Zajmiemy się tą kawą, Joe! Umarł pomiędzy godziną dziewiątą a dziesiątą! To też zawęża pole działania... I ktoś wlał później inną kawę do filiżanki i do termosu, a wypłukał, oczywiście, oba te naczynia przedtem. Jest tam przecież zlew! Ale kiedy to zrobił, Joe? Przecież wszyscy tam byliście! Hicks na skale, Chanda w oknie z lornetką! Ty w ogrodzie! I nikt z was nie zauważyłby niczego? Jak to możliwe?

— Nie wiem... — powiedział Alex cicho. Siedział trzymając skronie w palcach dłoni i nie poruszał się. — Nie to jest najważniejsze.

— Nie to jest najważniejsze? — Parker potrząsnął jego ramieniem. — Obudź się, chłopcze! Mówisz od rzeczy! Przyjeżdża ten lekarz, przewraca świat do góry nogami, nie rozumiejąc nawet, co nam powiedział! A ty mówisz, że to nie jest najważniejsze!

Joe uniósł głowę i spojrzał na niego zmęczonymi oczyma.

— Zaczynam rozumieć, Ben... Myślę nawet, że wiem, kto zabił generała Somerville'a. Ale nie mam żadnych dowodów. Wszystkie dowody świadczą, że morderca jest niewinny!

— Co? — powiedział Parker. Potrząsnął głową, a potem powiedział cicho: — A może mi się to wszystko śni? Jak temu biedakowi... A raczej to ty oszalałeś, Joe...

— Podszedł do Alexa. — Czy naprawdę zaczynasz coś rozumieć?

— Tak.

— Powiedz mi, co myślisz, nawet jeżeli wydaje ci się, że to nonsens...

— Jeszcze nie, Ben. Nie gniewaj się, ale nie umiałbym nawet. Widzę jedną osobę, widzę ją wyraźnie pośród innych. Ale absolutnie nie mogę zrozumieć, jak mogła popełnić tę zbrodnię. Przeciwnie — rozumiem doskonale, że jej nie mogła popełnić. Mam nawet dowody niezbite na to, że jej nie popełniła. Zaczekaj jeszcze parę godzin, dobrze? Powiem ci oczywiście. Na razie jesteśmy obaj w głębokim lesie i szukamy drogi. Nie przejmuj się więc moim bełkotem. Prowadźmy normalne śledztwo. I tak musimy je przecież prowadzić.

Parker patrzył na niego przez chwilę, potem skinął głową.

— Zgoda — powiedział. — Jest parę prostych pytań, które muszą nas gdzieś stosunkowo szybko doprowadzić. Pierwsze z nich brzmi: kto przyrządził i przyniósł do pawilonu tę przeklętą kawę.

— To dwa pytania, nie jedno... — Alex opuścił ręce i podniósł się ciężko. — Ale odpowiedź na nie jest jedna: kawę dla generała Somerville'a przyrządziła własnoręcznie, zaparzyła i zaniósła do pawilonu Karolina Beacon, którą na kilkanaście godzin przedtem Somerville uczynił swą jedyną dziedziczką.

Rozdział 16

Czego on chciał ode mnie?

Zastali Karolinę nad nie tkniętą tacą z jedzeniem. Zerwała się na nogi, widząc Alexa. Usta jej drżały i Alex dostrzegł, że jest bliska płaczu. Poczul nagły chłód w sercu.

— Czego on chciał ode mnie, Joe? — powiedziała chwytając oddech, jak gdyby biegła długo, by móc powiedzieć tych kilka słów. Parker zatrzymał się przy drzwiach i stał wyłamując palce i poruszając dłońmi jak gdyby nie wiedział, co z nimi zrobić.

— Kto? — Joe ujął dziewczynę za ramiona.

— Chanda... Przyszedł tu... przyszedł niosąc tę tacę. Zapytał mnie, jak się czuję. Byłam bardzo szczęśliwa, że się pojawił, bo to straszne siedzieć tak tutaj i czekać, aż wy... — urwała i zaraz podjęła: — Ucieszyłam się, ale on zaraz potem zaczął mówić tak dziwnie, że... — wzdrygnęła się. — Jemu coś jest, Joe!

— Co powiedział? Uspokój się, kochanie... — Alex posadził ją łagodnie w fotelu. Opowiedz nam.

— Powiedział, że rozumie, jak wiele musiałam dziś przejść, że on jeden wie, jak wiele... Ale to nie było jeszcze dziwne. Dziwne było dopiero to, co powiedział później: że bym pamiętała, że on zawsze mnie kochał jak córkę, jak najdroższą rzecz w swoim starym życiu, więcej nawet niż generała, swojego pana. I że bym pamiętała, że on nigdy mnie nie zdradzi i mogę mu we wszystkim zaufać... Zapytałam go, w czym mam mu zaufać i czego nie zdradzi? Odpowiedział: „Sama wiesz o tym najlepiej, Karolinko, w sercu swoim. Ja przyszedłem tylko dlatego, żebyś wiedziała, że wiem i przebaczam ci, bo inaczej nie mogę. Ale inni by ci nie przebaczyli, dlatego pamiętaj, że cokolwiek byś postanowiła, jestem przy tobie...” I wyszedł. Czego on chciał ode mnie, Joe?

— O ile go dobrze zrozumiałem, sądzi, że zabiłaś swego dziadka Johna... — powiedział Joe, starając się uśmiechnąć i czując, że serce zamiera mu w piersi. Spojrzał na Parkera, który słuchał z oczyma wbitymi w dywan.

— Ale jak on mógł, Joe? Dlaczego?

— Widocznie musiało mu się coś wydawać. Zapytamy go po prostu, prawda, Ben?

— Oczywiście — odpowiedział głucho Parker. — Musimy tak zrobić...

— Właśnie! — Alex nadal starał się być swobodny. — Przyszliśmy do ciebie, bo konieczna nam jest twoja pomoc. Otóż... — zawahał się na ułamek sekundy: — wiem, że jesteś dzielną dziewczyną i potrafisz znieść prawdę. Generał Somerville został zamordowany. Nie mamy już co do tego żadnych wątpliwości.

— Zamordowany... — powiedziała cicho i niemal odruchowo dodała: — Ale kto, Joe? Kto go mógł zabić?

— Właśnie w tej sprawie konieczna jest twoja pomoc. Generał zginął od kuli z własnego rewolweru, jak wiesz. Ale przedtem jeszcze został oszołomiony, a raczej zatruty środkami nasennymi rozpuszczonymi w kawie, którą wypił w pawilonie.

— Jak to? — Karolina wstała i zachwiała się, ale natychmiast odzyskała równowagę. — Przecież to ja przyrządzałam kawę dla dziadka Johna! Joe, to niemożliwe!

— Nie denerwuj się. Opowiedz nam spokojnie, jak to się odbyło. Od pierwszej chwili. Musiałaś wziąć kawę z torebek albo z pudełek...

— Tak, Joe... — wargi jej zaczęły drżeć. — Ja nie rozumiem! Tam nie mogło być żadnej trucizny! Wzięłam ziarenka kawy z czterech pudełek, proporcjonalnie, a potem sama użyłam młynka, zaparzyłam kawę i wlałam płyn prosto do termosu.

— A gdyby ktoś uprzednio przygotował ciemny proszek w szufladce młynka albo na dnie termosu, czy zauważyłabyś to?

— To niemożliwe, Joe. Zajrzałam do szufladki młynka. Pamiętam to doskonale. Była pusta. A termos sama wypłukałam... Nie, on nie mógł być zatruty kawą... Nie tą kawą!

— Czy twój dziadek używał cukru?

Potrząsnęła głową, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, przerażona i zupełnie zagubiona w obrazach sprzed kilkunastu godzin, które przesuwają się przed oczyma jej duszy.

— W ogóle nie używał cukru. Lekarz mu zabronił jeszcze przed kilku laty. Joe skłonił głowę.

— Mów dalej... — powiedział cicho. — Wlałaś tę kawę do termosu i wyszłaś z kuchni na górę...

— Tak. Chciałam ją dać Jane, żeby zaniósła do pawilonu, ale przypomniałam sobie... och, Joe... ja nie mogę...

— Mów, proszę — powiedział łagodnie. — Chciałbym, żebyśmy mieli to już za sobą. Prawda, Ben?

Parker tylko chrząknął w odpowiedzi. Dalej stał przy drzwiach, spoglądając uparczywie na dywan, jak gdyby tam usiłował znaleźć rozwiązanie zagadki śmierci generała Somerville'a.

— Pomyślałam, że będzie mu przecież przyjemniej, kiedy zobaczy, że sama zaniósłam mu tę kawę. Więc wyszłam na górę z termosem. Siedziałeś z panem Jowettem przy śniadaniu. Potem poszłam tam, postawiłam termos na stole, przygotowałam filiżankę i zaczęłam iść w kierunku domu. Dziadek John i Chanda już nadchodzili. Zatrzymali

się na mój widok i rozmawialiśmy przez parę minut. Dziadek był zadowolony i jak gdyby podniecony. Staliśmy obok głównego klombu, zerwał różę i podał mi... Wracając wstawiłam ją do wazonu w hallu, z innymi różami. Stoi tam jeszcze...

Umilkła.

— Czy drzwi pawilonu były otwarte, kiedy pani nadeszła? — zapytał Parker, który do tej pory nie odezwał się ani jednym słowem.

— Nie. Zamykają je na noc. Ale w spiżarni jest szafka z zapasowymi kluczami dla całego domu. Więc wzięłam klucz stamtąd.

— A wychodząc z pawilonu zamknęła pani drzwi?

— Nie. Wiedziałam, że dziadek zaraz nadejdzie. Był punktualny jak zegarek...

— I jeszcze jedno... — Parker potarł podbródek. — Bywa pani przecież stosunkowo rzadkim gościem w Mandalay House. Kto przyrządza kawę, kiedy pani tu nie ma?

— Chanda. Chanda zresztą nauczył mnie mieszania tych czterech gatunków, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką.

— I odnosił termos idąc z dziadkiem pani?

— Nie. Termos zawsze brała pokojówka i odnosiła wcześniej. Dziadek John lubił mieć wszystko przygotowane, kiedy wchodził do pawilonu. Chanda zwykle zresztą prowadził go pod ramię i niósł w wolnej ręce książki i papiery, które dziadek uznawał za potrzebne do pracy w danym dniu.

— Rozumiem. Dziękuję bardzo, Miss Beacon.

Karolina spojrzała na Alexa.

— Joe? Co to wszystko znaczy? Boję się... Dziadek zginął i to było okropne... jeszcze nie mogę w to naprawdę uwierzyć, chociaż wiem, że to prawda. Ale co to znaczy? Ta kawa i to, co Chanda powiedział? Jak on mógł? Może myślał, że to ja zatrąłam tę kawę? Biedny Chanda. Cierpi na pewno podwójnie teraz. Ale jak on mógł?...

— Nikt jeszcze, poza tobą i mordercą, nie wie w Mandalay House o tym, że do tej kawy ktoś dosypał środków nasennych — Joe potrząsnął głową. — Przynajmniej o to jedno nie martw się, malutka — uśmiechnął się do niej smutnym, zmęczonym uśmiechem. — Nie dam ci zrobić krzywdy, nawet jeżeli słowo moje i moja obecność nie były w stanie powstrzymać zbrodniarza przed uderzeniem. Ale zaczekajmy... zaczekajmy... — Wyprostował się. — Myślę, że teraz powinnaś się położyć. Musisz być bardzo wyczerpana... Ja pójdę z Benem. Jest masa takich dziwnych, drobnych spraw, których nie rozumiem. Ale zrozumieć je wkrótce. Może już je rozumiem? Połóż się! Dobrze? Skinęła w milczeniu głową.

— Dobranoc, Miss Beacon... — powiedział Parker niepewnie. Uśmiechnęła się do niego smutnym uśmiechem człowieka, który stracił siły i wcale nie chce ich odzyskać.

Wyszli. Parker zatrzymał się na korytarzu z dala od siedzącego na krześle dyżurnego detektywa.

— Joe, ty coś wiesz! Czuję to, widzę to! Znam cię za dobrze. Powiedz mi, bo zwariuję! Nie jestem w stanie połapać się w tym wszystkim na razie.

— Myślę, że musimy zobaczyć się z Chandą, Ben... — powiedział Alex półgłosem. — Kiedy rozmawialiśmy z nim, czułem, że nie mówi nam wszystkiego. On myśli, że Karolina... Ale dlaczego tak myśli? Musiał coś zobaczyć ze swojego okienka na strychu. Trzeba się dowiedzieć, co zobaczył...

Parker w milczeniu skinął głową.

Chanda siedział na niskim, wysłanym poduszkami łóżku i wstał na ich widok. Za oknem świecił księżyc i blask jego wpadał do pokoju, tłumiąc światło płonących świeczek. Żłocisty Budda migotał lekko.

— Karolina opowiedziała nam o tym, co pan powiedział do niej — Alex zatrzymał się przed starym Birmańczykiem, patrząc mu prosto w oczy. — Jest bardzo nieszczęśliwa... Dlaczego przypuszcza pan, że zabiła generała Somerville'a? Przecież zna ją pan od dziecka i wie pan, że jest niezdolna do zbrodni...

Chanda opuścił głowę. Milczał.

— Stary człowieku — Joe wziął go za ramiona i potrząsnął nim jak woskową lalką. — Opamiętaj się! Kocha ją pan! Być może. Ale ja także ją kocham i wiem, że nie zabiła swego dziadka, a zatajenie faktów, które rozegrały się tutaj dziś rano, odsuwa nas od prawdy! Czy pan mnie rozumie?! — Potrząsnął nim znowu i puścił go. Chanda zachwiał się i usiadł na łożu. Uniósł głowę i spojrzał na Alexa zrozpaczonymi oczyma.

— Przeznaczenie... — powiedział cicho. — Ostrzegalem ją. Powiedziałem jej, że wiem. Musiała mnie zrozumieć. A mimo to powtórzyła wam. Teraz nie mam wyjścia... Widziałem ją. — Znowu umilkł, a potem powtórzył: — Widziałem ją wchodzącą do pawilonu...

— Wchodzącą do pawilonu?! — Joe cofnął się i odetchnął głęboko. — Powiedziała mi, że nie była tam. Kiedy ją pan widział?

— O pół do jedenastej... może nieco później, może wcześniej? Nic nie pomyślałem wtedy. To było naturalne, że go odwiedziła. Nie wiedziałem, że generał umarł. Ale ona zaprzeczyła później.

Joe odwrócił się i spojrzał na stojącego za nim Parkera. Ale komisarz patrzył w podłogę i nie podniósł oczu.

— Generał Somerville umarł pomiędzy godziną dziewiątą a dziesiątą... — powiedział Alex i urwał, bo zrozumiał, że jeśli Karolina była w pawilonie na długo przed jedenastą, wówczas margines czasu stałby się zbyt wąski. Wszystko byłoby wówczas możliwe.

— A czy usłyszał pan strzał? — powiedział niepewnie, myśląc: Okłamała mnie, okłamała mnie!"

— Nie usłyszałem strzału... — Chanda potrząsnął głową.

— A gdyby zabiła generała, musiałby pan usłyszeć... — Alex zawahał się. — Był przecież także nasz człowiek na skale. Dlaczego on jej nie widział?

— Człowiek ten zszedł ze swego stanowiska na kilka chwil przed jej nadejściem... — powiedział Chanda cicho — i powrócił w minutę albo dwie po jej odejściu... Zauważyłem ją zresztą tylko dlatego, że wstał i zaczął schodzić. Przeniosłem wtedy wzrok z morza na okolice pawilonu.

— A więc to się stało podczas tych kilku minut, kiedy Hicks rozmawiał z tym facetem, który przyszedł zbierać kwiatki dla narzeczonej! — Alex odetchnął głęboko. — Ale powiedział pan sam, Mister Chanda, że balustrada i przesmyk skalny są niemal niewidoczne ze strychu. Jak pan mógł rozpoznać Karolinę?

— Nie widziałem jej twarzy, ale sukienkę... — Chanda rozłożył ręce beznadziejnym ruchem. — Zielona sukienka. Mignęła mi tylko dwa razy, ale widziałem ją pół godziny wcześniej, kiedy wyszła z domu na spacer. Skręciła wtedy w stronę oranżerii...

— Ale to niemożliwe! — powiedział Joe. — Hicks zszedł z posterunku o dziesiątej czterdzieści, a wtedy ja byłem z Karoliną i... — urwał nagle. — Mój Boże! — powiedział cicho. — Mój wielki Boże! Cóż za idiota ze mnie! i z pana, Chanda! To nie była Karolina, ale Dorothy Snider, którą spotkaliśy zaraz potem wracającą od strony kortu! Powiedziała, że poszukiwała puderniczki! Puderniczki!! Chodź Ben!!

I wyszedł pozostawiając osłupiałego Chandę. A Beniamin Parker, z zacisniętymi szczękami, miotając oczyma pioruny, ruszył za nim.

Na korytarzu Alex zatrzymał się nagle.

— Co się stało? — zapytał Parker cicho, stając przy nim.

— Nie rozumiem... — szepnął Joe. — Dopiero teraz przestałem rozumieć. Przecież ani ona, ani jej ojciec nie mogli... — urwał. — Chodźmy!

Dorothy Snider i jej ojciec siedzieli naprzeciw siebie w fotelach. Dziewczyna płakała najwyraźniej, kiedy Parker zapukał i wszedł nie czekając odpowiedzi. Snider wstał.

— Nie rozumiem... — zaczął z oburzeniem. — Jak panowie mogą...

— Ja także nie rozumiem jeszcze paru spraw! — przerwał mu bezceremonialnie Parker — i dlatego pozwoliłem sobie najść panią, żeby je zrozumieć! Joe położył mu rękę na ramieniu i ścisnął je lekko.

— Panno Snider — powiedział spokojnie. — O ile dobrze panią zrozumiałem, powiedziała nam pani poprzednio, relacjonując przebieg przedpołudnia, że zgubiła pani puderniczkę w czasie gry w tenisa. Czy tak?

— T... tak. — Dorothy otarła chusteczką łzy. Była najwyraźniej przestraszona. — Tak powiedziałam.

Alex zdawał się nie zwracać uwagi na jej stan.

— Proszę mi powiedzieć może jeszcze, czy nie ma pani drugiej puderniczki?

— A cóż to za nonsens! — Snider stanął naprzeciw niego. — Jesteśmy obywatelami amerykańskimi i jeżeli chcecie, panowie, nachodzić moją córkę lub mnie o tej porze i zadawać idiotyczne pytania, protestuję przeciwko temu i proszę o natychmiastowe połączenie mnie z amerykańskim konsulem!

— Telefon jest na dole — powiedział Parker. — Jeśli pan sobie życzy, panie profesorze, może być pan pewien, że żaden z moich ludzi nie przeszkodzi panu w kontakcie z jakąkolwiek placówką dyplomatyczną pańskiej ojczyzny.

— Doskonale! — powiedział Snider i ruszył ku drzwiom, ale zatrzymał się. — Dorothy! Zabraniam ci rozmawiać z tymi ludźmi. Nie odpowiadaj na żadne ich pytania, dopóki nie uzyskam połączenia!

— Bardzo słusznie panie profesorze... — Parker skinął głową. — Zechce pan tylko powiedzieć od razu konsulowi, że córka pana udaje się do więzienia, oskarżona o zamordowanie generała Johna Somerville'a.

— Co? Co pan powiedział?

— Powiedziałem, że jeśli córka pana nie zechce odpowiedzieć na pytania, które musimy zadać jej dla dobra śledztwa, będę musiał ją aresztować pod zarzutem, który pan usłyszał.

— Jak pan śmie?... — Snider poczerwieniał. — Czy pan sobie zdaje sprawę, kim jestem?

— Tak — głos zastępcy szefa wydziału kryminalnego londyńskiej policji był suchy i niemal obojętny. — Jest pan człowiekiem, który zmusza swoją córkę, żeby odmawiała zeznań istotnych dla dobra śledztwa w sprawie morderstwa. I czyni pan to z całą świadomością. Proszę mi wierzyć, że poinformuję o tym pańskiego konsula z największą przyjemnością.

— Jakich zeznań?... — Snider załamał się nagle. — Panowie nie wiecie chyba, co mówicie. Cóż ona ma wam odpowiedzieć?

— Zadałem panie Snider jedno niewinne pytanie — powiedział spokojnie Joe. — Zapytałem ją, czy nie ma drugiej puderniczki. I właśnie to pytanie wywarło tak gwałtowny pański sprzeciw. Dlaczego?

— Bo jest groteskowe! — wybuchnął Snider i pohamował się. — Zdaje pan chyba sobie sprawę ze swej śmieszności? Wchodzicie, panowie, tu o dziewiątej wieczór, niemal bez pukania, aby zapytać moją córkę, czy nie ma drugiej puderniczki? A cóż to panów obchodzi?

— Nie... nie mam drugiej puderniczki... — Dorothy Snider potrząsnęła głową. — Używałam wyłącznie jednego gatunku pudru, a tylko zmieniam podkład na wieczór... Czy to panom wystarcza? Jeżeli tak, bardzo... bardzo proszę mnie zostawić w spokoju. Jestem ogromnie zmęczona i zdenerwowana... To był straszny dzień...

— Przykro mi bardzo i rozumiem panią doskonale. Ale w związku z poprzednim chciałyby pani zadać jeszcze jedno małe pytanie... — Alex zawiesił na ułamek sekundy głos i dokończył dobitnie: — Jak to się stało, że po zgubieniu puderniczki w czasie gry w tenisa powróciła pani do domu, wykąpała się pani i wyszła pani upudrowana? Zapadło milczenie. Dorothy patrzyła na niego i oczy jej stawały się coraz większe.

— Może pomogę pani — powiedział Joe cicho. — Stało się tak dlatego, że nie zgubiła pani puderniczki w czasie gry w tenisa. Zgubiła ją pani później. Po wyjściu z pawilonu wracała pani skrajem parku, obok kortu tenisowego. Tam zatrzymała się pani. Była pani zdyszana i chciała się pani doprowadzić do tak zwanego „porządku”. I zobaczyła pani, że z torebki zniknęła puderniczka. Przestraszyła się pani, myśląc, że może puderniczka ta została w pawilonie. Ale mogła zostać także w domu, prawda? Nie była pani pewna... Ruszyła więc pani ku domowi i wtedy spotkała pani Karolinę i mnie. W zdenerwowaniu, żeby usprawiedliwić kierunek, z którego pani nadchodziła, powiedziała pani, że zgubiła pani puderniczkę i poszła pani jej szukać. Karolina weszła z panią do domu... Czy to prawda?

— Pawilonu? — Snider zbladł. — Jakiego pawilonu? O czym pan mówi?

— Pana córka jest pełnoletnia, panie profesorze — powiedział Alex spokojnie — i musi odpowiedzieć sama na pytania, na które w dodatku pan nie może odpowiedzieć, prawda? Bo pana przecież tam wtedy nie było. Był pan w bibliotece, czy może w sali muzealnej, wpatrując się w tę grupę Yeti, która tyle narobiła panu kłopotów.

Snider otworzył usta, zamknął je i w milczeniu spojrzał na córkę. Dorothy Snider wydawała się bliska omdlenia.

— Skąd... pan to wszystko wie? — powiedziała cicho. — Przecież byłam sama, a pana tam też nie było...

— Mogę pani powiedzieć więcej. Kiedy weszła pani po śmierci generała Somerville'a do pawilonu, gdzie znajdowaliśmy się, wiedziała pani już, że on nie żyje. Biegła pani półprzytomna z lęku, pośród deszczu. Z lęku nie o siebie, ale o swojego ojca. A gdy wreszcie wpadła pani do wnętrza, gdzie staliśmy, i spojrzała pani na zwłoki, których obraz na pewno doskonale utkwiał w pani pamięci, krzyknęła pani: „on po śmierci... on po śmierci...” i zemdlała pani, tak silne musiało być zaskoczenie. Zanim przejdę do innych pytań, chcę, żeby mi pani możliwie dokładnie odpowiedziała na pytanie: jakie zmiany zaszły w pawilonie pomiędzy godziną dziesiątą czterdzieści, kiedy była pani tam po raz pierwszy... jak chciałbym wierzyć... a godziną jedenastą trzydzieści, kiedy znalazła się tam pani po raz drugi, już po wybuchu burzy?

— To wszystko są wyssane z palca... — zaczął Snider, który odzyskał już pewność siebie.

— Jeżeli nie zamilknie pan w tej chwili, każę moim ludziom wyprowadzić pana, skuć i odesłać do więzienia pod zarzutem współnictwa w zbrodni, panie profesorze!

— Parker mówił cicho, ale zarumienił się z wściekłości. — Proszę skończyć z tymi napuszonymi błazeństwami! Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że prowadzimy dochodzenie w poszukiwaniu mordercy i doprowadziły nas one do pańskiej córki i pana samego!?

— To... to się już na nic nie zda... — powiedziała Dorothy niemal szeptem. — Oni wiedzą, tatusiu. Muszę im powiedzieć całą prawdę, inaczej... oni naprawdę mogą pomyśleć, że my... — Uniosła nagle głowę i powiedziała głośno: — Ale ja poszłam tam, żeby go zabić!

— Niech pani opowie wszystko po kolei... powiedział cicho Alex. — A pan, panie profesorze, niech usiądzie, i jeżeli przerwie pan choć jednym słowem, mogę ręczyć, że mój przyjaciel, komisarz Parker, wprowadzi w czyn swoją zapowiedź! Niech pani mówi Miss Snider... Profesor usiadł ciężko. Joe dostrzegł, że ręce, które złożył na kolanach, drżą wyraźnie.

— Tak, chciałam go zabić, gdyby się nie zgodził... — powtórzyła Dorothy. — Tatus jest wielkim uczonym, największym, jakiego znałam...

Snider otworzył usta, ale Parker szybko położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

— Największym z wszystkich żyjących... — mówiła dalej dziewczyna. — Przecież od czasu, kiedy skończyłam szkołę, asystuję mu we wszystkich pracach, zwierza mi się ze swoich planów, przepisuję wszystkie jego teksty, więc jak mogę nie wiedzieć?... A generał Somerville był tylko dyletantem, bogatym dyletantem, który miał wiele doświadczenia praktycznego, ale ani systematyki, ani podłoża teoretycznego. Zresztą tatuś wyjaśnił mi dokładnie, na czym polegają braki takich ludzi... Mimo to generał Somerville był autorytetem i ceniono jego zdanie. Tatus sam w Ameryce, jeszcze zanim tu przyjechaliśmy i poznał go osobiście, mówił mi, że to wielki uczony, instynktownie rozumiejący to, czego inni muszą się uczyć. Ale kiedy przyjechaliśmy, okazało się, że to był człowiek pełen pychy i właściwie o niczym z tatusiem nie mówił, tylko o jego pomyłkach i o tym, że systematyka rzeźby indyjskiej stoi na głowie... Ale to by nie było najgorsze... Generał nie mógł wiele złego zrobić tatusiowi, który jest przecież znany na całym świecie. Ale mógł znaleźć słaby punkt i dopiero wtedy zaatakować. Więc mając tę rzeźbę Yeti i wiedząc, że tatuś omylił się fatalnie, zaprosił nas tu, żeby... żeby wciągnąć tatusia w polemikę. Wiadomo, że uczony, jeśli popełni wielki błąd, musi często go bronić, bo przyznanie się deklasuje go i wszyscy specjaliści będą do końca jego życia o tym pamiętać i przypominać to. Więc generał Somerville, nie zwracając uwagi na zasługi mojego ojca i jego ogromny dorobek naukowy, sprowokował go rozmowami i drwiną do tego, żeby zaciął się w uporze i nie miał już innego wyjścia. Wpędził nas w ślepy zaułek. Może chodziło mu o dobro nauki? O to, żeby wyprostować błędy ciążyące na historii sztuki indyjskiej? Nie wiem... Umarł i nie powie mi już tego. Ale wiedziałam, że jeżeli tę nową jego książkę przeczytają wszędzie na świecie tam, gdzie studiuje się ten temat, tatuś zostanie ośmieszony... — Zwróciła smutne, wielkie oczy na ojca. — Bo najgorsze było to, tatusiu, że on

miał słuszość. I pan Jowett miał oczywiście słuszość, a ty jej nie miałeś. I wiedziałeś o tym, chociaż nie chciałeś się przyznać. Dlatego nie wyjechałeś stąd po paru dniach, chociaż wcale nam tu nie było przyjemnie. Walczyłeś, żeby go przekonać, myślałeś, że może znajdziesz jakiś dowód. Ale czułeś w głębi serca, że takiego dowodu być nie może i rzeźba ta jest równie daleka od Dekanu w XVII wieku, jak ty od prawdy. Inaczej nie pozwoliłbyś mi pójść do niego, chociaż wiedziałeś, że mam w torebce pistolet i że mogę go zabić... Wiedziałeś, że byłam gotowa na wszystko... Dlaczego mi pozwoliłeś?

— Dziecko drogie, nie miałem pojęcia, że...

— Kiedy wczoraj wieczorem po kolacji rozmawialiśmy o tym spotkaniu w sali muzealnej, przy którym pan Alex też był, powiedziałam ci, że zabiję tego staruszka, jeżeli będzie chciał ci naprawdę zaszkodzić. Och, tatusiu, kochałam ciebie i nie mogłam myśleć o tym, z jaką radością wszyscy twoi wrogowie będą zacierali ręce, a ty runiesz z wysokości, na którą wchodziłeś tak mozolnie przez tyle lat ciężką pracą. Wiedziałeś przecież, że nie dopuszczę, żeby studenci mogli mówić na korytarzach: „To ten Snider, który powypisywał brednie o sztuce Dekanu...” I wiedziałeś, że generał zamówił na dzień rano zdjęcia tej grupy Yeti u Meryl, bo powiedział, że chce pisać o tobie właśnie dziś! I dlatego przy śniadaniu powiedziałeś tak, żeby wszyscy słyszeli, że mogę sobie pograć w tenisa, bo jestem przemęczona pracą. A przecież miałam dokończyć bardzo ważny dla ciebie traktat i nigdy przedtem nie myślałeś o takich sprawach, jak mój wypoczynek, kiedy ci zależało na jakiejś pracy... To było twoje alibi, tatusiu. Posłałeś mnie, żebym zabiła tego człowieka, ale nie powiedziałeś ani słowa na ten temat, nie zachęciłeś mnie, byłeś niewinny, chociaż wiedziałeś, że kocham ciebie nad życie, że jesteś dla mnie wszystkim i że zrobię to. A wtedy generał Somerville nie napisałby tego rozdziału. Ja... ja byłam w sanatorium dla nerwowo chorych, kiedy miałam osiemnaście lat... Pół roku... pewnie pomogłoby mi to... pomyślałeś, że dobry adwokat wiele tu zrobi... Zresztą najważniejsze było, aby generał Somerville nigdy nie napisał tego rozdziału. Bo ty, tatusiu, lepiej niż ja wiedziałeś, jak bardzo Somerville ma słuszość i jak cię może ośmieszyć!

A potem poszedłeś do siebie czy do biblioteki i czekałeś... A ja grałam w tenisa, żeby mieć alibi, bo postanowiłam, że nawet jeżeli zrobię to, chcę żyć... bo, tatusiu, stało się coś strasznego. Zrozumiałam nagle... i chyba przestałam ciebie kochać... Przecież posłałeś mnie na śmierć tylko dlatego, żeby zachować swoją opinię. Zrozumiałam nagle, jaki ty jesteś podły... Jaki podły...

— Dorothy... — powiedział Snider. — Ona oszalała, biedaczka. Co panowie jej zrobiliście?... Proszę natychmiast...

— Może i oszalałam, tatusiu? — uspokoiła go ruchem dłoni. — W końcu mam dwadzieścia sześć lat, a żaden mężczyzna nigdy mnie nawet nie pocałował, prócz ciebie... przelotnie na dzień dobry i na dobranoc. Nie mam domu i dzieci, nie mam nawet własnych myśli i własnego życia. Zabrałeś mi wszystko, a im więcej cię kochałam, tym ła-

twiej ci to przychodziło. A w końcu chciałeś mnie poświęcić, żeby mieć spokój i uchronić się przed kompromitacją... Biedny profesor Snider, wielki uczoney, którego córka ma ślady choroby nerwowej i zabiła starego generała Somerville'a. Byłbyś tragiczną, czystą postacią, która znosi przeciwności losu w pokorze i szuka ukojenia w nauce, która jest dla ciebie wszystkim. Widzę cię, jak udajesz, widzę twoją minę, twoje gesty! Boże, dlaczego wcześniej tego wszystkiego nie zobaczyłam?...

— Dorothy... — powiedział Snider. — Na miłość boską! Ci ludzie...

— Ach, znowu chodzi ci o ludzi? Ci ludzie muszą poznać całą prawdę, inaczej nie zrozumieją mnie i pomyślą, że to ja zabiłam generała Somerville'a. A od tej chwili moje życie jest dla mnie ważne, tatusiu. I będziesz musiał wysłuchać do końca, albo poproszę tego pana, żeby naprawdę wyprosił cię z pokoju. Nie przeszkodzisz mi... — Zwróciła się do Alexa. — Więc powróciłam z tenisa, wzięłam tusz, przebrałam się, wsunęłam do torbki broń... — sięgnęła ku torebce, otworzyła ją i podała Parkerowi niewielki, błękitno oksydowany pistolet. Komisarz zerknął nań i wsunął go do kieszeni — i wyszłam. Wiedziałam, że muszę dojść do pawilonu niepostrzeżenie. Jowett i Cowley o tej porze zwykle pracowali w pracowni po drugiej stronie parku, Chanda i służba byli najprawdopodobniej w domu. Meryl powiedziała, że do jedenastej będzie zajęta. Chciałam tam być na pół godziny przed nią, żeby uniknąć spotkania. Obawiałam się tylko, że mogę spotkać pana albo Karolinę. Pukałam do jej pokoju wychodząc i nie było jej... Poszłam więc w stronę kortu tenisowego, a stamtąd krzewami ku pawilonowi i wyszłam przy wylocie alejki nad brzegiem, tuż obok balustrady. Byłam pewna, że nikt mnie do tej pory nie widział. Z daleka zobaczyłam, że drzwi pawilonu są otwarte, a generał siedzi za stołem. Ruszyłam naprzód... Sama nie wiem, jak szybko przebiegłam przesmyk skalny... Wpadłam do środka wyciągając pistolet z torebki i powiedziałam: „Jest pan nikczemny, bo...” — i wtedy zobaczyłam, że on ma ogromną czerwoną plamę na piersi, a na ziemi przed biurkiem leży wielki rewolwer. Opuściłam broń... Byłam tak przerażona, że nie mogłam się ruszyć przez chwilę. Potem prędko schowałam swój pistolet do torebki i podeszłam. On miał obie ręce na powierzchni biurka. W jednej, zaciśniętej, trzymał kawałek czerwonego materiału, najwyraźniej urwany, jakby przy szamotaniu... — odechnęła głęboko i przymknęła oczy, ale zaraz otworzyła je i dokończyła: — Ale nie mogłam jeszcze odejść. Musiałam przecież zobaczyć, co on zdążył napisać! Zerknęłam więc na papier. Nazwiska mojego ojca nie było, chociaż tytuł brzmiał: „O rażących pomyłkach” czy może trochę inaczej, bardzo podobnie... I wtedy nagle zdjęło mnie przerażenie. Przecież nie ja go zabiłam, ale jeżeli ktoś by mnie tam zastał, musieliby myśleć, że to ja. Więc wybiegłam, przeleciałam przez przesmyk i wpadłam w krzaki, a potem, żeby nikt mnie nie usłyszał, ruszyłam w stronę muru, jak najciszej, i chciałam dojść do kortu tenisowego, idąc przy samej granicy parku. Tam nie ma żadnych alejek i nikt nigdy

nie chodzi. Ale nagle zatrzymałam się i serce stanęło mi w gardle. Tuż za murem jacyś ludzie rozmawiali... Jeden powiedział spokojnie... „to do zobaczenia na piwku w gospodzie wieczorem...” — a drugi odpowiedział i najwyraźniej rozeszli się...

Alex wymienił spojrzenia z Parkerem. Dorothy najwyraźniej nie zauważyła tego, bo dokończyła cicho:

— Wyszłam na kort tenisowy. Byłam zdyszana, chociaż szłam wolno, spocona i wiedziałam, że muszę wyglądać jak upiór. Więc zatrzymałam się na chwilę, żeby się doprowadzić do porządku... jak pan powiedział. Przede wszystkim wsunęłam pistolet na dno torebki... A potem zaczęłam szukać puderniczki... I nie znalazłam. Musiała mi wypaść w trawę, kiedy przesunęłam pistolet w dół i grzebałam w rzeczach, które były na dnie. Miałam tam grzebień i parę innych drobiazgów... Rozejrzałam się, ale nie zobaczyłam jej. Musiała oczywiście tam leżeć, jeżeli ją pańscy ludzie znaleźli, ale trawa była wysoka, a ja nie chciałam tam dłużej pozostawać...

Wyszłam alejką w kierunku klombu i wtedy spotkałam pana i Karolinę. żeby mieć alibi, powiedziałam, że byłam na korcie i szukałam puderniczki. Potem weszłam do domu z Karoliną, pożyczyłam od niej puder i poszłam do pokoju. I wtedy przyszła mi straszna myśl, że przecież mogłam zostawić tę puderniczkę w pawilonie! Mogła wypaść, kiedy wyrwałam pistolet z torebki albo kiedy chowałam go... i na to ty wszedłeś... — spojrzała na Snidera. — Powiedziałam ci o wszystkim, a tyś mi powiedział, że muszę tam iść i ją odzyskać! I to był koniec, tatusiu! To jedno zdanie zmieniło całe moje życie... Wtedy powiedziałam ci spokojnie, że nie pójdę, a jeżeli chcesz odzyskać tę puderniczkę, możesz iść sam! A tyś poszedł... przerażony i wściekły! Musiałeś pójść, bo była szansa, że całkowicie unikniesz skandalu. Przecież Somerville'a zamordował kto inny, nie ja. A moja puderniczka kompromitowała nas oboje. I ruszyłeś tam... Ale ja nie mogłam usiedzieć... Raz jeszcze, chociaż wiedziałam, że mnie nie kochasz, pobiegłam... Chciałam cię powstrzymać... Burza już wybuchła, ludzie tam szli... Chciałam wszystko wziąć na siebie. Ale kiedy zobaczyłam go znowu i... dostrzegłam, że on siedzi inaczej, pomyślałam, że to ty... ty go przestawiłeś i upozorowałeś samobójstwo. Ale o tym pomyślałam padając. Najpierw byłam tylko przerażona. A potem nie pamiętałam już nic... A jeszcze później dowiedziałam się, że to nie ty zainscenizowałeś to samobójstwo, żeby mnie ratować. Nawet tego nie zrobiłeś. To kto inny. Nie wiem, dlaczego... — umilkła. Potem spojrzała na Alexa. — To wszystko, co mam panom do powiedzenia. Reszta to... to moje sprawy prywatne... Chciałabym już być sama...

— Dziękuję pani — Alex podniósł się. — Mam nadzieję, że śledztwo potwierdzi wszystko to, co pani nam powiedziała. — Ruszył ku drzwiom, a Parker za nim.

— Proszę pana... — powiedziała cicho Dorothy.

— Tak?

— To jeszcze nie wszystko...

— Słucham panią?

— Parker zawrócił i zatrzymał się przed siedzącą.

— Proszę zabrać stąd mojego ojca... — powiedziała spokojnie Dorothy Snider — i poprosić tego policjanta, który siedzi na korytarzu, żeby nie pozwolił mu tu przychodzić. Nie chcę go już nigdy widzieć na oczy!

— Dorothy... — wykrztusił profesor. — Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Jestem twoim ojcem. Jesteś moim jedynym...

— Bardzo panów proszę... — powtórzyła Dorothy spokojnie.

— Pan będzie łaskaw... — Parker ujął profesora pod ramię. — Bez względu na to, co pan sądzi o naszej policji, strzeże ona swobód obywatelskich. A przebywanie we własnym pokoju bez konieczności przyjmowania osób, których się nie chce widzieć, jest jedną z elementarnych swobód, prawda?

Wyszli.

Stali przez chwilę na korytarzu patrząc na pochylone plecy Snidera, który zbliżył się do drzwi swego pokoju, otworzył je i zniknął nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem.

— No, teraz wszystko już jest jasne... — mruknął Parker. — Zejdźmy na dół. Chcę przygotować formułę oskarżenia.

— Dobrze... — Alex bez przekonania skinął głową. — Chodźmy.

Rozdział 17

Meryl Perry leżała na łóżku, oczy miała otwarte...

Zeszli do biblioteki.

— A panna Meryl Perry rozmawiała z generałem w godzinę co najmniej po jego śmierci! — powiedział Parker siadając. — Oczywiście, jest współniczką Cowleya! Spotkała go o pół do dziesiątej w parku i powiedział jej, że zabił starego, ale że przy szamotaniu pozostał tamtemu w ręce kawałek koszuli. Potem uciekł z pieniędzmi, a dziewczyna pozostała, żeby w stosownym czasie wejść do pawilonu i upozorować samobójstwo! Miała pretekst: te fotografie. To Cowley wysłał list jako Plumkett i wiedział, że generał ma przygotowane pieniądze. Zatruli kawę i wtedy Cowley wszedł. Nie ryzykował niczym. Miał przecież dostęp do pawilonu. Mógł wpaść do generała w byle jakiej sprawie związanej z wytopem. Gdyby generał jeszcze nie spał, Cowley wyszedłby i powrócił po paru minutach. Wtedy mógł sprawdzić, czy jest forsa. Gdyby Somerville nie miał pieniędzy w pawilonie, rzecz by się po prostu nie udała i Cowley miał zapewniony odwrót. Ale liczył raczej na to, że stary się ugnie i będzie miał przygotowane pieniądze dla Plumketta. Dowcip polegał na tym, żeby zaatakować na trzy godziny przed wyznaczoną chwilą spotkania. Cowley liczył się z tym, że będąc tutaj musisz być jakoś związany z ochroną Somerville'a. Przesunięcie ataku dawało mu większe szanse. Poza tym atak był przeprowadzony od wewnątrz, a my czekaliśmy na kogoś, kto ma nadejść z zewnątrz. To wszystko. Cowley zamordował, a Meryl jest współniczką...

— Bzdura... — powiedział Alex i wzruszył ramionami.

— Co?

— Jeżeli plan Cowleya polegał na tym, żeby wejść i zabić śpiącego Somerville'a i w tym celu zatruto go kawą, to dlaczego go zabijał z pistoletu? Mógł wejść, zabrać pieniądze i wyjść. Generał spał kamiennym snem, nikt by nie wiedział, kto wziął pieniądze, a Cowley nie narażałby się na niepotrzebny hałas i morderstwo. Po cóż by uciekał później? Wystarczyłoby ukryć pieniądze na terenie posiadłości. Sam wiesz, że odnalezienie takiej małej paczki na takim terenie jest niemal niemożliwe, jeżeli ktoś ją dobrze schowa i z góry to sobie obmyśli. Ileż to razy policja szuka miesiącami jakiegoś małego przed-

miotu i rezygnuje, a dopiero oskarżony sam wskazuje miejsce jego ukrycia... Nie, Ben. Ale nie to jest najważniejsze. Wiemy, że Somerville umarł we śnie. To znaczy, że został zastrzelony we śnie. A jeśli mamy wierzyć Dorothy Snider, znalazła go ona trzymającego w zaciśniętych palcach kawałek czerwonego materiału, najprawdopodobniej brakujący kawałek z koszuli Cowleya. Czyżby szamotał się z nim we śnie?

— Tak, nie pomyślałem o tym... — Parker wstał i ponownie usiadł. — Nie pomyślałem o tym! Co za głupiec ze mnie! Ale przecież... — Znowu wstał. — Idźmy do Meryl Perry i pogadajmy z nią! Teraz już się nam nie wymknie.

— Zaczekaj, błagam... — Joe chwycił go za rękę i posadził niemal przemocą w krzesło. — Panna Perry nie ucieknie nam, a przynajmniej mam nadzieję, że tym razem korдон twoich ludzi okaże się nieprzepuszczalny. Zacznijmy od początku...

— Dobrze... — powiedział Parker. — Zacznijmy od początku.

— A więc mamy o świcie całą posiadłość otoczoną od strony lądu twoimi ludźmi. Hicks jest do godziny dziewiętej dwadzieścia na pastwiskach przed bramą, a później przechodzi na punkt, z którego może obserwować pawilon. Zszedł z tego punktu tylko na kilka minut i wiemy, że w tym czasie do pawilonu weszła Dorothy Snider. Musimy jej wierzyć, bo nie mogła wiedzieć o rozmowie Hicksa z tym facetem za murem i musiała ją rzeczywiście usłyszeć. Zresztą musiała tam być dokładnie o tej porze, bo w przeciwnym wypadku Hicks zauważyłby jej nadejście i wyjście z pawilonu. O mnie na razie nie wspominajmy. A więc rozpoczyna się dzień. O godzinie siódmej czterdzieści pięć wszedłem do jadalni i niemal w tej samej chwili zszedł tam Jowett, który przebywał ze mną do godziny dziewiętej dziesięć. Nie rozstawaliśmy się ani na chwilę. Oznacza to jedno, że pan James Jowett nie mógł wsypać tych środków nasennych do kawy. Możemy go absolutnie skreślić z listy podejrzanych o ten uczynek. Na kilka minut przed ósmą pojawia się Karolina z termosem w dłoni i odchodzi w kierunku pawilonu. Zaraz potem schodzą generał i Chanda, w pięć minut później Dorothy, profesor Snider i Meryl Perry. Żadne z nich nie mogło zatruć kawy na terenie domu i żadne z nich nie mogło pobiec w stronę pawilonu, wsypać owego paskudnego proszku do termosu i wyjść z pawilonu przed przyjściem Chandy i generała do pawilonu. Bo, o ile Karolina Beacon nie jest mordercą, to środki nasenne musiały zostać wsypane po jej wyjściu z pawilonu, a przed pojawieniem się Chandy i generała! To znaczy, w ciągu owych siedmiu lub ośmiu minut, nieco po godzinie ósmej. Generał z Chandą wyszli stąd punktualnie o ósmej i zatrzymali się na chwilę, żeby porozmawiać z Karoliną przy dużym klombie. Pamiętasz, co powiedziała o róży?... A więc stali w miejscu odległym od pawilonu o co najmniej sto pięćdziesiąt kroków, odgrodzeni lasem i krzewami od brzegu. Morderca mógł spokojnie wejść i wsypać proszek. Był sam i miał pewność, że po wyjściu Karoliny nikt mu nie przeszkodzi do chwili nadejścia Chandy i generała. A więc albo Karolina, albo ktoś, kto mógł się znajdować w parku daleko od domu o godzinie ósmej, ósmej pięć. Czy przyznajesz mi słusność?

— Tak... — Parker skinął głową. — Zważywszy, że nikogo obcego na pewno w parku nie było. Ale pozostaje Chanda. Mógł wejść z generałem i krzając się, nalewając mu kawę na przykład, wsypać proszek i potrząsnąwszy termosem pod jakimś pretekstem albo bez pretekstu, gdyż mógł stać za plecami generała, nalać mu kawę, już zatrutą...

— Tak... — powiedział Alex po namyśle. — A więc mamy naszą listę: Karolina — tak, Chanda — tak, Jowett — nie, Meryl — nie, Snider — nie, Dorothy — nie. Cowley... wszedł piętnaście po ósmej. Ale... — Joe zerwał się. No tak... Każ tu przyprowadzić tego ogrodnika! Pamiętasz, co mówił twój człowiek o tej orchidei?

Ogrodnik Stanley Briggs pojawił się po pięciu minutach. Był zaspany i przerażony.

— Siadajcie! — powiedział Parker jowialnie. — I nie bądźcie tacy przerażeni. Policja nie pożera ogrodników na surowo!

— Tak, proszę pana... — Briggs usiadł na krawędzi krzeselka, wstał i znowu prędko usiadł.

— Mamy do was jedno pytanie — powiedział Parker uśmiechając się, jak uosobienie serdeczności. — Był u was dziś rano pan Cowley, prawda? Opowiedzcie nam dokładnie o jego wizycie.

— Tak, proszę pana... — ogrodnik ożywił się nieco i poruszył się na krzeselku. — A więc przyszedł i powiedział, że...

— O której to było?

— Mniej więcej dziesięć minut po godzinie ósmej. Wiem, bo punktualnie o ósmej na dwie godziny wyjmuję okno osłaniające...

— Rozumiem. A więc punktualnie o ósmej zdjęliście w cieplarni okno osłaniające część roślin, a w chwilę potem nadszedł pan Cowley...

— Tak, proszę pana. Pilnuję czasu dokładnie, bo o tej porze roku promienie słoneczne mogłyby zaszkodzić...

— Rozumiemy to świetnie. Więc nadszedł pan Cowley...

— Nadszedł, zobaczył mnie i powiedział, że prosi, abym na pół do dziesiątej przygotował mu jedną piękną orchideę... I wsunął mi dziesięć szylingów... Nie chciałem przyjąć... Przecież to nie moje kwiaty. Jestem tylko pracownikiem... A pan Cowley jest gościem w domu, więc oczywiście mógł sobie wybrać jakiś kwiat... Ale poklepał mnie po ramieniu i zapytał tylko, czy będę na pewno o pół do dziesiątej. Odpowiedziałem, że na pewno, bo dzisiaj do południa będę bez przerwy w oranżerii. Miałem przesadzić dwa dziesięcia krzacz...

— Rozumiemy... — przerwał Alex. — I pan Cowley wyszedł?

— Tak. Poszedł w kierunku domu i wszedł od strony tarasu do hallu.

— Która wtedy mogła być?

— Nie wiem dokładnie, ale zabawił nie więcej niż dwie, trzy minuty w oranżerii...

— Tak... — mruknął Alex. — Wszedł do jadalni o ósmej piętnaście mniej więcej. To by się zgadzało...

— Dziękujemy wam bardzo Briggs... — Joe wstał. Ogrodnik podniósł się również.
— Ach, jeszcze jedno... — Alex uśmiechnął się. — Nie powiedział wam, dla kogo ma być ta orchidea?

— Nie, ale... — ogrodnik także się uśmiechnął.

— No, mówcie...

— Poprzedniego wieczora, kiedy szedłem zamknąć bramę wjazdową, widziałem... To był on i panna Perry. Stali w alejce i całowali się. A kiedy mnie zobaczyli, weszli w cień. Ale księżyc świecił i rozpoznałem ich z daleka. Oczywiście, udałem, że nic nie widzę. To nie moja sprawa, przecież...

— Zapewne. Młodzi ludzie całujący się przy blasku księżyca, to nic takiego znowu dziwnego. Dziękuję wam! Kiedy ogrodnik wyszedł, Parker spoważniał natychmiast.

— A nie mówiłem ci? Cowley miał pełne szanse zatrucia kawy! Był w ogrodzie przed ósmą. Mógł czekać ukryty w krzakach, aż Karolina wyjdzie z pawilonu, wsypać ten proszek i łukiem, omijając klomb i alejkę, prowadzącą z domu do pawilonu, wyjść na oranżerię... Dla młodego człowieka droga ta to kwestia pięciu-siedmiu minut...

— Zgoda... — Joe skinął głową i na kartce swej dopisał: Cowley — tak. — Uniósł głowę. — To wszyscy, jeśli nie liczyć służby. A więc nie mogli zatruć kawy:

Jowett,

Snider,

Dorothy,

Meryl Perry

i... ja. Moim alibi jest Jowett! — uśmiechnął się niewesoło. — A mogli zatruć kawę:

Karolina,

Chanda,

Cowley.

— W porządku... — mruknął Parker. — Jedźmy dalej.

— Wiemy, że generał zginął pomiędzy dziewiątą a dziesiątą, to są granice czasu wyznaczone przez sekcję.

— Zgoda.

— Wiemy także, że został zastrzelony z rewolweru kaliber colt 45, nie posiadającego tłumika i nie zawiniętego w żadne tłumiące dźwięk szmaty, gdyż w tym wypadku proch, który wbił się w skórę wokół miejsca wlotu pocisku, zostałby zatrzymany przez każdą grubą, tłumiącą dźwięk materię.

— Także zgoda... — powiedział Parker po krótkim namyśle.

— A więc to skraca nam czas popełnienia morderstwa, gdyż o dziewiątej trzydzieści Hicks zajął miejsce w niewielkiej odległości od pawilonu i musiałby słyszeć wystrzał, a przede wszystkim zobaczyć człowieka, który wszedłby na przesmyk skalny, zniknął w pawilonie i wyszedł. Hicks tylko o dziesiątej czterdzieści zszedł na kilka minut z posterunku, gdyż zaalarmował go ten człowiek zbierający kwiaty w pobliżu muru.

— To znaczy, że morderstwo mogło zostać popełnione tylko pomiędzy godziną dziewiątą a dziewiątą trzydzięci... — Parker zastanowił się. — Tak. Inaczej być nie mogło.

— W takim razie musimy wykluczyć z podejrzania o zabójstwo:

1) Karolinę

2) Dorothy, Gdyż grały one w tenisa, od mniej więcej ósmej czterdzięci do dziewiątej pięćdziesiąt, a później razem udały się do domu, widziałem to na własne oczy i bez przerwy słyszałem je grające. Uderzenia piłek rozlegały się wyraźnie... — roześmiał się. — Największy kłopot spadł mi z serca!

— I mnie... — powiedział Parker poważnie. — Nigdy zresztą nie przypuszczałem ani na chwilę, że Miss Beacon mogłaby...

— Ale przeżyłeś parę ciężkich chwil... — Joe pokiwał głową. — Ja także, mój stary. Kiedy Chanda powiedział, że widział ją... Te przekłete sukienki! Dwie zielone sukienki! Ale do rzeczy...

— Znowu spojrział na swoją kartkę. Mogę także wykluczyć:

3) Chandę.

Odszedłem od balustrady, pozostawiając generała jeszcze żywego o godzinie ósmej pięćdziesiąt. Nie, później nawet, bo stałem z Jowettem przy balustradzie, a potem poza polem widzenia Somerville'a jeszcze ładnych parę minut. A więc odszedłem stamtąd o dziewiątej, bardzo powoli, alejką, rozmawiając. Jowett jest interesującym artystą, Ben. Byłem nawet bardzo zainteresowany, chociaż rozglądałem się bez przerwy i nadstawiałem uszu. Usłyszałbym strzał na pewno... Ciągle byłem blisko pawilonu. O dziewiątej dziesięć Jowett odszedł do pracowni, a ja ruszyłem w kierunku Chandy. Wręczył mi woreczek z pięćdziesięcioma tysiącami funtów. Rozmawialiśmy przez dłuższą chwilę. Później poszedłem w stronę kortu, zawróciłem po paru minutach i zajrzałem do sali muzealnej. Zobaczyłem Snidera... Stał przed tą grupą Yeti...

Zamyślił się, potem podniósł głowę.

— I to były jedyne dwie minuty, kiedy jestem pewien, że nie mógłbym usłyszeć strzału, Ben. Ale Hicks był wówczas na stanowisku. Poza tym, głowę daję, że usłyszałbym. Możemy zrobić próbę i przekonasz się. Znasz colta 45 tak dobrze jak ja... W czystym, spokojnym powietrzu, w cichym parku, bez hałasu aut i gwaru miasta. Nie, niemożliwe, Ben! To były jedyne dwie minuty...

— Jak to? — powiedział Parker cicho. — Nadal chcesz twierdzić, że nie było ani jednej chwili, podczas której ktoś mógł zastrzelić generała?

— Nie wiem... — Alex wstał i zaczął przechadzać się wzdłuż półek z książkami. — Muszę się chyba mylić! — powiedział niemal z rozpaczą. Ale pamiętam dokładnie. Przez cały czas spoglądałem na zegarek tego ranka!

— Szukajmy omyłki... — mruknął Parker. — Zmysły ludzkie... Sam wiesz, jak to jest... Mogłeś się zamyślić, dziewczęta grały... słyszałeś uderzenia piłek, nawoływania Karoliny

albo Dorothy, spacerowałeś... A pośród tego jedno uderzenie piłki było o wiele głośniejsze... Smecz, prawda?... Twoje myśli były gdzie indziej, a twoja podświadomość przyjęła ten dźwięk... Jak mogło być inaczej?

— Jak mogło być inaczej?... — powiedział cicho Joe. — Właśnie. Jak mogło być inaczej?

Parker położył dłoń na klawce.

— W każdym razie jedno wynika jasno z tego wszystkiego: Cowley nie ma alibi i najprawdopodobniej, a raczej na pewno, on zatrzał kawę, bo trudno mi posądzić pannę Beacon albo Chandę. A ponieważ ani panna Beacon, ani Chanda nie mogli zastrzelić generała, a on mógł... bo nikt go już po śniadaniu nie widział i najprawdopodobniej czaił się gdzieś w krzakach, czekając sposobnego momentu, żeby wpaść do pawilonu i porwać pieniądze... Porwał je i uciekł. A ta mała kochała go i pomogła mu. Nie znamy jeszcze wszystkich szczegółów. Ale naciśniemy ją i wyśpiewa wszystko. Mamy ją w ręku. Wiemy, że okłamała nas, że zmieniła położenie ciała i ukryła dowód przeciw Cowleyowi. Zresztą nie ma o czym mówić: cokolwiek byśmy sądzili o doskonałości twego słuchu lub wzroku Hicksa, chociaż jestem raczej przekonany, że zarówno ty, jak Hicks macie niewielkie szanse, żeby się mylić, jedno jest pewne: sekcja wykazała, że Somerville umarł najpóźniej o dziesiątej, a Meryl Perry zeznała, że żył i rozmawiała z nim o jedenastej. I to jest kłamstwem! Chodźmy! Ta dziewczyna wie chyba, gdzie jest Cowley i gdzie jest tych siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, chociaż najprawdopodobniej wziął je z sobą...

Alex nie poruszył się.

— To niemożliwe... — powtórzył szeptem. — Ale przecież on zginął... — uniósł głowę. — Przecież zastrzelono go, Ben... Więc ktoś go zabił. Zabił go w pawilonie, niemal w naszej obecności, a my nie wiemy, jak to się mogło stać... bo to się nie mogło stać...

Parker położył mu rękę na ramieniu.

— Joe — powiedział łagodnie — jesteś przemęczony. Miałeś paskudny dzień. To nie było dla ciebie zwykle śledztwo... Jesteś roztrzęsiony i myśli zaczynają ci się plątać. A przecież wszystko jest jasne. A nawet jeżeli pozostało kilka szczegółów, które należy wysświetlić, ta dziewczyna powie nam wszystko. Ręczę ci za to...

Ale mylił się, bo kiedy nie otrzymali odpowiedzi na ciche pukanie komisarza i Parker uchylił drzwi, sądząc, że Meryl już śpi, zobaczyli, że leży ona ubrana na łóżku... Oczy miała otwarte i szkliste. Obok niej stała na nocnym stoliku pusta szklanka, przy której piętrzyły się małe, porozrywane papierki po proszkach nasennych...

— Żyje jeszcze! — powiedział komisarz pochylivszy się nad nią i przytknąwszy do jej warg stojące na stoliku lustro. — Szybko, Joe!

Wybiegł na korytarz i powiedział coś półgłosem do dyżurnego detektywa. Alex usłyszał kroki na schodach. Detektyw zbiegł do hallu. Parker zamknął drzwi.

— Zażyła ze dwadzieścia proszków... — powiedział. — Weźmy ją do łazienki, Joe...
Może uda nam się coś zrobić...

Doktor O'Flaherty pojawił się po dwudziestu minutach.

— Wezwałem ambulans... — powiedział. — Zaraz tu będą... Gdzie jest chora? — i nie czekając odpowiedzi, zbliżył się do łóżka.

— Udało nam się spowodować torsje... — Parker, stojący w koszuli z zawiniętymi rękawami, otarł pot z czoła.

— Doskonale... — doktor O'Flaherty wszedł do łazienki i powrócił po chwili. Pochylił się nad nieprzytomną Meryl, wziął ją za rękę i wyciągnął wielki, złoty zegarek na łańcuszku. Po chwili skinął głową. — Nie zdążyły podziałać ostatecznie... — mruknął. — Całe szczęście... Generał Somerville otrzymał połowę tej dawki, o ile mogę sądzić z tego... — wskazał leżące na stole papierki. Przyłożył ucho do serca chorej. — Przeżyje...

— Doskonale! — powiedział Parker. — Bardzo mi to jest na rękę.

— Czy to ona? — doktor uniósł brwi i spojrzał na leżącą.

— Jutro się pan dowie, panie doktorze... — Parker uśmiechnął się. — Niestety, nie wolno mi nic mówić do chwili zakończenia śledztwa.

— To zrozumiałe...

Drzwi otworzyły się i weszło dwóch ludzi w bieli. Jeden z nich trzymał zwinięte noże, a drugi dużą ciemną walizkę, zaopatrzoną wizerunkiem czerwonego krzyża w białym kółku.

Komisarz wziął marynarkę i wyszedł na korytarz. Zaczął schodzić powoli w dół. Alex szedł za nim zamyślony, skupiony, nie rozumiejąc.

Przed drzwiami biblioteki stał Hicks trzymając grubą kopertę.

— Przesyłka z Londynu, szefie.

Parker wziął kopertę i wszedł do biblioteki. Joe wsunął się za nim i usiadł przy stole. Komisarz rozerwał kopertę.

— Dane personalne... — powiedział. — Lepiej późno niż nigdy... — Wyjął plik kartek połączonych spinaczem. — Chanda Nu... Dorothy Snider... Reginald Snider... William Cowley... Karolina Beacon... Cóż u diabła? Nie mogłem przecież prosić chyba o dane dotyczące panny Beacon?

— Mogłeś, mogłeś, stary lisie — Alex uśmiechnął się i spojrzał na zaczerwienionego przyjaciela. — Jednak podejrzewałeś ją... trochę...

— Nie... — powiedział Parker. — Ale nie wolno mi było...

— Meryl Perry... — powiedział Alex. — Chciałbym to zobaczyć...

Parker podsunął mu kartę Meryl i sam zaczął czytać inną, zaopatrzoną nagłówkiem William Cowley.

— Tak! — Joe uderzył się lekko w czoło. — Wiedziałem, że musiałem ją gdzieś spotkać. Czytaj!

— „Perry — odczytał Parker. — Meryl. Dawniej Meryl Downs... — Co, u diabła? — Sierota, wychowywana przez ciotkę... Jako szesnastoletnia dziewczyna została zamieszana w sprawę gangu młodzieżowego, okradającego nocą kioski gazetowe... Jeden z jej kolegów uderzył kioskarza, który zaczął się na nich. Kioskarz zmarł od obrażeń. Cała grupa otrzymała wyroki skazujące na dom poprawczy. Meryl Downs na lat dwa... W domu poprawczym zachowywała się wzorowo, ukończyła szkołę, a po wyjściu zmieniła nazwisko i jako Meryl Perry wstąpiła na uniwersytet, który ukończyła na wydziale historii sztuki... pracuje jako asystent jednej z katedr na uniwersytecie oxfordzkim...” — i notka: „Dane te zostały przeoczone podczas dokonywania poprzedniego wyciągu, gdyż mózg elektronowy Scotland Yardu, pracujący nad wynajdywaniem kart ewidencyjnych, został uszkodzony, a jako Meryl Perry osoba ta nie posiada swoich akt u nas”... — Mózg elektronowy! — Parker odłożył kartę.

— Byłem na tym procesie... — powiedział Alex — i pamiętam ją. Była chudym, przerażonym stworzeniem, nie pasującym zupełnie do pozostałych trzech chłopców i dziewcząt w jej wieku... Nie myślała pewnie, że ta zabawa w kradzież papierosów, które pokątnie palili, może się skończyć tak tragicznie...

— No, ale teraz jest już dorosła... — mruknął Parker — i miała prawo przypuszczać, że policja dojdzie szybko do tego, że kłamie. Każde dziecko w Anglii, które czyta książki kryminalne, wie, co to jest sekcja zwłok i jak można ustalić dość dokładnie czas zgonu. A cóż dopiero dziewczyna, która spędziła dwa lata w domu poprawczym, gdzie o niczym innym się nie mówi wieczorami w sypialniach! Musiała także wiedzieć, że ta sprawa gangu młodzieżowego wyjdzie na jaw, kiedy policja się nią zainteresuje. Dlatego chciała popełnić samobójstwo. Jeśli chciała uciec, z drugiego piętra nie mogła wyskoczyć, a na korytarzu siedział policjant. Nie miała innej szansy ucieczki prócz ucieczki od życia. Dobrze, że nie udało się jej. Ale cóż tam nasz Cowley? — Wziął drugą kartę i przesuwając po niej oczyma, mrucał: — Jedynek... matka wdowa... ukończył Instytut Metalurgii... pracował w Zakładach Simonsa do maja i dostał półroczny urlop... charakter skryty... nazywano go sknerą w szkole... matce nie pomaga... przyjemniczek!... matka w trudnych warunkach, ma tylko małą rentę... Cowley posiada konto bankowe, osiem tysięcy trzysta funtów, z czego pięć tysięcy wypłacone w styczniu jako premia asekuracyjna, miał wypadek, płynął promem, prom przewrócił się, a że nie umiał pływać, więc cudem go wyratowano i dostał lekkiego zapalenia płuc. Towarzystwo wypłaciło mu pięć tysięcy funtów rekompensaty za szok nerwowy i chorobę spowodowaną defektem promu... Szczęśliwiec! Pięć tysięcy funtów za lekkie zapalenie płuc! Gotów byłbym chorować przez całe życie!... To wszystko... Wziął następną kartę:

— Reginald Snider, informacje od Amerykanów. Nie karany, nieskazitelnym, profesor, itd., itd... A teraz Dorothy... też nic... była w sanatorium przez pół roku, nic poważnego... — wziął następną kartę — Jowett... rzeźbiarz... gra w karty... poważnie zadłużony,

kilkadziesiąt tysięcy funtów... — uniósł głowę. — Gdyby zabił Somerville'a, przydałoby mu się, co? Nie znam jeszcze pana Jowetta. Nie zdążyłem z nim pomówić. Ale w tej chwili to chyba zbyt cenne, jeżeli też szukał Cowleya, nic nam nie powie. Młody... bardzo zdolny... prowadzi pracownię rzeźby na Akademii... — wziął następną kartę — Chanda Nu... Cóż to za nazwisko: Nu?... Naturalizowany obywatel brytyjski... wiek... nie karany... Somerville... Nic ciekawego... bez życiorysu niemal...

Wziął następną kartę.

— Panna Karolina Beacon... Hm... to cię nie interesuje... tajemnica służbowa. Mogę cię tylko zapewnić, że karta ta jest czysta jak łoża...

— Złożył wszystkie i wsunął je do koperty. Rozległo się pukanie. Doktor O'Flaherty stanął w progu.

— Chora śpi nadal, zabieram ją. Serce bije równo, nie ma śladu zapaści. Zrobimy oczywiście płukanie żołądka. Rano pielęgniarka da jej jeszcze jeden zastrzyk, a po południu będzie mogła nawet trochę leżakować na świeżym powietrzu, jeżeli pogoda dopisze...

— Hm... — mruknął Parker bez przekonania. — ...i jeśli jest to osoba, która zdaniem panów powinna przechadzać się po świeżym powietrzu.

— Dziękuję bardzo, panie doktorze... — Parker skłonił głowę. — Poślę z wami policjanta, który będzie nad nią czuwał. Widzimy się ostatnio niemal bez przerwy, prawda?

— Mam nadzieję — powiedział doktor O'Flaherty uroczyście — że dzisiejszej nocy nikogo już nie zabiją w tym domu, ani nikt nie będzie próbował samobójstwa. Ale, jak powiadają, pod boki władzy najłatwiej o zbrodnię...

I z tymi słowami wyszedł.

— Co on chciał przez to powiedzieć? — Parker spojrzął na zamknięte drzwi.

— Prawdopodobnie miał na myśli nieudolność naszych organów policyjnych — powiedział Joe pogodnie. — Tak, teraz wiele już się wyjaśniło. — Wstał. — Cowley rano, kiedy zjadł śniadanie, poszedł do pracowni... — mruknął do siebie. — I rozpalil piec służący do wytopu. Jowett mi to powiedział. Zresztą widziałem dym. Musiało to być tuż przed jego udaniem się do pawilonu. Myślę, że warto tam wpaść. Może znajdziemy coś?

Parker spojrzął na zegarek. Dochodziła północ.

— Dobrze... powiedział żywo. — Oczywiście, że warto! To może coś dać... — uśmiechnął się.

— Przypominasz sobie, co mówiła ta pokojówka? Że mógł wpaść przypadkowo do kotła z rozpalonym płynnym metalem...

Zeszli na dół. Parker posłał stojącego w drzwiach domu rosłego i młodego detektywa po latarki. Księżyc świecił jasno. Joe pomyślał mimowolnie, że jeszcze wczoraj wie-

czorem Meryl Perry czuła na swoich wargach wargi Williama Cowleya. Byli tylko dwój-
giem zwykłych, szarych ludzi, którzy poznali się podczas wakacji w wielkim, starym
domu na południu Anglii.

A dziś... Detektyw powrócił, niosąc latarki.

Wyszli z domu.

Rozdział 18

W oknach płonęły światła...

Obeszli uśpiony w blasku księżyca wielki klomb. Róże pachniały zupełnie oszałamiająco.

— Dlaczego ci wszyscy ludzie muszą zabijać się nawzajem? — powiedział Parker półgłosem. — Czy nie lepszy jest spacer wokół takiego klombu nocą niż na przykład pewna ilość dolarów, za które potem trzeba siedzieć dziesiątki lat w więzieniu, mając ciągle przed oczyma twarz człowieka zamordowanego po to, żeby je uzyskać?

— Ludzie chcą mieć spacer wokół klombu i tych kilkadziesiąt tysięcy — Alex wzruszył ramionami. — I liczą na to, że nie będą siedzieli w więzieniu, a już na pewno niewielka tylko grupka posiada to, co nazywasz sumieniem. Nikomu prawie, kto zdobył majątek dzięki zbrodni, nie pojawi się w myślach twarz ofiary. Ludzie, którzy mają skłonność do wyrzutów sumienia, prawie nigdy nie mordują dla pieniędzy.

Weszli w mrok alejki. Parker zapalił latarkę. Przed nimi wynurzył się z cienia człowiek.

— W porządku... — powiedział Parker. — To my.

Usłyszałem pana, szefie. Ale myślałem, że sprawdza pan, czy wszystko w porządku. Cicho tu jest bardzo.

— Park nadal obstawiony, jak kazałem?

— Oczywiście, szefie. Ludzie są na zewnątrz, za murem, na przystani i tutaj w ogrodzie.

— Dobrze... — Parker wyminął go. Po chwili Joe skręcił w wąską ścieżkę prowadzącą do pracowni. Budynek był cichy, ciemny, tylko oszklona ściana świeciła odbitymi promieniami księżyca.

— Nie wzięliśmy klucza... — mruknął komisarz, wsunął rękę do kieszeni, wyjął jeden z tych niewielkich, uniwersalnych przyrządów, pochylił się, oświetlił zamek latarką, a potem ustawił żelazne skrzydełka instrumentu. Rozległ się cichy zgrzyt i drzwi stanęły otworem. — Jest tu chyba światło elektryczne? — Parker oświetlił ścianę i dostrzegł kontakt. Przekręcił go. Dwie wielkie, nagie żarówki, zwisające na sznurach z sufitu, załapały pomieszczenie jaskrawym blaskiem.

Alex rozejrzał się. Wszystko wyglądało tak jak podczas jego poprzedniej bytności. Tylko owinięta szmatami stojąca postać znajdowała się w bezpośredniej bliskości otworu pieca. Podszedł i zajrzał. W głębi pieca tkwił uczepiony na potężnych stalowych widłach duży kocioł, napełniony w jednej trzeciej żółtawym metalem. Joe pochylił się...

— Jedno już nas może nie martwić... — powiedział odwracając się. — Jest tu tego tak mało, że pan Cowley nawet przypadkiem nie mógł wpaść do tego kotła i zniknąć...

Wyprostował się, potem podszedł do owiniętej szmatami postaci. Oderwał jeden płócienny bandaż, potem następny. Ukazała się biaława glina, sucha już zupełnie...

— Cóż to za paskudztwo? — Parker stanął obok niego przyglądając się niechętnie postaci boga, który wyłaniał się z wolna w całej swej okazałości, w miarę jak Joe odrywał kolejne fragmenty płótna.

— Jest to wyobrażenie pewnego boga. Na razie wykonane w wosku i obłożone gliną. Później wytapia się wosk i wlewa metal, a gdy odbijesz glinę, posąg wychodzi dokładnie taki, jak go tu widzisz... — Alex cofnął się, a potem obszedł figurę dokoła. Przybliżył oczy do jednego punktu, potem cofnął się znowu i pokręcił głową ze zniechęceniem.

— Czego tam szukasz? — Parker przyglądał mu się nieufnie. Nagle zrozumiał i sam zbliżył się do posągu. — Myślisz o tym, że gdzieś tu mógł ukryć te pieniądze, a kiedy Meryl o jedenastej zatarła ślady przestępstwa w pawilonie i pobięła tu, mogła to zrobić po to, żeby sprawdzić, czy są w umówionym miejscu. Ale dlaczego nie weszła w takim razie? — zapytał sam siebie. — Tak, jasne! Mogła obawiać się, że Jowett jest w środku. A zresztą miała czas. Po śmierci generała na pewno by nikt już tymi figurami się więcej nie zajmował. Mogłaby zostać w Mandalay House jeszcze przez kilka dni pod byle pretekstem i spokojnie je zabrać.

Wraz z Alexem zaczął oglądać uważnie figurę.

— Masz słuszność... mruknął Joe. — Nikomu teraz te kopie nie będą potrzebne...

— Wyjął scyzoryk, odłupał kawałek gliny, potem jeszcze kawałek, aż ukazał się żółty, połyskliwy wosk. Alex wyciął w nim dziurę i puścił snop światła do środka. Rozejrzał się, uniósł żelazny pręt i pchnął. Pręt miękko zanurzył się w wosku.

— Nie mógł tu ich schować, bo glina nie wysycha tak prędko... — Parker potrząsnął głową. — A ta jest sucha. To na nic...

Mimo to Alex objął nagle figurę i podźwignął ją w górę. Potem postawił na miejscu.

— Masz słuszność... — mruknął. To na nic.

Rozejrzał się i z wolna podszedł do stojącej na wózku drugiej figury. Odsłonił ją.

To jest właśnie ten Budda z Moulmein... — powiedział spoglądając w nieruchomą i uśmiechniętą wiekuistym uśmiechem złocistą twarz. — Gdyby nie on, nie byłibyśmy tu dzisiaj...

Zbliżył się i bardzo dokładnie obejrzał posąg. Parker także podszedł.

— Wygląda jak nowy...

— Bo został poddany renowacji przed przekazaniem go do Birmy — powiedział Joe.

— Do Birmy? Przede wszystkim musi się tą sprawą zająć sąd. Popelniono, jak wiesz, szereg przestępstw przy zakupie tego posągu... Nie wspominałem o tym dotąd, bo były ważniejsze sprawy... Ale...

— I nie wspomnisz o tym nigdy, Ben! — Alex stanął naprzeciw niego. — Był śmiertelnie poważny. — To nie było przestępstwo w sensie prawa ludzkiego, tylko naszych idiotycznych przepisów. Nie wolno ci tego zrobić!

— Przepisy są także prawem — odpowiedział Parker, nie patrząc na niego. — Jestem policjantem, Joe. Wiesz przecież o tym.

— Dobrze... — powiedział Alex. — Ale przysięgam ci, że jeśli piśniesz choć słowem na ten temat i zrobisz użytek z informacji, którą ci prywatnie przekazałem... — urwał.

— To prawda, że mi ją przekazałeś prywatnie. Ale informacja ta była częścią śledztwa w sprawie morderstwa i nie wolno ci było jej zataić.

— Dobrze... — powiedział Joe. — Zrobisz to, co uznasz za stosowne. I ja także.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Parker był wyraźnie zmartwiony. — Musisz mnie przecież zrozumieć...

— Staram się i dlatego właśnie powiedziałem: zrobisz to, co będziesz uważał za stosowne. Nie mówmy już o tym. — Machnął ręką. — Umarłemu niewiele to zaszkodzi...

— No właśnie — powiedział Parker z wyraźną ulgą.

Joe wszedł pod wózek i zerknął na spód posągu, widoczny pomiędzy żelaznymi prętami, na których opierała się podstaw. Wszedł.

— Tu także nie...

— Zobaczymy to podziemie, Ben...

Pochylił się nad otwartą klapą w rogu pomieszczenia. W dół prowadziło kilka kamiennych schodów. Weszli schyleni. Przed nimi było szerokie palenisko i spód kotła. Z boku piętrzyły się równo poukładane stosiki węgla drzewnego. Wielki skórzanym miech, wycelowany w palenisko, zajmował prawą stronę piwniczki. Alex rozgrzebał prętem popiół, uważnie ostukał ceglaną podłogę i boki paleniska.

— Cowley sam konstruował to wszystko... — powiedział przez ramię. Parker zaczął opukiwać ściany. Nic.

Po półgodzinie, zabrudzeni i spoceni, gdyż powietrze było tu duszne i przesycone wonią popiołu, wyprostowali się.

— Mamy przynajmniej czyste sumienie... — Joe uśmiechnął się i otarł czoło. Tych pieniędzy nie ma tu. Zresztą to rozumiałe, prawda? — spojrzął na przyjaciela.

— Oczywiście — Parker przytaknął ruchem głowy. — Byłby głupcem, gdyby je zostawił uciekając, chociaż jak powiedziałem, nigdy nic nie wiadomo.

Wyszli na górę. Parker wskazał małe drzwiczki w ścianie.

— To pokoik Jowetta — Joe otworzył drzwiczki i zajrzał. — Czekając, aż Cowley zrobi swoje, siadywał tu i rozmyślał nad projektem pomnika lotników Manchesteru... Zobacz...

Weszli. Na stoliku stał mały, wycięty z tektury projekt. Po prostu pudełko, a na nim ukosem białe, wbite w płaską powierzchnię skrzydło...

— Wiesz, że w tym coś jest... — Parker obszedł stolik i spojrzął nań z przeciwnej strony. — Tak, to może być bardzo piękne.

— To samo mu powiedziałem. Ale on chce jeszcze czegoś więcej, idei tej ostatniej minuty, rozpaczy spadania... Wiesz, czego.

— Wiem.

Parker jeszcze przez chwilę patrzył na model, potem odwrócił się i rozejrzał.

— Na szczęście niewiele tu jest do sprawdzania. Wyciągnął machinalnie szufladę stolika i zajrzał. Nożyczki, klej, kawałki białego kartonu. Zasuwał ją z powrotem. Wyszli. Kiedy znaleźli się na ścieżce, księżyc wzniósł się nieco wyżej na niebie. Przystanęli. Z dala, spoza płataniny krzewów i ciemnej ściany drzew, dochodził głęboki, przytłumiony szum.

— Piękna noc... — powiedział Parker.

Ruszyli powoli, ale nie alejką, lecz na przełaj, tam, skąd dochodził ów szum. Kilkanaście kroków, krzewy zgęstniały, potem przerzedziły się... W świetle księżyca załśniła matowo siatka ogrodzenia.

— Uważaj! — powiedział cicho Alex. — Za tą siatką jest przepaść...

Ruszyli z wolna w prawo, wymijając krzewy i trzymając się siatki.

— Trzeba wszystko ułożyć i sformułować na piśmie... — Parker westchnął. — Ale mamy jeszcze trochę czasu do rana, prawda? Możemy odpocząć parę minut... Dość mam chwilami tych wszystkich odcisków palców, sekcji zwłok i umarłych twarzy, patrzących na mnie z każdego zakątka mojej policyjnej pamięci...

Umilkł. Nagle drzewa rozstały się. Byli przy stopniach prowadzących do przystani. Przed nimi leżało wysrebrzone księżycem, spokojne już morze.

Stali przez chwilę nie poruszając się. W dole na przystani ktoś trącił kamyk i promień latarki wystrzelił ku nim, oblewając ich ciepłym, słabym światłem.

— Zgaście! — powiedział Parker głośno. — To ja!

Światło zgasło.

Zawrócili. Szli ciemną alejką w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach. Nagle Parker powiedział:

— Mogę przecież zdjąć już ludzi stąd, prawda? Nie ma celu przedłużać tego wszystkiego. Rano przesłucham Meryl Perry i na tym koniec. Musi powiedzieć prawdę. A inni mają murowane alibi: Dorothy ani profesor nie mogli zatruć kawy, zastrzelić starego ani pisać listów z Londynu i odbierać odpowiedzi na poste restante. Jowett także nie

mógł zatruć kawy i nie opuszczał Mandalay House, Chanda nie mógł zastrzelić starego. Panna Beacon w ogóle nie wchodzi w rachubę, zresztą ma alibi, Cowley mógł zrobić to wszystko, on jeden! A wiemy, że dziewczyna była w pawilonie po śmierci generała i zatarła ślady morderstwa... Innych możliwości nie ma! — dokończył z przekonaniem, ale natychmiast zatrzymał się i położył rękę na ramieniu Alexa.

— Czy zgadzasz się ze mną, Joe?

— Jestem z natury zgodnym człowiekiem... — zęby Alexa zabłyśły w księżycowym półmroku. — Myślę, że możesz zatrzymać Meryl pod strażą, a resztę puścić samopas. Zresztą ręczę ci, że wszyscy od razu rozjadą się, poza Karoliną, która będzie na pewno na pogrzebie... I ja także zostanę.

Doszli do wylotu alejki. Przed nimi był dom. Światła płonęły w oknach drugiego piętra: jedno, drugie, trzecie, czwarte... piąte.

Najwyraźniej mieszkańcom Mandalay House sen był odebrany tej nocy.

Rozdział 19

Czy jesteś pewien, Joe?...

Kiedy znaleźli się znowu w bibliotece, Alex usiadł za stołem i wlepił spojrzenie w wielką mapę Indii. Parker osunął się w krzesło naprzeciw niego.

— Żałuję, że ta mała idiotka musiała akurat teraz tyknąć tyle tych proszków... — westchnął komisarz. — Mielibyśmy już jej zeznanie, podpisane i przypieczętowane.

— Zapewne... — mruknął Joe — podpisane i przypieczętowane. — Było w jego głosie coś, co kazało Parkerowi szybko unieść głowę.

— Czy chcesz powiedzieć, że ta mała Perry jest niewinna? Jeżeli się przyzna, wezmę ciebie i Hicksa jako dwóch głównych świadków oskarżenia, którzy zeznają, że po wyjściu Dorothy Snider nikt nie mógł się dostać do pawilonu. Sąd zapyta cię także, czy w mojej obecności Perry nie powiedziała ci, że rozmawiała z generałem Somerville'em o godzinie jedenastej, a więc w godzinę po określonej przez lekarzy granicy jego zgonu.

— Możesz być pewien, że zeznam prawdę. Powiedziała to.

— A teraz ja cię zapytam. Czy nie jesteś absolutnie pewien, że to ona zainscenizowała samobójstwo Somerville'a, wyjęła z jego martwej ręki kawałek koszuli swego kochanka, wytarła odciski palców na pistolecie i zrobiła wszystko, aby odwrócić naszą uwagę od faktu, że Cowley zabił staruszkę?

— Jestem absolutnie pewien, że Meryl ułożyła ciało w nowej pozycji, ponieważ ręka zmarłego leżała na zdjęciach, które ona sama przyniosła do pawilonu o jedenastej.

— No właśnie! Nie twierdzą, że to ona zamordowała własnoręcznie, ale jest współniczką i, być może, nawet mózgiem tej zbrodni. Kiedy schwytemy Cowleya, dowiemy się zapewne wszystkich szczegółów. W obliczu niebezpieczeństwa związku tego rodzaju rozpadają się zwykle w proch i pył, a każde z oskarżonych stara się przerzucić odpowiedzialność na drugą osobę. Wtedy wychodzą na jaw najdrobniejsze szczególiki...

— Urwał na chwilę i przyjrzał się Alexowi. — Myślisz ciągle o tym strzale? Musiałeś się po prostu omylić... Tam, gdzie w grę wchodzi tylko świadectwo uszu, omyłka zawsze jest możliwa. Wiesz tylko, że nie słyszałeś strzału. Tylko tyle możesz zeznać. Krążyłeś po

ogrodzie w pobliżu pawilonu. Akustyka może być nie wszędzie taka sama. Somerville został przecież zastrzelony, więc musi istnieć gdzieś błąd, prawda? A błąd ten może być tylko w tobie albo w Hicksie... myślę o niedoskonałości zmysłów ludzkich.

— Zapewne... — Joe skinął głową. — Zmysły ludzkie są niedoskonałe — uśmiechnął się.

Parker pokiwał głową.

— Cieszę się, że przestałeś się upierać. Zresztą, kiedy jutro ta mała wyzdrowieje na tyle, że będziemy mogli z nią porozmawiać, dowiemy się zapewne wszystkiego. Ona wie, jak się to odbyło. A Cowley... — wzruszył ramionami. — Paskudny facet! Bądź co bądź, wciągnął w to dziewczynę i pozostawił ją na łasce losu...

— To prawda! — powiedział Joe z przekonaniem. — Pan inżynier nie popisał się!

— No, ale prędzej czy później pożałuje swego postępowania. Nie mam na myśli jego zachowania wobec tej Perry oczywiście. Zamordować z zimną krwią starego człowieka dla kilkudziesięciu tysięcy funtów...

Joe uderzył palcem w leżące na stole papiery.

— Skoro pan Cowley nie chciał pomóc rodzonej matce i był uważany za sknerę, pieniądze mogły mieć dla niego niemal magiczne znaczenie. Znam wiele takich ludzi, o dziwo, są to przeważnie pedanci... szanują przedmioty. Wszystko jest niby w porządku. Ale ich szacunek dla przedmiotów wynika ze skąpstwa... z drapieżności wobec dóbr doczesnych.

— Więc jednak! — Parker rozpromienił się. — Przez chwilę wydawało mi się, że jednak zwariowałeś, Joe! Najpierw stawiałeś tezę o niemożliwości wykonania tej zbrodni, a później sądziłem, że drwisz ze mnie, kiedy w obliczu niezbitych dowodów doszedłem do wniosku, że ta mała jest współniczką. Tak, jakby jej samobójstwo, nie upozorowane przecież, bo jeszcze godzina, a nikt by jej nie odratował, nie było najlepszym dowodem.

— Hm... — powiedział Joe. — Mam nadzieję, że jednak będziesz operował bardziej precyzyjnymi argumentami w sądzie.

— Oczywiście, mój drogi. Weź kartkę papieru:

- 1) Chanda: mógł napisać listy z Londynu jako Plumkett, mógł zatruć kawę, ale nie mógł zabić generała.
- 2) Jowett — nie mógł zatruć kawy, nie mógł pisać listów z Londynu, nie mógł ich odbierać na poste restante.
- 3) Perry — nie mogła zatruć kawy, nie była w Londynie.
- 4) Snider i jego córka — nie mogli zatruć kawy, nie mogli zabić generała, nie byli oboje w Londynie.
- 5) Karolina Beacon — nie mogła zabić generała, a chociaż mogła zatruć kawę, ale nie wiedziała przecież o kupnie posągu w Niemczech, więc nie mogła szantażować dziadka. Zresztą, na szczęście, pomiędzy godziną dziewiątą a dziesiątą była z Dorothy Snider i nawet twoje świadectwo jest mi tu zbyt pomocne.

— Ponieważ mógłbyś je podać w wątpliwość, co? — Joe po raz pierwszy tego dnia roześmiał się zmęczonym, ale jednak szczerym śmiechem. — Och, Ben, Ben, i który z nas jest obłąkany?

— Ten, który kocha, oczywiście... — powiedział uprzejmie komisarz. — Ale jedźmy dalej. Pozostaje nam pan Cowley.

6) Cowley: bywał w Londynie i mógł pisać listy jako Plumkett, a także otrzymać odpowiedź generała na poste restante, mógł zatruć kawę i przez cały czas pomiędzy godziną dziewiątą i dziesiątą nikt go nie widział, więc nie ma alibi. Poza tym zniknął, a z nim pieniądze przygotowane dla szantażysty.

Meryl Perry kochała go, całowali się po nocy w parku, chcieli się pobrać... Meryl jest jedyną osobą w tym towarzystwie, która ma rejestr przestępczy, była dwa lata w domu poprawczym, który jest lepszą szkołą przestępstwa niż akademia złodziejska. Dziewczyna wie wszystko o odciskach palców i tym podobnych rzeczach. Będę miał twoje zeznanie pod przysięgą, a także zeznanie Hicksa, że Meryl zatarła zbrodnię Cowleya i upozorowała samobójstwo Somerville'a. Jak chcesz więc, abym mając tylko jedną osobę, która spełnia wszystkie trzy warunki, które musi spełniać zabójca, a w dodatku znika z pieniędzmi i ma dziewczynę, była przestępczynią, która zaciera ślady zbrodni, nie wyciągnął jedyne go możliwego, logicznego wniosku? Cowley jest zabójcą, a Meryl współnikiem. Czy zgadzasz się?

— Pozostaje jeszcze ten uporczywy drobiazg... — mruknął Alex. — Głowę bym dał, że musiałbym usłyszeć huk wystrzału...

— Rzeczywiście drobiazg. Każdy prokurator da sobie radę z tym drobiazgiem, a sąd w obliczu dowodów też przejdzie do porządku dziennego nad niedoskonałością twoich uszu albo uwagi... Przecież Somerville został zastrzelony. To, że nie usłyszałeś strzału, nie może zmienić tego faktu.

— Tak. To prawda... — Joe westchnął. — Chociaż, jak wiesz, kiedy bilans wielkiego banku nie zgadza się o jednego choćby pensa, trzeba robić cały bilans od nowa, bo omyłka może być w rzeczywistości milionowa. Ale myślę, że w tym wypadku...

— A więc mogę przyjąć, że cię przekonałem i... — Parker zawiesił na chwilę głos — nie znajdujesz luki w moim rozumowaniu? Mogę teraz spokojnie sporządzić raport z wstępnego dochodzenia. Za Cowleyem poszły listy gończe i jego schwywanie to tylko kwestia czasu. A panna Perry znajduje się w naszych rękach. Powie wszystko, jestem o tym przekonany. Po takim wstrząsie, jak nieudane samobójstwo, ludzie miękną i załamują się... — Zatarł ręce. — A więc, mój kochany, za chwilę wstanę i przed udaniem się do łóżka zdejmę strażę naokół domu i wewnątrz. Od tej chwili wszyscy będą mogli robić, co im się podoba. Oddzieliliśmy winnych od niewinnych. Czy zgadzasz się? Czy wiesz już wreszcie, kto zabił Somerville'a, a kto był współnikiem, ty niewierny Tomaszu.

— Wiem... — Alex uśmiechnął się, wstał i położył rękę na ramieniu przyjaciela.
— Zdejmuj strażę, mój Cezarze! Masz słuszność, trzeba spać... Ale przedtem chciałbym jeszcze wpaść na chwilę do Karoliny. Jestem pewien, że nie śpi.

— O tak... — uśmiechnięta twarz Parkera znowu spoważniała. — Idź do niej, koniecznie. Nie masz pojęcia, jak bardzo mi przykro, że to właśnie ją dotknęła ta śmierć. Ale w końcu to był naprawdę bardzo stary człowiek...

— Tak... — Joe westchnął. — Mimo to byłbym szczęśliwy, gdyby udało mi się go ocalić... To była paskudna sprawa, Ben...

— Ale nie mogłeś wiedzieć...

Parker położył mu dłoń na ramieniu.

— Do jutra, Ben...

— Do jutra Joe...

Alex wyszedł i ruszył po schodach na piętro.

Rozdział 20

Mój wóz nie nadaje się do użytku.

Był wczesny ranek. Spotkali się w drzwiach jadalni. Pokojówka Jane nakryła już do stołu i stała teraz pod ścianą w nieskazitelnym fartuszk, skromna i pozornie obojętna, ale oczy jej, wbrew woli właścicielki, powracały co chwila do postaci obu mężczyzn.

Alex ziewnął.

— Nie spałeś dobrze? — zapytał Parker.

— Nie zmrużyłem oka... — powiedział Joe szczerze. Zresztą wczesnym rankiem załatwiłem pewną sprawę dla Karoliny. Nie pogniewasz się, mam nadzieję, ale dopuściłem się drobnego kłamstwa. Ponieważ kazałeś zdjąć posterunki i większość twoich ludzi była wolna, powiedziałem im, że pozwoliłeś mi ich użyć do przesunięcia pewnego ciężkiego posągu... Myślę, że Karolinie byłoby przykro nań patrzeć. Był dla niej związany z pamięcią jej dziadka. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem? Nie muszę ci dodawać, że twoi ludzie otrzymali pewną rekompensatę za swój wysiłek. Ale to naprawdę jest wiadomość prywatna, Ben!

— Nie chcę o tym słyszeć! — Parker żartobliwym gestem zatkał uszy. — To ich prywatne sprawy, nie tylko twoje. Nie mieli służby w tym czasie.

— Ale powiedziałem im, że pozwalasz...

— Och, drobiazg... Fakt, że bez mojego pozwolenia nie chcieli ruszyć palcem, to też pociecha... Wybaczam ci! Dzień dobry, Miss Beacon...

Karolina, bardzo blada, ale opanowana, pojawiła się w drzwiach jadalni i skinęła głową Parkerowi.

— Joe opowiedział mi przed paroma minutami o wszystkim... — powiedziała cicho. — To nie do uwierzenia...

Wszedł Jowett i skłonił się im z dala.

— To jest właśnie pan Jowett, Ben — Alex przedstawił sobie obu mężczyzn.

— Wczoraj wieczorem widziałem projekt pomnika lotników Manchesteru, tam w pracowni... — Parker skłonił głowę z szacunkiem. — Sam byłem lotnikiem, proszę pana. To bardzo piękny projekt...

— Dziękuję panu — odpowiedział Jowett krótko.

Weszła Dorothy. Była upudrowana i wargi miała pociągnięte ostrym karminem, ale podkrążone oczy wskazywały wyraźnie, że mało spała i przelała wiele łez tej nocy. Profesor Snider pojawił się w chwilę później. Skłonił się Karolinie i nie zaszczycił spojrzeniem Parkera ani Alexa.

— A gdzie Chanda? — zapytała Karolina rozglądając się.

— Jest bardzo zajęty w tej chwili... — powiedział Joe. — Prosił, żeby nie nakrywać mu do śniadania. Zje, kiedy będzie miał chwilę czasu...

Usiedli. Jane obeszła stół niosąc imbryk z kawą i herbatą. Nikt prawie nie sięgnął po chleb.

— To nie do wiary... — powtórzyła Karolina. — Cowleya nie znałam dobrze, ale Meryl...

— Pojechałem dziś o świcie do szpitala i powiedziałem: „Meryl Perry, czy przyznaje się pani, że o godzinie jedenastej dnia wczorajszego weszła pani do pawilonu nad brzegiem morza, gdzie znajdowały się zwłoki generała Johna Somerville’a, zastrzelonego przez Williama Cowleya, że zmieniła pani usytuowanie zwłok i zmieniła położenie leżącego przed biurkiem rewolweru tak, aby zasugerować osobom prowadzącym śledztwo samobójstwo? A oprócz tego, że usunęła pani z dłoni zmarłego strzep koszuli koloru czerwonego, o którym wiedziała pani, że jest strzepem koszuli Williama Cowleya, którą to koszulę nosił on tego dnia? Poza tym, czy przyznaje się pani, że złożyła pani fałszywe zeznania w czasie wstępnego, przeprowadzonego przeze mnie, przesłuchania, w tym celu, aby osłonić Williama Cowleya, choć zdawała pani sobie sprawę z tego, że zamordował on generała Johna Somerville’a? Uprzedzam panią, że wszystko, co teraz pani powie, może być skierowane i użyte przeciwko pani...” A ona odpowiedziała: „Tak, przyznaję się...”

Powiódł po zebranych oczyma.

— Może to straszne, ale jednak, niestety, prawdziwe...

— A co... co się z nią stanie? — zapytała cicho Dorothy.

— Pozostanie aż do południa pod opieką pielęgniarki i pod strażą jednego z moich ludzi. Później przybędzie lekarz policyjny i orzeknie, czy może być przewieziona do więzienia.

— No — mnie już nie będzie na terenie tego hrabstwa! — powiedział Jowett. — Dostyc mam tego wszystkiego! Cowley, mój Boże! Nasz nerwowy, przyzwoity syn burżuazyjnej Anglii! Skromniś i moralista! Od pierwszej chwili wywoływał we mnie obrzydzenie. Ale Meryl była inna. Może po prostu kochała go i omotał ją?

— Być może było tak... — Parker skinął głową. — Dowiemy się od niej albo od niego, kiedy go ujrzymy. Nie ucieknie daleko.

Zamilkł.

— Miss Beacon... — powiedziała Dorothy. — Proszę mi wybaczyć, ale ja także chciałabym dziś wyjechać... Czy mógłby mnie ktoś odwieźć na dworzec kolejowy?

— Jak to, moje dziecko? Wynajmiemy auto z Tengmouth i pojedziemy nim do Londynu! — powiedział Snider.

Dorothy nie odpowiedziała, ale spojrzała prosząco na Karolinę, która skłoniła głowę.

— Oczywiście, Miss Snider, jeżeli pani sobie życzy...

— W takim razie... — powiedział profesor. Wstał. Potem usiadł i rzekł: — Przepraszam bardzo — pochylił się nad filiżanką.

— I ja będę musiał odjechać wkrótce... — Parker uśmiechnął się ze smutkiem do Karoliny. — Bardzo mi przykro, Miss Beacon, że tym razem spotkaliśmy się w tak tragicznych okolicznościach. To jedno mnie tylko trochę pociesza, że zbrodniarze zostaną szybko ukarani... i...

Urwał, bo Alex nagle zadławił się kawałkiem chleba. Przez chwilę kaszłał, potem odcchnął głęboko.

— Przepraszam bardzo...

Wstali od stołu: Joe ciągle jeszcze odkasłując, Parker spokojny i pełen godności. Inni także zaczęli się rozchodzić do swoich pokojów.

— Odwiozę panią... — powiedział Joe do Dorothy. — Może tylko zaczekamy jeszcze trochę, dobrze?

— Och, nie jestem jeszcze spakowana... Za pół godziny będę na dole.

Karolina, Parker i Alex wyszli przed dom i ruszyli wolnym krokiem wokół klombu.

— Przyjechaliśmy tu przedwczoraj w południe... — powiedziała cicho Karolina. — Czy to możliwe? Wydaje mi się, że minęły wieki...

Z dala zobaczyli, że zszedł Jowett, postawił swoją wielką skórzaną walizę przy drzwiach domu i zbliżył się ku nim.

— Miss Beacon — powiedział ujmując jej dłoń. — Proszę mi wierzyć, że bardzo lubiłem dziadka pani. Wiedział więcej o sztuce niż stu nadętych profesorów z tym Sniderem na czele. Żałuję, że nie danym mu było rozprawić się z tym głupcem. Ale widocznie przeznaczenie chciało inaczej... Jedno może niech panią pocieszy: był przecież bardzo starym człowiekiem i nie mógł żyć o wiele dłużej. Wiem, że moje słowa niewiele tu znaczą, ale z czasem na pewno i pani będzie musiała dojść do tego wniosku...

Ujął jej rękę i ucałował. Potem skłonił się Alexowi i komisarzowi.

— Zajmę się teraz moim pomnikiem... — powiedział do Alexa. — Dziękuję panu bardzo za wszystkie rady, których mi pan udzielił. Ale sam nie wiem. Może to, co zrobiłem, jest dobre?

— Lepsze jest wrogiem dobrego... — powiedział Parker sentencjonalnie.

— Właśnie. Zobaczą zresztą. Będę miał teraz cały mój czas dla siebie. Do widzenia państwu... — zawahał się nagle. — Boże, mój model! Zapomniałem o nim. Nigdy bym nie przypuścił, że mogę o nim zapomnieć. Przepraszam bardzo...

Skłonił się i chciał odejść.

— Pójdę z panem — powiedział Joe. — Chciałbym jeszcze raz spojrzeć na ten projekt. Jest to najlepszy pomnik, jaki widziałem w życiu... — Odeszli razem i zniknęli w wylocie alejki.

— Biedny Joe... — powiedziała Karolina. — To musiał być także i dla niego straszny cios. Dziadek John zginął niemal w jego obecności. I chociaż wiem, że nie mógł tego nawet przewidzieć, musi sobie robić nieustanne wyrzuty. Nie wiem, jak mam go pocieszyć.

— Tak... — komisarz skinął głową. — W śledztwie zachowywał się, jak gdyby myśli uciekały mu ciągle na boki. Nie mógł się skupić. W pierwszej chwili, kiedy powiedziałem mu, co się stało i że istnieje tylko jedna możliwość popełnienia tej zbrodni, powiedział, że to bzdura. Myślę, że dopiero przyznanie się Meryl Perry przekonało go ostatecznie. Może nie powinienem pani tego mówić, bo wyjdzie to na jaw dopiero w czasie procesu, ale Meryl Perry... — urwał.

Alex i Jowett wynurzyli się z alejki. Jowett niósł w ręce swój biały model pomnika. Joe szedł obok i mówił coś półgłosem.

— Tak... — powiedziała Karolina. — To dziwne, że odszedł z nim, prawda? Jak gdyby zapomniał, że ja... że stała się tragedia. Jest tak zainteresowany tym pomnikiem, że... — ona także urwała. Przez chwilę patrzyli w milczeniu na obu stojących na podjeździe i rozmawiających ze sobą mężczyzn.

— Niech go tłumaczy to, że był lotnikiem, jak ja. Wielu naszych przyjaciół zginęło, a ten pomnik jest naprawdę piękny... — Parker potrząsnął głową.

Alex wyciągnął coś z kieszeni i podał Jowettowi, który z kolei podał mu model. Potem podszedł do wspaniałego, stojącego na podjeździe Rolls Royce'a i otworzył go.

— A na cóż on mu dał kluczyki wozu? — Parker wzruszył ramionami. — Przecież Jowett ma swoje auto.

— Może jest zepsute? — powiedziała Karolina. — Ale jeżeli pan Jowett odjedzie wozem Joe'go, Joe zostanie tu bez samochodu...

Jowett zatrzasnął drzwiczki, opuścił szybę i kiwnął Alexowi ręką. Joe odpowiedział mu skinieniem. Odwrócił się i trzymając model w obu rękach zaczął zbliżać się ku stojącym.

— Prosił mnie, żebym pozwolił mu przejechać się! — zawołał z uśmiechem!

— Nigdy nie siedział za kierownicą Rolls Royce'a!

Wóz ruszył i zaczął się cofać wykręcając powoli.

— Co on robi? — powiedział Parker.

— Pewnie chce wypróbować wsteczny bieg... — Joe stał trzymając przed sobą model w obu rękach.

Samochód zakręcił i jego lśniąca, ścięta w trójkąt maska, której nie można wziąć za maskę żadnej innej marki świata, skierowana była teraz wprost ku alejce prowadzącej do pawilonu. Przez chwilę Rolls Royce stał, nie słychać było w ogóle szumu silnika. Nagle prowadzący włączył bieg i wóz ruszył jak rakieta, mignął pomiędzy różami i wpadł w alejkę. Usłyszeli głośny szelest szarpanych gałęzi.

— Czy on oszalał?

Parker rzucił się w kierunku alejki, ale zatrzymał się nagle. Alex dopędził go. W chwilę później znalazła się przy nich Karolina. Bez słowa zaczęli biec i Joe zatrzymał się dopiero w miejscu, gdzie wygięta balustrada zwisała, drgając wciąż jeszcze, nad przepaścią...

— Boże! — powiedział Parker! — On tam wpadł razem z twoim wozem! Dlaczego pozwoliłeś mu wsiąść?

Alex nie odpowiedział. Stał oparty o barierę i patrzył na fale nadbiegające powoli ku lądowi. Ale nie było już nic widać.

— Ratujcie go... — szepnęła Karolina zdławionym głosem. On, on może jeszcze żyje?...

Alex potrząsnął głową.

— Wóz jadący z tą szybkością, musiało wyrzucić kilkadziesiąt jardów od brzegu. Spadał przecież łukiem... Tu jest, zdaje się, wielka głębia?... Nie mógł przeżyć ani uderzenia o wodę, ani wydobyć się z tonącego auta... Rolls jest bardzo ciężki... I okno było otwarte. Zatonął o wiele szybciej...

Parker, który stał wychylony, i przesuwał oczyma po powierzchni wód, powiedział cicho:

— Oliwa...

Daleko od brzegu wyrosła na falach lśniąca, oleista plama i z wolna zaczęła się przesuwać, gnana ciepłym, porannym wiatrem.

— Tam — powiedziała cicho Karolina — jest dwieście jardów głębokości... Brzeg pod wodą urywa się od razu... To najgłębsze miejsce na całym południowym wybrzeżu... Och, on nie żyje, nie żyje... — rozpłakała się tuląc głowę do ramienia Alexa.

— Dlaczego mu dałeś ten wóz?... — powtórzył Parker swoje retoryczne, rozpaczliwe pytanie. — Dlaczego, u diabła, pozwoliłeś mu wsiąść?

— Dałem mu go, ponieważ Karolina go nie znosiła! — powiedział Alex chłodno. — I dałem mu go, ponieważ jestem przesądny.

— Co? — powiedział Parker. — W głowie ci się pomieszało, Joe!

Karolina przestała nagle płakać, odsunęła się od Alexa i spojrzała nań z przerażeniem.

— Joe... ty naprawdę... Chodźmy, trzeba zawiadomić ludzi i wziąć motorówkę... Może on...? — urwała. — Joe, chodź!... Jesteś przemęczony.

— Nie — Alex potrząsnął głową. — Nie powiedziałem, że jestem przemęczony, ale powiedziałem, że jestem przesądny. I kiedy nadeszła taka chwila, Karolinko, że podejrzania zaczęły się grupować wokół ciebie, przyrzekłem sobie, że jeśli uda mi się odnaleźć mordercę twojego dziadka, nigdy już nie wsiądę do tego wozu... A konsekwencją tego był melodramatyczny fakt, że musiał do niego wsiąść morderca.

— Morderca! — Parker zbliżył się ku niemu i zagroził mu drogę do wyrwy w balustradzie.

— Joe! Chodźmy! — powiedział zdecydowanie i chciał ująć go pod rękę.

— Dobrze... — Alex spokojnie skinął głową. — Ale pozwól, że najpierw przekażę ci siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, których tak poszukujesz! Jednym ruchem oderwał przyklejone dno pudełka i na ziemię padła paczka banknotów obwiązana grubymi gumkami, które nie pozwalały im zająć dużej objętości. Parker schylił się, podniósł ją i zaczął wpatrywać się w nią z przerażeniem.

— Kiedy powiedziałem mu, że wiem, co jest w tym modelu, i że mogę udowodnić, jak zabił Cowleya i twojego dziadka Johna, Karolino, dodałem, że mój wóz stoi na podjeździe, a ponieważ on, Jowett, nigdy nie siedział za kierownicą Rolls Royce'a, może teraz go wypróbować, i jeśli zdarzy się nieszczęśliwy wypadek, pomnik lotników miasta Manchesteru na pewno zostanie zrealizowany według planów przedwcześnie zmarłego artysty. W przeciwnym wypadku czekać go będzie dożywotnie, ciężkie więzienie, starość pośród kryminalistów, zaduch cel i to upiorne powietrze, przesiąknięte wonią chloru i karbolu... do końca życia. Wiedział, że przegrał... Nie mrugnął nawet okiem, poprosił mnie o kluczyki i... resztę widzieliście.

— Joe... — powiedział Parker. — Ależ dopomogłeś mu w ten sposób do uniknięcia sprawiedliwości i...

— Och, nie zwracaj uwagi na moje słowa... — Alex uśmiechnął się. — Przed chwilą powiedziałeś, że jestem obłąkany albo przemęczony. Czy można mi wierzyć? Gdzie są świadkowie?

— Ależ on nie mógł tego zrobić! Nie mógł zatruć kawy! Boże! Zapomniałem! Przecież trzeba zorganizować ratunek. Jest minimalna szansa, że ciało może wypłynąć i ten człowiek może być żywy. Biegnę do motorówki!

— Do której? — zapytał Alex chwytając go za rękaw.

— Do tej, która stoi na przystani! Puść mnie!

— Nie ma tam żadnej motorówki! — krzyknął Joe.

Parker, który wyrwał mu się i zaczął biec, zatrzymał się nagle.

— Jak to nie ma? W nocy była przecież!

— Ale o piątej rano sześciu twoich ludzi, za twoim zresztą przyzwoleniem i wybaczeniem, przeniosło na nią pewien posąg, który stał w pracowni. W pięć minut później Chanda usiadł za sterem i odpłynął. Jest teraz o dziesiątki mil od brytyjskich wód tery-

torialnych... i, o ile wiem, kieruje się ku jednemu z portów... Ale przecież nie powinno cię to interesować, prawda? — zwrócił się do Karoliny. — Chanda odpłynął do Birmy, malutka. Wiezie ten posąg. Wierzy, że twój dziadek jest szczęśliwy tam — wskazał palcem wschodnią stronę nieba — wiedząc, że testament jego został wypełniony. Chanda nie powróci tu. Prosił, żeby cię ucałować i przeprosić. Powiedział: „Miłość moja do tej maleńkiej dziewczynki, którą zawsze ona dla mnie pozostanie, była głębsza i silniejsza niż wszystko, co nauczyłem się kochać i czcić w życiu. Niechaj to mnie w jej oczach usprawiedliwi”.

— Nie powróci już tu... — powiedziała cicho Karolina. — Ani on, ani dziadek John... To już nie będzie Mandalay House Joe! Chcę wyjechać, kiedy tylko...

— Pomyśl o twoim dziadku, malutka. On był waleczniejszy niż ty. Ludzie umierają, rodzą się, walczą i giną. Ale starają się nie poddawać. Kochasz przecież ten dom. Nie rób niczego, zanim nie będziesz pewna, że decyzja twoja jest ostateczna...

Parker, który stał przy rozchwianej balustradzie, zawrócił ku nim.

— Nie wypłynął... — powiedział. — I już nie wypłynie teraz... Idę do telefonu zawia-
domić posterunki morskie... Jeśli jest tam wielka głębia, być może, nie uda się go wydo-
być i pozostanie tam na wieki, w twoim samochodzie...

— Obaj tam pozostaną... — powiedział Joe spokojnie.

— Czy masz na myśli twój samochód?

— Nie. Mam na myśli inżyniera Williama Cowleya. Będą nawet niedaleko siebie. Szkoda, że nie mogą mówić: mogliby przez długie, zimowe wieczory rozmawiać o tym, jakie błędy popełnili w tej sprawie.

I ująwszy ślaniającą się niemal Karolinę wpół, Joe ruszył ku domowi.

Parker dopędził ich, otworzył usta, ale nic nie powiedział, lecz przyspieszywszy po-
pędził dalej.

Karolina wyprostowała się i otarła oczy.

— Możesz mnie puścić, Joe... Już mi lepiej...

Szli, mimowolnie wpatrzeni w ślady kół i połamane gałązki leżące na ich drodze.

Kiedy znaleźli się przed klombem, Alex zobaczył Dorothy Snider.

— Och, — powiedział z zakłopotaniem. — Zupełnie zapomniałem o mojej obietni-
cy. Ale, niestety, mój wóz nie nadaje się do użytku. Karolino, pozwolisz, że odwiozę pa-
nią jednym z samochodów, należących do domu?

Rozdział 21

Żenię się

Był wieczór. Siedzieli sami naprzeciw siebie przy wielkim stole w mrocznej, ogromnej jadalni Mandalay House. Milczeli. Dopiero w chwili, kiedy Jane podała kawę i zamknęła za sobą ciężkie, dębowe drzwi, Parker uniósł głowę i spojrzał w oczy przyjaciela. Oczy te były spokojne i rozjaśnione światłem, którego komisarz nigdy jeszcze w nich nie widział.

— Cieszysz się?

— Tak. Bardzo — Alex uśmiechnął się i zamilkł.

— No tak... — Parker westchnął. — Do tej chwili nie wiem, dlaczego to miał być Jowett, choć wiem, że tak było. Mimo to nie rozumiem jeszcze niczego. On przecież nie mógł zamordować generała, a poza tym nie mógł dokonać jeszcze paru innych rzeczy: zatruć kawy, pisać z Londynu i odbierać tam listów. Nie, nie rozumiem, Joe. Może to prawda, ale nie ma w tym logiki. Chociaż wiem, że zaraz powiesz mi, jak do tego doszedłeś, nie jestem w stanie nadal tego zgadnąć. Rozumiem, że się cieszysz. Mnie także rozpieczęłaby pycha, gdybym... — machnął ręką i umilkł.

— Ależ ja się nie cieszę z tego, że zdemaskowaliśmy Jowetta! Było to dla mnie jasne niemal od pierwszej chwili! Mam inny powód do radości...

— Inny powód? — Parker nieco drżącą ręką sięgnął po stojący przed nim kieliszek likieru i wychylił go jednym haustem.

— Traktujesz Benedictine 1908, jak gdyby to była nędzna szkocka whisky... — mruknął Joe. — Zapomniałem uprzedzić Karolinę, że policja ma nieskomplikowane zamiłowania, jak przystało na naszych dzielnych, krzepkich chłopców...

Uniósł swój kieliszek do ust, dotknął płynu wargami i przez chwilę trwał nieruchomo, z przymkniętymi oczyma, delektując się smakiem i aromatem, który połąskotał mu nozdrza. Ale Parker zdawał się go nie słyszeć.

— Mów, na miłość boską! — powiedział półgłosem. — Myślę nad tym od rana i... i nie jestem w stanie postąpić ani kroku dalej w śledztwie, jak gdybyśmy je dopiero rozpoczęli.

— Właśnie! — Joe odstawił ostrożnie kieliszek. — A wszystko dlatego, że używasz słowa logika w bardzo nieodpowiedni sposób. Kiedy powiedziałem ci, że jestem absolutnie pewien, że nikt, kto nie użył tłumika, nie mógł zastrzelić Somerville'a pomiędzy godziną ósmą pięćdziesiąt, kiedy go widziałem żywego, a godziną dziewiątą trzydzieści, kiedy Hicks zasiadł na skałach nieopodal pawilonu, doszedłeś do wniosku, że ponieważ generał został jednak zastrzelony, jak twierdzi medycyna, pomiędzy dziewiątą a dziesiątą, a więc Hicks, albo ja, albo my obaj razem nie usłyszeliśmy wystrzału, gdyż zmysły nasze są zawodne. A choć tłumaczyłem ci, że w cichy poranek grzmot tego colta obudziłby nawet umarłego w promieniu kilkuset conajmniej jardów, jednak nie wierzyłeś mi...

— A jak mogłem ci uwierzyć?

— Stosując logikę, oczywiście. Jeżeli wystrzał był głośny, a ja znajdowałem się blisko pawilonu i nie usłyszałem go, to... no, Ben?...

Czekał przez chwilę z uśmiechem.

Parker zmarszczył brwi, potem rozłożył ręce.

— Nie, Joe. To beznadziejne. Jeżeli wystrzał był głośny, a ty będąc niedaleko pawilonu nie usłyszałeś go, to znaczy, że słuch cię zawiódł, albo stało się coś głośniejszego, co uniemożliwiło ci usłyszenie tego huk. Innego wyjścia nie ma.

— Czyżby?

Znowu chwila milczenia.

— Poddaję się... — powiedział cicho Parker.

— Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że wiem, kto zabił Somerville'a, ale że wszystkie dowody świadczą o tym, że morderca jest niewinny?

— Tak. To było wczoraj wieczorem po wizycie tego szkockiego lekarza. Ale, oczywiście, pomyślałem, że jesteś wyczerpany i...

Parker zamilkł.

— Byłem wyczerpany, ale nie do tego stopnia, żeby po stwierdzeniu doktora O'Flaherty, że generał zmarł pomiędzy dziewiątą a dziesiątą nie nabrać pewności, że musiałbym usłyszeć odgłos wystrzału, gdyby Somerville'a zastrzelono w pawilonie.

— Co? — powiedział Parker ochryplym szeptem. — A więc nie zastrzelono go w pawilonie? Ale... — urwał. — Boże... — Szepnął — cóż za idiota ze mnie!

— Nie, Ben. Nie chcę się chwalić, ale to wcale nie było takie proste. Widzisz, zawsze jesteśmy skłonni na widok ewidentnej, prostej prawdy sądzić, że kogoś zawiódł słuch, albo wzrok, albo uwaga. Ale ja wiedziałem, że ani na chwilę nie mogła zaistnieć sytuacja, w której mógłbym nie usłyszeć tego strzału. Wiedziałem także na pewno, że cokolwiek się stało, musiało stać się pomiędzy godziną dziewiątą, gdy zwracałem powoli od narzędznej barierki wraz z Jowettem, a godziną dziesiątą trzydzieści, wówczas, gdy Hicks zajął swoje stanowisko i nikt nie mógł nie zauważony przemknąć się pomostem do pawilonu. Udało się to tylko Dorothy Snider, gdy Hicks na chwilę musiał opuścić poste-

runek, kiedy pojawił się ów robotnik z miasteczka, zbierający kwiatki. Ale generał już nie żył wtedy od przeszło pół godziny co najmniej. Tak więc generał musiał zginąć pomiędzy dziewiątą a dziewiątą trzydzieści, w czasie kiedy usłyszałbym z całą pewnością wystrzał. Ale jeżeli zginął gdzie indziej, to nie mógł przecież zginąć na otwartej przestrzeni, prawda? Gdyż to byłoby dla mordercy gorsze niż zabójstwo w pawilonie, mającym bądź co bądź jakieś ścianki. Ale wiedzieliśmy już, że kawa została zatruta i generał był nieprzytomny. Tak więc pozwoliby się nieść bez protestu, a jego mała waga pozwalała go transportować nawet biegiem każdemu dorosłemu, przeciętnie silnemu mężczyźnie. Otóż, jedynym miejscem, do którego morderca mógł przenieść szybko generała, zastrzelić tak, aby nikt nie mógł tego usłyszeć, a później odnieść go z powrotem, było podziemie pracowni Jowetta i Cowleya, wykonane z grubych cegieł, pozbawione okna i zamykane na kłapę prowadzącą z góry. Ktokolwiek zastrzelił Somerville'a z colta, nie używając tłumika, mógł to popełnić tylko tam: mówię oczywiście, biorąc pod uwagę fakt, że generała trzeba było wynieść z pawilonu, zanieść do podziemia, zabić, odnieść z powrotem, upozorować okoliczności, wypłukać termos i filiżankę, nalać z przygotowanej buteleczki inną kawę. Wszystko to razem, zważywszy, że pracownia oddalona jest od pawilonu o mniej więcej dwieście kroków, powinno było zająć niecały kwadrans, a zważywszy czynnik czasu, tak niesłychanie ważny dla mordercy, może nawet o kilka minut mniej...

— Ale... — powiedział Parker.

— Zaraz. Wiem, co chcesz powiedzieć. W pierwszej chwili i mnie to wszystko wydało się absurdalne. Jeżeli mordercą był Cowley, dlaczego, skoro zatrzał kawę i zastał generała w uśpieniu, nie ukraść po prostu przygotowanych pieniędzy i nie ukryć ich. Gdyby Somerville się obudził, nie wiedziałby, kto jest złodziejem. Gdyby się nie obudził, nikt w świecie nie mógłby Cowleyowi udowodnić kradzieży i zatrucia kawy. Kawę przygotowała Karolina, był także Chanda, który mógł ją zatrucić. Cowley musiałby tylko wstrzymać się przez pewien czas od wydawania tych pieniędzy. A wiemy, że był człowiekiem pedantycznym, miał pewną sumę w banku i czekał na honorarium od Somerville'a. Poza tym, o ile to Cowley był tym, który rozpoznał rzeźbę Buddy (a tylko osoba, która bądź podawała się za Plumketta, bądź była z nim w spółce, mogła wiedzieć o tym, że generał będzie miał tego dnia tak wielką sumę w pawilonie) i brał udział w szantażu, mógł po zatruciu kawy liczyć na to, że policja będzie rozważała możliwość samobójstwa z powodów, które parę razy przeszły nam przez głowę w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Dlaczego więc, na miłość boską, miałby Cowley biegać z nieprzytomnym Somerville'em po parku, nawet tak gęsto zarośniętym jak ten i ryzykować wiele nie zyskując nic, a nawet tracąc, bo wykluczał w ten sposób ewentualność samobójstwa i kierował śledztwo na poszukiwanie mordercy.

I jeszcze jedno najważniejsze pytanie pozostawało bez odpowiedzi: jak mógł Cowley, który obmyślił tak przebiegły plan szantażu, zatrucia kawy i tak dalej, nie wziąć pod uwagę tak prostego faktu jak ten, że pracownię dzielił z nim James Jowett, który mógł tam przecież w każdej chwili wejść? Rozumiesz mnie?

— Rozumiem... — Parker z rezygnacją skinął głową. — Od chwili kiedy zrozumiałeś, że generał musiał zginąć w pracowni, bo nie mógł zginąć gdzie indziej, musiałeś od razu założyć, że Jowett jest współnikiem Cowleya. Inaczej Cowley nie mógłby obmyśleć tego rodzaju planu...

— Ba! — Alex roześmiał się — bo też Cowley wcale nie obmyślił tego rodzaju planu! Komisarz gwałtownie uniósł głowę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To właśnie: Cowley nie obmyślił tego rodzaju planu i nie mógł w nim uczestniczyć. Czy sądzisz, że Cowley zgodziłby się na plan, w którym strzępek jego koszuli miałby pozostać w ręce zmarłego, a sama koszula została porzucona do wglądu i porównania dla policji w jego sypialni? Plan, w którym on, Cowley, miałby uciekać w tajemniczy sposób, ściągając na siebie podejrzenia, ba! Pewność policji, że jest autorem zbrodni, a pan James Jowett miałby spokojnie siedzieć tutaj, drwić z niego i cieszyć się z tego, że od razu rozpoznał go jako paskudnego faceta? Chyba nie sądzisz, że ktokolwiek na świecie brałby udział w tego rodzaju spółce?

— Oczywiście... — mruknął Parker. — Teraz wszystko jest jasne. Ale ta mała idiotka Perry?

— Właśnie! Ta mała idiotka Perry, jak słusznie mówisz, nie tylko że padła ofiarą tych ludzi, ale jeszcze sama dorzuciła do tego ochotniczo swoich parę pensów daniny. Przyznaję, że kiedy znalazłem Somerville'a z kulą w sercu i pozorami samobójstwa, nie mogłem tego pojąć. Wiedziałem, że został zabity w pracowni, wiedziałem, że musiało ich być dwóch, albo sam Jowett, gdyż to Jowett rozstał się ze mną i poszedł do pracowni, a później powiedział, że czekał tam na Cowleya, który nie nadszedł. Tak więc mógł w najgorszym wypadku zabić generała, a także niewinnego Cowleya. Ale kiedy dowiedziałem się o zatruciu kawy, której Jowett nie mógł zatruć, a mógł zatruć Cowley, który jeździł także do Londynu, zrozumiałem, że działali oni razem... Ale dlaczego tak bezsensownie?...

— Właśnie... — Parker pokręcił głową. — Zachowuję się przez cały czas tej rozmowy jak ćwierćinteligent, którym zapewne jestem, sądząc z tego, że nadal mam sto pytań, na które nie znajduję odpowiedzi. A przecież musimy odpowiedzieć na wszystkie pytania, Joe, jeżeli chcemy zamknąć śledztwo.

— Oczywiście. Kiedy mieliśmy już podstawowe fakty w ręku, a działania panny Snider i panny Perry zostały wyjaśnione, zrozumiałem wszystko. Początkowo problem był tylko jeden: czy Perry była współniczką Cowleya, Jowetta, a może ich obu? Otóż nie.

Skoro zbrodnia była zaplanowana w ten sposób, że najpierw uśpi się generała, a potem któryś z nich wtargnie do pawilonu i zabierze stamtąd pieniądze (bo przecież chodziło o pieniądze!), wówczas Perry jako współniczka byłaby jakoś użyta przez nich w krytycznym czasie pomiędzy godziną ósmą trzydzieści a dziewiątą trzydzieści, kiedy musieli załatwić całą sprawę. Jowett na przykład towarzyszył mi bez przerwy od chwili, kiedy przekonał się, że obserwujący nas zapewne spoza krzewów Cowley mógł wejść do pawilonu i zabrać pieniądze. Perry także byłaby użyta jako przeszkoda wobec kogoś, kto ewentualnie chciałby się udać do pawilonu. Pretekstów jest przecież tysiąc w ogrodzie, prawda? Tymczasem nie tylko że nie było jej w okolicy, ale, jak zeznała, znajdowała się po przeciwnej stronie parku. Mogło to być nieprawdą, oczywiście. Ale przecież nie była potrzebna Cowleyowi jako pomocnik w pawilonie, a po drugie, jeżeli spojrzano się na sprawę Perry od strony obu współników, wówczas można było zobaczyć, że właśnie Meryl Perry stała się „kością niezgody” pomiędzy nimi i stanowiła coś w rodzaju alibi na to, że panowie Cowley i Jowett tak się nie lubią, że nie mogą być współnikami. Ta cała afery z miłością Cowleya i drwinami Jowetta była zbyt wodewilowa i jawna jak na solidny angielski dom. I pomyślałem sobie, że przecież to Meryl Perry była osobą, która najbardziej niespodziewanie mogła zająć do pawilonu. Jowett wiedział, że Karolina i Dorothy grają w tenisa, ja byłem na oku, rozstałem się z nim i zobaczyłem, że rozmawiam z Chandą, a poza tym ostrzegł mnie, że generał nie lubi, kiedy się chodzi po pomoście. Sam zresztą, niestety, nie chciałem wtedy rzucać się w oczy Somerville’owi, gdyż czekałem na Plumketta i nie mogłem dać staruszkowi do myślenia. Jowett wiedział, że Snider pracuje w bibliotece jak co dnia i jest ostatnim człowiekiem, który zaszedłby do generała na pogawędkę... Pozostawały dwie osoby: Meryl i ogrodnik! I co się dzieje: ogrodnik otrzymuje dziesięć szylingów i czeka na Cowleya, który wie już zresztą, że ogrodnik nie pójdzie do parku. Bo pamiętaj, że ze służby w parku o tej porze mógł być tylko ogrodnik, i to w każdej jego części! Ogrodnik mógł być przeszkodą, na której runąłby cały plan. A Meryl! Meryl czeka od dziewiątej na Cowleya po przeciwnej stronie parku, jak najdalej od pawilonu. Czeka cierpliwie, bo Cowley powiedział jej, że może się spóźnić, a Meryl jest zakochana... Ale czy Cowley mógł sobie pozwolić na to, żeby w chwili gdy generał zostanie pozbawiony w tajemniczy sposób okupu dla szantażysty, on, Cowley, nie przyszedł do ogrodnika po orchideę i nie spotkał się z Meryl? Przecież najgłupszy z głupich nie inscenizowałby takiego planu! Oczywiście, Cowley chciał jak najszybciej pójść do ogrodnika, a potem spędzić godzinę z Meryl. To byłoby jego alibi. Jeśli nie pełne, to przynajmniej świadczące, że normalnie przepędził przedpołudnie, wesoło, zakochany, z kwiatem dla miłej w ręce...

Joe urwał i znowu pociągnął małeńki łyk Benedictine’a.

— Ale Cowley nie przyszedł. Natomiast, jak powiedziałem, kawałek jego koszuli został w ręce zmarłego, a sama koszula w pokoju! A więc Cowley zniknął z pieniędzmi, naprowadził na siebie policję i uchronił Jowetta przed podejrzeniami? Dlaczego?

I dlaczego ta bezsensowna zbrodnia? I dlaczego w ogóle uśpiony generał, tak uśpiony, że w chwili strzału żaden sygnał nie dotarł do jego mózgu, miał w ręce ten strzyp koszuli? I dlaczego Jowett pozwolił swemu wspólnikowi na ucieczkę, skoro wiedział, że muszą go prędzej czy później schwycić, a wówczas Cowley go wyda?... To było absurdalne. Prawdziwe było tylko jedno: Cowley nie przyszedł do ogrodnika, jak zaplanował, nie spotkał się z Meryl Perry, nikt go nie widział wchodzącego do domu i wychodzącego, kiedy zmieniał koszulę. A przecież nie mógł półnago wyjść z domu, prawda? I po co, jeżeli chciał uciekać, wrócił do domu i rzucił koszulę na łóżko, tę obciążającą go potwornie koszulę, której kawałek tkwił nadal w ręce generała? Mógł przecież tę koszulę porzucić w ucieczce... Ba, ale jak uciekł? Przecież cała posiadłość była obstawiona przez twoich ludzi. I znowu zawiodła cię logika, Ben! Logika! Doszedłeś do wniosku, że skoro facet zabił generała i uciekł, a twoi ludzie opasali kordonem posiadłość wokół której nie ma ani jednego drzewa, a tylko gładkie pastwisko, to mógł się im wymknąć nie mając pojęcia, że ten kordon istnieje! Przecież nawet ja o nim nie wiedziałem! Jak uciekł?

Zawiesił głos. Parker podrapał się koniuszkiem palców w podbródek.

— Cowley mógł uciec bez winy moich ludzi. Mógł zejść do przystani i płynąć milę albo dwie wzdłuż brzegu, na zewnątrz raf. Wymaga to oczywiście dużego wysiłku i wprawy, ale nie jest niemożliwe. Mógł mieć w jednej ze stu rozpadlin skalnych na brzegu ukryte ubranie, przebrać się i dojść pieszo do jakiegokolwiek stacji kolejowej albo przystanku autobusowego...

— Ba! Znakomicie. Cudowny plan dla człowieka, który nie umie pływać!

— Jak to?

— Sam mi czytałeś o tym. Yard doniósł ci, że Cowley otrzymał premię asekuracyjną, bo prom, którym jechał zatonął, cudem go uratowano i dostał lekkiego zapalenia płuc. A możesz wmówić we mnie, że pan Cowley oszuka Joe Alexa, Beniamina Parkera i cały Scotland Yard, ale nie towarzystwo asekuracyjne! Widzę oczyma duszy miłego pana w meloniku, który wypytuje matkę, krewnych, kolegów szkolnych, towarzyszy pracy Cowleya: „A czy lubił yahting?” „Czy jako chłopiec odznaczał się odwagą? Może pływał dobrze?”... I tak dalej, i tak dalej... Zanim wypłacili mu tych pięć tysięcy funtów, musieli wiedzieć z całą pewnością, że poszedłby na dno jak kamień. Ale mniejsza o to nawet! W wypadku żywego Cowleya rzeczy nie mogły wyglądać tak, jak wyglądały, i odbyć się tak, jak się odbyły. Trzeba było wyjść od prostego działania: pięćdziesiąt tysięcy funtów podzielone przez dwa równa się dwadzieścia pięć! A Jowett potrzebował pieniędzy. Był człowiekiem zadłużonym, hazardystą, który chciał się wyzwolić z długów i mieć trochę spokoju. Jego absolutny egoizm, niechęć do Cowleya, prawdziwa, jak sądzą, i połączona z pogardą, a także matuzaleмовy wiek generała dokonały reszty. Somerville był staruszką nad grobem, a Cowley zupełnie niczym dla tego geniusza, którego zbrodnia polegała nie na dzikości, ale na absolutnej obojętności wobec reszty ludzi mniej uta-

lentowanych niż on. Poza tym żywy Cowley pozostałby kimś, kto znałby jego przestępstwo. Myślę, że śmierć Cowleya była podstawowym warunkiem tego planu. Oczywiście, to Jowett rozpoznał Buddę z Moulmein. Początkowo, niby żartobliwie, powiedział zapewne Cowleyowi, że mogliby grubo zarobić, gdyby chcieli zrobić kawał generałowi. Potem doszli wspólnie do wniosku, że staruszek pęka od pieniędzy, których częśćka bardzo im się przyda. Napisali pod zmyślnym nazwiskiem Plumketta. Odpowiedź Somerville'a bardzo ich ucieszyła. Generał kazał Plumkettowi zgłosić się o pół do dwunastej po pieniądze. Byli pewni, że nie zawiadomi policji. Moja obecność była przeszkodą, ale Jowett wziął mnie na siebie. Wiedział, że zawsze może liczyć na kilkanaście minut rozmowy ze mną i odciągnięcie mnie od pawilonu. Zresztą plan ich był prosty: skoro Plumkett ma się zjawić o pół do dwunastej, oni uderzą jak najwcześniej. Mogli liczyć na to, że generał będzie miał pieniądze w pawilonie od rana. Co dnia przed ósmą do pawilonu zносиła kawę pokojówka. Wystarczyło nasypać potężną dozę proszków nasennych i przyjść po godzinie. Poza tym wszystkim ów mityczny Plumkett też im się przydał w ich planach. To on mógł być w końcu winien, prawda? Mógł wtargnąć niepostrzeżenie, zatruć kawę, tak jak to zrobił Cowley, i zniknąć z pieniędzmi. Przed ósmą Cowley poszedł zatruć kawę. Kiedy zobaczył, że Karolina wyszła, wszedł do pawilonu, wsypał proszki do termosu, wymieszał je i pędem, zaroślami, pobiegł, okrążając dom z dala, do ogrodnika. Tam zamówił orchideę i wszedł do domu. Powitał Jowetta krótkim: „Ja zawsze wykonuję, co do mnie należy”, co choć powiedziane w innym kontekście, poinformowało Jowetta, że proszki zostały wsypane. Informacja ta była niesłychanie ważna, gdyż Jowett wiedział już, że musi mnie powstrzymać od przeszkodzenia Cowleyowi w wykonaniu drugiej części planu. Mianowicie Cowley miał teraz wziąć uśpionemu człowiekowi pieniądze. I zapewne zabrał je natychmiast po tym, jak zacząłem wraz z Jowettem iść alejką w kierunku domu, kiedy opuściliśmy balustradę, z której widać było wewnątrz pawilonu.

I to był ich cały wspólny plan. Jowett pożegnał się ze mną i ruszył do pracowni, gdzie czekał Cowley, który miał mu wręczyć do ukrycia pieniądze, a sam powinien był ruszyć natychmiast do oranżerii po kwiat, a później na spotkanie z Meryl. Ale nie wyruszył, bo zginął niemal natychmiast po wejściu Jowetta...

— Skąd wiesz, na miłość boską?

— Bo inaczej plan Jowetta nigdy by się nie powiódł! Przecież Jowett nie miał pojęcia o tym, że za dwadzieścia minut Hicks obejmie stanowisko na skale górującej nad pawilonem. Oczywiście Jowett zobaczyłby go, idąc do pawilonu i znajdując się jeszcze między krzakami. Wówczas musiałby się cofnąć. I skończyłoby się na tym, że wrzuciłby do morza ciało Cowleya, obciążone żelastwem, którego pełno jest w tej pracowni. Mógł podejść do samej krawędzi i będąc w ogóle niewidocznym nawet dla kogoś, kto by zobaczył spadające ciało, wrzucić Cowleya w głębinę, która rozpoczyna się tu od

razu. Ale nie było nikogo. Jowett więc przebiegł tych kilka kroków po pomoście, chwycił Somerville'a, zabrał go do pracowni, zastrzelił i owinąwszy ciało w szmatę, żeby uniknąć umazania się krwią, wrócił, posadził staruszka za stołem i... ach tak, oczywiście, oderwał najpierw kawałek koszuli Cowleya i później wcisnął go w sztywniejącą rękę Somerville'a. Musiał mieć także oczywiście, przygotowaną kawę w zamkniętej, małej buteleczce. I to było jedyne jego naprawdę genialne posunięcie. Później ułożył na ziemi przed zabitym pistolet, na którym zapewne uprzednio odcisnął palce Cowleya i przyniósł broń zawiniętą w chustkę... Kiedy dotarł znów do pracowni... (a według moich obliczeń wszystko to trwało krócej niż moje opowiadanie o tym!) Pozostawało mu jeszcze tylko jedno: zdjął koszulę z umarłego Cowleya i odłożył na bok, ciało wsunął do jednego z worków, obciążył je żelastwem, zawiązał worek, wsunąwszy tam uprzednio tę flaszkę i zakrwawioną szmatę, w którą owinął Somerville'a, niosąc go do pawilonu, i cisnął z brzegu w przepaść. Wiedział, że jest tam głębina, a nikt nie usłyszy nawet plusku w dole. Później, spokojny, już powrócił do pracowni, zlikwidował ślady krwi i inne pozostałości swoich chwalebnych uczynków, ukrył pieniądze i mógł już spokojnie oczekiwać przebiegu wypadków. W najbliższym czasie ktoś odnajdzie ciało generała, a wraz z nim strzęp koszuli Cowleya i pistolet z jednym wystrzelonym nabojem, opatrzone odciskami palców inżyniera. Miał zaufanie do policji i zapewne do mnie. Wiedział, że śledztwo będzie prowadzone dokładnie. Musieliśmy skojarzyć sobie następujące fakty: Cowley był jedną z dwóch osób, które jeździły ostatnio do Londynu. Drugi fakt dowodzi, jak powiedziałem, jego geniuszu zbrodni! Otóż mógł być pewien, że sekcja wykaze zatrucie proszkami. Ale on, Jowett, nie mógł zatruć kawy! A kawa z cukrem, bez narkotyku, świadczyła o tym, że generała zastrzelił człowiek, który zatruł kawę i zamienił ją później! A więc nie on, lecz Cowley raz jeszcze! To było jego najpotężniejsze alibi! Wszyscy wiedzieli, że nie znosił Cowleya, a Cowley jego, a poza tym ta kawa!!! Ta kawa powinna przejść do roczników kryminalistyki, Ben! I miał mnie jako żelazne alibi! Oczywiście, jak każdy morderca, nie mógł wszystkiego przewidzieć. I pozostało pewne „ale...”

— Jakie?

— Nie wiedział, że dom jest otoczony i ucieczka Cowleya jest niemożliwa. Na nic więc nie przydała mu się mistyfikacja z kluczem, koszulą i pokojówką. Pokojówka ta nie widziała go z tego prostego powodu, że Jowett wszedł, kiedy nie było jej na korytarzu i kiedy słysząc elektryczny odkurzacz w jednym z pokoi, zrozumiał, że ona go nie usłyszy. Otworzył drzwi pokoju Cowleya zabranym umarłemu kluczem, podrzucił koszulę, potem wyszedł, zamknął drzwi i zapukał głośno. Kiedy zwabiło to pokojówkę, zapytał, czy nie widziała inżyniera. Oczywiście, nie widziała. Wtedy odszedł i spotkał mnie na dole w ogrodzie. Znów miał alibi. A koszula miała być dowodem na to, że Cowley przebrał się pospiesznie i porzucił podartą koszulę uciekając. Alex odetchnął i ciągnął dalej, niemal pogodnie:

— Od tej chwili pan James Jowett mógł spokojnie wierzyć, że pieniądze Somerville’a są jego własnością, a policja do sądnego dnia poszukiwać będzie Cowleya obwinionego o morderstwo i kradzież. Wszystko zagrało idealnie. Ale... — bo pytałeś mnie o to „ale” — spróbuj wyobrazić sobie jego zdumienie i przerażenie, kiedy wpadł wraz ze mną do pawilonu i zobaczył, że generał nie ma kawałka koszuli Cowleya w dłoni, a rewolwer leży tuż pod ręką umarłego, jak gdyby Somerville po śmierci wstał i inaczej ułożył przedmioty na złość mordercy! I tu muszę przyznać, że Jowett zachował się z absolutnie zimną krwią. Tylko w pierwszej chwili wyrwało mu się kilka zdumionych słów, które zresztą można było wziąć za objaw przerażenia na widok trupa. Był na tyle przytomny, że w chwilę potem uratował od śmierci Dorothy Snider, która pośliznęła się i omal nie runęła z pomostu w przepaść. Zresztą, chociaż nie rozumiał, co się stało, jedno pozostało: Cowley zniknął, a wraz z nim pieniądze. Policja nadal musiała na tym opierać śledztwo. I nie omylił się, bo rozumowanie twoje poszło tą drogą. Ale ja miałem trochę dodatkowych kłopotów. Nie mogłem zrozumieć, co oznacza ta porzucona koszula z oderwanym rękawem, którego skrawka nigdzie nie było. Nie mogłem także zrozumieć, kto i dlaczego miał pozorować samobójstwo... Dopiero kiedy usłyszeliśmy zeznania Dorothy Snider i zrozumiałem, że to Meryl Perry musiała poprzestawiać wszystko w pawilonie, na co zresztą wskazywała nieuchronnie ręka generała, leżąca na fotografiach, które dziewczyna przyniosła o jedenastej, a więc po śmierci Somerville’a, pojąłem, że Meryl po wejściu do pawilonu musiała rozpoznać strzęp tej czerwonej koszuli, pomyślała, że jej biedny, ukochany Cowley został doprowadzony do szaleństwa przez drwiny Somerville’a i nie wiedząc, co czyni, strzelił. Dwa lata domu poprawczego powróciły nagle w całej swej urodzie i Meryl błyskawicznie ułożyła pistolet tak, żeby sprawiał wrażenie broni wypadłej z ręki samobójcy. Wytarła go oczywiście, żeby zniszczyć odciski palców ukochanego, ale zapomniała odcisnąć palce Somerville’a. Nie można się jej zresztą dziwić, to musiało być dla niej ogromne przeżycie. Później pobiegła do pracowni, ale w drzwiach zawróciła. Postanowiła udawać przed Cowleyem, że o niczym nie wie. Pewnie przysięgła sobie nawet, że nigdy w życiu nie da mu do zrozumienia, że zna jego tajemnicę. Kochała go, to wszystko... Ale kiedy dowiedziała się, że uciekł, i kiedy zrozumiała, że dom jest pełen policji, która na pewno zaraz dowie się, że ma do czynienia z byłą współuczestniczką gangu bandyckiego, załamała się. Była przecież teraz kim innym, zapomniała niemal o swej przeszłości, a jednak śledztwo musiało stwierdzić, że pomogła zatrzeć ślady morderstwa... Wszyscy koledzy, cały uniwersytet dowie się jutro z gazet, że Meryl Perry... i zażyła te proszki... Ale mniejsza o biedną Meryl. Wiedziałem już wszystko, ale... znowu jest ale! Ale nie bardzo wiedziałem, jak mogę udowodnić tę zbrodnię panu Jowettowi. Gdybym ci powiedział, że Cowley na pewno nie żyje, a Meryl jest niewinna, i wskazał mordercę, Jowett mógł podważyć moje rozu-

mowanie. Wszystkie moje dowody polegały na tym, że nikt inny nie mógł popełnić tego morderstwa. Ale żaden z nich nie obciążał bezpośrednio mordercy. Gdyby Jowett znalazł dobrego adwokata, mógł zostać uniewinniony. Musiałem czekać.

— Na co? Rozumiem świetnie, że nie mogłeś prosić mnie, abym aresztował Jowetta. Nie zrobiłbym tego. Przede wszystkim nie było Cowleya i dopóki nie znaleźliśmy ciała, można było przypuścić, tak jak to zrobiłem, że Cowley uciekł płynąc wzdłuż brzegu...

— Oczywiście. Ale przyznasz ponownie, że dla człowieka, który nie umie pływać, byłby to wspaniały wyczyn. Ale Cowley mógł przecież jednak oszukać to towarzystwo asekuracyjne. Mimo to wiedziałem, że nie odpłynął. Musiałby przecież dzień wcześniej ukryć jakieś ubranie o całe mile stąd w skałach nadbrzeżnych, musiałby płynąć godzinami, wybierając najpowolniejszy sposób ucieczki i pozostawić na miejscu własny samochód, który w ciągu pięciu minut oddaliłby go od Mandalay House bardziej niż trzy godziny męki pośród fal i głazów naszego wybrzeża. Absurd! Ale... dla adwokata Jowetta nie byłoby to absurdem. A nawet gdybyśmy znaleźli ciało przy pomocy płetwonurków, nadal nie oznaczałoby to, że Jowett jest winien. Zbrodnia ich: te dwa niezależne od siebie plany i mistyfikacja z walką o Meryl Perry i z mitycznym panem Plumkettom tak zawróciłyby w głowie każdej ławie przysięgłych, i dawałyby obrońcy takie szanse krzyżowania szyków oskarżeniu, że Jowett mógł umknąć. Brakowało mi jednego, żeby mieć pewność, że nie umknie... Tych siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Inaczej wszystko nie miałyby najmniejszego sensu. A ponieważ wiedziałem, że Jowett zabił dla tych pieniędzy, więc wiedziałem, że musi zabrać je z sobą. Mógł to śmiało uczynić. To, co początkowo zdawało się ruiną jego planu: fakt, że Meryl przeinaczyła miejsce zbrodni, zmieniło się w jego tryumf! Tego nie przewidział w najśmielszym marzeniu! Meryl Perry stała się współniczką umarłego Cowleya, a ponieważ wszyscy wiedzieli, że go kocha, a nawet ogrodnik mógł zaświadczyć, że jeszcze poprzedniego wieczoru całowała się z nim w parku, więc Meryl stała się jeszcze jednym dowodem na to, że Cowley zamordował i uciekł. Kiedy po jej nieudanym samobójstwie zdjąłeś strażę, Jowett zrozumiał, że jego genialny plan powiódł się. Oczywiście, nie wiedział o mojej pewności, że nikt nie mógł zastrzelić Somerville'a w pawilonie. Jowett do końca nie miał pojęcia, że Hicks tkwił w pobliżu od dziewiętej trzydzieści do chwili znalezienia zwłok. Mógł spokojnie wziąć pieniądze tuż przed odjazdem stąd. Był pewien, że policja szuka Cowleya, wierząc, że ten ma pieniądze przy sobie. A ja byłem z kolei pewien, że Jowett nie ma pieniędzy w pokoju. To byłoby w pierwszej fazie śledztwa zbyt wielkie ryzyko. Nie wiedział przecież czy policja nie przewróci domu do góry nogami w poszukiwaniu tych pieniędzy. Nie mógł także nigdzie ich zakopać... bo musiałby je odkopywać, a nie wiedział, w jakich okolicznościach będzie stąd odjeżdżał i czy policja nie będzie strzegła każdego kroku wszystkich obecnych. A przecież musiał je mieć. Dla nich zabił dwie osoby i były mu one na pewno rozpaczliwie potrzebne od razu. Musiał je więc tak ukryć,

żeby móc do nich dotrzeć, ale żeby równocześnie, gdyby policja je odkryła, mieć szansę obrony i móc powiedzieć, że to Cowley je podrzucił po to, aby Meryl Perry mogła je później przejąć. Dlatego ściągnąłem cię do pracowni nocą. Nie szukałem zwłok Cowleya. Jowett musiałby być obłąkany, żeby je tam przechowywać. Szukałem tych pieniędzy i znalazłem je. Ale nie mrugnąłem nawet okiem. Model był leciuteńki, z kartonu i gdyby Jowett nie ukrył w nim owej grubej paczki dolarów, musiałby od razu zareagować na wzrost ciężaru, biorąc go ze stołu. Ale nie zareagował. Kiedy poszedłem z nim tam, wziął go do ręki i rozmawiając ze mną zawrócił w stronę domu. Wtedy powiedziałem mu, że wiem, co tam ma. Nie mrugnął nawet okiem. Powiedziałem, że wiem od początku, że udowodnię mu obie zbrodnie i że będzie to oznaczało dla niego bezterminowe poniżenie pośród opryszków i zbirów, bez żadnej szansy ujrzenia wolnego świata. Powiedziałem mu też, że to bardzo piękny pomnik, ten, który projektuje... i że Cowley mógłby być przecież jedynym winnym, gdyby zabrakło tego drugiego. Zapytał mnie, jak to sobie wyobrażam. Powiedziałem, że mój samochód stoi na podjeździe, a jeśli, na przykład, skreśli w nieodpowiednim kierunku i wpadnie do morza, zeznam, że on, Jowett, był pijany i...

Parker spoważniał nagle...

— Czy mówisz to wszystko serio Joe? przecież... Przecież popełniłeś poważne przestępstwo... I muszę...

— Przede wszystkim musisz mi udowodnić, że to, co mówię, jest prawdą... — Joe uśmiechnął się.

— A mogę cię upewnić, że przed sądem zeznam, że fatalna omyłka, z której cię wyratowałem, wpłynęła chwilowo na twój system nerwowy i zacząłeś słyszeć rzeczy, których nigdy nie powiedziałem.

— Ale dlaczegoś to zrobił?

— Bo obiecałem Chandzie, że jego pan będzie pomszczony i człowiek, który to zrobił, odpowie głową. A poza tym... poza tym to będzie bardzo piękny pomnik... myślę o tych poległych lotnikach Manchesteru. Chciałem dotrzymać słowa, które dałem Jowettowi. On by zginął w więzieniu. Był bezwzględny, nikczemny, ale genialny na swój sposób, i zginąłby skazany na dożywocie, tyle tylko, że umierałby dłużej. Ustrzegłem wielkiego artystę o marnym charakterze przed najgorszą śmiercią... w zapomnieniu. I myślę, że pomożesz mi w tym... i w jeszcze jednej sprawie.

— W jakiej?

— Chodzi mi o Chandę.

— Tak?

— Nie zobaczysz go chyba nigdy. Chcę powiedzieć tylko, że byłoby rzeczą bardzo niewskazaną, gdybyś zaczął działać w sprawie tego posągu, który odpłynął z nim motorówką. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że o ile nawet Chanda dopłynął już do jednego

z portów francuskich, musi jeszcze zaokrętować się do Indii. Chciałem cię zapytać, czy masz zamiar wysłać iskrówkę do Francji, że pewien człowiek o takim a takim rysopisie wiezie skradziony z terytorium brytyjskiego posąg Buddy?

— Hm... — Parker przygryzł wargę. — Skąd wiesz, że chciałem tak zrobić? Nie wysłałem do tej pory żadnej iskrówki...

— Bo wiesz, że masz czas... Masz jeszcze wiele godzin czasu, zanim Chanda załatwi wszystkie formalności i wsiądzie na pokład jakiegoś statku płynącego w tamtym kierunku. Ale nie jesteś jeszcze zdecydowany, chociaż twoje policyjne sumienie dręczy cię nieustannie. Chciałeś najpierw usłyszeć, jak to było z Jowettem. Teraz już wiesz. Dlatego obawiam się, że nie mając nic innego do roboty... Ale przedtem chcę ci przypomnieć, że wówczas w nocy powiedziałem ci: „Ty zrobisz, co uznasz za stosowne, i ja zrobię, co uznam za stosowne”... I zrobię to!

— O ile dobrze zrozumiałem... — powiedział Beniamin Parker suchym, urzędowym głosem — to postępowanie takie nazywa się potocznie szantażem. Co mianowicie uznasz za stosowne? Opublikowanie, że omyliłem się i chciałem zaaresztować niewinną dziewczynę? Nie mogę ci tego zabronić, ale jeśli chodzi o naszą dotychczasową przyjaźń, to chciałbym ci tylko zakomuni...

— Widzę... — powiedział Alex z udaną zgrozą — że masz o mnie w tej chwili równie dobre mniemanie jak to, które miałeś o Karolinie wczoraj wieczorem. Nie, nie opublikuję twojej omyłki! Zrobię coś gorszego: nie zaproszę cię na mój ślub!

— Co? — powiedział Parker. Zerwał się i usiadł. Z wolna szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy. Wyciągnął ponad stołem swą ogromną, muskularną rękę. — Boże, co moja żona powie, kiedy się dowie! Zawsze ubolewała nad wami: „Tacy wspaniali ludzie, kochają się jak dwa gołąbki, nie mogą żyć bez siebie, a przecież nie są rodziną...”

— Ba... — powiedział Alex. — Jak wiesz, nie działo się tak z mojej winy. Ale Karolina... — urwał. — Myślę, że ta śmierć wstrząsnęła nią. I... i... — zaczerwienił się. — Może to nie pora o tym mówić, ale... Karolina powiedziała mi, dlaczego tak nagle... — znowu urwał i zająknął się. — I tak zresztą to zaraz nie nastąpi... Jest w żałobie... Ale powiedziała mi, że... że kiedy widziała mnie po jego śmierci i rozumiała, co się musi dziać we mnie... ponieważ go nie ustrzegłem, a przecież byłem tak blisko... słowem, że jestem w rozpacz... wtedy, chociaż sama cierpiała po jego śmierci, przyrzekła sobie, że... kiedy to się skończy... to znaczy śledztwo... powie mi, że odtąd będziemy razem...

Odetchnął głęboko. I nagle roześmiał się.

— Zapewne nic z tego nie rozumiałeś, ale to i tak nie ma znaczenia.

— Zawsze rozumiałem, że jeśli jakakolwiek kobieta przyjmie twoje oświadczenia, może to uczynić tylko z litości — odpowiedział uprzejmie komisarz.

— Wobec tego zacznę sobie cenić litość. Ale co z Chandą? Chciałbym, żebyś mi odpowiadział.

Parker patrzył na niego przez chwilę w milczeniu, wreszcie uniósł brwi.

— Z Chandą? Z jakim Chandą? Ach, z tym służącym? Co się z nim stało? Nie widzę go od rana. Czyżby jakiś wypadek?

— A posąg Buddy z Moulmein? — Alex chciał się jeszcze upewnić?

— Jeżeli mam być szczery, wszystkie te posągi wydają mi się zupełnie jednakowe — powiedział Parker potrząsając głową z wyraźnym niesmakiem. — Im mniej ich widzę, tym lepiej. Słyszałem o jakimś posągu Buddy z Moulmein. Zdaje się, że skradziono go w czasie wojny. Można tylko życzyć sobie, żeby go ci Birmańczycy odnaleźli, prawda? Na pewno lepiej ocenią jego zalety niż ja. Jak myślisz, Joe?

— Myślę, że będę pierwszym szanującym się obywatelem, na którego ślubie świadkiem będzie oficer policji.

SPIS TREŚCI

Rozdział 1	4
Biada tym, którzy piszą księgę...	
Rozdział 2	19
Zasztyletować go jednym z eksponatów	
Rozdział 3	33
Wielkie czerwone krople...	
Rozdział 4	39
Złota figurka	
Rozdział 5	48
Jutro, bo dzisiaj nie jestem jeszcze gotów	
Rozdział 6	59
Yeti i jego żona Ladni	
Rozdział 7	67
I niechaj składa mu co dnia ofiary...	
Rozdział 8	74
Karolinę Beacon, wnuczkę brata mego...	
Rozdział 9	80
Nie zawsze i nie wszystko...	
Rozdział 10	94
Generał John Somerville siedział za stołem...	
Rozdział 11	123
Pan mój będzie pomszczony	
Rozdział 12	129
Nie widziałeś tych pieniędzy	

Rozdział 13	140
O której generał jadł śniadanie...	
Rozdział 14	148
Pierwsze przesłuchania	
Rozdział 15	177
To niemożliwe, panie doktorze	
Rozdział 16	183
Czego on chciał ode mnie?	
Rozdział 17	195
Meryl Perry leżała na łóżku, oczy miała otwarte...	
Rozdział 18	205
W oknach płonęły światła...	
Rozdział 19	210
Czy jesteś pewien, Joe?...	
Rozdział 20	214
Mój wóz nie nadaje się do użytku.	
Rozdział 21	221
Żenię się	